NUMER SPECJALNY – NA BOŻE NARODZENIE – 132 STRONY

Dzień z życia Kaczyńskiego | Ziemkiewicz ostrzega przed wojną domową
Śledztwo Semki w sprawie Biblii | Tajemniczy rodowód Rymkiewicza
Spowiedź Marcina Wolskiego | Kim są Polacy z rosyjskiej TV | Obsesje Balcerowicza

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829 51
Nakład: 100 tys. egzemplarzy

TYGODNIK LISICKIEGO

# DO RZECZY

NR 51/253 18–26 GRUDNIA 2017

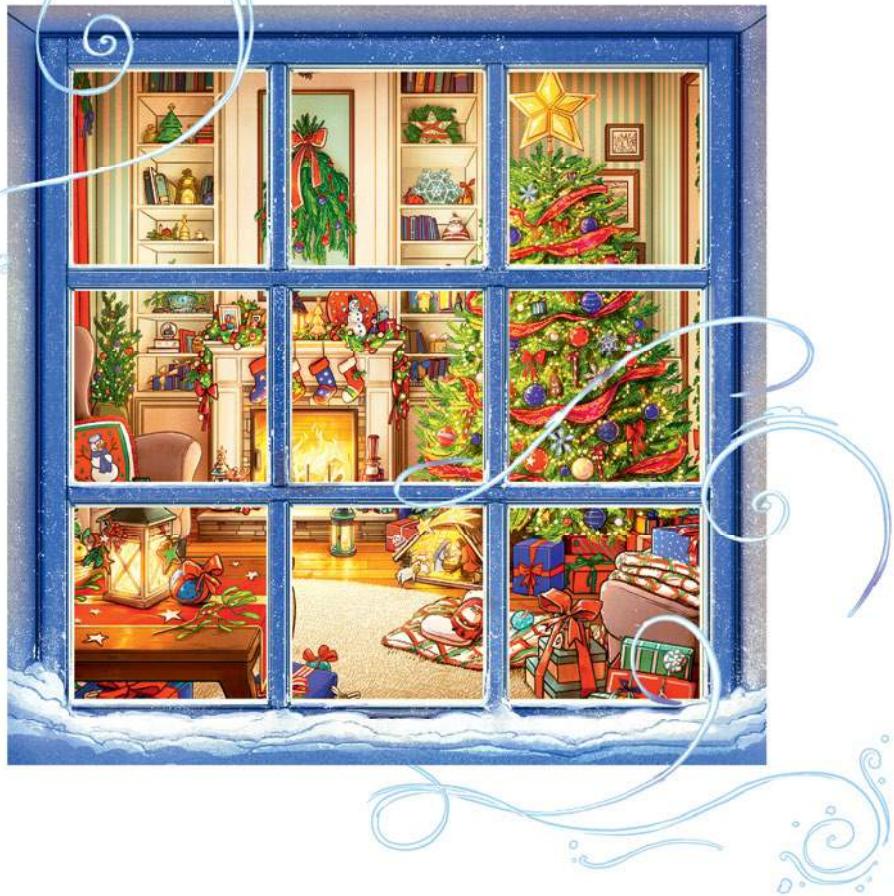
CENA **6,90 ZŁ** (W TYM 8% VAT)



Łysiak przeciw Darwinowi

## JAK BÓG STWORZYŁ CZŁOWIEKA

epras.pl/4eef09fca4



Wspaniałych Świąt Bożego Narodzenia,
pełnych wyjątkowych chwil w rodzinnej atmosferze
oraz wiele radości i optymizmu, a w 2018 roku
samych sukcesów i wszelkiej pomyślności.

Bank Polski

Wspieramy rozwój
Polski i Polaków

eprasa.pl 4eef091ca4



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

# Warto pamiętać o bohaterach

Przejrzałem kilka moich ostatnich szkiców do „Do Rzeczy" pisanych czy to przy okazji Bożego Narodzenia, czy Wielkanocy i zauważyłem, że obraz świata i wiary, jaki się z nich wyłania, nie napawa, najdelikatniej to ujmując, optymizmem. Cóż, chciałbym inaczej pisać, inaczej postrzegać, ale fakty są takie, jakie są. Przyglądając się kolejnym działaniom papieża Franciszka, w coraz gorszy nastrój popadam i coraz ciemniejsze myśli w głowie mi się kłębią.




Żeby jednak nie występować ciągle w roli Kasandry, pomyślałem, że wykorzystam ten świąteczny felieton do przypomnienia pewnej postaci, wielkiej, wspaniałej. Szczęśliwie się złożyło, że od kilku miesięcy jest na polskim rynku dostępna książka zawierająca „Pisma więzienne" Tomasza More'a. Nie sposób po ludzku zrozumieć jego motywów. Dlaczego sprzeciwił się rozkazowi króla Henryka VIII? Dlaczego nie chciał złożyć przysięgi i tym samym przyznać, że władca jest głową Kościoła? Ze świeckiej perspektywy czyn jego jawi się jako przejaw absurdalnego oporu. Stracił przez to swój urząd, pozycję, przywileje, szanse jeszcze większej kariery, nadzieję na zbudowanie potężnego rodu. W ostateczności odmowa posłuszeństwa kosztowała go życie. Nie prowadził walki czynnej, nie spiskował, nie knuł za plecami króla, ba, gotów był nawet uznać prawo do dziedziczenia korony przez dzieci ze związku Henryka z nieszczęsną, jak miało się rychło okazać, Anną Boleyn. Królowi taka forma posłuszeństwa nie wystarczyła. Za wszelką cenę chciał zmusić More'a do publicznego aktu uznania swej władzy nad Kościołem. More trwał w uporze coraz bardziej osamotniony. Mimo że jeszcze kilka lat wcześniej wszyscy jak jeden mąż uważali wierność papiestwu za rzecz oczywistą, w wierności wytrwali tylko on i biskup Fisher. Tak: pod naciskiem króla, za namową reformatorów wszyscy pozostali porzucili Rzym, wszyscy znaleźli strategie przetrwania, wszyscy zracjonalizowali swą zdradę.

Książka zawiera m.in. listy More'a do ukochanej córki Małgorzaty, która długo i żarliwie próbowała namówić go do zmiany decyzji. Ten zaś wyjaśniał jej spokojnie, że gdyby ustąpił królowi i jawnie poświadczył nieprawdę – a do tego kłamstwa zachęcało go wielu możnych w królestwie – zaparłby się głosu sumienia. Lepsza śmierć niż zdrada sumienia, w którym More słyszał wyraźny nakaz Boga. Człowiek, który pozwolił złamać sobie sumienie, nigdzie już i nigdy prawdziwego spokoju nie znajdzie.

Spośród wielu poruszających fragmentów tej książki najbardziej utkwił mi w pamięci krótki opis odwiedzin trzech wysłanników króla, którzy przybyli przekonać More'a do zmiany stanowiska. Jeden z nich, późniejszy zausznik Henryka, lord Rich, nastawał na wszelkie sposoby na byłego kanclerza i próbował dowieść, że Parlament ma władzę ogłoszenia króla papieżem w jego królestwie. Na co More zadał mu proste pytanie: „[...] przypuśćmy, że Parlament wyda ustawę, iż Bóg nie ma być Bogiem; czyż wówczas, panie Rich, powiesz, że Bóg nie jest Bogiem?". „Nie, sir – odparł – tego bym nie uczynił, gdyż żaden parlament nie ma władzy stanowienia takich praw". „Tak samo – rzekł Tomasz More – żaden parlament nie może uczynić króla głową Kościoła". Te słowa ostatecznie stały się podstawą oskarżenia o zdradę państwa, oskarżenia o działanie „złośliwe, zdradzieckie i za szatańskim poduszczeniem".

Warto pamiętać o takich bohaterach jak Tomasz More. Kto wie, czy cała historia świata nie istnieje właśnie po to, by od czasu do czasu nie pojawiały się właśnie takie dusze, ludzie wyzbyci strachu i egoizmu, gotowi raczej wybrać śmierć niż porzucenie Boga. Czy to nie jest powód do otuchy? ©℗



eprasa.pl 4eef091ca4



## TEMAT TYGODNIA

**22** WALDEMAR ŁYSIAK
**JAK BÓG STWORZYŁ CZŁOWIEKA**
O narodzeniu świata w rocznicę narodzin Chrystusa

## BOŻE NARODZENIE

**32** ROZMOWA Z KS. PROF. WALDEMAREM CHROSTOWSKIM
**KSIĘGA ŚWIĘTA MÓWI PRAWDĘ**

## KRAJ

**36** WOJCIECH WYBRANOWSKI
**DZIEŃ Z ŻYCIA KACZYŃSKIEGO**
W gabinecie i w domu prezesa PiS

**40** AGNIESZKA NIEWIŃSKA
**ŚWIĘTA DUDÓW I KORNHAUSERÓW**

**42** ROZMOWA Z MARCINEM WOLSKIM
**JESTEM CZASOWO POETĄ DWORSKIM**

**46** MACIEJ PIECZYŃSKI
**KIM SĄ POLACY Z ROSYJSKIEJ TELEWIZJI**

**50** TOMASZ P. TERLIKOWSKI
**KSIĄDZ PIOTR GLAS – ODWAŻNY I KONTROWERSYJNY**

**53** JACEK PRZYBYLSKI
**NIEPOKONANI**

## KULTURA

**58** KRZYSZTOF MASŁOŃ
**REKORDZISTA VINCI I POLSKIE „WYCIEKI”**
Prawdziwa sztuka ceny się nie boi

**62** PIOTR GOCIEK
**„GWIEZDNE WOJNY”: PUNKT ZWROTNY**

**64** JOANNA LICHOCKA
**TAJEMNICZY RODOWÓD RYMKIEWICZA**

**67** ANDRZEJ HORUBAŁA
**TO NIE MIŁOŚĆ, TO COMING OUT**

## OPINIE

**72** RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
**BUJANIE POLSKĄ**
Czy opozycja dąży do wojny domowej i zewnętrznej interwencji?

**74** FILIP MEMCHES
**KOLONIALIZM NA ZAMÓWIENIE**

**80** ŁUKASZ WARZECHA
**FEMINISTKI, CZYLI ZAPISKI Z WARIATKOWA**

## DODATEK HISTORYCZNY

**83** **STAN WOJENNY**
– Mniejsze zło Jaruzelskiego
– Świat wobec stanu wojennego i pacyfikacji „Wujka”
– Bitwa wrocławska
– Centrum Historii Zajezdnia

## ŚWIAT

**102** ELENA I GABRIEL MICHALIKOWIE
**KTO SIĘ BOI KSENI SOBCZAK?**
Celebrytka w show Putina

## EKONOMIA

**106** STEFAN SĘKOWSKI
**OBSESJE BALCEROWICZA**
Nieskuteczny ekspert w pułapce poglądów

**108** TOMASZ WRÓBLEWSKI
**JAK ROZWIJAĆ GOSPODARKĘ KRAJU**

**114** JAN PIENIĄŻEK
**OD BARTERU DO BANKNOTU**

## SPORT

**120** ŁUKASZ ZBORALSKI
**MUNDIAL PO ROSYJSKU**
Piłka ociepli wschodni mróz?

## FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ (10), WARZECHA (12), GMYZ, GOCIEK (20), ZALEWSKI, WOLSKI (82), ZYCHOWICZ, KOPER (98), KOWALCZUK (105), GABRYEL, RYBIŃSKI (112), KOMUDA (124), TYRMAND (129), KATARYNA (130), ŁYSIAK (131)



eprasa.pl 4eef091ca4

RED IS BAD™

OSTATNIA W TYM ROKU

# PROMOCJA ŚWIĄTECZNA

# -20%

# NA WSZYSTKO

TRWA DO 23.12.2017

OBOWIĄZUJE RÓWNIEŻ NA
**SYMBOWEAR.COM**









KULTOWA MARKA ODZIEŻY PATRIOTYCZNEJ I TOŻSAMOŚCIOWEJ

W PEŁNI POLSKA PRODUKCJA

SKLEPY STACJONARNE
**Warszawa:**
**Jagiellońska 69**
**Chmielna 7**

**Kraków:**
**Szewska 25**

**www.redisbad.pl**

ZAMÓWIENIA TELEFONICZNE
**22 290 66 55**

RED IS BAD™

eprasa.pl 4eef091ca4

## Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu ciekawa polemika z Tomaszem P. Terlikowskim. Ważna przed Wigilią, gdy zwierzęta ponoć mówią ludzkim głosem.

## „Cierpienia młodych ośmiorniczek"

*Z wielkim zażenowaniem przeczytałem ostatni felieton red. Tomasza P. Terlikowskiego („Do Rzeczy" 50/2017). Zupełnie nie jestem w stanie zrozumieć krytyki i oburzenia redaktora na propozycję Pani Marty Kaczyńskiej większego uwrażliwienia w szkole dzieci na los zwierząt i sposób ich traktowania. W pełni zgadzam się ze zdaniem Pani Marty Kaczyńskiej. Cóż złego jest w uznaniu, że zwierzęta to nie maszyny, odczuwają lęk, strach, ból, że zadawanie im cierpienia jest czymś złym? Uważam wręcz, że empatia dla zwierząt może nieść wiele dobrego w naszym stosunku do ludzi. Można, tak jak red. Terlikowski, traktować zwierzęta przedmiotowo, ale, idąc jego tokiem myślenia, może to być pierwszy krok w przedmiotowym traktowaniu ludzi. Można też posuwać się do absurdu, tak jak Pan redaktor, i twierdzić, że uwrażliwienie na los zwierząt prowadzi prosto do lewackich zboczeń i „szowinizmu gatunkowego" – odwracając tok myślenia, uznać, że prawdziwy katolik jest za mordowaniem zwierząt i zadawaniem im cierpienia, bo nic nie czują. Jednak gdzie tu miejsce dla Świętego Franciszka? A co do życia wewnętrznego i lęków egzystencjalnych zwierząt – jestem pewien, że mój pies je posiada, a co do Pana redaktora mam wątpliwości.*

***Stały czytelnik***
***Maciej Pawełczyk***

## Od autora:

Wzrusza mnie zawsze głęboka empatia i miłość do ludzi obrońców zwierząt. Zawsze od nich słyszę, że oni – dzięki miłości do zwierząt – nauczyli się godnego traktowania ludzi, ale w ogromnej większości ich teksty i tezy dowodzą czego innego. Nie inaczej jest i z tym listem. Pan Maciej tak głęboko przejął się zwierzętami, że przypisuje im życie wewnętrzne, a mnie go odmawia. Rozumiem, że psa łatwiej przekonać do swojego zdania niż człowieka, ale nie jest to jeszcze dowód na to, iż ma on głębokie życie wewnętrzne.

Empatia pana Macieja sięga jeszcze dalej i w związku z tym przypisuje mi on poglądy, których nigdzie nie wygłosiłem. Nie ma bowiem w moim tekście ani słowa o tym, że zwierzęta są maszynami, czy tezy, że nie odczuwają bólu czy strachu. Jest natomiast przekonanie, że człowiek ze względu na swoją naturę odczuwa je inaczej i że tylko w jego przypadku można mówić o prawdziwym cierpieniu, życiu wewnętrznym itd. Jeśli odrzucimy to przekonanie, to w istocie musimy pożegnać się ze stanowiskiem, że człowiek czymkolwiek się różni od zwierząt. A jeśli się nie różni, to szowinizm gatunkowy jest taką samą zbrodnią jak rasizm.

Mam też gorącą prośbę do obrońców zwierząt, by przestali już szafować nieustannie imieniem św. Franciszka. Tak się bowiem składa, że trudno u niego znaleźć choćby podstawy do uważania go za obrońcę zwierząt. On wielbił Stwórcę w stworzeniu, a nie zwierzęta. A do tego nie brak świętych (by wymienić tylko św. Stanisława Papczyńskiego), którzy gdy widzieli ludzi traktujących zwierzęta jak osoby, a czasem lepiej, to kazali zwierzętom zdychać… Bo wiedzieli, że antropomorfizowanie zwierząt nie służy ludziom. Jest bowiem fałszem teza, że nasz stosunek do zwierząt jest miarą stosunku do ludzi. Zwierzęta są o wiele prostsze w obsłudze i niekiedy wybieramy je, bo łatwiej sobie z nimi poradzić niż z ludźmi. Nie zawsze, nie wszędzie, ale i tak bywa.

Nie, nie oznacza to, że ze zwierzętami można zrobić wszystko. Nie można, ale nie dlatego, że są one naszymi braćmi (bardzo lubiłem swoje koty, ale nie były one moją rodziną ani moimi braćmi), a dlatego, że bezmyślne okrucieństwo narusza naszą, a nie ich godność.

***Tomasz P. Terlikowski***

## Kolędy Pospieszalskich

PATRONAT DO RZECZY

Koncertem adwentowo-pastorałkowym w warszawskiej katedrze św. Floriana 17 grudnia rodzina Pospieszalskich rozpoczyna trasę koncertową rozciągniętą od Bałtyku do Tatr i od Francji oraz Anglii do Białorusi, Litwy i Łotwy.

Piętnaścioro wszechstronnych, świetnie wykształconych muzyków noszących nazwisko Pospieszalskich zaprezentuje błyskotliwe aranżacje, czasem nadające znanym utworom niespodziewane oblicze.

Kolędowanie Pospieszalskich to wielkie święto dla miłośników tradycji oraz koneserów muzycznych. ***(a)***

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
*tel.:* +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
*e-mail:* listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępcy redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz**
Z ZESPOŁEM:
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
**Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz**
Stali współpracownicy i felietoniści:
**Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Katarzyna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Paweł Wawrzyński, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**
DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac, Mateusz Maranowski** (także Polskie Radio), **Jan Fiedorczuk**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**
Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia), **Wojciech Niedzielko** (grafik prowadzący), **Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa, Mirosław Owczarek**
Okładka: **fot. Universal History Archive/Getty Images**
**„Adoracja Trzech Króli" Hugo Van Der Goes (1435–1482)**
WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
*tel.:* +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

FIRMA RODZINNA

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
**Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki**
BIURO REKLAMY: **Michał Staszewski** (kierownik marketingu i sprzedaży)
reklama@dorzeczy.pl;
tel. + 48 692 46 40 80
PUBLIC RELATIONS: **Anna Pawłowska-Pojawa** (PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
**Adam Borzęcki** (kolportaż);
**Aneta Suchta** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10
**ISSN 2299-8500**
**Nr indeksu 288829**
**Nakład 100 tys. egzemplarzy**

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA:
**Prenumerata realizowana przez RUCH SA:**
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© Ⓟ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



eprasa.pl 4eef091ca4


Spokojnych i pełnych rodzinnego ciepła
Świąt Bożego Narodzenia oraz wielu
sukcesów osobistych i zawodowych
w Nowym Roku
życzy
PGNiG
partner akcji
„Bożonarodzeniowa Choinka
dla Papieża"



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

# Powiew optymizmu

Ukraińsko-polski dialog historyczny od wiosny wszedł w fazę lodowatą. I komentatorzy zaczęli już wątpić, czy dojdzie do planowanej na grudzień wizyty Andrzeja Dudy w Charkowie. Prezydent zacisnął zęby i do Charkowa jednak pojechał. I chyba było warto.

Rozmowa z prezydentem Poroszenką trwała dłużej, niż przewidywano, i kwestie historyczne zajmowały w niej sporo miejsca.

Konkret to deklaracja powołania polsko-ukraińskiej komisji do spraw dialogu historycznego pod patronatem wicepremierów obu państw.

Dzisiaj są trzy takie komisje. Pierwsza to Polsko-Ukraińskie Forum Partnerstwa pod patronatem MSZ, dalej komisja historyczna polskiego IPN i Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej i wreszcie komisja ministerstw kultury obu krajów – organy te mają koordynować prace restytucji dóbr kultury znajdujących się na terenach obu państw.

Najważniejsza z nich – komisja obu instytutów pamięci – znalazła się w kryzysie. Teraz, jak można rozumieć inicjatywę Petra Poroszenki, na czoło wysunąć ma się wiodąca nowa komisja powołana na szczeblu wicepremierów – Piotra Glińskiego i Pawła Rozenki.

To dobre rozwiązanie, jeśli rozładuje chaos. Ponadto Wjatrowycz, szef ukraińskiego IPN, wiodąca dotąd postać rozmów, nie jest politykiem i lekceważył znaczenie prac komisji dla całości stosunków polsko-ukraińskich.

Andrzej Duda podkreślał, że komisja powinna poprzedzać ekshumacje i uwiecznianie pewnych wydarzeń poprzez budowę nowych pomników staranną debatą z obu stron. Szczególnie w przypadkach, „kiedy takie uwiecznianie fałszuje historię i tworzy fakty, których nie było w historii, ponieważ nie było badań i nie ustalono prawdy historycznej". Te ostatnie słowa prezydenta można było odnieść do niedawnego odsłonięcia ukraińskiego pomnika na Przełęczy Wereckiej w Karpatach. Wicepremier Ukrainy Iwanna Kłympusz-Cyncadze dedykowała go pamięci ofiar polskich mordów na ukraińskich strzelcach siczowych – organizacji zbrojnej, która w marcu 1939 r. próbowała stworzyć państwo ukraińskie na terenie dawnego czechosłowackiego Zakarpacia (zajmowała je armia węgierska). Według twierdzeń niektórych historyków ukraińskich strzelcy siczowi wyłapywani przez Węgrów byli wydawani polskiemu KOP i mordowani na miejscu. Strona polska protestuje przeciw takim oskarżeniom, uznając je za próbę stworzenie czegoś w rodzaju kontr-Wołynia.

Poroszenko pytany o swój stosunek do Stepana Bandery podkreślił, że odegrał on ważną rolę w historii walki wyzwoleńczej Ukrainy, ale jednocześnie zgodził się, iż jego postać powinna być przedmiotem dialogu historyków. Wydaje się, że znów ruszą polskie ekshumacje na terenie Ukrainy. Jak na dość sceptyczne nastroje polskiej delegacji przed wizytą w Charkowie widoczny jest pewien postęp.

Prezydent Poroszenko chyba już zrozumiał, że od problemu nie ucieknie. Teraz warto śledzić, jaki kształt będzie miała ta nowa komisja na szczeblu wicepremierów. Wyszliśmy z klinczu – to już dużo. Na optymizm jednak jeszcze za wcześnie. ©℗



FOT. PAOLO TOSTI/AFP/EAST NEWS



FOT. ALESSANDRO BIANCHI/REUTERS/FORUM

## NIEZWYKŁE CHOINKI

Ponad 460 światełek ułożonych w kształcie drzewka na południowym zboczu Monte Ingino we włoskim mieście Gubbio tworzy największą na świecie „choinkę". Do ich połączenia użyto 8,5 tys. m kabla. Choinka jest widoczna z kosmosu, a lampki zapalił w tym roku astronauta Paolo Nespoli. We wcześniejszych latach lampki odpalali m.in. papieże: Benedykt XVI oraz Franciszek. Ojciec Święty w tym roku może z kolei podziwiać choinkę z Mazur. Mierzący 25 m świerk, który stanął na pl. św. Piotra, przyjechał z Puszczy Rominckiej. To drugie drzewko z Polski. Dwie dekady temu do Watykanu trafił świerk z Zakopanego. ***(jap)***



eprasa.pl 4eef091ca4



# SZTUKA WSPIERANIA KULTURY

## INSPIRUJEMY DO ROZWOJU

Grupa LOTOS – Sponsor Koncertu

*Gintrowski*
a jednak coś po nas zostanie...

www.lotos.pl

LOTOS

eprasa.pl/4eef091ca4



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

# Tusk (na)(za)wrócony

Prędzej by się człowiek spodziewał, że mu na głowę spadnie martwy pingwin niż „newsa" o konflikcie Donalda Tuska z eurokracją. Jednak do konfliktu rzeczywiście doszło. Kilku wysokich przedstawicieli unijnej biurokracji, a w ślad za nimi strzegące europoprawności media, skrytykowało Tuska za – streszczając – stwierdzenie, że „relokacja" imigrantów się nie powiodła i że w ogóle jest chybionym pomysłem, którego nie należy forsować na siłę, tylko wymyślić coś rozsądniejszego. Zostało to uznane za podważanie unijnych wartości i cios w jednomyślność, właśnie w chwili, gdy jednomyślność jest Europie szczególnie potrzebna.

Tusk wrogiem europejskich wartości i jednomyślności? W kominie zapisać. Czyżby to jakiś cudowny „efekt Morawieckiego"? Czyżby Tusk postanowił zapisać się do PiS? Czyżby nagle doznał olśnienia i zrozumiał całą marność polityki, której służy?

Jak pisał Bułhakow – „czego nie wiemy, tego nie wiemy". Jednak podstawową rzecz widzimy: Tusk wygłosił tezę oczywistą, zdroworozsądkową. A eurokraci zareagowali tak, jak zapewne zareagowaliby towarzysze Susłow, Czernienko i Greczko, gdyby za ich czasów ktoś z aparatu KPZR ośmielił się zauważyć, że komunizm się wali i zaraz zawali. Osobiście nie odbieram głosu Tuska jako krytyki „europejskich wartości", cokolwiek to znaczy – po prostu były premier Polski jest dość bystry, by zauważyć, że wózek, do którego wsiadł, jest przez starych, kompletnie odrealnionych euroaparatczyków prowadzony w przepaść. Że jeszcze trochę takiej polityki, a następne eurowybory przyniosą obecnym elitom Unii katastrofę.

I – w interesie własnym, ale też całej eurokracji – próbuje to towarzyszom wyperswadować. Bądźmy spokojni – nie uda mu się. ©℗


**„Do Rzeczy" poleca:**




Premiera najnowszej książki **Rafała A. Ziemkiewicza**. Od 27 grudnia szukaj noworocznego wydania „Do Rzeczy" z książką **„Sanacja czy demokracja"** w promocyjnej cenie.




WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

# Do przerwy 0:3

To miała być mistrzowska zagrywka. Jeden zwód, drugi zwód, minięcie Beaty Szydło, zostawienie Kaczyńskiego na pozycji spalonej, przejęcie piłki i błyskawiczna kontra ciepło przyjęta przez publiczność. Tak mniej więcej wyglądały prowadzone przez wiele tygodni zakulisowe podchody w obozie Zjednoczonej Prawicy, w których wicepremier Gowin i jego stronnicy mieli intensywnie przekonywać do konieczności zastąpienia na fotelu premiera Szydło przez lidera PiS.

Pomysł niezły: ewentualny konflikt w koalicyjnym rządzie powodowałby, że Kaczyński ze stojącego z boku „prezesa drużyny" stałby się istotnym uczestnikiem wewnętrznego sporu. To w efekcie osłabiłoby jego pozycję, zapewne odbiłoby się też na poparciu dla PiS i stworzyłoby przestrzeń dla „rozsądnej centroprawicowej" partii, którą Gowin od pewnego czasu, bez widocznego efektu, próbuje zbudować. Let the dream come true.

Jak się okazało po rekonstrukcji – gorzej z realizacją. Kaczyńskiemu udało się nie tylko wzmocnić swoją pozycję „prezesa drużyny", lecz także sadzając na fotelu premiera Mateusza Morawieckiego, wyciągnąć ręce po potencjalnie Gowinowy elektorat centrum. Być może – biorąc pod uwagę deklaracje Morawieckiego, takie jak: równouprawnienie, walka z przemocą domową, czyli kwestie będące dotąd domeną lewicy – także po wyborców centrolewicy. W cichym pojedynku rozgrywanym na boisku dobrej zmiany lider PiS odebrał piłkę Gowinowi i wpakował mu ją do bramki. To już hat trick, bo Kaczyńskiemu udało się też, sięgając po część środowiska republikanów, ograniczyć potencjał nowej partii Gowina i przynajmniej na razie przystopować marzenia o budowie „bloku prezydenckiego". ©℗



eprasa.pl 4eef091ca4



NIECH MAGICZNA MOC
WIGILIJNEGO WIECZORU
PRZYNIESIE WAM
SPOKÓJ I RADOŚĆ.
NIECH KAŻDA CHWILA ŚWIĄT
BOŻEGO NARODZENIA ŻYJE
WŁASNYM PIĘKNEM, A NOWY
ROK OBDARUJE WAS
POMYŚLNOŚCIĄ I SZCZĘŚCIEM.
NAJPIĘKNIEJSZYCH ŚWIĄT
BOŻEGO NARODZENIA

ŻYCZY getback



eprasa.pl 4eef091ca4



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

# Gorący kartofel dla premiera?

Wolność słowa jest jednym z najważniejszych praw w demokracji. Każde jej ograniczenie powinno być ostatecznością, a ponadto należy je wyjątkowo dobrze umotywować. Szczególnie ostrożnie powinien w tych sprawach postępować PiS, któremu usiłuje się przypinać łatkę partii autorytarnej, a tym bardziej w sprawach dotyczących mediów wobec władzy krytycznych. Można by rzec, że – paradoksalnie – im powinno być wolno nawet więcej. Dla dobra wolności słowa. Z tego punktu widzenia kara nałożona na TVN przez Krajową Radę Radiofonii i Telewizji jest strzałem w stopę, ale też tworzy bardzo groźny precedens.

**To nie są twarde fakty, ale subiektywne oceny autorów opinii dla KRRiT oraz jej członków**

Nie ma tu znaczenia jej wysokość. Ważne, że wymierzono ją na podstawie bardzo mgliście sformułowanego artykułu ustawy o KRRiT. Ujawnione po paru dniach szczegółowe uzasadnienie decyzji rady nie przekonuje. Nikt chyba – z redaktorami TVN na czele – nie ma wątpliwości, że przekaz tej stacji jest stronniczy, skierowany przeciwko rządowi PiS, i taki też był podczas wydarzeń, które jedni nazywają próbą puczu, a drudzy ciamajdanem. Jednak w żadnym miejscu uzasadnienia nie pojawia się przykład tego, co ostatecznie można by uznać za wyraźne i jednoznaczne złamanie prawa przez samą stację – czyli np. wezwanie: „Atakujmy policję pod Sejmem". Ocena stronniczości przekazu, doboru gości (za których słowa stacja przecież nie odpowiada), emocjonalności relacji – wszystko to nie są twarde fakty, ale subiektywne oceny autorów opinii dla KRRiT oraz jej członków.

I tu wkraczamy na grząski grunt. Gdyby bowiem przeanalizować przekaz choćby telewizji Republika z niektórych wydarzeń antyrządowych za czasów PO, z pewnością można by zastosować podobną argumentację. Ba, można ją nawet dziś zastosować wobec części mediów sprzyjających władzy. Czy naprawdę o tym, czy medium właściwie się zachowuje, mają decydować uznaniowo członkowie organu z politycznej nominacji?

Twardy elektorat PiS jest oczywiście zachwycony, ale ta część wyborców z reguły nie umie wyjść poza wąską logikę odwetu. Natomiast dla nowego premiera decyzja KRRiT to spory kłopot wizerunkowy. Tak duży, że można mieć poważne podejrzenie, iż nie jest to zwykły i niestety częsty w ciągu ostatnich dwóch lat przykład nadgorliwości, ale gorący kartofel, podrzucony nie przypadkiem nowemu szefowi rządu. ©℗



MIĘDZY TWEETAMI

*Marcin Makowski*

# Ciemno wszędzie, głucho wszędzie

***Wymiana premiera, zaprzysiężenie starego-nowego rządu.*** Wreszcie sondaż, który dał prawicy 50 proc. poparcia. Ile emocji można zmieścić w jednym tygodniu? Czytając tweety części polskiej opozycji, można odnieść wrażenie, że ich poziom osiągnął właśnie masę krytyczną.

***A gdy puszczają hamulce,*** zaczynają spadać maski. Znana z bojowego feminizmu Eliza Michalik, kobietę premiera nazwała zderzakiem do brudnej roboty, którym „w sensie politycznym wytarto sobie buty". A Radosław Sikorski nazwał Beatę Szydło wrednym babsztylem.

***Wszystko przebił dziennikarz „Newsweeka" Dariusz Ćwiklak,*** który umieścił zdjęcie zatrzymywanej autorki biografii Gombrowicza, którą PiS-owska policja „rzuciła na chodnik". Zarówno w jego tweecie, jak i w angielskiej wersji Bartosza Wielińskiego z „Wyborczej" dowiedzieliśmy się wszystkiego o „wschodzącej gwieździe polskiej literatury", tylko nie tego, że kobietę zatrzymano za rzucanie jajkami w kolumnę rządową.

***To krótkie zestawienie*** nie odda jednak prawdziwych kasandrycznych wizji, które układamy w wiersz składający się z wpisów Tomasza Lisa, Przemysława Szubartowicza, Bartosza Wielińskiego, Adama Mazguły, Waldemara Kuczyńskiego czy Jarosława Kurskiego:

***Mrok nad Polską,*** w świetle niemal bezszelestnej zgody na dyktaturę i zamordyzm.
***To bucior władzy*** i wbita w chodnik subtelna twarz dzielnej dziewczyny – jedno z bardzo licznych objawień ZŁA, które ogarnia Polskę od dwóch lat.
***Sejm klepie rząd,*** Senat dobija sądy, policja taranuje protestujących samochodem!!! #ZOMO!!!
***Duszno***.
***Pracowałem w nocy, dopiero się ocknąłem.*** Sny były ponure, źle wróżące.

Niestraszna mi pięćdziesiątka ani w sondażu, ani w PESEL-u, ani w kieliszku. Ale boję się o Polskę.

Znowu 13 grudnia, też nie ma „Teleranka" i pełzający stan wojenny trwa.
***Potężna smuga cienia*** nad Ojczyzną. ©℗



eprasa.pl 4eef091ca4

# Premier: dla wszystkich starczy miejsca

Mateusz Morawiecki, który objął stanowisko premiera rządu po Beacie Szydło, w ubiegłym tygodniu przedstawił w Sejmie swoją wizję rządów w exposé.

– Myślą przewodnią, która przyświeca mi przy wszystkich działaniach, taką naczelną ideą i dewizą jest zawołanie Wyspiańskiego: „Polska to wielka rzecz". Tak, proszę państwa, Polska to wielka rzecz – powiedział w Sejmie nowy premier. I podkreślał, że rząd oraz premier mają służyć całej ojczyźnie, jej każdemu obywatelowi. – Dla wszystkich starczy miejsca. Polska jest jedna. Rzeczpospolita jest dobrem wspólnym. Dobrem wspólnym wszystkich obywateli – podkreślał.

W swoim wystąpieniu Mateusz Morawiecki wiele miejsca poświęcił przypominaniu o wadze tożsamości narodowej i polskim wkładzie w walkę o wolność oraz sprawiedliwość na świecie. Oprócz troski o krzewienie historii i upamiętnianie bohaterów premier zapowiedział też projekt odbudowania tego, „co straciliśmy w wyniku zaborów, w wyniku wojen, w wyniku komunizmu". – Teraz mamy w rękach unikalną szansę i nie możemy jej zmarnować. Dlatego właśnie polska polityka musi być ambitna. Dryfowanie czy płynięcie z prądem to nie jest nasze DNA – podkreślał w exposé.

Jaki pomysł na szybki rozwój kraju ma nowy premier?



FOT. STANISŁAW KOWALCZUK/EAST NEWS

Morawiecki chce utworzenia Centrum Analiz Strategicznych, które ma pomóc w podejmowaniu decyzji dotyczących długofalowych przedsięwzięć.

Przy okazji zapowiedział też powstrzymanie tworzenia rozbudowanego prawa i podjęcie próby uczynienia z Polski centrum logistycznego Europy. Zdaniem Morawieckiego należy też wziąć udział w rewolucji technologicznej. I polityka gospodarcza zdecyduje, czy za dekadę nasz kraj będzie producentem wysokich technologii czy jedynie rynkiem zbytu dla zagranicznych firm.

Czterema jeźdźcami Apokalipsy Morawiecki określił cztery problemy polskiego życia społecznego: biedę, bezrobocie, brak mieszkań i cywilizacyjne zapóźnienie w służbie zdrowia. I zauważył, że z dwoma pierwszymi rządy Zjednoczonej Prawicy już się uporały. A z kolejnymi jego rząd będzie się mierzył.

Premier powołał do rządu dotychczasowych ministrów i Beatę Szydło jako wicepremiera. W styczniu spodziewana jest jednak rekonstrukcja gabinetu, która może być głęboka. ©℗

***Łukasz Zboralski***

# Skandal z caracalami

We Francji ponad połowa samolotów i śmigłowców jest uziemiona, ponieważ ich naprawy są za drogie – podał w połowie grudnia portal La Tribune. Na lotniskach rdzewieje też mniej więcej trzy czwarte caracali – czyli śmigłowców, które o mały włos trafiłyby do Polski.

Szefowa resortu obrony Florence Parly przyznała, że odsetek samolotów i śmigłowców zdolnych do wyruszenia na misję spadł z 55 proc. w roku 2000 do 44 proc. obecnie. Według portalu La Tribune koszt godziny lotu śmigłowca Caracal praktycznie się podwoił z 19 tys. euro w 2012 r. do 34 tys. euro



FOT. AIRBUS

w zeszłym roku. Wydatki na obsługę powiększyły się więc aż o 81 proc.

Polska miała kupić 50 śmigłowców za ponad 13 mld zł. W 2016 r. rząd PiS zdecydował jednak o zerwaniu rozmów w sprawie tego kontraktu. ***(jap)*** ©℗

# OPINIOTWÓRCZE „DO RZECZY"

Według najnowszego badania Instytutu Monitorowania Mediów nasz tygodnik znalazł się wśród najbardziej opiniotwórczych mediów w listopadzie. W rankingu tygodników oraz dwutygodników „Do Rzeczy" zajęło drugie miejsce (137 cytowań), przed „Newsweekiem", „Gazetą Polską" oraz „Wprost", za „Sieci".

Ogólnie wśród najbardziej opiniotwórczych mediów w Polsce najwyżej w rankingu znalazły się RMF FM, Radio Zet oraz „Rzeczpospolita". Badanie przeprowadzono na podstawie 6579 przekazów z mediów. W pierwszej piątce znalazły się jeszcze „Gazeta Wyborcza" oraz TVN24. ***(jap)*** ©℗



eprasa.pl 4eef091ca4

PATRONAT DO RZECZY



Od lewej: Katarzyna Gintrowska, prezes Fundacji im. Przemysława Gintrowskiego; poeta i pisarz Remigiusz Grzela oraz Ewa Błaszczyk, tegoroczna laureatka nagrody

FOT. RADOSŁAW NAWROCKI/PMPG POLSKIE MEDIA SA

# Za wolność w kulturze

**Ewa Błaszczyk, aktorka, założycielka fundacji Akogo?, twórczyni kliniki neurorehabilitacyjnej Budzik, została tegoroczną laureatką Nagrody im. Przemysława Gintrowskiego**

Artysta wolny często poddawany jest upokorzeniom, bo jego osobność, do której nie sposób przypiąć etykiety, dla wielu nie jest zrozumiała. Ale tylko artysta naprawdę wolny bierze na siebie odpowiedzialność za humanizm, za kreowanie świata wartości, może nawet ma siłę zmieniania świata, rzeczywistości, w jakiej żyje" – mówił poeta i pisarz Remigiusz Grzela podczas laudacji na cześć laureatki Nagrody za Wolność w Kulturze im. Przemysława Gintrowskiego. „Jedna z najwybitniejszych aktorek i interpretatorek piosenki, reżyserka, od lat nie ustaje w tym wysiłku odmieniania świata, zgłębiania tajemnicy ludzkiej duszy, ale i tajemnicy człowieka zatrzaśniętego w więzieniu własnego mózgu. I choć nie jest lekarką ani naukowcem, potrafi zebrać takie gremium geniuszy, które w takich wysiłkach nie ustaje, tym samym nie tylko dając nadzieję bliskim osób, które nie potrafią same wrócić do naszego świata, ale i uświadamiając społeczeństwu, że jest też świat, do którego nie mamy dostępu. Że tam jest świat, a nie nic. Tylko wejść tam nie można" – mówił o Ewie Błaszczyk.

Laureatka w swoim wystąpieniu mówiła przede wszystkim o patronie wyróżnienia, Przemysławie Gintrowskim, zmarłym w 2012 r. kompozytorze i bardzie, którego znała osobiście. – Dziękuję Przemkowi, że był naszym przyjacielem, że mogliśmy sobie razem gotować, pić wieczorami wino, wściekać się, kląć, śmiać, że wszystko było bardzo szczere. Dziękuję za to jego rodzinie, że jestem tu z wami – powiedziała Ewa Błaszczyk.

– Nagroda za Wolność w Kulturze im. Przemysława Gintrowskiego jest dla tych, których wewnętrzny kompas zawsze wskazuje kierunek „wolność". Których kręgosłup moralny nie ugina się wobec przeciwności. Którzy nie idą na kompromisy – ani artystyczne, ani życiowe – powiedziała Katarzyna Gintrowska, prezes Fundacji im. Przemysława Gintrowskiego.

Wręczenie nagrody było połączone z koncertem „Gintrowski – a jednak coś po nas zostanie", który zdominowały przejmujące utwory z okresu stanu wojennego, przede wszystkim autorstwa duetu Jacek Kaczmarski – Przemysław Gintrowski. W Teatrze Polskim w Warszawie wybrzmiały „Mury" w operowym wykonaniu Adama Szerszenia i Rafała Bartmińskiego, śpiewaków Teatru Wielkiego – Opery Narodowej. Nie zabrakło rockowego pazura we „Wróżbach" (Paweł Kukiz) czy „Autoportrecie Witkacego" (Muniek Staszczyk), ale też liryzmu we wzruszającej „Kantyczce z lotu ptaka" (Ola Gintrowska) czy „Pieśni o śnie" (Mietek Szcześniak i Ola Gintrowska). Brawurowe interpretacje „Psalmu o nożu" i „Balu u Pana Boga" zaprezentowała Renata Przemyk. W koncercie wystąpiła też córka Przemysława Gintrowskiego, Julia („Pani Bovary"), oraz Edyta Geppert („Maj za majem"), Krzysztof Kiljański („Posiłek") i Grażyna Szapołowska („Jesteśmy" w duecie z Krzysztofem Kiljańskim).

Atmosfera koncertu przypomniała, jak wielkie emocje budziła muzyka, przesłanie Przemysława Gintrowskiego. Emocje do dziś żywe. „W noc stanu wojennego, w atmosferze tamtych czasów, wyśpiewane, a chwilami wykrzyczane, przesłanie z wierszy Herberta było dla nas, studentów, czymś niezwykłym. Było to jak nowa religia, nakaz, jak żyć, aby być sobą, człowiekiem, patriotą. Splot śpiewanej poezji i naszych młodzieńczych ideałów był silniejszy od narkotyku. Może dlatego nigdy nie próbowałem, jak to jest po ich zażyciu. Wystarczał Gintrowski" – cytowała list nadesłany do fundacji jej prezes. I zapowiedziała, że przyszłoroczny koncert – w Roku Herberta – będzie celebrowaniem tego wyjątkowego połączenia: genialnej poezji Zbigniewa Herberta i nadającej jego słowom nowe życie muzyki Gintrowskiego.

Koncert zorganizowała Fundacja im. Przemysława Gintrowskiego wraz ze współorganizatorami: Filmoteką Narodową – Instytutem Audiowizualnym, Instytutem Pamięci Narodowej i PMPG Polskie Media. ©℗ ***oprac. rw***



eprasa.pl 4eef091ca4



*Ciepłych i rodzinnych Świąt Bożego Narodzenia*
*oraz samych sukcesów w nadchodzącym Nowym Roku*
*życzą*
*Zarząd, Rada Nadzorcza i Pracownicy Cedrob S.A.*

CEDROB

eprasa.pl 4eef091ca4



# MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z

Kochani, to nie pierwsze Winter Holidays, na które przygotowujemy dla Was specjalny poradnik mający pomóc Wam dowiedzieć się tego, co należy myśleć. Tym razem jednak okoliczności są szczególne: przez ten kraj przechodzi fala nacjonalizmów i radykalizmów, opozycja jest pozbawiona środków do życia, a dyktator Kaczafi nienawistnie przegląda sobie atlas osobokotów. W tej sytuacji widzimy przed nami wszystkimi kolejne wyzwania, a polem naszej walki o postęp nie będą tylko fora na necie, lecz także rodzinne domy, w których w imię lepszego jutra należy się zmierzyć z babcią dokładającą sałatki jarzynowej. Zapraszamy więc do lektury naszego poradnika, w którym wskazujemy, jak nudną tradycję przemienić w kolorową nowoczesność.

***CHOINKA*** – co roku w okolicach Winter Holidays trwa prawdziwy pogrom młodych osobodrzewek, wycinanych bezlitośnie z naturalnego środowiska i następnie ustawianych gdzieś między meblościanką a telewizorem w przeciętnym januszowym mieszkaniu w bloku z wielkiej płyty. Jak ratować choinki? Najlepiej własnym, zdecydowanym przykładem. W ramach protestu nie przykuwajcie się jednak do choinki we własnym domu – rodzina może udawać, że tego nie widzi, i cieszyć się, że macie jakieś inne zajęcie niż dyskusje o polityce. Lepiej sami zajmijcie centralne miejsce w mieszkaniu, obwieście się bombkami, łańcuchami i światełkami, aby w milczącym proteście zwrócić uwagę na dyskryminację świerka i jodły. PROTIP: postarajcie się w jakiś sposób to ukradkiem nagrać, od razu będzie szansa na udany debiut w sztukach audiowizualnych i może uda się zrobić jakąś dekonstruktywną wystawę w MOCAK-u.

***KOLĘDY*** – pewnie wy też macie ten wstydliwy problem, iż kiedy rodzina zaczyna śpiewać „Wśród nocnej ciszy", to orientujecie się, że też śpiewacie dopiero gdzieś w okolicach „Poszli, znaleźli Dzieciątko w żłobie"? Tak, kochani, z powodu kulturowej opresji i wychowania w nieświeckim duchu katofashystoffskim każdy z nas ma na poziomie podświadomości zakodowane teksty kolęd śpiewanych w tenkrajowych domach od Szczecina do Krosna. Pomyślcie teraz, jak fajnie by było, gdyby teksty kolęd były nieco bardziej otwarte na różnorodne kultury, wierzenia i punkty widzenia. A gdyby jeszcze ułożyć do nich jakiś fajny podkład z dobrym bitem, to już w ogóle mielibyśmy do czynienia z dziełami, które nie wstyd zanucić w kolejce po poranne latte w Starbuniu, a następnie wymienić się porozumiewawczymi spojrzeniami z hipsterem-baristą.

***OPŁATEK*** – kulminacyjny moment wieczoru wigilijnego, kiedy dzielenie Polaków zostaje przeniesione z polityki do domów i następuje tam dzielenie




się opłatkiem. To arcypolska tradycja zakładająca wzmożenie podziałów. W dodatku opłatek zawiera szkodliwy gluten, więc nie możemy go zjeść, iżby nie stracić twarzy przed frendami z kolektywu, iż w kolektywie co prawda tolerujemy gluten (bo nietolerancja to nie jest coś, na co moglibyśmy się zgodzić), ale go nie zjadamy, ponieważ uważamy, iż tak jest właściwie. Marzy nam się więc wieczór wigilijny, podczas którego moglibyśmy się podzielić – tak sobie fantazjujemy – grillowanym tofu, chipsami z jarmużu albo chociaż zwyczajną roszponką.

***PORZĄDKI I ZAKUPY*** – kochani, jak tak przyglądamy się przedświątecznemu szałowi na zakupy i sprzątanie, to wydaje nam się, iż janusze i grażyny przez cały rok nie robią porządków i zostawiają sobie na czas przed świętami wszystkie drobne domowe porządki, a do tego kładzenie gładzi, wymianę okien i zrywanie podłóg. Albo takie zakupy, iż stoły uginają się od niewegeżarcia. To wszystko of kors wynika z tego, że januszom brakuje wyobraźni i nie są w stanie w swoich schematach myślowych wyjść poza starodawny paradygmat urządzania Winter Holidays w swoich domach. Jakby nie można było wyjść do ludzi, wbić na skłota, ewentualnie wyjechać na egzotyczne wakacje, iżby uciec od tej typowo polskiej, dusznej atmosfery, w jakiej co roku obchodzone są Winter Holidays.

***PREZENTY*** – ktoś kiedyś podobno powiedział, iż nie liczy się sam prezent, ale liczy się gest i to, iż obdarowujący pamiętał. No chyba nie xD Naszym zdaniem prezenty najzwyczajniej na świecie nam się po prostu należą i to, iż dostajemy jakieś premie świąteczne i upominki pod choinką, to naturalna konsekwencja naszego prawa do posiadania prezentów. Ponadto mamy świadomość, iż w niczym nie zmienia to faktu, że prezenty należałoby odpowiednio opodatkować, aby pozyskać środki na walkę z dyskryminacją i mową nienawiści, tak więc powinniśmy dobrowolnie oddać 75 proc. wartości naszych premii i paczek na rzecz organizacji walczącej o prawa środowisk LGBTQWERTY, tropiących rasizm, ksenofobię i przypadki użycia słowa na „p" na fejsbuku.

***RODZINNA ATMOSFERA*** – zjawisko podkreślane na każdym kroku, co jest oczywiście dyskryminujące, iż dlaczego niby tak przez wszystkich uwielbiana rodzinna atmosfera miałaby być lepsza niż atmosfera w związkach partnerskich, związkach poliamorycznych lub atmosfera w modnym lofcie nowoczesnego wielkomiejskiego singla, który nie ma czasu na Winter Holidays, iż grilluje bakłażana i przelicza kalorie w drodze na wieczorny crossfit (którego nie będzie, iż podkarpacie zamyka fitness cluby na Winter Holidays). Założymy się, iż w nowoczesnej Europie nikt się nie ekscytuje tą „rodzinną atmosferą", iż tam już dawno zauważono, że istnieją inne równoprawne, a nawet więcejprawne formy życia. Dlatego możecie powtarzać przy spotkaniu z rodziną, jak bardzo tęsknisz za swoim korpo, frendami z kolektywu i ekipą z crossfitu. Na pewno



eprasa.pl 4eef091ca4

# WIELKICH OŚRODKÓW

dasz im porządnie do zrozumienia, że nie powinni sobie myśleć, iż ta „rodzinna atmosfera" to najlepsze, co mogło cię w tym czasie spotkać!!111

***SAŁATKA JARZYNOWA*** – sztandarowe danie kuchni tego kraju, zasługujące na oddzielną uwagę, którego nie może zabraknąć na żadnej większej imprezie, w tym na winterholidayowym posiedzeniu w gronie osobociotek i osobowujków. Niestety, zamiast topinamburu, batatów i jarmużu w sałatce mieszają się: ziemniaki, marchewka i pietruszka, czyli tradycyjne polskie jarzyny. Odważniejszym proponujemy, iżby pod przykryciem dobrych intencji przygotowali samodzielnie




skomponowaną sałatkę jarzynową na dietetycznym majonezie. Jest szansa, że nikt nie będzie chciał tego ruszyć, wszystko zostanie dla was i nawieziecie sobie w słoikach do wielkiego ośrodka.

***SZOPKA*** – tradycja szczególnie zawłaszczająca przestrzeń publiczną w naszym Krakowie. Niestety, jak to z tradycją bywa, postacie umieszczone w szopce nie odpowiadają duchowi czasu i nie obrazują palących problemów współczesności. Naszym zdaniem aktem cywilnej odwagi w tym kraju byłoby wystawienie takiej szopki, gdzie centralną postacią jest alegoria opozycji ukrywająca się na egzotycznej wyspie przed wrogimi siepaczami reżimu. Wokół niej zostałyby umieszczone płaczące figurki przedstawiające reprezentantów wszystkich obecnie dyskryminowanych w tym kraju mniejszości. Co prawda, nie pozostawiłoby to już zbyt wiele miejsca, ale warto byłoby jeszcze umieścić Angelę Merkel szerokim gestem zapraszającą do tego kraju osobouchodźców, nad całą sceną powinna być rozpostarta szeroko tęcza, a jako postacie negatywne wystąpiliby of kors Kaczafi, Macierewicz i duch polskiego patriotyzmu. A poniżej jako podpis na wstędze jakiś pasek z TVP Info. I takiej szopki nie byłoby wstyd pokazać w Europie.

***ŚNIEG*** – kochani, wszyscy marzą o tzw. białych (czyt. pigmentalnie nieuposażonych) świętach (czyt. Winter Holidays). Takie marzenia w dobie szalejącego nacjonalizmu, fashysmu i radykalizmu są bardzo nieodpowiedzialne. Zwłaszcza w obliczu tego, iż ten kraj nie zechciał przyjmować osobouchodźczyń i osobouchodźców. Nie możemy więc akceptować życzenia tzw. białych świąt, iż jest to pokłosie (nomen omen) obecnej mody na patriotyzm, czyli fashysm. Tymczasem właściwe, poprawne święta powinny przede wszystkim być świeckie i otwarte na różnorodność. Tak aby nikt nie poczuł się niechciany, dyskryminowany i wykluczony.

***WIECZERZA*** – tradycyjnie spożywana w wieczór wigilijny, no ale to jest jakiś przypał, iż ktokolwiek w ogóle jeszcze pamięta, co to słowo znaczy? xD Serio, tak się mówi chyba tylko jeszcze na podkarpaciu, i to jeszcze na takim głębokim, gdzie wciąż nie ma dróg asfaltowych i w chałupach wciąż się zjada tę wieczerzę przy lampie naftowej (swoją drogą na 100 proc. niezgodną z normami unijnymi dotyczącymi bezpieczeństwa, emisji gazów i na pewno czymś tam jeszcze). Musicie jednak być gotowi na to, iż wasze osoby płodzące będą wypatrywać pierwszej gwiazdki, a następnie, kiedy niby już ją zobaczą, zawołają, iż nadszedł czas na wieczerzę i wszyscy mają zasiąść do stołu. Macie wówczas dwa wyjścia: albo się śmiać i mówić: „Beka z ciebie tato jaka wieczerza kto tak w ogóle teraz mówi no na pewno nikt kto ma mniej niż 50 lat xD", albo płakać i myśleć sobie, iż równie dobrze, a nawet lepiej, moglibyście teraz spędzać czas z frendami z kolektywu, z których nikt nie używa słowa „wieczerza", w jakimś sushi barze. ©℗

***FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO***

REKLAMA

1 dzień z ukochaną rodziną? No pewnie!

2 dni z nimi? Nie ma problemu.

3 dni w ich towarzystwie? Ujdzie, ale dobrze byłoby się już wykręcić.

4 dni z tą piekielną gromadką? Jak by tu się wyrwać...?

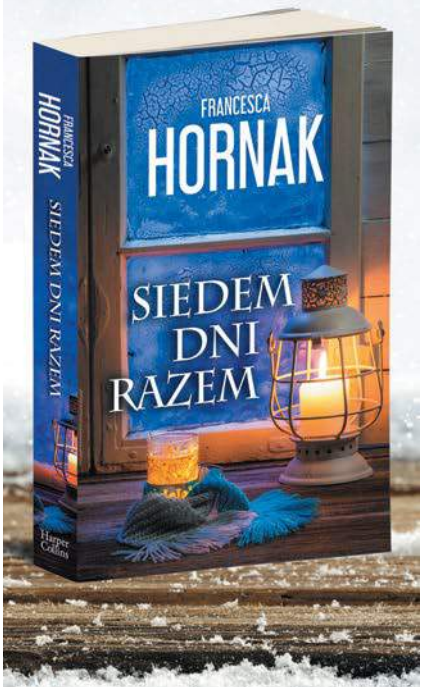
5 dni? NIEEE, dziękuję.

6 dni? A nie mógłbym w tym czasie pochodzić po rozżarzonych węglach?

7 dni? Niewykonalne. NIE MA TAKIEJ OPCJI!!!

A co jeśli zakaźny wirus sprawi, że będziesz musiał przejść przez siedmiodniową kwarantannę z rodziną, choć nie do końca się dogadujecie?

PEŁNA HUMORU POWIEŚĆ W SAM RAZ POD CHOINKĘ




KSIĄŻKA JUŻ W SPRZEDAŻY

HarperCollins



eprasa.pl 4eef091ca4



FOT. PAWEŁ GROMADA

## WYŁĄCZCIE TO NATYCHMIAST!

Zbliżają się święta, więc piosenkarka Ewelina Lisowska została zapytana, czy nie żałuje udziału w najbardziej irytującej reklamie wszech czasów, która przed rokiem zepsuła święta milionom Polaków. Chodzi o reklamę jednej z sieci sklepów ze sprzętem rtv/agd. „Włączamy niskieee cenyyyy" – jakoś tak to leciało. Piosenkarka odpowiedziała, że „pewnie, że nie żałuje", bo nie miała żadnego wpływu na to, jak często reklama będzie emitowana. Jest jednak też inny powód, do którego się szczerze przyznała. – Ja jestem takiego zdania, że lepiej płakać w nowym samochodzie niż pod gołym niebem – stwierdziła. Co prawda, to prawda. Pod warunkiem że samochód nie ma radia, w którym leci ta przeklęta piosenka!

## USTA DLA DOBRA BUDŻETU

Polska Barbie, czyli niejaka Anella, która chwali się tym, ile operacji plastycznych już przeszła, i która ma chyba najbardziej napompowane usta w Polsce, coraz lepiej czuje się w polskim show-biznesie. Podczas niedawnej wizyty w telewizji śniadaniowej pokłóciła się nawet z obecną tam lekarką, chirurgiem plastycznym. Pani doktor stwierdziła bowiem, że „dobrego chirurga poznaje się po tym, kiedy potrafi powiedzieć »nie«". Anella słusznie wzięła te słowa do siebie i mocno się zdenerwowała. – Proszę pomyśleć, że ja jestem lekarzem i bardzo dbam o zdrowie moich pacjentów. Znam powikłania, które mogą się wydarzyć, z których pani nie zdaje sobie sprawy, pacjent sobie nie zdaje sprawy – spokojnie tłumaczyła lekarka. Nie przekonała jednak Anelli, która coraz bardziej się nakręcała. – Aha. Pani wie, że ja sobie nie zdaję sprawy. Pani wie, jakie powikłania mogą czekać, czyli pani jest totalnie wróżką albo psychologiem, a może warto kozetkę założyć – atakowała lekarkę. To nie wszystko! – Pani wypowiadała się, że odesłała pani klientkę, która chciała implant o wielkości 600 ml, ponieważ uważała pani, że 300 ml jest wystarczające. Przez panią te pieniążki nie trafiają do polskiego budżetu, bo te osoby wydają te pieniądze za granicą – oburzała się polska Barbie. Wychodzi na to, że Anella szpeci się tymi operacjami nie tylko dla swego dobra, lecz także w trosce o budżet państwa. Patriotka po prostu.

## JAK ZA DARMO

Ekspert od mody i celebrytka Maja Sablewska została zapytana o to, jak ocenia pracę młodych, popularnych youtuberów, którzy zyskują ogromną popularność dzięki zamieszczaniu filmików w popularnym serwisie. – Z jednej strony mam ogromny szacunek, a z drugiej strony chciałabym, żeby te dzieciaki miały więcej pokory, bo mam wrażenie, że im wszystko tak łatwo przyszło. Ja musiałam całą dekadę pracować, a nie chcę brzydko mówić, bo naprawdę zapierdzielałam, żeby w ogóle utrzymać się w Warszawie. Moja pensja wynosiła 1735 zł, a za mieszkanie płaciłam 1,2 tys., więc naprawdę jestem przyzwyczajona do ciężkiej pracy, a mam wrażenie, że youtuberzy do wielkiego fuksa i szczęścia – powiedziała. Chwilę później rozmowa zeszła na temat mody. – Nie jest trudno kupić torebkę za 10 tys., ale można tę samą torebkę na fajnym portalu znaleźć za połowę ceny i o to chodzi tak naprawdę w modzie – stwierdziła Sablewska. Przy okazji pochwaliła się też własnym strojem. – Mam pasek za 6 tys. – oznajmiła. Zorientowawszy się chyba, jak to zabrzmiało, szybko dodała, że oprócz tego ma też na sobie T-shirt za 29,90 zł z sieciówki. I to niby młodym youtuberom odbija palma?

## SPORT W KORONIE



FOT. KRZYSZTOF KUCZYK/FORUM

Miss Polonia 2017 Agata Biernat po zdobyciu korony stawia swoje pierwsze kroki w show-biznesie: odwiedza programy śniadaniowe, chodzi na pokazy mody i inne eventy. Mówi, że jako gwiazda nie czuje się jeszcze jak ryba w wodzie. – Jest jednak coraz lepiej. To jest moje drugie takie duże wyjście i było lepiej niż przed pierwszym, stresowałam się już mniej – przyznała. Została też zapytana o to, czy ma jakiś konkretny pomysł czy plan na swoją dalszą karierę, czy zamierza podejść do wszystkiego spontanicznie. – Trochę spontanicznie będę reagować, a trochę realizować swoje postanowienia i marzenia – odpowiedziała. I już czekaliśmy, kiedy dopowie, że jednym z nich jest pokój na świecie, ale Agata zaskoczyła nas jeszcze bardziej. – Jestem sportową duszą, mam dużo sportowych marzeń i to był mój cel w tym wszystkim, że jak się już uda zdobyć koronę, to żeby realizować się sportowo – wyznała. Chciała się realizować sportowo, więc zgłosiła się do konkursu piękności. Przecież każdy sportowiec tak robi, prawda? ©℗



eprasa.pl 4eef091ca4




# „Lotteria Świąteczna" LOTTO Bo szczęście chodzi parami!

**24 listopada 2017 r. wystartowała nowa, świąteczna loteria promocyjna organizowana przez Totalizator Sportowy – „Lotteria Świąteczna"**

Aby wziąć udział w „Lotterii Świątecznej", należy w jednym z punktów sprzedaży gier LOTTO kupić parę: Zdrapkę i dowolną grę LOTTO za łączną kwotę min. 5 zł. Wraz z losem i kuponem gracz otrzymuje dodatkowo kupon z unikalnym kodem promocyjnym składającym się z 10 znaków. Aby dowiedzieć się, czy udało się wygrać jedną z 500 kart przedpłaconych o wartości 500 zł, wystarczy porównać otrzymany kod z kodami na materiałach promocyjnych dostępnych w punkcie sprzedaży lub sprawdzić na stronie: www.lotteriaswiateczna.pl.

Jeśli gracz nie znalazł swojego kodu na ulotce, to ma jeszcze szansę na wygraną. Wystarczy, że w czasie trwania promocji zarejestruje kod na stronie: www.lotteriaswiateczna.pl i weźmie udział w losowaniach nagród. Łącznie do wygrania w losowaniach są: 32 karty o wartości 5000 zł, dwie karty o wartości 50 000 zł oraz nagroda główna – karta o wartości 100 000 zł. Zakup Zdrapki i gry EuroJackpot jest specjalnie premiowany. To trzy szanse w losowaniach nagród! Łącznie w czasie trwania loterii do wygrania jest aż 535 kart, a pula nagród wynosi ponad 650 000 zł.

Uczestnik po stwierdzeniu wygrania karty o dowolnej wartości powinien zachować kupon z kodem promocyjnym, który jest dowodem udziału w grze, niezbędnym do pozytywnego przejścia procesu weryfikacji oraz otrzymania nagrody. Karty o wartości 5000 zł i 50 000 zł oraz nagroda główna – karta o wartości 100 000 zł – są odbierane przez zwycięzców z rąk LOTTO Mikołaja, który odwiedzi ich w miejscu zamieszkania.

Szczegóły oraz regulamin loterii promocyjnej dostępne są na stronie: www.lotteriaswiateczna.pl.

Lotteria Świąteczna trwa od 24 listopada do 22 grudnia 2017 r. lub do wyczerpania puli kodów przewidzianych przez Totalizator Sportowy sp. z o.o.

ARTYKUŁ PROMOCYJNY



eprasa.pl 4eef091ca4

# dwaj panowie g

Ponieważ miniony rok był rokiem udanym, a nawet bogatym, postanowiliśmy tym razem na święta zrezygnować z rózg. Wszyscy bohaterowie naszej rubryki dostaną prezenty. Niektórzy nawet całkiem bogate. Poniżej wymieniamy najciekawsze.

***Dla Jarosława Kaczyńskiego*** – książki. Bo jako jeden z niewielu polityków jeszcze czyta. Mamy dla niego kilka tytułów. „Wielki atlas kotów" – bo swój pochopnie oddał na aukcję. I „Wielki atlas dyktatorów" – sami wiecie dlaczego.

***Dla Donalda Tuska*** – dożywotni bilet na metro w Brukseli. To oszczędny człowiek, więc dzięki temu przez kolejne lata będzie jeździł i jeździł, i jeździł po Brukseli, żeby się nie zmarnowało. Zamiast jeździć na przykład po Warszawie albo Trójmieście. I właśnie o to nam chodzi z tym prezentem.

***Dla Mateusza Morawieckiego*** – pogłębiarka. Dzięki temu pożytecznemu urządzeniu zapowiadana rekonstrukturyzacja rządu będzie mogła być naprawdę głęboka. Bo powinna.

***Dla Grześka Schetyny*** – charyzma w kapsułkach. Zażywać trzy razy dziennie po dwie sztuki, popijać obficie wodą. Uwaga! Nie gwarantujemy rezultatów! Człowiek, od którego kupiliśmy medykament, to filipiński felczer. Żaden prawdziwy lekarz nie chciał przepisywać, kiedy usłyszał, dla kogo to prezent. Wszyscy mówili, że i tak nie pomoże.

***Dla prezydenta Andrzeja Sebastiana*** – gumy do żucia w kształcie papierosów. Podwójna korzyść – wspomni dzięki ich cmoktaniu stare, dobre czasy, kiedy jarał fajki. A poza tym będzie miał zaklajstrowane usta, kiedy znów wpadnie mu do głowy tekst w stylu „ubeckie metody".

***Dla Antoniego Macierewicza,*** wielkiego hetmana koronnego – butelka ukraińskiej wódki. Ta, którą podobno dostał kiedyś gen. Kraszewski, co zamieniło go w zdrajcę narodu i rosyjskiego szpiona. Proponujemy spożycie zawartości butelki w towarzystwie gen. Kraszewskiego. W ten sposób zniknie powód odmowy dostępu do tajnych informacji, z którą się spotkał nieszczęsny generał.



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

***Dla gen. Kraszewskiego*** – kąpielówki. Bez wątpienia po spożyciu tej butelki ukraińskiej wódki oraz towarzyszącej temu dyskusji będzie się musiał wraz z wielkim hetmanem koronnym udać na basen i trochę ochłodzić.

***Dla Bełaty Szydło*** – wykwintna i droga broszka. Żeby wreszcie miała coś swojego. Bo o rządzie, jak się okazało, nie można było tego powiedzieć. Podobnie jak o przyjaciołach w PiS.

**To okrutnie zaharowana kobieta, a w domu musi jeszcze szykować obiady. No to niech raz sobie odpocznie**

***Dla Ryśka Petru*** – niewielkie łoże Prokrusta. Żeby mógł złożyć na nim Kaśkę Lubnauer i wymierzyć jej sprawiedliwość. Aha, żeby Rysiek zrozumiał, modyfikujemy trochę opis prezentu: to coś, co przypomina łoże madejowe. A ponieważ nadal nie jesteśmy pewni, czy zrozumie, upraszczamy dalej: takie coś, żeby zrobić krzywdę Kaśce.

***Dla Kaśki Lubnauer*** – pomysł na dofinansowanie Nowoczesnej. Jest taki: trzeba ogłosić akcję: „Kto już nigdy nie chce widzieć Ryśka Petru w telewizorze, niech wpłaci dychę". Efekt murowany. Uwaga! Połowę wpływów trzeba przekazać na łapówkę dla resortowej bejbi Olejnik, bo inaczej nigdy nie przestanie zapraszać Ryśka.

***Dla Kornela Morawieckiego*** – gromada prenumeratorów. Bo trochę jednak nie uchodzi, żeby marszałek senior, Sławny Ojciec Słynnego Premiera, osobiście rozkładał po redakcjach nowe numery „Gazety Obywatelskiej". Chociaż akurat w jego przypadku rozumiemy skłonność do samizdatu i guerilli dystrybucji.

***Dla Pawła Kukiza*** – czternaścioro posłów. Żeby uzupełnić zasoby ludzkie, które stracił od początku kadencji. A dzięki temu prezentowi stan osobowy klubu parlamentarnego Kukiz'15 będzie znowu taki jak zaraz po wyborach.

***Dla Władka Kosiniaka-Kamysza*** – wąsy. Wreszcie będzie miał choć jedną rzecz taką jak Wincenty Witos.

***Dla Waldka Pawlaka*** – Trybunał Stanu. Należy mu się za umowę z Gazpromem.

***Dla Witolda Waszczykowskiego***, naszego ulubionego Srebrnego Lisa Dyplomacji – magnes na lodówkę. Magnes z napisem: „Głupotą jest obrażać się na dziennikarzy – zwłaszcza z rubryki satyrycznej".

***Dla Piotra Glińskiego*** – superprodukcja hollywoodzka o historii Polski, w której rolę Kaczora Dyktatora zagra Mel Gibson. A Piotra Glińskiego na przykład Clint Eastwood.

***Dla Jarosława Gowina*** – jakaś innowacja. Nie wiemy jeszcze jaka. Chcieliśmy wybrać z tych wprowadzonych po roku 2015, ale żadnej nie udało się nam znaleźć.

***Dla Zbyszka Ziobry*** – wszystko, co tylko chce. Bo jednak nierozsądnie zadzierać z ministrem sprawiedliwości i prokuratorem generalnym zarazem.

***Dla Jana Szyszki*** – wiadro pełne żywych karpi. Minister bardzo bowiem lubi osobiście tłuc karpie. Uwaga! Prezent przyjedzie w wiadrze blaszanym, bo drewniany cebrzyk zostałby zeżarty przez wrogie korniki drukarze.


eprasa.pl 4eef091ca4




***Dla Elżbiety Rafalskiej*** – to, co ugotuje na święta minister Szyszko. Na co dzień to okrutnie zaharowana kobieta, a w domu musi jeszcze szykować obiady. No to niech raz sobie odpocznie, a rodzinę pożywi pieczystym oraz smażystym z Szyszkowego stołu.

***Dla Mariusza Błaszczaka*** – czujnik dymu. To nasz wkład w akcję „Czad i ogień – obudź czujność". Czujnik posłuży ministrowi do wykrywania, kiedy będą dymić Obywatele SB vel UBywatele RP.

***Dla Jacka Kurskiego*** – serial. Nie, nie żaden produkowany przez TVP. Jakiś dobry serial.

***Dla Pawła Rabieja*** – mała makieta miasta Warszawy. Do składania. Żeby mógł zostać jej prezydentem, i to bez Rafcia Trzaskowskiego.

***Dla Jana Rulewskiego*** – bilet do muzeum Arkadego Fiedlera w Puszczykowie. Jest tam spory wybór ciekawych masek rytualnych z całego świata. Jak zacznie wypożyczać, to wystarczy mu na wszystkie posiedzenia Senatu do końca kadencji.

***Dla członków KOD i UBywateli RP*** – wielka skarbonka. Taka, żeby zmieściła dwa melony w drobnych. Zbiórka będzie potrzebna na karę KRRiTV dla tefauenów oraz na życie dla Wielkiego Kuca Kijowskiego. Podpowiadamy – pójdzie szybciej, jak Jurek Owsiak wrzuci do skarbonki chociaż jeden złoty melon.

***Dla Radka Sikorskiego i Romana Giertycha*** – prezent w postaci Radka Sikorskiego i Romana Giertycha. Wiemy, że nic nie sprawia im takiej radości jak oni sami.

***Dla Adama Mazguły*** i jego dawniej umundurowanych kolegów – nowa emerytura. Ale nie taka wypasiona jak esbeckie emerytury po obniżce, czyli dwa tysie. Tylko taka, jaką dostają ofiary stanu wojennego – 400, 600, 700 złotych. Gratis dorzucamy namiot polowy LWP do spania na mrozie.

***Dla Tomasza Lisa*** – spluwaczka. Długo szukaliśmy odpowiednio dużej. Ostatecznie zdecydowaliśmy się na stary, nieużywany drobnicowiec. Stoi w gdańskim porcie, więc po drodze Lis będzie mógł też zaprosić na wspólne plucie Lecha Bolka Wałęsę. Stefek Niesiołowski nie musi przyjeżdżać, on jak się w Łodzi do żółci przymierzy, to efekt i do Gdańska doleci.

***Dla pisarza Jacka Dehnela*** – bombowiec nurkujący stukas. Będzie mógł sobie zasiąść za sterami i osobiście zbombardować dowolne miasto borykające się z olbrzymimi problemami – podobnie jak przedwojenna Warszawa – nie czekając, aż zrobią to za niego Niemcy. Mamy nadzieję, że Dehnel rozwiąże w ten sposób ostatecznie problem biedy i prostytucji na świecie. Musi tylko zbombardować odpowiednio wiele miast.

***Dla Klementyny Suchanow*** – koktajle Mołotowa, które jej się śniły. A ponieważ zdaje się nie do końca rozumieć, co jej się śniło, to przynajmniej koktajle Margarita. W najgorszym razie karton jajek. ©℗

REKLAMA






eprasa.pl 4eef091ca4

# Kreacjonizm

## O NARODZENIU ŚWIATA W ROCZNICĘ NARODZIN CHRYSTUSA



Giovanni di Paolo di Grazia, „Stworzenie świata" (panel w Ołtarzu Gandawskim) 1445

**Janusz Kapusta: *„Jedni mówią, że świat jest przypadkowy, inni, że nie jest. Prawdopodobnie wszyscy się mylą"* (2017).**



eprasa.pl 4eef091ca4



# Waldemar Łysiak

Temat niniejszego eseju winien pasjonować wszystkich, obawiam się wszelako, że tak nie będzie. Zwłaszcza dla młodych zagadką numer 1 nie jest dziś tajemnica powstania wszechświata czy sekret tożsamości Boga, lecz pytanie tyczące pokoleń sprzed ćwierć wieku: jak można było żyć bezinternetowo???!! Bezlaptopowo i bezsmartfonowo!! Bezesemesowo, bezemailowo, bezfejsikowo, beztwitterowo!! Przecież bez tego wszystkiego życie nie istnieje! Jak tedy można było spędzić cały dzień — od świtu do zmierzchu — unikając śmiertelnego znudzenia?! Tłumaczyć im, że można było (i to jak!), oraz że było dużo fajniej, nie ma sensu — nie uwierzą nigdy. Kanał. Z równym skutkiem da się perswadować zaciekłym ateistom, że biblijny Pan Bóg stworzył wszechświat. A jednak niektórzy próbują takiego misjonarstwa, wbrew globalnej ofensywie laicko–bluźnierczego Salonu.

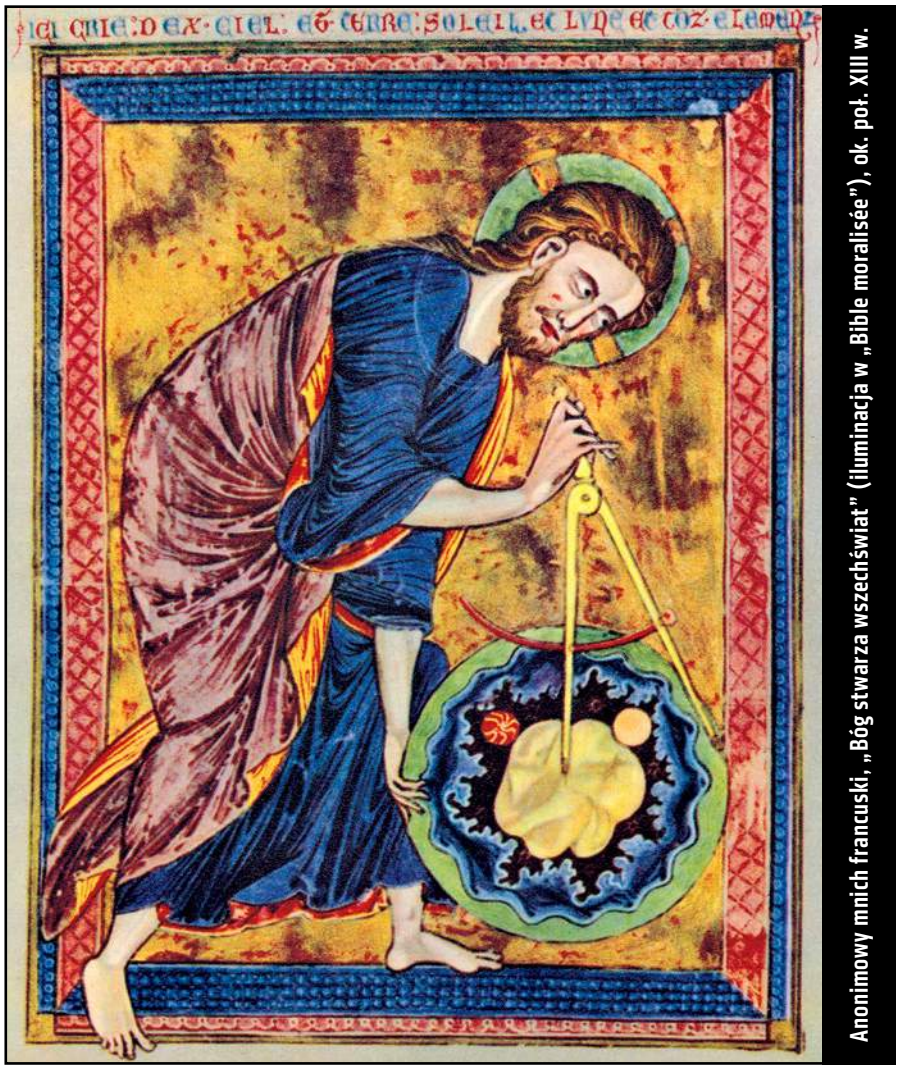
Dzisiejszy międzynarodowy Salon wywraca do góry nogami co tylko może w sferze kultury tudzież obyczajowości ludzkiej, mianując dewiację normalnością, rodzinę okropnością, wszeteczność wolnością, bluźnierstwo twórczością, et cetera, ale to nie znaczy, iż destrukcja ta jest bezproblemowa, gdyż czasami napotyka ona na przysłowiowy *„twardy orzech”*, którego nie daje rady zgryźć. Wśród tych „orzechów” szczególnie twardym okazał się Pan Bóg. Już ćwierć tysiąclecia temu wolteriańskie Oświecenie próbowało wyrugować Stworzyciela i Chrystusa z ludzkich serc i umysłów, lecz bez skutku, później Nietzsche wrzeszczał: *„Bóg umarł!”* (jednak to Nietzsche umarł, a nie Bóg), nie udało się nawet (wiek XIX) usunąć pępka z malarskich przedstawień anatomii Boga Ojca (szydercy dowodzili, że pępek — jako ślad związku z istotą funkcjonującą wcześniej — jest całkowicie nieuprawniony u Stwórcy, przed którym nic nie istniało). Tę archaiczną malarską kwestię traktujmy nie bez uśmiechu, wszelako ma ona swoiście symboliczny bezpośredni związek z zaciekłą walką toczoną od stuleci przez ateistów i fideistów, ponieważ centralnym punktem sporu jest problem stworzenia świata i życia: samoistnie czy bożokreacyjnie?

## HARMONIA MATEMATYCZNA

Gdy *„en passant”* dotknąłem malarstwa — warto zauważyć, że już w Średniowieczu artyści (graficy i malarze) często przedstawiali Stworzyciela jako budowniczego świata (*„architectus mundi”*), który wedle biblijnej ***„Księgi Przysłów”*** *„nad bezmiarem wód kreśli sklepienie”*, i to kreśli cyrklem, przyrządem mierniczych, geometrów, muratorów, co nadawało tym plastycznym wyobrażeniom walor praktyczno–scjentyczny, racjonalizując akt Stworzenia (echem tego był później masoński kult *„wielkiego architekta”*).

Od sławnej *„miniatury”* vel *„iluminacji”* we francuskiej **„Bible moralisée”** z połowy XIII wieku, przez wszechcheuropejsko





Anonimowy mnich francuski, „Bóg stwarza wszechświat” (iluminacja w „Bible moralisée”), ok. poł. XIII w.



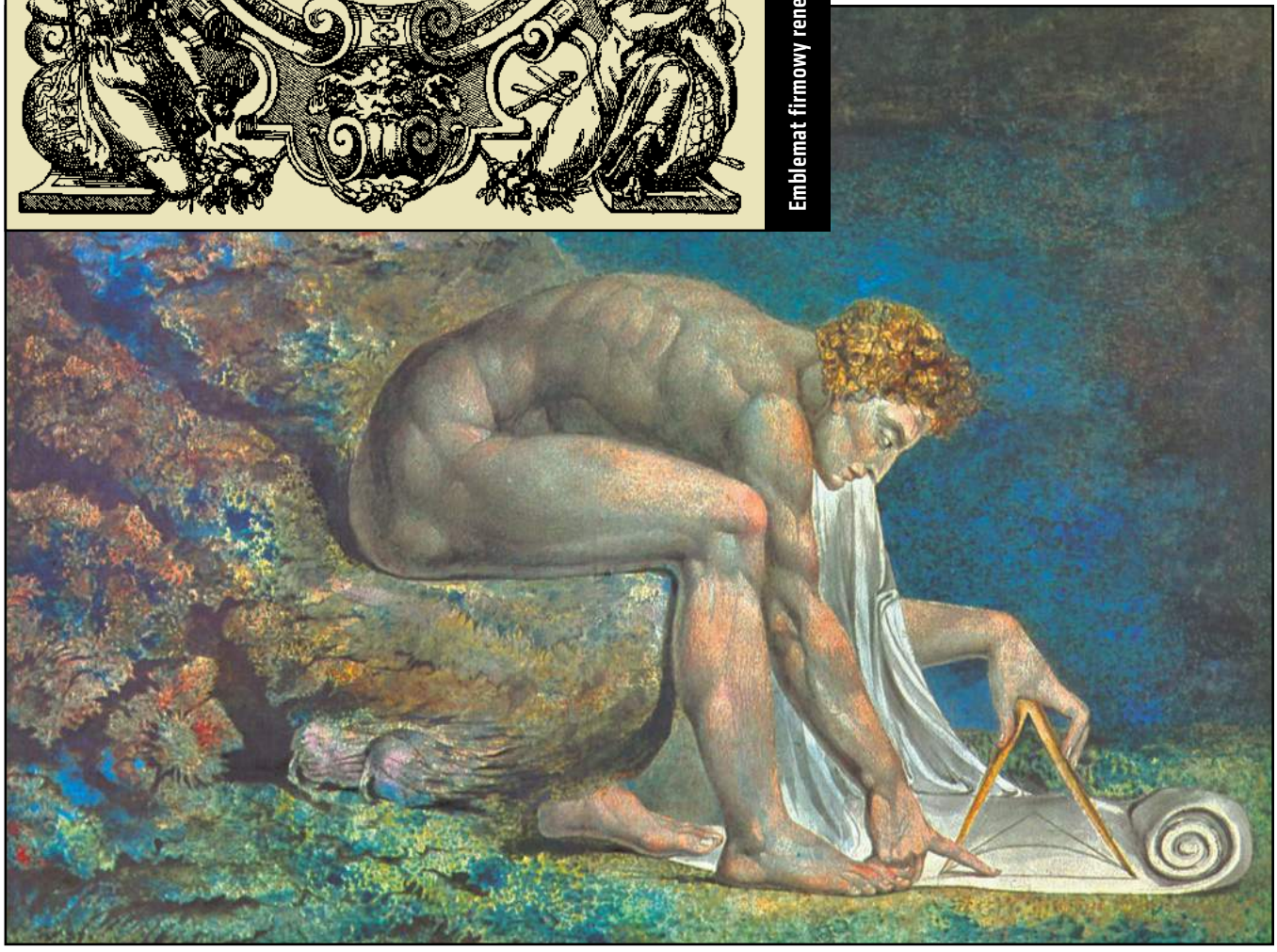


eprasa.pl 4eef091ca4



Emblemat firmowy renesansowego wydawcy Plantina z Anvers oraz (niżej) „Newton" W. Blake'a, 1795

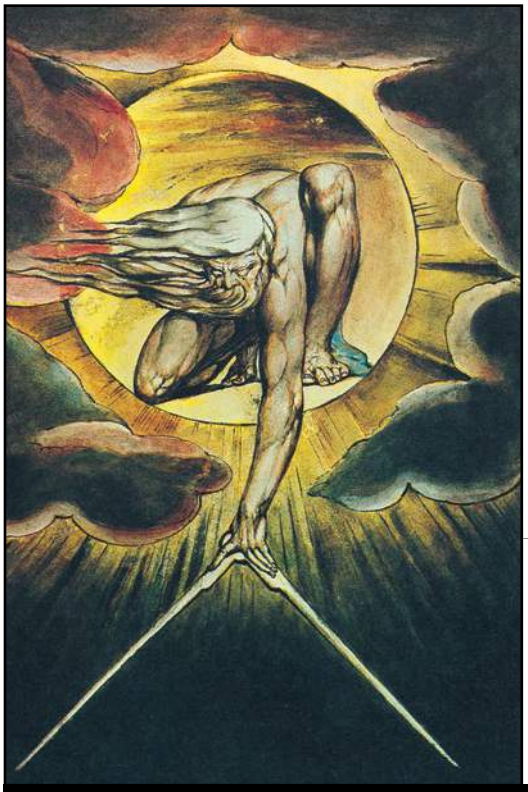
znany emblemat firmowy renesansowego wydawcy Plantina z Anvers, aż po bulwersujące malowidła genialnego dziwaka angielskiego, Williama Blake'a (koniec XVIII wieku) — ciągle ukazywano społeczeństwom ów cyrkiel w ręku Boga kreślący świat i kosmos. Blake malował Stwórcę jako brodatego starca z rozwianymi siwymi włosami lub jako Newtona, mając doń pretensje, bo uważał, że akt Stworzenia zepsuł *„pierwotną idealną jedność i harmonię wszystkich elementów"* rozdzielając ciemność od światła, dobro od zła, duszę od ciała, ziemię od nieba, śmierć od życia, mężczyznę od kobiety, itp. Ale wobec podjętego przeze mnie tematu mistycyzujące filozofowanie Blake'a jest bez znaczenia. Znaczenie ma fakt, że Bóg Genezy zawsze posługuje się u tego wizjonera cyrklem, a to — wbrew Blake'owskim tezom retorycznym o niszczeniu harmonii wszechświata, czyli o tworzeniu chaosu — sugeruje coś przeciwnego: właśnie geometryczny rygor, naukowy ład, ścisłość Wielkiego Matematyka pragnącego szerzyć klarowną Harmonię.

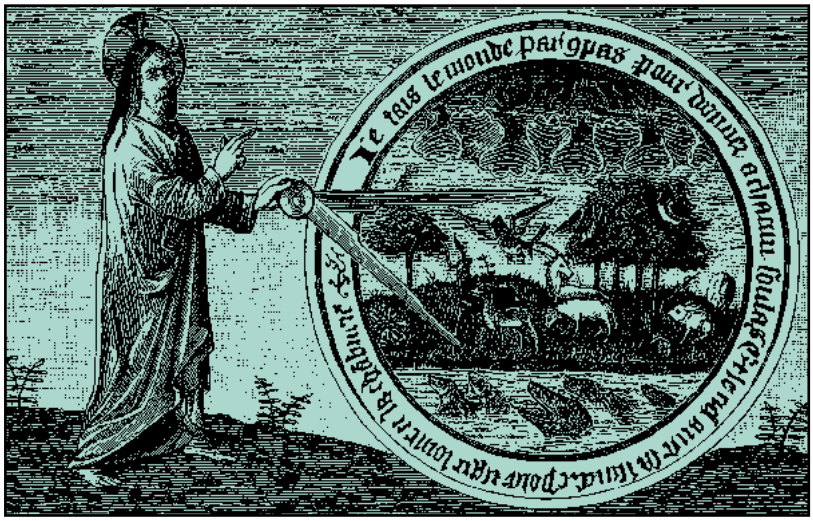


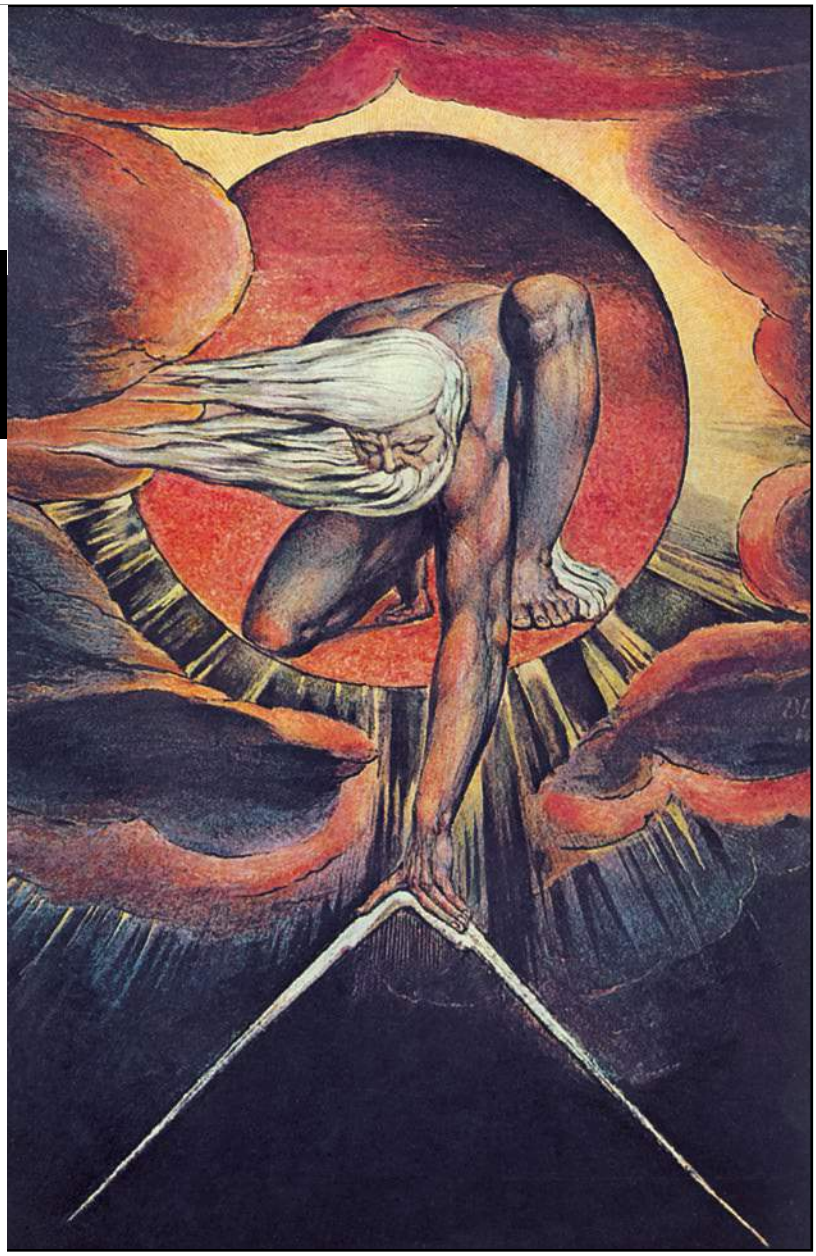




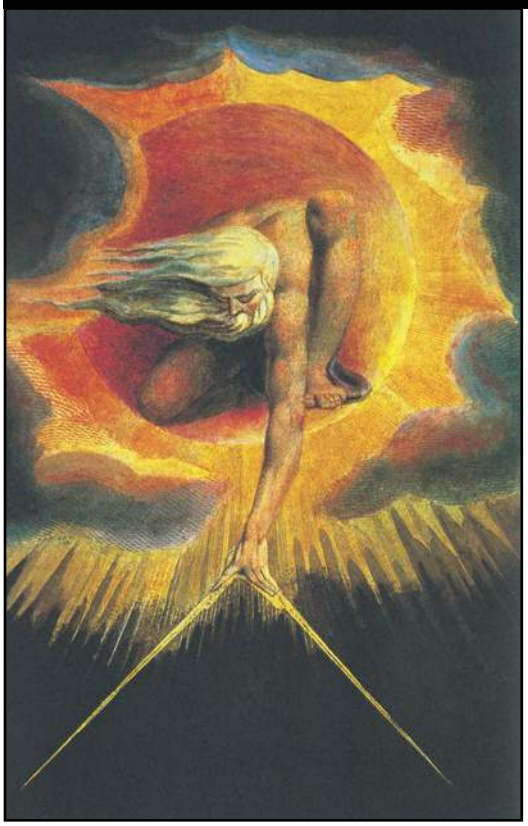
eprasa.pl 4eef091ca4





William Blake, „Przedwieczny Stwórca przy pracy" (trzy wersje graficzne z roku 1794) oraz (w prawym górnym rogu) „Bóg stwarzający świat" (drzeworyt wedle miniatury XV-wiecznej z „Trésor" Brunetta Latiniego)





eprasa.pl 4eef091ca4

Czyż nie o tym samym myślał Albrecht Dürer rysując/sztychując Anioła–Boga, geniusza budowlanego, mającego wokół siebie bryły geometryczne i narzędzia (miernicze, ciesielskie), a w prawej dłoni rozwarty cyrkiel? Tytuł miedziorytu: **„Melancholia”** (1514) wskazywał zadumę nad harmonią projektu.

Ów *„Boży Ład Stworzenia”* był prezentowany jako superracjonalna konstrukcja nie tylko w Wiekach Średnich, chociaż wtedy się to zaczęło na dużą skalę, co mediewiści lubią nam przypominać. Ewa Polak–Pałkiewicz: *„Znawca Średniowiecza, profesor Paweł Stępień z UW, przypomina, że epoka ta ukazywała piękno świata jako piękno matematyczne. Świat został stworzony przez Boga wedle miary, liczby i wagi (...) Architektura i geometria dzieła Boga tworzy wzorzec najdoskonalszej budowli”* (2016). Minęło od tamtej pory ponad pół tysiąclecia,



Andreas Cellarius 1660
„HARMONIA MACROCOSMICA”




żyjemy w epoce internetu tudzież podbijania kosmosu, a opinie tyczące celowej harmonii tej *„budowli najdoskonalszej”* są takie same jak wówczas nie tylko wśród poetów (poeta Jan Polkowski, wskazując przyrodę rozumianą jako widomy znak Pana Boga, chwali *„cudowny porządek wszechświata”* oraz Boską wszechobecność), lecz i wśród uczonych. Polski filozof Michał Heller: *„ — Nauka widzi świat jako coś niesłychanie harmonijnego, logicznego, racjonalnego. Świadczy to o tym, że świat nie jest bezsensowny, a do tego spojrzenia tak zwany kreacjonizm przyczynia się tylko w pewnym stopniu”* (2015). Amerykański fizyk Michio Kaku (współtwórca głośnej *„teorii strun”*): *„ — Wszechświat jest olśniewający. Cechuje go racjonalność i prostota, choć przecież mógł być tylko przypadkową mgławicą elektronów i fotonów, bez życia i bez energii. Tymczasem jest bogaty, piękny, mądry i elegancki. Większość praw fizyki, jakie nim rządzą, można spisać na jednej kartce papieru. Genialne dzieło!”* (2016). Krótko mówiąc: zamiast przypadkowości — sens. Co tyczy również życia gatunku *„homo sapiens”*, wierzył w to nawet Albert Einstein, wpatrujący się w rozgwieżdżone niebo i szepczący: *„ — Kurcze, to przecież musi mieć jakiś sens!”*, a później piszący: *„Życie nieomal na pewno ma sens, tak!”*.


eprasa.pl 4eef091ca4

Mógłbym długo cytować podobne opinie współczesnych sawantów, ale Lisicki — jak zawsze — dał mi na artykuł zbyt mało miejsca. Przejdźmy tedy do nie zawsze antagonistycznych stosunków między nauką a religią w kwestii stworzenia wszechświata, a więc i planety ludzkiej, którą odwiedził Chrystus:

## BÓG NIE UMARŁ

Rozpowszechniona opinia, że nauki ścisłe i wiara religijna są śmiertelnymi wrogami na arenie dociekań genezy świata i życia, to mit lansowany od ery Oświecenia przez *„progresistów"* i zwalczany w XIX wieku przez *„retrogradów"*. Wybitny polski uczony o międzynarodowej renomie, prof. Jan Kozłowski (laureat Nagrody Fundacji na rzecz Nauki Polskiej 2016 *„w obszarze nauk o życiu i o Ziemi"*), neguje ten mit, mówiąc: *„ — Nie ma zasadniczego konfliktu między wiarą a nauką, o ile obie dziedziny zachowują wobec siebie respekt, nie naruszają wyznaczonej linii demarkacyjnej między sobą. Naukowiec nie powinien mówić, że nauka wyklucza istnienie Boga…"* (2017). Jednak całe hordy naukowców *„wykluczają"* bez cienia *„respektu"*, więc wspomniany mit ma się dobrze. Dzisiaj jest on agresywnie podtrzymywany zwłaszcza przez ateistów salonowych noszących togi mędrców. Stephen Jay Gould (ewolucjonistyczna sława drugiej połowy XX wieku) zapewniał, że nauka i religia nie mają tu żadnej styczności, są bowiem domenami, które w żadnym punkcie się nie przecinają (*„non–overlapping magisteria"*). Było to zarazem wykluczanie istnienia Boga, którego dzisiaj najsugestywniej neguje pupil salonowych mediów Richard Dawkins (pono *„najpopularniejszy biolog obecnych czasów"*), twierdząc: *„Religia jest przede wszystkim produktem naszego mózgu, a mózg — produktem ewolucji. Lecz to nie oznacza, że jest prawdziwa. Bóg nie istnieje"* (2016). Niby więc mamy tę dawną, wolteriańsko–nietzscheańską *„śmierć Boga"*, ale tylko pozornie, co nie bez wstrętu wobec mędrków–ateistów wskazywał już Adam Mickiewicz (wiersz **„Mędrcy"**):

*„Spełnili mędrcy na Boga pogrzebie*
*Kielich swej pychy — Natura w rozruchu*
*Drżała o Boga. — Lecz pokój był w Niebie:*
*Bóg żyje, tylko umarł w mędrców duchu".*

Nie umarł nawet tam, a żeby tego dowieść (czyli skutecznie zaprzeczyć tezie Dawkinsa, iż *„bycie osobą religijną jest po prostu niemożliwe jeżeli traktuje się naukę serio"*) — można cytować naukowców ze szczytowej półki, właśnie tych, którym przydaje się przedrostek *„naj"*. Zaczynając od początków XX wieku: Pawłow. Rosyjski noblista (1904), Iwan Pawłow, był najwybitniejszym fizjologiem pierwszej połowy minionego stulecia i ciągle podkreślał swą religijność (konsekwentnie praktykował), więc jeśli zastosujemy regułę Dawkinsa — *„nie traktował nauki serio"*. Tym samym grzechem próbowano obarczać sto lat później najwybitniejszego neurochirurga czasów współczesnych, Amerykanina Bena Carsona, gorliwego chrześcijanina, który szerzy m.in. ten wrogi Salonowi pogląd: *„ — Siły zła szukają sposobu, aby ludzie przestali wierzyć w Boga. Ja uważam, że istnieje mądry i troskliwy Bóg, który dał swoim stworzeniom zdolność dostosowywania się do środowiska naturalnego, po to, by nie rozpoczynać aktu kreacji od nowa co pięćdziesiąt lat"* (2011).

Salonowcy sądzili jeszcze parę dekad temu, że taki fideizm jest wśród renomowanych naukowców zupełną rzadkością, ergo: że wierzący uczeni to dziwaczne *„albinosy"*, którym zabobon odebrał rozsądek. Postanowili tedy dowieść tego w sposób statystyczny, który przy okazji ośmieszyłby też Watykan. Za pomocą swych macek skłonili watykańską gazetę **„L'Osservatore Romano"** do zrealizowania swoistej ankiety wśród scjentycznej czołówki globu. Działo się to tuż po starcie pontyfikatu JP II, papiestwo było na fali, koniecznie więc chciano umniejszyć glorię katolicyzmu. Sukces wydawał się gwarantowany, lecz efekt był dla Salonu koszmarnym rozczarowaniem. Spośród 398 wybitnych uczonych, których dziennikarze zapytali o ich stosunek do religii — aż 367 (92,2%!) przyznało, że są ludźmi wierzącymi, ergo: że nie wątpią w istnienie Boga.

Najświeższym głosem fideistycznym dużej rangi stały się opublikowane dwa lata temu (2015) egzegezy fizyka/matematyka/astronoma z Uniwersytetu Harvard, doktora Michaela Guillena. Mówi on: *„Chrześcijanin może bronić tezy — i ja takiej tezy bronię — że gwarantem sukcesu nauki w racjonalnym objaśnianiu świata naturalnego jest fakt, iż świat został stworzony przez racjonalnego Boga"*. Po czym tłumaczy *„timingowy"* (jeśli tak wolno rzec) aspekt niepojętości Stworzyciela: *„Moim zdaniem właściwy jest pogląd, że Bóg — podobnie jak światło — w ogóle nie jest mieszkańcem czasu. Nie przebywa z nami w naszej doczesności, bo w przeciwieństwie do nas nie jest uwięziony w czasie. Jest Obecnością nie z tego świata, istnieje poza czasem. W końcu istniał zanim jeszcze stworzył czas. Dla judeochrześcijańskiego Boga — podobnie jak dla światła — nie ma przeszłości, teraźniejszości ani przyszłości. Są one dla niego tym samym (…) Nie jesteśmy w stanie pojąć Bożej bezczasowej (wiecznej) perspektywy"* (tłum. Marek Król).

Ateiści, kłócąc się z fideistami o istnienie/nieistnienie Boga, automatycznie toczą spór o powstanie wszechświata i życia, a także o ewoluowanie życia na Ziemi (czyli o teorię ewolucji), i ta druga walka często miesza się z pierwszą w dziwacznym *„qui pro quo"*, robiąc zamęt wewnątrz mózgownic publiczności chłonącej spór. Dla porządku tedy — najpierw kilka słów á propos walki o Darwina:

## EVOLUTION WAR

Na Ziemi nie ma miejsca, gdzie nie trwałaby wspomniana walka (prócz może Antarktydy, bo pingwinów to nie obchodzi), a jej najgłośniejszą estradą są Stany Zjednoczone. Parę dekad temu Hollywood podniósł bitewną temperaturę serią głośnych filmów fabularnych na temat medialnych i sądowych kłótni między zwolennikami scjentycznego *„darwinizmu"* a defensorami biblijnego *„kreacjonizmu"*. Notabene — powszechnie stosowane terminy *„darwiniści"*, *„darwinizm"* etc. są dla tych utarczek mało adekwatne, wręcz fałszywe, gdyż sam Darwin, ojciec teorii ewolucji, nigdy nie próbował tłumaczyć jak powstało życie, tłumaczył jedynie jak się według niego rozwijało. Dzisiaj nieortodoksyjni rycerze *„kreacjonizmu"* zaakceptowali już ów rozwój (czyli ewolucję) i zmodyfikowali swój przekaz: wykoncypowali teorię *„Inteligentnego Projektu"* (*„Intelligent Design"*), według której Pan Bóg nie stworzył konkretnych bytów/organizmów, ale mechanizmy ewolucji. Broniąc takiej znowelizowanej wykładni *„kreacjonizmu"* jako hipotezy, która nie przeczy egzegezom i symbolom wersji biblijnej — napotykają wszakże silny opór nie tylko u *„ewolucjonistów"*/ateistów, lecz i po własnej stronie barykady, wśród chrześcijan negujących rozmaite aspekty lub całość teorii ewolucji.

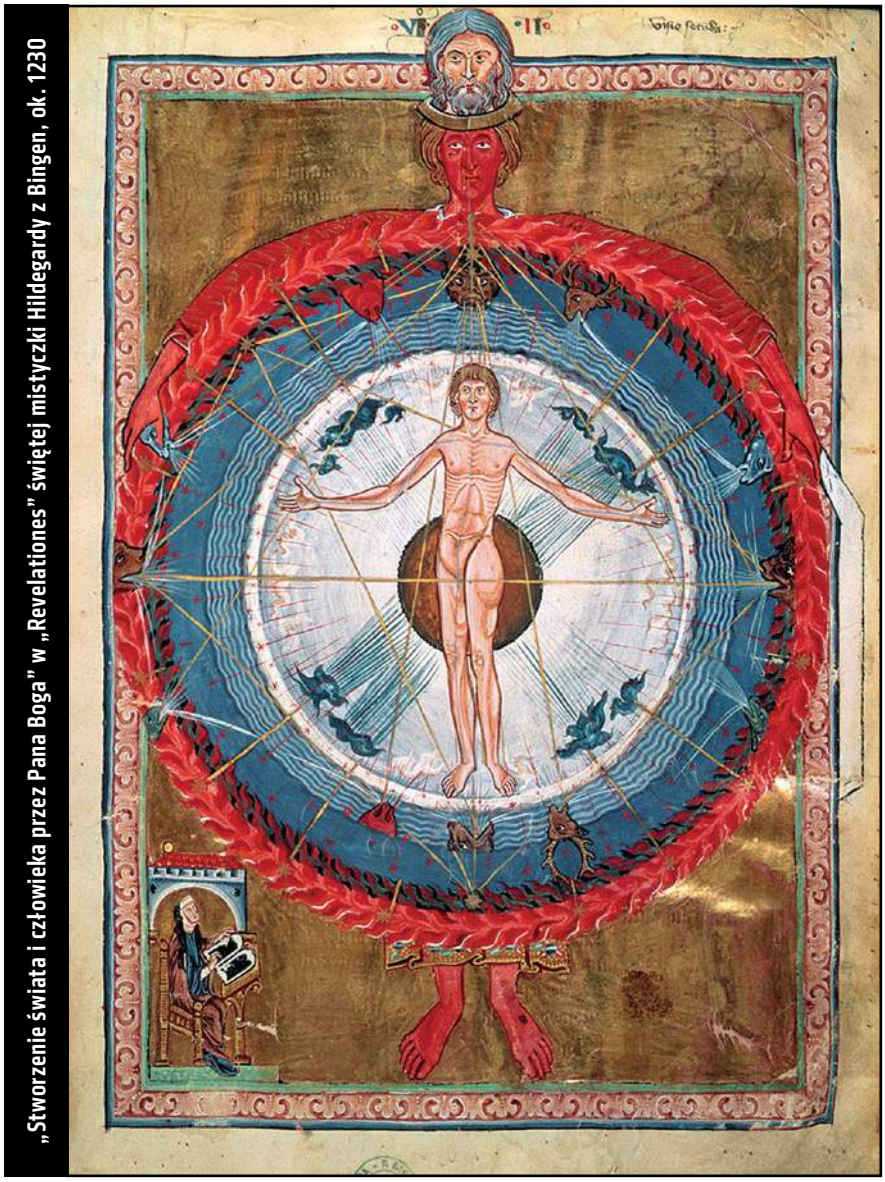
Tym *„negacjonistom"* wielce pomagają sprzeczności i niekonsekwencje wprost notoryczne u wojujących *„ewolucjonistów"*. Stąd bój ma coraz to nowe podniety i rumieńce, a podczas jego trwania każda biorąca w nim udział organizacja laicystyczna wspierana przez czynniki odgórne (rządowe, akademickie, korporacyjne itp.) zderza się z silnymi


eprasa.pl 4eef091ca4

ruchami i organizacjami tworzonymi oddolnie, przez społeczność. Pełno tu hucznych *„aktów strzelistych”*. Roku 2006 akademie nauk z 67 krajów wypracowały wspólną deklarację broniącą twardo teorii ewolucji, a pięć lat później (2011) w USA eksplodował potężny ruch Question Evolution, który też twardo stawia *„ewolucjonistom”* 15 pytań kompromitujących *„ewolucjonizm”* (*„Jak powstał kod DNA?”*, *„Jak powstały organizmy wielokomórkowe?”*, itd.). Kampania wokół tych kwestii, szerzona globalnie przez organizację Creation Ministries i na YouTube przez chrześcijański kanał Shockofgod (notabene założony przez byłego ateistę), przyciąga uwagę dziesiątków milionów ludzi.

Również najbardziej dziś wpływowy z rycerzy teorii ewolucji, wspomniany Dawkins, nie uniknął przygwożdżenia jego braku konsekwencji w wykładzie. Zdarza mu się to często, choćby niedawno (2016) podczas bojowego wywiadu dla niemieckiej gazety **„Süddeutsche Zeitung”**, gdy najpierw stwierdził: *„ — Uważam, że w s z y s t k o, każdy aspekt życia, wszelkie życie, da się wytłumaczyć za pomocą teorii ewolucji Darwina”*, by później przyznać: *„ — No cóż… istotnie nie wiemy wszystkiego. Nie wiemy skąd się wzięło DNA, nie wiemy jak nasz mózg tworzy świadomość, zagadkę stanowi nawet to czym świadomość jest…”*.

W tym też wywiadzie Dawkins rzekł: *„ — Wielką otwartą kwestią jest samo pochodzenie życia”*, i trącił pewną kwestię naukową, która daje dziś *„kreacjonistom”* kapitalne paliwo zwane *„Adamowym”*, mówiąc: *„ — Każda istota, jaką udało się nam poznać, ma kod genetyczny zbudowany na tej samej zasadzie. Co oznacza, że wszystkie żywe organizmy pochodzą od jednego przodka zwanego LUCA”*. Czyli od biblijnego Adama! — krzyczą *„negacjoniści”* i *„kreacjoniści”*. Lecz to nie takie proste. LUCA, czyli *„Last Universal Common Ancestor”* (ostatni uniwersalny wspólny przodek), raczej nie był istotą dwunożną lub czworonożną, tylko dużo bardziej prymitywną formą życia (bakterią, archeanem, eukariontem?), organizmem pierwotnym sprzed 3,2–3,8 miliardów lat (belgijski kosmolog Georges Lemaître nazwał go dużo wcześniej, A.D. 1946, *„pierwotnym atomem”*, i twierdził, że jeśli wszechświat wciąż się rozszerza, to znaczy, że musiał mieć moment stworzenia, kiedy wszystko wprawione zostało w ruch). Od jednego atomu do jednego gatunku. Ów hipotetyczny monofiletyzm (jeden gatunek daje początek wszystkim gatunkom), notabene zakładany już przez Darwina, stanowi dziś obiekt gorączkowych badań wielu uczonych, a dla *„kreacjonistów”* — jak wyżej napomknąłem — oręż do walki na rzecz *„Genesis”* z Pisma Świętego. Nie o Darwina tu bowiem chodzi w istocie, nie o ewolucję życia, tylko o s t w o r z e n i e świata i życia. Czyli o *„największą historię”* (badanie prapoczątków rozwoju cywilizacji określane jest terminem *„big history”*, więc prapoczątki świata i życia zasługują na termin *„very big history”* lub *„greatest history”*).



„Stworzenie świata i człowieka przez Pana Boga” w „Revelationes” świętej mistyczki Hildegardy z Bingen, ok. 1230

## BEZPŁODNY BÓJ

Jeśli jakiś salonowiec sądzi, że żaden współczesny sawant lub laboratoryjny geniusz nie wyznaje ściśle biblijnego *„kreacjonizmu”*, to się myli bardzo grubo. Spośród wielu casusów przywołuję cytowanego już doktora Benjamina Carsona, uznanego przez Kongres USA za *„Żywą Legendę Ameryki”* geniusza neurochirurgii, przed którego fenomenalnymi (zwano je *„nadludzkimi”*) dokonaniami klęczy cały medyczny glob. Carson powiedział: *„Dużo osób wytyka mi, że wierzę, iż Ziemia ma ledwie sześć tysięcy lat, choć nie istnieją żadne dowody naukowe, by tak twierdzić. Tymczasem ja wcale tak nie twierdzę, bo w istocie zupełnie nie wiem ile Ziemia ma lat. Wiem natomiast, że Biblia mówi jasno: «Na początku Bóg stworzył Niebo oraz Ziemię». I ja po tym zdaniu stawiam kropkę, moi drodzy”*. Identycznie myśli jeden z najmądrzejszych amerykańskich publicystów, którego prace sprzedają się w milionach egzemplarzy (pierwsza książka 5 mln, druga 4 mln), Rush Limbaugh: *„Wierzę w akt Stworzenia naszej*


eprasa.pl 4eef091ca4

*Ziemi. Nie wierzę, iż życie na planecie Ziemia powstało spontanicznie, wskutek przypadkowych zdarzeń lub procesów. Zachwyca mnie doskonała równowaga środowiska naturalnego Ziemi — to istny cud. Podobnie jak bezbłędne usytuowanie tej planety w systemie słonecznym. Gdyby znajdowała się ciut dalej od Słońca — byłaby jedną wielką Arktyką; gdyby znajdowała się odrobinę bliżej — stałaby się pustynią wypaloną bardziej niż Sahara. Tak fenomenalnie precyzyjne położenie Ziemi nie może być dziełem przypadku — to musiała być ręka Istoty Wyższej, ręka Stworzyciela Niebiańskiego".*

Ateiści wyśmiewają tego rodzaju opinie, uważając je za sprzeczne z nauką i logiką, chociaż przyznają, że nie tylko usytuowanie Słońca, lecz i Księżyca, jak również Marsa, Jowisza i Saturna, stworzyło unikatowe, cudowne wręcz warunki, niezbędne, by mogło powstać życie na planecie Ziemia. Stąd niektórzy uczeni tłumaczą *„Silentium Universi"* — milczenie wszechświata, brak znanych nam, słyszalnych, widzialnych oznak życia gdzie indziej pośród miliardów galaktyk zawierających miliardy gwiazd — jako dowód, że fenomen Ziemi to zjawisko jedyne,




sugerujące swą niepowtarzalnością kreację wskutek Boskiego zamiaru. Inni wszakże przypominają, że mimo coraz lepszych teleskopów widzimy zaledwie 5% wszechświata. Guillen: *„To wszystko, co nazywamy wiedzą naukową, cała uprawiana przez nas nauka starająca się zrozumieć wszechświat, w 95% jest ślepa, bo opiera się na marnym ułamku potencjalnych możliwości badawczych"*. O logice Guillen wyraża się również z dużą dozą sceptycyzmu: *„Dzisiejszy świat zdecydowanie przecenia logikę. Jak tego dowodzą twierdzenie Gödla o niezupełności i zasada nieoznaczoności Heisenberga — logika nie ma wystarczającej mocy, by objaśnić rzeczywistość"* (2015).

Ze sporów między ateistami i fideistami nie wynika wszelako nic poznawczo konstruktywnego, więc bez względu na finezję argumentów trwa pat, gdyż obie strony trwają bohatersko w swych okopach. Internet pełen jest wzajemnej wymiany strzałów, fora drukowane takoż, co szczególnie jaskrawo widać w Stanach Zjednoczonych, gdzie wewnątrzstanowe walki (często referenda) o szkolne nauczanie takiej a nie innej wersji *„Genesis"* robią się nierzadko burzliwsze niż wybory gubernatora i lokalnych władz. Stąd A.D. 1986 doszło do głośnej inicjatywy: 72 amerykańskich laureatów Nagrody Nobla, plus 24 prezesów wielkich amerykańskich ośrodków naukowych, wezwało Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych *„... aby zakazał szerzenia w szkołach jakiejkolwiek nauki o powstaniu życia i rodzaju ludzkiego, gdyż tak teoria ewolucji, jak i tezy religijne czy wszelakie inne opierają się na przesłankach wyłącznie wiary, nie zaś stwierdzonej i naukowo udowodnionej prawdy"*.

Nauka, oczywiście, nie ustaje w próbach wyjaśnienia zagadki *„Genesis"*.

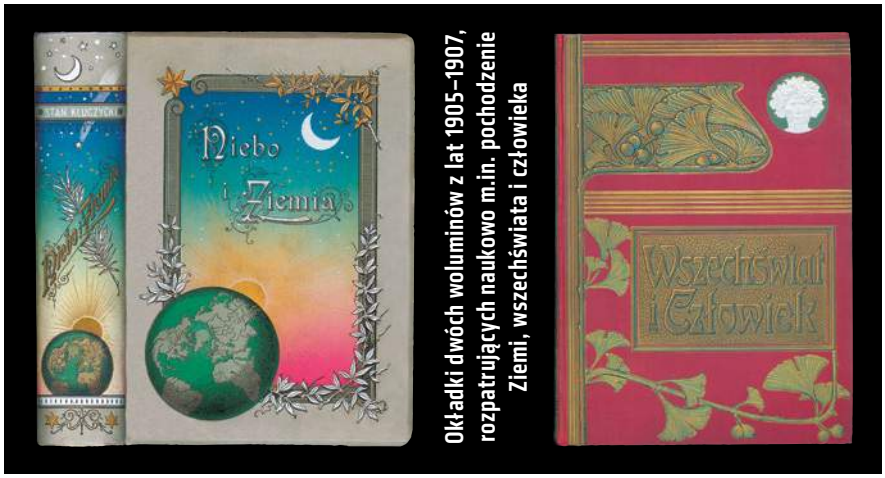





**Grafika Williama Cunninghama z 1559; po prawej Pellegrino di Mariano Rossini, „Stworzenie świata" (iluminacja w antyfonarzu) ok. 1475**



eprasa.pl 4eef091ca4




Okładki dwóch wolumінów z lat 1905–1907, rozpatrujących naukowo m.in. pochodzenie Ziemi, wszechświata i człowieka

Myśliciele robili to już za czasów starożytnych — Arystoteles reklamował *„samorództwo”*, cokolwiek to znaczy. Mędrcy nowożytni mieli różne koncepty (nawet *„panspermię”*, czyli przyniesienie zarodków życia na Ziemię z kosmosu), ale głównie obstawiali proces chemiczny. Darwin, chociaż w swych pracach publikowanych nie wypowiadał się o pochodzeniu życia, jednak w prywatnej korespondencji dopuszczał *„naturalne reakcje chemiczne”* jako zapłon. Próbowano *„stworzyć życie”* metodami laboratoryjnymi. Najgłośniejszy eksperyment przeprowadzili roku 1953 uczeni z Chicago University (Stanley Miller i Harold Urey), opierając się na wcześniejszych dokonaniach rosyjskiego biochemika Aleksandra Oparina (*„teoria biogenezy”*) i brytyjskiego genetyka Johna Haldane'a. Uzyskali drobiny, które nazwali *„cegiełkami życia”*, lecz dalej ani rusz, i do dzisiaj zerowe są konsekwencje tych starań. Co nie przeszkadza nauce mnożyć hipotez kontrujących Biblię (najnowszą mi znaną jest koncepcja *„oceanicznych kominów hydrotermalnych”*, wysunięta na łamach amerykańskiego periodyku **„Proceedings of the National Academy of Science”**, 2012). To jeśli chodzi o życie ziemskie, bo gdy idzie o powstanie całego wszechświata — najciekawsza znana mi hipoteza mówi, że raptownie wystrzelił z tzw. *„próżni kwantowej”*.

Przeciwnicy *„kreacjonizmu”* za swego guru uważają mającego status geniusza kosmologa/astrofizyka/matematyka z Cambridge, Stephena Hawkinga, który w swej książce **„Wielki projekt”** stwierdził, że wszechświat powstał sam z siebie, czyli z niczego. Zważywszy, że nicość może wytworzyć tylko nicość — teza Hawkinga została obśmiana przez wiele czołowych umysłów scjentycznych. Oxfordzki matematyk, krytyk teorii ateistycznych, prof. John Lennox, zrecenzował rozprawę Hawkinga jednym zdaniem: *„Nonsens nie przestaje być nonsensem nawet gdy jego autorem jest światowej sławy fizyk”*.

Guillen znowu (ostatni raz): *„Nauka i Biblia współuczestniczą w procesie posuwania coraz bardziej do przodu naszego rozumienia świata. Czy jest możliwe, by ich wersje zostały uzgodnione kiedyś i stały się tożsame? Nie sądzę. Dlaczego? Dlatego, że nauka ostentacyjnie nie uznaje Boga”*.

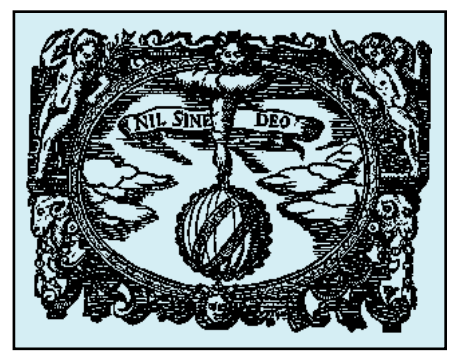
## CUDA, CUDA OGŁASZAJĄ

Negowanie Boga przez naukę salonową jest zarazem negowaniem aktu Stworzenia ręką Boga. Fideiści zwalczają ten ateizm coraz przemyślniej. Wśród kontrateistycznych ciosów szczególną karierę robi od ponad dekady tzw. *„Zegarek”* czyli *„Argument Paleya”* — Eugeniusz Moczydłowski: *„Zegarek nie mógłby zostać wytworzony bez pomocy projektanta, tym bardziej więc niemożliwe jest samoistne powstanie czegoś znacznie bardziej skomplikowanego. Po 150 latach badań najprostsza forma życia, komórka, okazała się strukturą bardziej złożoną niż schemat funkcjonowania wielkiej fabryki samolotów. Organizm składa się z miliardów perfekcyjnie działających komórek, a każda jest samonaprowadzającym się systemem, współpracującym z całością. To oczywiste, że taki mechanizm musiał stworzyć twórca dużo bardziej inteligentny aniżeli konstruktor zegarków”* (2009).

Zwalczające salonowy (ateistyczny) punkt widzenia organizacje, które bronią biblijnego vel postbiblijnego (znowelizowanego) *„kreacjonizmu”*, mają nie tylko silne wsparcie finansowe ze strony fideistycznych (chrześcijańskich) sponsorów, lecz i wsparcie intelektualne takich międzynarodowych sław naukowych jak biochemik Duane Gish, genetyk John Sanford czy też chirurg z Wydziału Medycyny Uniwersytetu Harvarda, Eben Alexander (setki operacji mózgu), autor wstrząsającej rozprawy **„Proof of Heaven”** (**„Dowód Nieba”**, 2012), będącej nowocześniejszą (unaukowioną) kontynuacją sławnego przed laty bestsellera Raymonda A. Moody'ego **„Życie po życiu”**. Dzisiaj tysiące uczonych traktują teorię ateistyczną (iż powstanie życia na Ziemi było przypadkowym wybrykiem chemicznym) jako idiotyzm.

Dla negującej *„kreacjonizm”* mafii salonowej piekielnie bolesne są opinie wielkich autorytetów. Belgijski biochemik–noblista Christian de Duve: *„Świat to twór sensowny, który miał na celu powstanie myślących istot, zdolnych cenić prawdę, piękno i miłość”*. Freeman John Dyson z Princeton University: *„Wszechświat dobrze wiedział, że pojawimy się tu”*. Angielski biochemik/genetyk Francis Crick, uhonorowany Noblem (1962) za odkrycie podwójnej spirali DNA: *„Ziemskie organizmy są zbyt skomplikowane, by mogły powstać przypadkowo”*. Astronom Fred Hoyle z Cambridge University: *„Jakim cudem samo przypadkowe połączenie się substancji chemicznych w tzw. «pierwotnej zawiesinie organicznej» miałoby wyprodukować 2 tysiące enzymów niezbędnych do życia? To absurd. Szanse na to są mniej więcej takie, jak szansa wyrzucenia 50 tysięcy razy pod rząd szóstki zwykłą kostką do gry, lub jak prawdopodobieństwo, że idąca przez złomowisko trąba powietrzna ułoży, z rozrzuconych części, funkcjonującego boeinga 747”*. Astrofizyk Trinh Xuan Thuan (University of Virginia) określił to prawdopodobieństwo *„jak szansę, że łucznik trafi strzałą kwadrat o boku 1 cm z odległości 15 miliardów lat świetlnych”*, zaś francuscy astrofizycy rosyjskiego pochodzenia, bracia Bogdanowowie, *„jak $1 : 10^{1000}$, co wyklucza, by materia mogła się przypadkowo zorganizować w skomplikowane i wyrafinowane struktury”*. To zaś oznacza — ciekawostka — że Salon wierzy w cuda.

Wesołych Świąt. ©℗





eprasa.pl 4eef091ca4

# W TAKI CZAS WARTO BYĆ RAZEM






stop. cafe

BO W TAKI CZAS...
CZAS PŁYNIE WOLNIEJ
I ZOSTAJE GO WIĘCEJ
NA WSPÓLNE
PRZYJEMNOŚCI.

Z cynamonem, z goździkami, z kardamonem
albo z pysznym, słodkim syropem…

ORLEN



**Z ks. prof. Waldemarem Chrostowskim**
*rozmawia Piotr Semka*

# Księga święta mówi prawdę



FOT. ADAM JAGIELAK/EAST NEWS

**PIOTR SEMKA: Każdą wieczerzę wigilijną zaczynamy od czytania Pisma Świętego. A jednak o Biblii wiemy często niewiele. Dlaczego to św. Łukasz ewangelista jest patronem historyków? Czym wyróżnił się spośród pozostałych ewangelistów?**

**KS. WALDEMAR CHROSTOWSKI:** Dwaj ewangeliści – Mateusz i Jan – byli naocznymi świadkami życia Jezusa Chrystusa. Łukasz, podobnie jak Marek, stając się wyznawcą Chrystusa po ukrzyżowaniu i zmartwychwstaniu, gdy pisał swoją Ewangelię, musiał odtworzyć przebieg wydarzeń z relacji tych, którzy byli naocznymi świadkami. Jego dzieło, o czym czytamy na samym początku, powstało na zamówienie i było sponsorowane przez „dostojnego Teofila": „Postanowiłem więc i ja zbadać dokładnie wszystko od pierwszych chwil i opisać ci po kolei". Troska o wiarygodność wysuwa się więc na pierwsze miejsce.

**Łukasz nie tylko jest jednym z czterech ewangelistów, lecz napisał również Dzieje Apostolskie.**

Tak, napisał biografię Jezusa, zaś w Dziejach Apostolskich przedstawił fascynującą historię początków Kościoła, w której wyeksponował postacie Piotra i Pawła. Co więcej, jak każdy dobry dziejopis przywiązuje on ogromną wagę do datowania i umiejscawiania wydarzeń w kontekście ówczesnej historii oraz geografii i topografii.

**Cecha typowa dla historyka...**

...i wskazująca na bardzo dobrą znajomość historii powszechnej oraz realiów Śródziemnomorza. Nie był to przypadek. Łukasz, inaczej niż pozostali trzej ewangeliści, nie był Semitą, czyli Żydem lub Aramejczykiem, lecz Grekiem. I to Grekiem wykształconym, co potwierdza tradycja starochrześcijańska. Łukasz z wykształcenia był lekarzem.

**Skąd to wiemy?**

Ze świadectw pisarzy wczesnochrześcijańskich oraz jego Ewangelii, w której występuje mnóstwo terminów i diagnoz

medycznych. Zdecydowanie więcej niż we wszystkich pozostałych Ewangeliach razem wziętych. Odmienność Łukasza polega na tym, że przedstawia Jezusa oczami Greka, który stał się chrześcijaninem. Właśnie dlatego jego nawyk do umiejscawiania wydarzeń w kontekście historii powszechnej jest tak niezwykle istotny.

**A jak Biblia ma się w porównaniu ze współczesnymi jej dziełami historyków greckich i rzymskich?**

Dziejopisarze starożytności obok opisu wydarzeń starali się przedstawiać różne perspektywy i punkty widzenia. Efekty były rozmaite, bo znaczna część ich dzieł powstawała na życzenie władcy, aby dobrze przedstawić jego ród czy panowanie. Pogańscy autorzy nie stronili również od mitologii. Natomiast cztery kanoniczne Ewangelie mają jednego bohatera. Jest nim Jezus Chrystus, wyznawany jako prawdziwy Bóg i prawdziwy człowiek.

**Jednak historykom rzymskim i greckim też zdarzało się skupiać swe dzieła na jednym bohaterze.**

Naturalnie, w dziejopisarstwie greckim i rzymskim, np. u Swetoniusza, znajdziemy opisy życia wybranego cezara rzymskiego czy innej postaci. Te opisy miały skłonić do podziwiania i uznania dla danej osoby, ale nigdy do wiary w nią.

**A jaki jest cel Ewangelii?**

Chodzi nie tylko o informację, lecz także o formację religijną i moralną ich odbiorców. Tych, którzy już są wyznawcami, Ewangelie mają utwierdzić w wierze w Jezusa Chrystusa. Tych, którzy chrześcijanami jeszcze nie są, a więc Żydów czy pogan, mają zainteresować Jezusem Chrystusem i sprawić przemianę wewnętrzną, która doprowadzi do wiary w Niego.

**A czy pisarze greccy i rzymscy nie tłumaczyli też przebiegu wydarzeń interwencją bóstw? Przecież co rusz są tego przykłady w „Iliadzie"?**

Nam, żyjącym w Europie, pierwsze, co przychodzi do głowy, to porównywanie Ewangelii z dziełami greckimi i rzymskimi. Nic dziwnego, bo Grecy i Rzymianie są nam kulturowo najbliżsi. Takie poematy jak „Iliada" znacznie wyprzedziły pisanie dzieł historycznych. Pierwsze dzieła historyczne powstawały bowiem w Grecji w VI i V w. przed Chrystusem, a „Iliada" jest o kilkaset lat starsza. Przeplatają się w niej światy mityczny i rzeczywisty. „Iliada" nie zamierza być historią, lecz, wyrastając z mitu, ukazuje ludzkie losy i zmagania w paradygmacie, w którym światy bogów i ludzi mieszają się ze sobą.

**A Stary i Nowy Testament?**

Biblia wyrosła z doświadczenia wiary w jedynego Boga, właściwej wyłącznie dla starożytnego Izraela, oraz z dorobku duchowo-kulturowego Palestyny, Syrii, Egiptu i Mezopotamii. Wpływy greckie są w niej znacznie późniejsze.

**Jak tam patrzono na dzieje?**

Postrzegano je cyklicznie, bo tak pojmowano świat. Ludzkie losy traktowano podobnie jak kolejne zmieniające się pory roku, które są co prawda odmienne, ale z czasem zawsze wróci to, co już było. W pojmowaniu historii dopatrywano się więc pewnego determinizmu. Jeśli wydarzyły się jakieś klęski czy katastrofy, to nie był to przypadek, lecz skutek świadomego czy nieświadomego zaniedbania w służbie bogom, zwłaszcza ze strony władców i kapłanów, a także zwyczajnych wiernych. W Starym Testamencie też natrafiamy na przykłady takiego myślenia. Władców i wydarzenia z okresu przed wygnaniem babilońskim ocenia się w deuteronomicznym dziele historycznym pod kątem tego, czy byli wierni Bogu, czy nie.

**Na czym polegało nowe pojmowanie czasu w Biblii?**

Powiedzieliśmy, że dla sąsiadującego z Izraelem świata pogańskiego charakterystyczne było pojmowanie czasu jako cyklu, na wzór zmieniających się pór roku. Natomiast w Starym i Nowym Testamencie mamy do czynienia z zupełnie innym paradygmatem, a mianowicie linearnym pojmowaniem czasu. Coś, co się wydarzyło, już nigdy dokładnie się nie powtórzy. Stanowi element historii, czyli oglądu przeszłości, układając ją w ciąg wydarzeń, które można ze sobą połączyć i uporządkować, dostrzegać między nimi związki oraz wskazywać na przyczyny i skutki, a także racjonalizować. Specyfiką biblijnego spojrzenia jest racjonalizacja wydarzeń, możliwa dzięki połączeniu dwóch perspektyw, czyli korzystania z rozumu oraz z wiary w Boga. Właśnie wiara chroni rozum przed irracjonalnością.

**Od wieków toczy się spór między naukowcami starającymi się udowodnić, że Biblia to bajka, a tymi, którzy bronią jej historyczności. To stary spór?**

Próby negowania historyczności Biblii podejmowano od starożytności. Najbardziej znane dotyczyły genezy i autorstwa Pięcioksięgu. Tradycyjnie uznaje się go za dzieło Mojżesza. Jednak od starożytności zwracano uwagę, że Mojżesz nie mógł opisać własnej śmierci, której opis kończy Księgę Powtórzonego Prawa zamykającą cały Pięcioksiąg. Tak samo pytano, jak Mojżesz mógł opisać początki świata przed potopem lub dzieje Abrahama i pozostałych patriarchów, skoro go przy tym nie było. Obrońcy wiarygodności Pięcioksięgu odpowiadali, że Mojżesz otrzymał nadprzyrodzoną wiedzę od Boga, ale nie wszystkich to zadowalało.

**Spory zaostrzyły się w XIX w.**

Tak, ale rozróżnijmy próby negacji Biblii od jej racjonalizowania.

**No to zacznijmy od racjonalizowania Biblii.**

Ślady tej tendencji rozpoznajemy w tekście jednej z naszych pięknych kolęd, gdy śpiewamy: „Ach, witaj Zbawco z dawna żądany, cztery tysiące lat wyglądany". Jest to nawiązanie do „osiągnięcia" anglikańskiego biskupa irlandzkiego Jamesa Usshera (1581–1656), który, idąc z prądem oświecenia, dokonał zbilansowania wszystkich danych chronologicznych zawartych w Biblii. W wyniku żmudnych obliczeń ustalił, że Bóg stworzył świat w 4004 r. przed narodzinami Jezusa Chrystusa. Uznano, że jest to wiarygodna informacja, i weszła ona do polskiej kolędy, którą napisał Franciszek Karpiński. Obecnie wierni śpiewają: „Wiele tysięcy lat wyglądany", nie zdając sobie sprawy, że chodzi o czysto oświeceniowy element naszej tradycji.

**Jednak nie była to krytyka Biblii, tylko próba jej racjonalizacji.**

Oczywiście. Batalię o prawdziwość Biblii zapoczątkował na dobre wiek XIX. Zaważyły dwa zjawiska. Po pierwsze, doniosłe odkrycia archeologiczne.

**Zaczęło się od wyprawy Napoleona na Wschód, który wziął ze sobą naukowców i historyków.**

Tak. To oni stworzyli nową gałąź nauki, znaną jako archeologia. Odczytano pismo klinowe, charakterystyczne dla starożytnej Mezopotamii, a Jean-François Champollion rozszyfrował hieroglify używane w Egipcie. Wszystkie starożytne



eprasa.pl 4eef091ca4

znaleziska natychmiast zaczęto konfrontować z narracją biblijną. Pojawiały się opracowania, które na podstawie znalezisk i starożytnych tekstów kontestowały prawdziwość Biblii, a z drugiej strony ukazywały się książki w stylu: „A jednak Biblia ma rację".

**A drugi czynnik dyskusji nad Pismem Świętym?**

To teoria ewolucji. Niechęć, z jaką ją przyjmowano, wynikała w dużej mierze ze zderzenia z narracją biblijną. Aż do XIX w. Biblia, a w niej opowiadania o stworzeniu świata i człowieka, była rozumiana dosłownie. W kontekście teorii ewolucji doszli do głosu naukowcy, którzy oskarżycielskim tonem wobec narracji biblijnej stawiali sprawę ostro: albo Biblia ma rację, albo Karol Darwin. Tyle że do dzisiaj mówimy o teorii ewolucji, a więc to hipoteza, a nie pewnik. Nikt dotąd nie znalazł ogniwa łączącego najbardziej rozwinięte zwierzę z najbardziej prymitywnym człowiekiem i to jest jedna z głównych słabości teorii ewolucji.

**Jak czytać Biblię w tym kontekście?**

Kiedy uczęszczałem do szkoły podstawowej, w jednym z podręczników był rysunek: najpierw istota podobna do żaby, która potem się przeobrażała i na końcu stała się piękną kobietą, podobną do Marilyn Monroe. Czy to zadowalające rozstrzygnięcie? Jedno nie ulega wątpliwości: świat liczy sobie na pewno o wiele więcej niż 6 tys. lat, licząc 4 tys. lat przed Chrystusem i 2 tys., jakie upłynęły od czasów Chrystusa. Świat ma długą historię i znacznie dłuższą, niewyobrażalnie długą, prehistorię. Dlatego trzeba mądrze odnieść się do biblijnej narracji o stworzeniu świata. Nie jest ona naukowa ani nienaukowa, bo gdy powstawała, nauki przyrodnicze w dzisiejszym tego słowa znaczeniu w ogóle nie istniały. Jest więc przednaukowa. Niedorzecznością byłyby pretensje do biblijnych proroków, że nie poruszali się po Jerozolimie tramwajem, skoro my wiemy, że linia tramwajowa tam nie istnieje. Księgę Rodzaju otwierają nie dociekania z zakresu nauk przyrodniczych, lecz wspaniały hymn ku czci Boga Stworzyciela, oparty na tygodniowym schemacie przeżywania czasu właściwym dla biblijnego Izraela. Był to schemat przyjęty również w liturgii. W drugim rozdziale tej samej księgi mamy opowiadanie oparte na skojarzeniach i wyobraźni oraz istotnych elementach codziennego doświadczenia.

**Zofia Starowieyska-Morstinowa, pisarka katolicka, pisała w 1956 r.: „Powiedział ktoś, że chrześcijaństwo tym różni się od innych systemów religijnych, że nie jest tylko doktryną, ile faktem".**

Fundament i trzon chrześcijaństwa stanowi nie system filozoficzny ani ideologia, lecz osoba Jezusa Chrystusa. On jest, aczkolwiek w odmienny sposób, obecny w obydwu częściach Biblii, czyli Starym i Nowym Testamencie. Tak pojmowali i przedstawiali chrześcijaństwo jego pierwsi głosiciele, czyli apostołowie. Wszyscy mówili bardzo wyraźnie: świadczymy o tym, co widzieliśmy i co przeżyliśmy.

**Czyli nasza wiara zbudowana jest na opowiedzeniu pewnej historii – o życiu Jezusa?**

Benedykt XVI napisał dokładnie to samo, co w latach 50. napisała Zofia Starowieyska-Morstinowa. W centrum chrześcijaństwa nie jest idea, koncepcja, myśl, hipoteza ani nawet szczytna propozycja życiowa. W centrum chrześcijaństwa jest Jezus Chrystus. Dlatego tak bardzo ważne jest świadectwo autorów Ewangelii. To ludzie, którzy byli uczestnikami tego, co wydarzyło się w życiu Jezusa Chrystusa. Uczestnicy i świadkowie – jedno i drugie jest bardzo ważne. Wspominaliśmy, że Łukasz uwierzył później, gdy stał się bliskim towarzyszem św. Pawła, który też „ziemskiego" Jezusa nie znał. Jednak Łukasz, tak samo jak Paweł, miał dostęp do świadectw bezpośrednich uczestników tych wydarzeń. Przejście od statusu uczestników do statusu świadków dokonywało się nie tylko w danym człowieku, lecz także pokoleniowo. Przecież pokolenie uczestników z czasem wymarło, natomiast świadkami, poprzez przyjętą wiarę i sposób postępowania, stawali się także ci, którzy żyli później. Troskliwie i wiernie przekazywali to, co otrzymali, potwierdzając przyjętą wiarę swoim życiem. Bycie chrześcijaninem to nie jakaś filozofia życiowa, opcja światopoglądowa czy maniera kulturowa, gdyż tożsamość chrześcijańska wiązała się z groźbą krwawych prześladowań i utratą życia.

**Czyli dla apostołów najważniejszą troską była wierność świadectwa. Aby nic nie zmieniać, nie przekręcać w relacji o nauczaniu Jezusa. Nie łagodzić niczego ani nie upiększać.**

Zainteresowanie ziemskim życiem Jezusa Chrystusa, jego męką i śmiercią, stanowi fundament wiary w Niego jako Syna Bożego i opiera się na jednej zasadniczej prawdzie: Jezus zmartwychwstał! Tę świadomość mieli autorzy, którzy pisali cztery Ewangelie, bo są one doprowadzone do zmartwychwstania. W centrum nauczania apostolskiego jest przesłanie: jeżeli Chrystus nie zmartwychwstał, to daremna jest nasza wiara i nadal trwamy w swoich grzechach. Jeżeli Chrystus nie zmartwychwstał, to wszystko, co zdarzyło się w jego życiu, nie ma tak wielkiego znaczenia, by w Niego uwierzyć. Co najwyżej wpisuje Jezusa w szereg sprawiedliwych, lecz i tragicznych postaci ukaranych na krzyżu. Wbrew temu Ewangelie i Paweł wołają: Chrystus zmartwychwstał! Historyk chrześcijański nie poprzestaje na tym, że Jezus dokonał czegoś niezwykłego w Kanie Galilejskiej, że komuś przywrócił zdrowie czy pochwalił ubogą wdowę, która wrzuciła parę ostatnich groszy do świątynnej skarbony. To wszystko ważne, ale zasadnicze znaczenie Jego dokonań i nauczania opiera się na tym, kim On jest. Powtórzmy: decydujący jest fakt zmartwychwstania.

**I tym samym prawda stała się pierwszoplanową wartością w cywilizacji łacińskiej?**

Właśnie tak. W Ewangelii Jana mamy słowa: „Poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli" (J 8, 32). I to są słowa, które przytaczał papież Benedykt XVI, kładąc w centrum swego nauczania pojęcie prawdy. Być może jest to w pewnym stopniu pochodna pochodzenia papieża. Po niemiecku sentencja: „Prawda was wyzwoli" brzmi: „Wahrheit macht frei". Hitlerowcy sparodiowali ją w słynnym napisie na bramie Auschwitz i innych obozów śmierci: „Arbeit macht frei" („Praca/robota was wyzwoli"). Dla chrześcijan, którzy wchodzili do piekła obozowego, to bluźnierstwo było dodatkowym upokorzeniem. To, że chrześcijaństwo kładzie tak wielki nacisk na prawdę, było zawsze powodem silnego sprzeciwu wobec tej religii oraz prześladowania jej wyznawców.

**Skąd taka ilość złej woli?**

W świecie, który nienawidzi chrześcijaństwa, normami są relatywizm i subiektywizm. Obie postawy łączy brak poszanowania dla prawdy. Modne są sugestie, że prawdy nie ma, że każdy ma swoją prawdę, a jeśli nawet prawda istnieje, to nie można jej poznać. Paradoks polega na tym, że jako pewnik i jedyną prawdę głosi się to, iż żadna prawda nie istnieje.

**A z tezy, że nie ma prawdy, płynie kolejna sugestia: że każdy może pojmować Chrystusa tak, jak chce.**


eprasa.pl 4eef091ca4

Na takim podglebiu mnożą się zachęty, aby każdy wybrał sobie z nauczania Jezusa to, co uważa za stosowne – niczym danie ze szwedzkiego bufetu. Tak wszystko się rozmywa, a chrześcijaństwo przestaje być głosicielem i strażnikiem prawdy. W rezultacie staje się jedną z wielu ideologii.

**Dochodzimy do sytuacji, w której sama zachęta do czytania Biblii w oczach relatywistów staje się groźna.**

Dla inżynierów rewolucji obyczajowej Biblia jako podstawa wiary religijnej jest niebezpieczna, bo utrudnia wypaczanie zasad, na jakich zostały zbudowane nasza cywilizacja i tradycyjna kultura. Dla chrześcijan czytanie Biblii jest zobowiązaniem do świadczenia o zawartych w niej prawdach, co idzie pod prąd mocno forsowanej sekularyzacji. Gdy niedawno szwedzki pastor przytoczył w kazaniu cytaty z Biblii na temat homoseksualizmu, stanął za to „przestępstwo" przed sądem.

**Słyszymy o dyskusjach w niektórych wspólnotach protestanckich, aby zmienić tekst Biblii w kierunku gender lub sfeminizować imię Boga. Inni teolodzy, także katoliccy, proponują, by przejrzeć Nowy Testament pod kątem wypowiedzi mogących wzbudzać antysemityzm, np. fragment o tym, że po męce Chrystusa apostołowie zamknęli się w Wieczerniku „w obawie przed Żydami".**

Skoro lękali się do tego stopnia, że zamykali za sobą drzwi, to z obawy przed kim? Nie wystarczy coś zanegować, lecz trzeba rozsądnie i rzeczowo wyjaśnić. Niedawno jeden z Polaków powracających z USA opowiedział mi, jak poszedł na mszę do amerykańskiego kościoła katolickiego w okresie Wielkanocy i usłyszał ten cytat w formie: „Drzwi były zamknięte". Po mszy udał się do księdza i zwrócił uwagę, że czytanie było niepełne. Usłyszał, że kapłan otrzymał zalecenie od swego biskupa, by odczytywać ten fragment właśnie w ten sposób po to, aby nie wzbudzać czy prowokować antysemityzmu.

**Czyli stoimy wobec cenzurowania Ewangelii?**

Cenzurowanie to zdrada Biblii. Rzecz w tym, aby takie fragmenty Ewangelii objaśnić wiernym we właściwy sposób. Wyjaśnić, że pierwsi chrześcijanie w Jerozolimie, którzy byli Żydami, napotykali trudności i sprzeciw ze strony innych Żydów, którzy w Jezusa nie uwierzyli. Ten cytat to wymowne świadectwo napięć, jakie istniały i dawały dotkliwie o sobie znać w obrębie wielopostaciowego judaizmu I w., którego częścią byli judeochrześcijanie.

**Jak dokonuje się takich amputacji?**

Podam jeden przykład. W Jerozolimie jest kościół św. Piotra o Pianiu Koguta (Sancti Petri in Gallicantu). Według tradycji starochrześcijańskiej znajduje się on na miejscu domu arcykapłana Kajfasza, w którym odbył się sąd nad Jezusem. Za ołtarzem umieszczono duży wizerunek przedstawiający sąd nad Jezusem dokonany przez Sanhedryn. Pierwotnie był tam napis po francusku: „A wszyscy osądzili: Winien jest śmierci". Ponieważ uznano, że napis jest niepoprawny politycznie, został zasłonięty drewnianym przepierzeniem. I teraz mamy tylko obraz, natomiast cytat z Ewangelii został całkowicie zasłonięty. Wykreśla się też z Ewangelii Jana słowo „Żydzi". Ponieważ występuje tam często i w różnych kontekstach, po takiej amputacji nie można zrozumieć, że chodzi o napięcia między Żydami, którzy w Jezusa uwierzyli, a tymi, którzy Go odrzucali.

**Coraz częstsze jest wpisywanie Biblii i jej bohaterów w porządek ludzki. Tymczasem powstała z wiary i w celu budowania wiary**

**A w kościołach lokalnych nikt nie pilnuje wierności tekstowi Nowego Testamentu?**

O ile do Soboru Watykańskiego II obowiązkowe było tzw. imprimatur, czyli autorytatywne kościelne zatwierdzenie wydań Biblii i książek teologicznych, o tyle obecnie powstają najróżniejsze tłumaczenia Pisma Świętego i opracowania na jego temat, czasami nawet na użytek liturgiczny, nad którymi nikt nie panuje. Najbardziej dotyka to świata anglosaskiego i niemieckojęzycznego. W Polsce dużym problemem są ilustrowane wydania Biblii oraz jej streszczenia dla dzieci i rodzin tłumaczone z różnych protestanckich wersji zachodnich, dostępne w supermarketach i kioskach. Są dość tanie, bo wydawane w ogromnych nakładach. Dowolność interpretacji tekstów biblijnych posuwa się w nich bardzo daleko. Najczęściej nie podlegają żadnej kontroli Kościoła, a wychodzą naprzeciw kanonom politycznej poprawności. Tymczasem niczego niepodejrzewający rodzice kupują je swoim pociechom.

**Czy próby poprawiania Biblii zdarzały się wcześniej?**

Wcześniej Biblia nie musiała się zmagać z próbami aż tak rażących nadinterpretacji jak te, z jakimi mamy do czynienia w ostatnim półwieczu. Nie jest to wina Soboru Watykańskiego II, lecz jego wypaczonej recepcji i interpretacji, wręcz falsyfikacji jego nauczania.

Benedykt XVI powiedział, że był „Sobór Ojców" i „Sobór mediów". Niestety, „Sobór mediów" przebił się bardziej do świadomości wielu wiernych i duchownych niż „Sobór Ojców". Ofiarą tego nieporozumienia stała się również Biblia. Nieprzypadkowo wiele ważnych dokumentów Papieskiej Komisji Biblijnej oraz wypowiedzi Jana Pawła II i Benedykta XVI dotyczą interpretacji Pisma Świętego. Podstawowym wyzwaniem dla dzisiejszej biblistyki jest kwestia hermeneutyki, czyli sztuki interpretacji Biblii. W wielu przypadkach można ów problem streścić cytatem: „Zabrano Pana i nie wiemy, gdzie Go położono". Coraz częstsze jest wpisywanie Biblii i jej bohaterów w porządek czysto ludzki. Tymczasem Biblia powstała z wiary i w celu budowania wiary. Nie dowodzi ona istnienia Boga, bo traktuje to jako oczywistość, lecz wzywa do czegoś, co jest znacznie trudniejsze, a mianowicie do pełnego zawierzenia Bogu i związania z Nim swego życia.

**Jak wygląda kształcenie księży w seminariach w Polsce pod kątem wiedzy o Biblii?**

W jednych jest lepiej, w innych gorzej. Mam jednak wrażenie, że w ciągu ostatnich lat postępują pewne zmiany na gorsze. W większości seminariów zlikwidowano naukę hebrajskiego i greki, a nawet łaciny, które dopiero od niedawna znowu wracają, ale mocno okrojone. To skazuje kleryków wyłącznie na teksty dostępnych tłumaczeń. Aczkolwiek jest kilka seminariów, gdzie poziom biblistyki pozostaje wysoki, a wykładowcy przykładają wagę do formacji biblijnej na odpowiednim poziomie, jednak w innych sytuacjach pozostawia sporo do życzenia. Tymczasem Biblii i wierności wobec jej tekstu oraz orędzia musimy strzec za każdą cenę. Bez tej wierności będziemy oddalać się od prawdy. Benedykt XVI powiedział: „Upada sam Kościół, jeśli nie znamy Jezusa Chrystusa".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl 4eef091ca4



*Wojciech Wybranowski*

# Dzień z życia Komendanta

**Sympatycy z nieskrywanym uznaniem nazywają go Naczelnikiem lub Komendantem, przeciwnicy – dyktatorem. Jaki jest Jarosław Kaczyński? Jak wygląda jego dzień?**

Dokładnie rok temu serwis Politico umieścił Jarosława Kaczyńskiego na czwartym miejscu na liście osób, które w 2017 r. będą odgrywać najważniejszą rolę w Europie, podkreślając, że jego znaczenie będzie rosnąć.

Dwanaście miesięcy później można mieć już pewność, że serwis się nie pomylił: decyzjami i działaniami Kaczyńskiego ekscytują się media na całym świecie.

## KOTY I NOWY KONIK PREZESA

W jednorodzinnym, piętrowym domku przy ul. Mickiewicza Jarosław Kaczyński – co nie jest żadną tajemnicą – mieszka sam, nie licząc oczywiście towarzyszących mu prawie całe życie kotów. Najsłynniejszy z nich to czarny jak smoła Czaruś, który stał się gwiazdą telewizyjnych relacji po tym, jak latem tego roku dumnie zaprezentował się w oknie demonstrującym pod nim przeciwnikom rządu PiS. Jednak są też bura kotka Fiona i wpadający z wizytą Feliks – rudy kocur sąsiadów. A znajomi Kaczyńskiego mówią, że trudno byłoby tak naprawdę zliczyć wszystkie koty, którymi się opiekował. – Po powstaniu PiS przez pewien czas Jarosław część swojej pensji przekazywał znajomym paniom na zakup karmy dla bezpańskich, porzuconych kotów – opowiada nam dawny współpracownik prezesa PiS.

Dla futrzanych przyjaciół Kaczyński ma czas w zasadzie dopiero późnym wieczorem. Zwyczajny, roboczy dzień Naczelnika wypełniony jest bowiem spotkaniami, naradami i obowiązkami parlamentarnymi. Zaczyna się zwykle ok. dziewiątej rano szybką herbatą i śniadaniem, które prezes PiS robi sobie sam, plotki mówią o kanapkach z serkiem Almette i jajecznicy. Później przyjeżdża samochód z kierowcą i ochroną. Kierowców, których jest dwóch, lider rządzącej partii traktuje jak przyjaciół, bywa na uroczystościach w ich rodzinach, pamięta – jak mówią nasi rozmówcy – imiona ich dzieci, interesuje się sytuacją rodzinną. Ponoć zawsze siada na przednim siedzeniu.

– Jeszcze niedawno bardzo dużo jeździł po Polsce i lubił to robić, nawet kilkugodzinna podróż w nocy nie była dla niego problemem. Jak udawaliśmy się pod Berlin na spotkanie z kanclerz Merkel, upierał się, żeby jechać samochodem – mówi nam człowiek z najbliższego otoczenia Kaczyńskiego.

W rozmowie z „Do Rzeczy" zdradza, że jeszcze niedawno, gdy Kaczyński cieszył się lepszym zdrowiem, w wolne od politycznych zajęć weekendy prosił kierowcę, by pojechał z nim w teren, żeby obejrzeć, jak zmieniają się miasteczka i wsie Mazowsza. – Chyba ma to związek z jego pasją, której oddaje się od kilku lat, czyli architekturą. To jego prawdziwy konik, co było widać chociażby na kongresie PiS latem tego roku w Przysusze, gdzie mówił o estetyce małych miasteczek i wsi – przekonuje nasz rozmówca. – Z architektami Kaczyński potrafi spędzić cały wieczór, rozmawiając o tym, jak przestrzeń publiczna wygląda w innych krajach Europy, co trzeba zrobić, żeby w Polsce ukrócić samowolki budowlane – dodaje.

A inny dorzuca, że Kaczyński lubi też oglądać, najciekawsze nawet zbiera, mapy historyczne obrazujące przemiany polityczne, gospodarcze i społeczne.

## PANI BASIA I TURECKI CZAJ

Samochodowe podróże Kaczyńskiego w Polskę to czas weekendu. W tygodniu prezes dużo czasu spędza w siedzibie partii przy ul. Nowogrodzkiej. Teraz, gdy nie sprawuje żadnych stanowisk państwowych, pojawia się w biurze kilka minut po 10, czasem bliżej 11. Oczywiście bywają dni, kiedy pracę zaczyna dużo wcześniej, np. w miesięcznice katastrofy smoleńskiej, gdy bierze udział w mszach św. w intencji ofiar katastrofy. Wyjątkiem jest też 18 każdego miesiąca, kiedy to odwiedza grób brata na krakowskim Wawelu.



eprasa.pl 4eef091ca4



FOT. TOMASZ ADAMOWICZ/GAZETA POLSKA/FORUM

Na Nowogrodzką wchodzi tylnym wejściem, wita się ze wszystkimi pracownikami i znika w gabinecie. Wtedy też – o ile nie jest spóźniony – jest czas dla słynnej pani Basi, dyrektor biura Kaczyńskiego, która ustala z nim harmonogram spotkań i plan kolejnych dni, przynosi też dokumenty do podpisu.

– Jarosław Kaczyński i pani Barbara Skrzypek pracują ze sobą już chyba ze 30 lat. Pamiętam ją jeszcze z chudych lat 90., poznałem ją bodajże w 1993 r., kiedy to znaleźliśmy się poza parlamentem. Spotkania i narady odbywały się wówczas w małym pomieszczeniu w starej willi na Mokotowie, w kiepskich warunkach lokalowych i finansowych, a ona już wówczas trwała na posterunku przy Kaczyńskim – mówi nam eurodeputowany Ryszard Czarnecki.

Barbara Skrzypek współpracowała z Kaczyńskim już w 1990 r., kiedy kierował on kancelarią Lecha Wałęsy. Gdy odchodził z Kancelarii Prezydenta, odeszła wraz z nim. Dzisiaj jest jedną z najważniejszych osób na Nowogrodzkiej. – Stanowi poważny procent politycznego potencjału prezesa. Proszę sobie wyobrazić, że biuro poselskie Kaczyńskiego dostaje miesięcznie tyle pism co KPRM. Ona je wszystkie przegląda, sugeruje, na kogo je zadekretować, umawia spotkania z posłami, dyplomatami, którzy dość często odwiedzają Kaczyńskiego, pilnuje terminów wyjazdów w Polskę – opowiada nam współpracownik lidera PiS.

Co ciekawe, nasze źródła mówią, że Jarosław Kaczyński – inaczej niż wielu polityków – nie zaczyna dnia od zapoznania się z prasowymi doniesieniami, gazety przegląda, ale ich szczegółową lekturę zostawia sobie na wieczór. Rzadko też ogląda programy informacyjne, choć telewizor stoi w jego gabinecie.

– Lubi czytać gazety, ale wyłącznie w wersji papierowej. Czyta „Wyborczą", kiedyś czytał regularnie „Rzeczpospolitą", choć teraz rzadziej sięga po ten tytuł. No i oczywiście tygodniki. Przegląda, a jeśli jest coś, co go zainteresuje, to zaznacza i zabiera do domu, żeby się z tym w spokoju zapoznać – mówi nasz informator.

Chwilę po tym, gdy pani Barbara już opuści gabinet prezesa, zaczynają się spotkania, narady, nasiadówki i rozmowy z petentami oraz zaproszonymi gośćmi. Zawsze towarzyszy im herbata – ulubiony napój Jarosława Kaczyńskiego. Jaką pije? Na co dzień mocną i aromatyczną w typie earl grey. Prezes PiS nie uznaje zielonej herbaty, którą uważa za dość paskudne w smaku ziółka. Nie lubi też kawy.

– Wszystkie ważniejsze rozmowy z udziałem Jarosława Kaczyńskiego, zwłaszcza te w jego gabinecie, są zawsze przy herbacie. Niezorientowane osoby, które usiłowały poczęstować prezesa kawą, zawsze napotykały szeroki uśmiech i odpowiedź odmowną – wspomina poseł Jerzy Polaczek, minister transportu w rządach Marcinkiewicza i Kaczyńskiego. Naczelnik nie podjada ponoć przy tym słodyczy –



eprasa.pl 4eef091ca4

choć niektóre media sugerowały, że jest łasuchem. Za to herbata to jego prawdziwa słabość, wypija jej codziennie co najmniej kilka szklanek.

– Kiedyś w pobliskim tureckim bistro kupowaliśmy dla prezesa prawdziwy aromatyczny czaj. Bardzo mu zasmakował, więc staraliśmy się, by przed każdą ważniejszą nasiadówką było zabezpieczonych dla niego kilka szklaneczek naparstków czaju. Próbowaliśmy też robić go sami, ale nigdy nie wychodziło nam tak dobrze jak temu Turkowi – opowiada nam jeden z byłych rzeczników Prawa i Sprawiedliwości.

## PRZYDROŻNE KNAJPKI

Polityczne rozmowy z Kaczyńskim nie są łatwe. Zwłaszcza jeśli dotyczą układanek w Sejmie, ewentualnych sojuszy i wewnątrzpartyjnych rozgrywek. Ponoć w ostatnim czasie prezesowi, który dotąd uchodził za wzór ogłady, zdarza się nie przebierać w słowach. Nasze źródła mówiły o ostrej awanturze, jaka towarzyszyła np. spotkaniu Kaczyńskiego z Macierewiczem, gdy lider PiS domagał się m.in. odsunięcia Misiewicza. – Twardy zawodnik potrafiący wykorzystywać przewagę psychologiczną. Do tego potrafi uwodzić ludzi, którzy wcześniej podchodzili do niego z dystansem. Nic nie wskórają, a wychodzą z przekonaniem, że zrobili w swojej sprawie, co tylko się dało – ocenia jeden z posłów PiS.

Inny z polityków obozu dobrej zmiany sugeruje, jak zdobyć jeśli nie życzliwość, to przynajmniej zainteresowanie Kaczyńskiego. Otóż na spotkanie z prezesem, jeśli ma ono dotyczyć sprawy merytorycznej, a nie politycznej, warto zaopatrzyć się w raport z danymi statystycznymi dotyczącymi sprawy. – To zwiększa szanse, że Kaczyński się tym zainteresuje. Ma dobrą pamięć, wciągają go statystyki, pamięta takie dane jak PKB per capita 50 największych gospodarek światowych. Zdarzało mu się, podczas długich dyskusji, złapać któregoś z ministrów na podaniu nieprawdziwych liczb. Zawsze uczulam każdego, kto idzie do niego pierwszy raz, by wszystkie statystyki mieć dokładnie sprawdzone, bo jest spore ryzyko, że prezes będzie je znał – mówi nasz rozmówca

O fenomenalnej pamięci Kaczyńskiego słyszymy od jego współpracowników wielokrotnie, i to przy różnych okazjach. – Proszę sobie wyobrazić, że pamięta szczegóły naszego spotkania przy jakiejś okazji, które miało miejsce kilkanaście lat temu – twierdzi poseł prof. Krystyna Pawłowicz w rozmowie z „Do Rzeczy". Opowiada też, że Kaczyński świetnie pamięta swoich kolegów i wykładowców z Wydziału Prawa UW, na którym studiował i na którym też – później – pracowała prof. Pawłowicz. W wielu przypadkach wie, co się z nimi dzieje i jak potoczyły się ich losy.

Inną anegdotkę, która ma potwierdzać dobrą pamięć Kaczyńskiego, opowiada nam z kolei Ryszard Czarnecki. Lider PiS ma ponoć do dziś wypominać mu wspólną podróż na jedno ze spotkań politycznych do Szczecina w 1993 r. – Podróż trwała bardzo długo, ponad sześć godzin, prezes mówi, że to przeze mnie, bo ponoć co chwila domagałem się, żeby stanąć gdzieś na jedzenie. Miałem go rzekomo przekonywać do jakiejś pizzerii. I od tego czasu ma mnie za żarłoka – śmieje się eurodeputowany.

Jeżeli Kaczyński nie jedzie do Sejmu albo na spotkania na mieście, to narady w jego biurze trwają do późnego wieczora z krótką przerwą na obiad, który zjada w samotności. Przynoszą mu go pracownicy Nowogrodzkiej z pobliskiego „niebieskiego bufetu". To proste dania: zupa, pierogi – za którymi prezes PiS podobno przepada – kotlet schabowy, frytki lub bigos.

Być może w polskiej kuchni prezes Kaczyński zasmakował w czasie swoich podróży po Polsce. Nasi rozmówcy, którzy towarzyszyli w nich liderowi partii, mówią, że praktycznie w każdym regionie kraju ma swoje ulubione, najczęściej przydrożne knajpki, w których wie, co i jak podane można zjeść.

## NA SALONACH

Jarosław Kaczyński przez wielu swoich znajomych uważany jest za pracoholika. W latach 2006–2007, gdy był szefem rządu, rzadko wychodził z KPRM przed godz. 22, pracował w soboty, a w niedziele jechał w Polskę. Obecnie, jeżeli na Nowogrodzkiej trwają ważne polityczne „nasiadówki", pracuje do godz. 22–23, jeżeli nic się nie dzieje – wychodzi ok. 20–21. Rzadko kiedy wraca jednak prosto do domu. Dlaczego? Bo po wyjściu z biura zaczyna się realizowanie zobowiązań polityczno-towarzyskich: spotkań czy kolacji w gronie przyjaciół.

Kilka lat wcześniej Kaczyński miał stosunkowo często bywać w warszawskiej restauracji La Boheme, to tam też ponoć przekonywał Zytę Gilowską, by weszła do rządu PiS. Kilka miesięcy temu tygodnik „Sieci" pisał, że prezes PiS wybrał się w towarzystwie Jarosława Gowina do

**Gdy przychodzi z wizytą, prawie zawsze przynosi kwiaty, często butelkę wina. Jest prawdziwym lwem salonowym**

serwującej dania kuchni molekularnej snobistycznej restauracji Momenty prowadzonej przez Wojciecha Modesta Amaro. Kaczyński ma też mieć swoją ulubioną restaurację rybną w Szczecinie, do której wpada, goszcząc u Joachima Brudzińskiego. Ten, pytany przez „Do Rzeczy", ucina krótko: – Proszę mi wybaczyć, ale odmawiam odpowiedzi na wszystkie pytania dotyczące prezesa. Współpracujemy już tyle lat, że byłoby niegrzeczne z mojej strony, gdybym opowiadał mediom o szczegółach tej znajomości.

Kaczyński nie przepada jednak za spotkaniami w restauracjach, wielkimi bankietami, koncertami czy pokazami. Nie lubi zainteresowania, jakie budzi, natrętnych pytań, gestów. Od wielkiego święta pojawia się na takich imprezach jak tegoroczny koncert Andrei Bocellego czy podczas szczecińskich regat „The Tall Ships Races 2017".

Za to – zdaniem naszych rozmówców – ma przepadać za biesiadami w mieszkaniach znajomych i spotkaniami na „mieszczańskich salonikach intelektualnych". Gdzie? Często bywa w warszawskim „saloniku" Anny Bieleckiej, gdzie gośćmi bywają też m.in. mec. Wiesław Johann, prof. Piotr Gliński, prof. Zdzisław Krasnodębski. W Krakowie często spotyka się z prof. Ryszardem Legutką, którego ma uważać za wybitnego erudytę, bywa też gościem intelektualnych salonów prof. Marii Dzielskiej – międzynarodowej sławy historyk specjalizującej się w dziejach Bizancjum i antycznego Rzymu.

– Gdy przychodzi z wizytą, prawie zawsze przynosi kwiaty, często butelkę wina. Jest prawdziwym lwem salonowym, szarmanckim, kulturalnym, zawsze znajdzie czas, by pochwalić kuchnię pani domu czy skomplementować ją samą. Kobiety zawsze są zachwycone. W dodatku szybko potrafi wciągnąć się w dyskusję o geografii, historii, jest prawdziwą kopalnią anegdot i dykteryjek politycznych, więc nie jest mu trudno stać się duszą towarzystwa – opowiada jeden z byłych spin doktorów PiS.

Brylowanie na salonach niewątpliwie ułatwia Kaczyńskiemu oczytanie. Nasi


eprasa.pl 4eef091ca4

rozmówcy mówią, że świetnie zna literaturę klasyczną, Sienkiewicza, Prusa i Kraszewskiego, stara się też być na bieżąco z najważniejszymi nowościami literackimi. – W 2007 r., tuż przed wyjściem Marka Jurka z PiS, zorganizowałem w moim mieszkaniu w Warszawie jego poufne spotkanie z prezesem Kaczyńskim. Panowie negocjowali warunki dalszej współpracy, przy czym w pewnym momencie wdali się w bardzo szeroką dyskusję na temat literackich nowości wydawniczych i kulturalno-naukowych wydarzeń ówczesnego sezonu – wspomina poseł Jerzy Polaczek.

Przedwojenna kindersztuba Kaczyńskiego nie oznacza jednak, że salonowe spotkania z jego udziałem przypominają saloniki churchillowskie. Ponoć Kaczyński nie lubi, gdy kobiety w kąciku chcą dyskutować o „babskich sprawach", oddając pole mężczyznom. Jak w trakcie takiego towarzyskiego spotkania skutecznie wyprowadzić prezesa PiS z równowagi? To ponoć proste – wystarczy rozsiąść się wygodnie i podczas gdy kobiety biegają z pokoju do kuchni, sprzątając talerze, zachęcić mężczyzn do dyskusji. – On takiego modelu nie znosi. Zachęca kobiety, by usiadły przy stole, wciąga je do dyskusji. Nie bywa w miejscach, gdzie podczas towarzyskiego wieczoru następuje podział na „niewiasty i „rozpolitykowanych mężczyzn" – mówi jeden z uczestników „wieczorów z Kaczyńskim".

Szarmancki, w dzisiejszych czasach mogący być niekiedy uważany za staroświecki, stosunek Kaczyńskiego do kobiet jest dość powszechnie znany. Chociaż zdarzają się też sytuacje, gdy kobieta już nie łagodzi obyczajów i Kaczyński wybucha. Niedawno w Sejmie rzucił pod adresem posłanki Kamili Gasiuk-Pihowicz: „Won!".

– Kiedyś, podczas spotkania, którego uczestnikiem był też prezes Kaczyński, zauważyłam, że stoi sam, więc podeszłam, mając pewną sprawę do załatwienia. Na nieszczęście bolało mnie gardło i ssałam tabletkę. Zauważył, że mam coś w ustach, kiedy do niego mówię, i strasznie się zdenerwował. Oj, jak on wtedy wybuchł: „Jak tak możesz?!" – krzyczał. Bardzo ostro zareagował – opowiada nam jedna z posłanek PiS. Dodaje, że próbowała się wytłumaczyć, ale bez skutku.

## RODEO JUŻ JEST PASSÉ

Jeżeli nie uczestniczy w spotkaniach towarzyskich, to wraca z biura do domu ok. 23. Zawsze z teczką wypchaną dokumentami i gazetami do przeczytania. Karmi koty, włącza telewizor – by coś grało w domu, zaparza kolejną herbatę i zabiera się do pracy: podpisuje materiały, wydzwania do posłów, instruuje, jak mają wyglądać kolejne działania.

– Kiedyś oglądał Republikę, teraz raczej TVP Info. Jeśli ogląda programy publicystyczne, to raczej powtórki, irytuje go, gdy któryś z posłów PiS robi z siebie melepetę w telewizyjnych debatach. Gdy uznał, że w takim programie któryś z naszych posłów wypadł fatalnie, zdarzało mu się dzwonić do mnie z pretensjami, że takiego „łosia" wysłaliśmy – opowiada nam jeden z byłych rzeczników PiS.

Krótko przed położeniem się do łóżka – co ma miejsce ok. 2–3 w nocy – ogląda telewizję. Jakiś czas temu w wywiadzie dla Superstacji powiedział, że lubi patrzeć na pokazy rodeo. – Bardzo mnie to bawi, a w szczególności wtedy, kiedy komentator opisuje byki, ale tak je opisuje, jakby to byli ludzie – mówił wówczas prezes PiS. Nasi informatorzy mówią jednak, że ta rozrywka już Kaczyńskiego nie bawi. Dlaczego? Ponoć w transmitującej ujeżdżanie byków stacji telewizyjnej zmienił się komentator, a ten nowy już nie potrafi tak personifikować byków jak poprzednik.

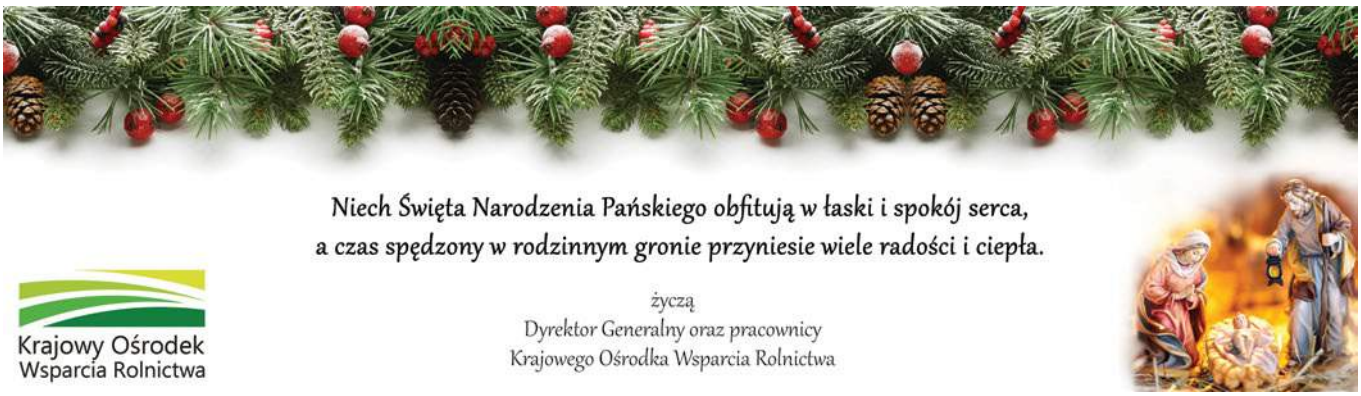
Wolnego czasu w życiu Komendanta jest niewiele. W soboty i niedziele często jeździ w Polskę, regularnie odwiedza na Powązkach grób mamy – Jadwigi Kaczyńskiej. Wakacje od lat spędza bardzo schematycznie: najpierw wizyta u bliskiej przyjaciółki rodziny Hanny Foltyn-Kubickiej na Pomorzu, później wypad na ryby na Pojezierzu Drawskim z Brudzińskim i Czesławem Hocem. W tym roku wybrał się też z kilkoma współpracownikami w Beskid Sądecki. – To była jednodniowa wyprawa, pobyt na małej daczy, ognisko. Spotkanie na luzie, jak to jest na biwaku. Niezwykłe przeżycie, bo prezes potrafi rozmawiać na każdy temat piękną polszczyzną, niezwykle dowcipnie – dzieli się wrażeniami z „Do Rzeczy" poseł Michał Jach.

Do mediów, za sprawą zdjęcia wrzuconego na Twittera przez jednego z uczestników wyprawy, przebiły się biało-czerwone peleryny, które w deszczowy dzień założyli Kaczyński i jego otoczenie. Zrobiły prawdziwą furorę. Krótko po całym zdarzeniu producent przyznał, że ich sprzedaż znacząco wzrosła.

Nadchodzące święta Bożego Narodzenia nie będą dla Jarosława Kaczyńskiego radosnym przeżyciem. Znajomi mówią, że ze szczególną siłą wracają do niego wówczas wspomnienia mamy – u której, gdy żyła – zawsze spotykała się cała rodzina, brata Lecha i jego małżonki Marii. Zapewne, podobnie jak w poprzednich latach, jeden dzień spędzi u kuzyna Jana na Saskiej Kępie, później przyjedzie do niego bratanica Marta wraz z dziećmi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA






eprasa.pl 4eef091ca4

# Pierwsza rodzina



*Agnieszka Niewińska*

**U Dudów wspominano prapradziadka – żołnierza w wojsku austriackim. U Milewskich Piłsudskiego, bo ojciec mamy prezydenta był oficerem Marszałka. Dom prezydenta był jednak ponad wszystko profesorski**

Każda z wigilijnych potraw jedzona ze wspólnej miski – tego z pewnością nie zabraknie na wieczerzy pary prezydenckiej. Taka jest wieloletnia tradycja w rodzinie Dudów. – To jest symbol wspólnoty, podkreślenie tego bycia razem w tak szczególnym dniu – opowiada „Do Rzeczy" ojciec prezydenta prof. Jan Duda. – W moim rodzinnym domu właśnie tak wyglądała Wigilia. Mojej żonie się to bardzo spodobało – dodaje prof. Duda.

Para prezydencka w nagranym dla Caritas filmie zachęcała do wsparcia akcji Wigilijne Dzieło Pomocy Dzieciom, w ramach której można kupić charytatywne świece. – Świeca Caritas zapłonie także w Pałacu Prezydenckim i przy naszym wigilijnym stole – zadeklarował prezydent Duda. Czy do wigilijnej wieczerzy pierwsza para zasiądzie tak jak w ubiegłym roku w rodzinnym Krakowie? – To jeszcze nie jest rozstrzygnięte, ale dostosujemy się do dzieci – zdradza prof. Jan Duda.

## Z JARMARKU NA RYNEK

W domu Andrzeja Dudy połączyły się atmosfery domów rodziny ze strony ojca i Milewskich – z której pochodzi mama głowy państwa – Janina Milewska-Duda. U Dudów wspominano pradziadka prof. Jana Dudy – żołnierza w wojsku austriackim. U Milewskich żywe były opowieści o Piłsudskim, bo ojciec mamy prezydenta – Nikodem Milewski – był oficerem Marszałka. Dudowie mieli skromniejsze warunki materialne, wielki szacunek dla pracy. Milewskich o szlacheckich korzeniach wyróżniało celebrowanie uroczystości rodzinnych, dbałość o szczegóły.

Ojciec prof. Jana Dudy, a dziadek prezydenta – Alojzy Duda – to góral z Zarzecza. Po założeniu rodziny osiadł w Starym Sączu. Był czeladnikiem kuśnierskim. Myślał o własnym zakładzie, w którym szyłby kożuchy i ciepłe rękawice, ale po II wojnie światowej plany te pozostały w sferze marzeń. Alojzy Duda znalazł zatrudnienie w Spółdzielni Pracy w Starym Sączu. Rodzina była liczna – sześcioro dzieci – więc żeby spiąć domowy budżet, Alojzy Duda wieczorami razem z żoną szył na sprzedaż rękawice. – Z dzieciństwa zapamiętałem ojca, który całymi dniami pracował – wspominał w książce „Rodzice prezydenta" prof. Duda. Dom dbał o wykształcenie dzieci. Nie brakowało książek. Po każdej wypłacie u Dudów pojawiała się jakaś nowa pozycja, były też gazety.

Prezydent Duda jako dziecko spędzał sielskie wakacje u dziadków w Starym Sączu. Z dziadkiem Alojzym chodził na jarmark, na którym sprzedawano zwierzęta gospodarskie, by poobserwować zwierzęta i zawierane transakcje. Zakupy robili na „rynku maślanym", gdzie okoliczni rolnicy handlowali produktami z własnej zagrody.

Rodzina Milewskich pochodzi z okolic Białegostoku i Sieradza. W ramach carskich represji została pozbawiona majątku. Prapradziadek prezydenta ze strony mamy przeniósł się więc do Warszawy, jego syn Nikodem urodził się właśnie w stolicy, ale po wojnie w niej nie osiadł. Kiedy wrócił do miasta po wojennej zawierusze, zobaczył dom obrócony w ruinę. Okazało się też, że żona myśląc, że jej małżonek zginął, wyszła po raz drugi za mąż. Nikodem Milewski dołączył do swojego rodzeństwa w Radomsku i także ponownie się ożenił – z poznaną tam Zenobią Wiśniewską.

## DOKTORAT W ŁAZIENCE

Rodzice prezydenta poznali się w Jaworznie. Profesor Jan Duda, wówczas student Akademii Górniczo-Hutniczej, został wysłany na praktyki robotnicze do miejscowej kopalni. Janina Milewska – studentka Politechniki Łódzkiej – przyjechała do domu rodzinnego. Nie zastanawiali się długo nad małżeństwem. Janina Milewska nie skończyła jeszcze studiów, kiedy stanęli przed ołtarzem. Przez rok żyli na odległość – między Łodzią a Krakowem. Później zamieszkali pod Wawelem. Dostali pracę na AGH i mieszkanie w hotelu asystenckim – malutkie, dziewięciometrowe. Mieszkali w nim przez dziewięć lat. Tam wychowywał się pierworodny syn – Andrzej Duda. Rodzice doktoraty pisali w łazience, żeby nie przeszkadzać śpiącym domownikom. Oboje mają dziś tytuły profesorskie. Jan Duda – nauk technicznych, wykłada na Wydziale Zarządzania AGH, Janina Milewska-Duda – nauk chemicznych, związana jest z Wydziałem Paliw i Energii AGH.

– Państwo Dudowie to ludzie wykształceni, elokwentni, oczytani. Chociaż to umysły ścisłe, to doskonale znają utwory narodowych wieszczów, z pamięci cytują dzieła klasyki literackiej. Zresztą w ich krakowskim mieszkaniu jest mnóstwo literatury pięknej, półki uginają się od książek – mówi dr Milena Kindziuk z Instytutu Edukacji Medialnej i Dziennikarstwa UKSW w Warszawie, autorka książki „Rodzice prezydenta". – Z ich codziennym życiem przenikają się także patriotyzm i głęboka wiara. Wszystko jest spójne. To się przekłada bardzo wyraźnie na postawę pana prezydenta, gdy słyszę dzisiaj jego przemówienia, gdy widzę go śpiewającego legionowe pieśni w Święto Niepodległości, wiem, że to nie jest żadna gra, że to wszystko opiera się na wartościach, które wyniósł z rodzinnego domu – mówi dr Kindziuk.

Tego, jak ważna jest dla nich wiara, państwo Dudowie nie kryją. Była zresztą istotna i w domu Milewskich, i u Dudów. Rodzice prezydenta modlili się wspólnie z trojgiem swoich dzieci – bo Andrzej Duda ma dwie siostry, Annę i Dominikę – młodsze odpowiednio o 8 i 16 lat – odmawiali Różaniec, w poście rozważali Drogę Krzyżową, a w adwencie budzili dzieci o świcie i z lampionami maszerowali na roraty. Ojciec pilnował, żeby przynosiły dobre oceny, zwłaszcza z religii i polskiego. Kiedy opowiedzieli o tym Milenie Kindziuk, wywołało to sensację w lewicowej prasie. „Prawa rodzina" – zatytułował okładkowy materiał na ten temat tygodnik „Newsweek", kreując Dudów na katolickich ekstremistów i dewotów o wstecznych poglądach. Doktor Kindziuk z takimi sądami się nie zgadza. – Ich religijność nie jest powierzchowna i na pokaz. Są ludźmi głęboko wierzącymi i kierują się wiarą



eprasa.pl 4eef091ca4

w codziennym życiu. Sama tego doświadczyłam, kiedy przeprowadzałam z nimi rozmowy do książki. Jedno ze spotkań miało się odbyć w weekend, państwo Dudowie jednak grzecznie stwierdzili, że piątek i sobotę chętnie w całości poświęcą na wywiad, w niedzielę jednak nie robią niczego, co wiąże się z pracą. Taką mają zasadę. Gdy dzieci były małe, nie pozwalali im nawet odrabiać lekcji w niedzielę – opowiada.

Prezydent Duda małżonkę – Agatę Kornhauser-Dudę – poznał na imprezie w trzeciej klasie liceum. – Chodziliśmy do konkurujących ze sobą szkół. Nie od razu między nami zaiskrzyło. Nasz związek wykluwał się powoli. Jesienią 1990 r. zostaliśmy parą – zdradził kolorowej prasie prezydent. W 1994 r. wzięli ślub – najpierw cywilny, potem kościelny. Kiedy urodziła się ich córka – Kinga – dziadkowie zarówno pierwszej damy, jaki i prezydenta włączyli się w pomoc młodym rodzicom, którzy jeszcze studiowali. Janina Milewska-Duda wspominała, że w parku przejmowała wózek z wnuczką od ojca pierwszej damy Juliana Kornhausera, który pędził na zajęcia na UJ.

Kornhauserów media często przeciwstawią Dudom. „Poetycki chłód Kornhauserów i gorąca krakowska wiara Dudów" – pisał tuż po wyborach prezydenckich o obu rodzinach wydawany w Krakowie „Dziennik Polski". Ojciec pierwszej damy – Julian Kornhauser – to poeta, krytyk literacki, w latach 70. obok Adama Zagajewskiego czy Stanisława Barańczaka jeden z najbardziej znanych przedstawicieli poetyckiej Nowej Fali. W 1975 r. podpisał list otwarty intelektualistów przeciwko wpisywaniu do Konstytucji PRL kierowniczej roli PZPR i sojuszu z ZSRS. Jego wiersze były odrzucane przez cenzurę i publikowane w drugim obiegu. Żonę Alicję Wojnę-Kornhauser poznał na UJ. On kończył studia, ona zaczynała. O ich ślubie opowiadało sobie pół artystycznego Krakowa.

Dzisiaj ze względu na stan zdrowia Julian Kornhauser nie udziela się w życiu publicznym, ale asumpt do dywagacji na temat światopoglądowych różnic między Dudami a Kornhauserami daje jego syn, poeta i literaturoznawca Jakub Kornhauser – młodszy o 12 lat brat Agaty Dudy. Często pojawia się na łamach „Gazety Wyborczej". Opowiada, że Kornhauserowie i Dudowie są jak ogień i woda. Dziwi się zwolennikom PiS, twierdzi, że niektórzy całowali wyborczego „dudabusa". Zdradza, że nie głosował na szwagra i nie zdziwi się, widząc go postawionego przed Trybunałem Stanu. „Jestem rozczarowany jego prezydenturą. Uważałem, że to jest samodzielny, racjonalnie myślący człowiek. Poglądy ma konserwatywne, ale nie zamordystyczne, wydawał mi się zawsze przedstawicielem katolicyzmu otwartego" – mówił w czerwcu ubiegłego roku na łamach „GW".

Wśród krakowskich polityków, którzy wciągnęli Andrzeja Dudę na pokład PiS, słychać dziś, że to ta rodzinna różnica światopoglądów sprawia, iż pierwsza dama nie zabiera głosu w sprawach publicznych. – Myśmy w ogóle nie wiedzieli, z jakiej rodziny jest Agata, ja sam chyba nawet nie znałem jej rodowego nazwiska – cofa się pamięcią kilkanaście lat wstecz nasz rozmówca związany wówczas z krakowskim PiS. Prosi, by nie podawać jego nazwiska. – Rzeczywiście nie pamiętam, by zdradzała swoje poglądy, wypowiadała się na tematy ideowe, światopoglądowe, ale ja składałem to wtedy na karb charakteru, nauczycielskiej powściągliwości. Nie angażowała się w działalność, tak jak inne żony naszych polityków. Teraz myślę, że ona z domu wyniosła zupełnie inny światopogląd i dlatego jest w cieniu męża – mówi.

Agata Kornhauser-Duda wybrała dyskretny styl sprawowania swojej funkcji. Nie bryluje w kolorowych magazynach, nie udzieliła żadnego wywiadu, strzeże swojej prywatności na tyle, na ile jest to możliwe, gdy jest się pierwszą damą. Pałacową tajemnicą poliszynela jest to, że nie da się nią sterować. Trudno namówić ją do czegoś, do czego nie jest przekonana, nie poddaje się sugestiom tych, którzy chcieliby ją widzieć w roli „królowej ludzkich serc". – Szkoda, bo sprawowanie tej funkcji nie może się sprowadzać do prezentowania się w kolejnych wspaniałych kreacjach, choć oczywiście pierwsza dama musi dobrze wyglądać – mówiła nam osoba związana z obozem rządzącym po tym, jak w mediach gruchnęła plotka, że niezależnie od tego, czy Andrzej Duda zostanie na drugą kadencję w Pałacu, ona wróci do Krakowa.

Swojej prywatności strzeże też prezydencka jedynaczka Kinga Duda – studentka prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim. Nie udziela wywiadów, nie bierze udziału w telewizyjnych show, nie pozuje na ściankach. Na plotkarskich portalach pojawia się głównie wtedy, kiedy ktoś ukradkiem zrobi jej zdjęcie – na spotkaniu z chłopakiem, z papierosem przed budynkiem wydziału albo z kotem u weterynarza.



FOT. JAKUB KAMIŃSKI/PAP

## BEZ POLITYKI

Przy świątecznym stole rodziny Dudów rozmów o polityce nie będzie, bo – jak mówią rodzice głowy państwa – spotkania rodzinne to czas prywatny, w którym Andrzej Duda nie jest panem prezydentem, tylko synem, mężem, wujkiem. Chociaż o sprawowanej funkcji trudno zapomnieć, bo przypominają o niej funkcjonariusze BOR, z których ochrony prezydent nie może zrezygnować.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone



**Z Marcinem Wolskim, dyrektorem TVP2, dziennikarzem, pisarzem i satyrykiem**
*rozmawia Marcin Makowski*

# Jestem czasowo poetą dworskim

**MARCIN MAKOWSKI: Ponoć życiorys ma się jeden, ale u pana jak u kota. Patrząc rano w lustro, widzi pan jeszcze Marcina Wolskiego?**

**MARCIN WOLSKI:** Kiedyś napisałem powieść „Powrót do antybaśni", w której mój bohater – również Marcin Wolski – to zbiorowa kreacja. Jak Obergruppenführer Wolf ze „Stawki większej niż życie". Jednak powiem panu, że to tylko pozory. W rzeczywistości jestem człowiekiem o niespotykanej wręcz stabilności.

**W pędzie do władzy?**

Władza to didaskalia. Przez 67 lat mieszkam stale w jednym miejscu. Blisko 45 lat jestem z jedną żoną i przez prawie 50 lat współpracuję z przerwami z jedną instytucją. Czyli jak na człowieka, który miałby być szalenie labilny, raczej skromny dorobek.

**Pożartowaliśmy, to teraz na poważnie. Walizki spakowane?**

Ja zawsze jestem spakowany. Poza tym utrata pracy boli tylko za pierwszym razem. Kiedy w poranek 13 grudnia 1981 r. wiedziałem, że już nawet nie wpuszczą mnie do radia przy ul. Myśliwieckiej, wtedy przeżywałem.

**A dzisiaj, gdy przyjdzie się pożegnać z szefowaniem telewizyjną Dwójką?**

Nie uprzedzajmy faktów. Nagonka nie oznacza jeszcze pokotu.

**Niczego nie uprzedzam. „Sądzę jednak, że ten czas nie jest długi, nie dłuższy niż półtora roku. […] I można to przyjąć jako moją deklarację" – to pana słowa o kierowaniu TVP2 z lipca 2016 r. Zegar tyka.**

Wszystko się zgadza. Niezależnie od ewentualnych kataklizmów niedługo nie będzie mnie na stanowisku, bo po prostu nie będzie Dwójki.

**Jak to? Całej Dwójki?**

Reforma Telewizji Narodowej nie przewiduje bytu samodzielnych anten. Wyrok zapadł, tylko nie wiadomo, kiedy będzie ogłoszony. Jeśli mam obstawiać, to egzekucja odbędzie się w noc sylwestrową albo noc kupały. Jednak spokojnie – odnajdę się w innym miejscu.

**A takie miał pan plany i ambicje…**

Gdybym był wszechmocnym kreatorem, a nie tylko skromnym pracownikiem winnicy pańskiej, może porwałbym się z motyką na media… Jednak powiem panu szczerze, dlaczego tak się stało. Po prostu wiele moich wyobrażeń na temat możliwości zmian w telewizji uległo zachwianiu, gdy zderzyłem się z brutalnymi realiami.

**I mówi to człowiek, który spędził pół życia w mediach.**

Ujmę to tak: byłem pasażerem kilku statków, pływałem samodzielnie kajakiem, prowadziłem motorówkę, ale nagle przyszło mi przejąć stery wielkiego okrętu. Poza tym czasy się po drodze zmieniły. Wydawało mi się, że wraz z poprawieniem ściągalności abonamentu będzie możliwa telewizja poświęcona tylko misji. Okazało się, że to fikcja, a gdybym zrobił taki kanał, o jakim marzyłem, to mógłbym myśleć maksymalnie o milionie widzów.

**A nie powiedział panu prezes Kurski na starcie: „Słuchaj, Marcin, to nie będzie możliwe. Widzisz, w jakich warunkach pracujemy. Albo to przełkniesz, albo nie bierz roboty"?**

Nie było rozmowy kwalifikacyjnej, zostałem rzucony na głęboką wodę i uczyłem się wszystkiego w biegu.

**Były dyrektor radiowej Jedynki, szycha w Trójce, autor tysięcy słuchowisk i programów telewizyjnych, który nagle dziwi się światem?**

Jestem doświadczony twórczo, ale nie zdawałem sobie sprawy, w jak wielkim stopniu jesteśmy zakładnikami oglądalności. Przecież najlepszy teatr telewizji, puszczany o prime timie, jest w stanie zgromadzić przed telewizorem 500 tys. osób. Podczas gdy „M jak miłość" od kilku lat oscyluje w okolicach 6 mln. Gdybym robił



FOT. GRAŻYNA MYŚLIŃSKA/FORUM



eprasa.pl 4eef091ca4

telewizję tylko dla siebie, pewnie zrezygnowałbym z większości rzeczy, które uważa się za nasze lokomotywy. Jednak nie robię jej dla siebie. I tego musiałem się nauczyć.

**Czuje pan, że poniósł pan porażkę?**

Przeciwnie, odniosłem sukces. Dwójka jest jedyną z dużych anten, której oglądalność wzrosła. Po prostu liczba problemów była większa, a wyzwania pojawiły się niekoniecznie w tych miejscach, gdzie się ich spodziewałem.

**A spodziewał się pan, że Rada Mediów Narodowych i Joanna Lichocka zarzucą panu nieetyczne zachowanie i podpisywanie kontraktów z TVP na własne dzieła?**

Nie chcę spekulować, ale mogę powiedzieć, jakie są fakty. Niech każdy je interpretuje, jak mu się podoba. Zaczęło się od tego, że po trudnych negocjacjach z Robertem Górskim nie udało mi się kupić praw do emisji „Ucha Prezesa". A chciałem je szalenie, bo to był znaczek pluralizmu dla TVP, a może też i sam Górski robiłby swój kabaret bardziej na dwie nogi. Później chciałem robić jego serial pod roboczym tytułem „Janusze", chociaż ja obstawałem za nazwą „Lemingrad". Produkcja mocno osadzona w polskich realiach, a nie coś, co może się dziać wszędzie i nigdzie – tak jak w większości seriali. Gdy to upadło, szukałem czegoś, co mogłoby pójść w podobnym kierunku. W rozmowie z reżyserem ostatniej szopki, Markiem Śledziewskim, zacząłem snuć wizję scenariusza serialu nawiązującego do „Romea i Julii". Tutaj lemingi, tam mohery. Wymyśliłem nawet nazwiska: Kapuleccy i Monteccy. Była też piosenka „Pod wspólnym niebem", nad którą wtedy pracowałem, i ona miała posłużyć jako motyw przewodni serialu. Śledziewski podjął się pracy nad scenariuszem. Ponieważ nie byłem ze wszystkiego zadowolony, zacząłem poprawiać. Kosztowało mnie to wiele nieprzespanych nocy.

**Czyli dobry gospodarz, który z pańskiego domu dogląda stada, podpowie, poradzi.**

W tym przypadku autor wziął górę nad gospodarzem. A potem mój współpracownik stwierdził, że nie może się samodzielnie podpisać pod czymś, co stanowi element wspólnej pracy. Na to ja mu mówię, że o żadnym podziale pół na pół nie ma mowy. Mogę wziąć wynagrodzenie za piosenkę i symboliczną gażę za konsultację literacką. Tyle i aż tyle. Miałem na to zgodę zarządu.

**I żaden głos z tyłu głowy nie podpowiedział panu, że lepiej jako dyrektor pod produkcjami własnej telewizji się nie podpisywać i pieniędzy za nie nie brać?**

Ale dlaczego?

**Gdyby to nie był problem, posłanka Lichocka nie miałaby powodu do skargi.**

To znalazłaby inny (cisza). Czy kwestia 1,8 tys. zł za piosenkę, kiedy z firmy bywały wyprowadzane



eprasa.pl 4eef091ca4

miliony, to zbrodnia? Zresztą gdy brałem tę posadę, zamierzałem nadal pozostać aktywnym twórcą. Wyobraża sobie pan wziętego dramaturga, który zostaje dyrektorem teatru pod warunkiem, że nie będzie grał własnych sztuk? W sytuacji posuchy na satyrę zachowałem się jak oficer wizytujący okopy. Widząc strach żołnierzy przed atakiem, chwyciłem broń do ręki i ruszyłem z okrzykiem na wroga.

**A tu z własnych okopów ktoś strzela w plecy.**

Czy to aluzja do NKWD? Bo to oni strzelali w plecy.

**Żadnych aluzji. Chyba nie myśli pan w tych kategoriach o redakcyjnej koleżance?**

Nie. Joanna Lichocka nie zmieniła barw politycznych, co najwyżej poniósł ją rewolucyjny zapał. I przestała być moją koleżanką. Ja bym jej tego nigdy nie zrobił.

**Który to już taki cios? Gdy czyta się pana portrety w mediach, wielu byłych kumpli twierdzi, że pana nie poznaje. Artur Andrus, Jacek Fedorowicz, Marek Majewski, Janusz Rewiński, Janusz Zaorski...**

Janusz to nawet niedawno stwierdził, że mnie nigdy nie znał. Ciekawe, jak na kogoś, kto na „Polskim zoo" zrobił majątek i dochrapał się prezesury KRRiT.

**Idę dalej: Krzysztof Materna, Magdalena Jethon, Jerzy Kryszak. O co chodzi?**

Nie wiem. Może to cena sukcesu? Tylko jeśli chodzi o hejt, to jestem małą myszką w porównaniu np. z Janem Pietrzakiem. Wszyscy się na niego wypięli. Zwłaszcza ci, którzy zawdzięczali mu najwięcej. Polityka, proszę pana. Polityka. Pietrzak miał odwagę pójść pod prąd.

**Benefisy i koncerty transmitowane w telewizji to chodzenie pod prąd?**

Zależy, pod prąd czego. Niektórzy idą pod prąd dobrej zmiany, kiedy to łatwe i popularne, a my idziemy tak, jak szliśmy przez ostatnie dekady, kiedy nie było z tego żadnych profitów. Na przekór oczekiwaniom znacznej części środowiska.

**Zgoda. Wszystkie nazwiska, które wymieniłem, to jednak obcy panu świat polityczno-ideowy. Jednak ciosy wymierzane są również z matecznika. Niedawno na Twitterze ukąsił pana mózg „Studia YaYo", Ryszard Makowski.**

Trudno. Jest to bardzo nieprzyjemne. Nie znam motywacji tych ludzi i nawet nie bardzo mnie one interesują. Wyznaję zasadę Jana Marii Rokity, że „nie mam wroga na prawicy". Ja nawet nie atakuję tych, którzy mnie atakują.

**Baranek pokoju.**

Pragmatyk.

**W 1972 r. Jacek Kleyff piosenką „Dobre wychowanie" wygrał Festiwal Piosenki Studenckiej w Krakowie. Pan napisał do niej tekst. Dzisiaj ten sam Kleyff śpiewa o samospaleniu Piotra Szczęsnego i mówi, że PiS kontynuuje słusznie minioną epokę. Jak drogi waszego pokolenia mogły się tak dramatycznie rozejść?**

Nie mam pojęcia. Jeśli on udowodni mi, że mamy w Polsce komunizm, a Jarosław Kaczyński kontynuuje dzieło Wojciecha Jaruzelskiego, to pierwszy pójdę na manifestację KOD. A piosenki o Piotrze Szczęsnym? Ludzie drodzy, ja szanuję majestat śmierci, więc tego człowieka nie chcę krytykować, ale to, co się z nim robi w przestrzeni medialnej, jest niegodziwe. W samoobronie trzeba używać adekwatnych środków. Gdybyśmy mieli więźniów politycznych, ludzie byliby wyraźnie represjonowani, gdyby zamykano opozycyjne media... A one nadal mają przewagę!

**Tyle że w fotelu dyrektora – nadal jeszcze – jednej z największych telewizji w Polsce siedzi pan, a nie Adam Michnik.**

On ma akurat całkiem wygodne gniazdko przy Czerskiej.

**No dobrze, to nie ma tutaj np. Piotra Kraśki. Władza jednak przejęła media.**

Jednak tylko publiczne.

**Czyli przyznaje pan, że władza je przejęła.**

Tak, przyznaję. Jednak władza dokonała po prostu koniecznego balansu. Jeżeli wcześniej właściwie wszystkie media w Polsce reprezentowały jedną opcję polityczną i ideową, to było to zdrowe? Dzisiaj przynajmniej jest wybór.

**A co pan myśli, słuchając dzisiaj Trójki? Serce nie krwawi?**

Nie krwawi. Dla mnie Trójka skończyła się w dniu stanu wojennego, a później, po desancie „resortowych dzieci", nigdy już nie była tym samym radiem. Jeśli chce mnie pan zapytać, czy podoba mi się atmosfera, która zapanowała w zespole, to odpowiem, że od atmosfery ważniejszy jest program, który powstaje. I naprawdę nie kupuję tego lamentowania, że ktoś musi odejść, wybierając między radiem a TVN. Ja bym takich warunków nie stawiał, ale litości – gdy nas wyrzucano z anteny, pies z kulawą nogą się nie interesował, czy będziemy mieć z czego żyć. Dzisiaj to są osobiste dylematy kilku dziennikarzy, wtedy stawaliśmy przed problemami egzystencjalnymi. To czasy i rzeczy nieporównywalne.

**Faktycznie, dzisiaj problemów egzystencjalnych już pan nie ma. Obrazi się pan, jeśli powiem o panu: poeta dworski?**

Nie, ale uważam się za poetę sprawy.

**A jak sprawa jest na dworze?**

To wtedy jestem czasowo poetą dworskim. Tyle że jazda w tramwaju nie czyni mnie tramwajarzem.

**Pamiętam z dzieciństwa, jak w „Polskim zoo" sportretował pan braci Kaczyńskich. Dwa sympatyczne chomiki, pocieszne i niegroźne, na tle dostojnego zwierzyńca i lwa Wałęsy. Jakby pan dzisiaj przedstawił prezesa PiS?**

Wtedy faktycznie nie doceniłem ich potencjału. Uważałem je za postaci trochę humorystyczne. A dzisiaj? Musiałbym zrobić jednego chomika, który wyrósł... nie wiem, na mastodonta?

**Może byka z rodeo?**

Nie no, musiałbym znaleźć takie zwierzę, które jest podobne, ale zyskało na wadze politycznej.

**Jaki chomik wyrasta na mastodonta?**

A wie pan, że oni mieli wspólnych przodków? Jednak nie wiem, czy i za to elektorat by się na mnie nie obraził. Bo taki żartobliwy pluralizm był możliwy do Smoleńska. Później żarty się skończyły, a czasy, w których żyjemy, przypominają swoją powagą te, które przeżywała Rzeczpospolita po targowicy. Dlatego w tym roku nie robię „Szopki". Bo albo musiałbym być nieszczery, albo udawać, że nie mam poglądów, albo sobie zaprzeczyć.

**Humor nie dorasta do współczesnej polityki?**

Nie, po prostu satyra polityczna przeniosła się do Internetu. Uważam, że współczesny Stańczyk nie występuje w tzw. młodym kabarecie, który się obraził na Dwójkę.


eprasa.pl 4eef091ca4

**Daj Bóg z pożytkiem dla Dwójki.**

No comments. Jednak wracając do tego Stańczyka, on dzisiaj siedzi w memach, na Twitterze, na Facebooku. Tylko też rzadko się zdarza, aby one dowalały po równo. Zazwyczaj rżną po Petru, Kaczyńskim czy Macierewiczu. I tyle.

**A jakiś mem z naczelnikiem państwa by pan po godzinach zrobił?**

Może jakiś sympatyczny bym zrobił. Bo zaskoczę pana, ale nie we wszystkich rzeczach się zgadzamy.

**Naprawdę?**

Wiem, że to brzmi jak herezja, ale czasem ciśnie mi się na usta: „Precz z wolnymi niedzielami" czy „Hodujmy futerkowe".

**Zostawmy już tę politykę, święta idą. „Smutno mi, Boże. Bóg: mnie toże". Pamięta pan? To fraszka z czasów liceum. Długo pan Boga szukał.**

Długo. Jednak ta droga była skomplikowana. Gdy kończyłem szkołę podstawową sióstr felicjanek, orbitowałem na pograniczu bigoterii. Ale z czasem popadłem w klasyczny dla pokolenia międzywojnia scjentyzm. Nauka zaczęła mnie oddalać od Boga, marksistowska szkoła i ojczym – z przekonania socjalista – zaczęli indoktrynację. Uwiódł mnie łatwy sposób wytłumaczenia złożoności świata i popadłem w jeden z grzechów głównych – pychę. Sądziłem, że jestem w stanie zrozumieć wszystko. I tak krok po kroku i książka po książce odchodziłem od Boga. Później trafiłem w środowisko kabaretowe, między ludzi dość wykorzenionych.

**Aktorzy, kabareciarze. Po dziś dzień skaranie boskie.**

Oj, tak… Pocieszam się jednak, że nawet wtedy nie byłem ateistą. Temat został zepchnięty na trzeci plan, a jakaś wyższa siła, która miałaby stworzyć świat, została alternatywą do rozważenia na starość. Coś zaczęło się zmieniać, gdy umarł mój ojciec. Był wczesny ranek, jechałem pociągiem do Katowic, by odwiedzić go w szpitalu. Jeszcze nie wiedząc, że to się tak skończy. Mróz trzaskał, ale było za wcześnie, aby zapukać do przyjaciółki, z którą spędził ostatnie lata. Trochę z przypadku wszedłem do kościoła. I to było jedyne miejsce, gdzie mogłem pobyć. I popłakać. Później przyszło kilka lektur, z których najważniejsza – „Na początku był wodór" – otworzyła mi oczy. Nauki ścisłe nie negowały możliwości istnienia Boga. To był kluczowy argument i moment, w którym zaczęła się przemiana. Ale ona byłaby niemożliwa bez cudu.

**Cudu? Takiego prawdziwego?**

Najprawdziwszego. I wszyscy mogliśmy go wtedy dotknąć. Miał imię i nazwisko, to Karol Wojtyła. Przecież nie ominąłem wtedy ani jednej mszy papieskiej. Na pl. Zwycięstwa w 1979 r. poczułem realną obecność Ducha Świętego.

**Wtedy był pan już katolikiem czy jeszcze się wahał?**

Byłem katolikiem bezobjawowym.

**Tak jak bezobjawowym PZPR-owcem?**

(śmiech) Można tak powiedzieć. Ale już było blisko. Intelektualnie dorastałem do pełnego nawrócenia, ale wtedy jeszcze nie umiałbym paść na klęczki i zacząć chodzić na msze. Bywałem na nich, gdy łączyły się z polityką, z modlitwą za ojczyznę. Takie czasy. Dopiero w 1993 r., gdy zmarła moja mama, odczułem potrzebę spotkania z księdzem. Poznałem jednego inteligentnego, spacerowaliśmy po alejkach pachnących jałowcami i wtedy nieplanowanie wydarzyło się coś, co mogę nazwać spowiedzią z życia. Niestety, nie minął rok i znowu wróciłem w otchłań katolicyzmu bezobjawowego. Myślałem, że to błędne koło. Prawdziwe i trwałe piętno na mojej duszy odcisnęła dopiero pielgrzymka do Ziemi Świętej, gdzie w pełni doświadczyłem tego, że codzienna msza nie musi być ani głupia, ani nudna. Zwłaszcza gdy odprawiana jest nad Jeziorem Tyberiadzkim czy koło Wieczernika.

**Jeśli ktoś udowodni mi, że mamy w Polsce komunizm, a Jarosław Kaczyński kontynuuje dzieło Wojciecha Jaruzelskiego, to pierwszy pójdę na manifestację KOD**

**W tej chwili pracuje pan nad książką „Ostatnie konklawe". Dotyczy wyboru nowego, kontrowersyjnego papieża. Są cuda, egzorcyzmy, duże wpływy Szatana. Ma pan poczucie, że żyjemy na krańcu czasów?**

Kiedy patrzy się na współczesny świat, trudno wykluczyć istnienie Szatana. Nie przychodzi mi do głowy, że ludzie mogą być tacy, jacy są, sami z siebie. To się wszystko nie trzyma kupy, jeśli nie dopuścimy ewentualności działania osobowego zła.

**Spotkał się pan kiedyś z nim twarzą w twarz?**

Tak. Po Smoleńsku nie miałem już wątpliwości. Wcześniej wiele razy spotykałem się z czymś, co mógłbym nazwać lekkim opętaniem. Nawet będąc jedną nogą po stronie ateizmu, nigdy nie czułem żadnej agresji w kierunku ludzi wierzących. Byli mi po prostu obojętni, jak Pigmeje czczący figurki albo facet, który buduje Pałac Kultury z zapałek. Gdybym był niesłychanie empatyczny, może próbowałbym takim ludziom pomóc. Tymczasem w wielu takich przypadkach widzę u innych czystą nienawiść. I nie rozumiem, jak można tak gorąco nienawidzić Boga, którego nie ma?

**Nie tak dawno temu powiedział pan: „Polska jest krajem chrześcijańskim i zadaniem telewizji publicznej jest propagowanie wartości chrześcijańskich". Zapał neofity?**

Raczej poczucie przynależności do wspólnoty. Jeśli ok. 90 proc. Polaków deklaruje wiarę chrześcijańską, to chyba telewizja powinna im służyć w pierwszej kolejności, a dopiero później obsługiwać resztę? Może to zabrzmiało, jakby papież mówił ex cathedra, ale przecież w mojej redakcji są również programy ekumeniczne i spoza ekumeny. Świeccy też muszą pomagać Kościołowi, którego niektórzy hierarchowie zachowują się dzisiaj jak kapitan „Titanica". Obrali kurs kolizyjny, jeśli chodzi o kondycję naszej cywilizacji. Rzym nie przeciwdziała utracie wiary, a staje się częścią składową światowego supermarketu idei. Kościół powinien być instytucją wymagającą, a nie poprawiającą komfort życia. Musi mówić o grzechu i potępieniu, bo jeśli tego nie ma, to również śmierć Chrystusa nie miała sensu. A my jesteśmy jedynie formą istnienia białka.

**Czyli jednak apokalipsa.**

Hm, może nie tak od razu. Ale summa summarum – innego końca świata nie będzie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl 4eef091ca4

# Polacy w rosyjskiej telewizji






*Maciej Pieczyński*

**To oni kreują nasz skrajnie negatywny wizerunek w oczach Rosjan. Nieznani nad Wisłą, w kremlowskich mediach występują jako „przedstawiciele Polski"**

Gdy w jednym z programów publicystycznych Władimir Żyrinowski stwierdził, że Polska „zachowuje się jak prostytutka", która zawsze sprzedaje się jakiemuś imperium, Jakub Korejba ripostował: „A co, boli was, że się alfons zmienił?". Ta replika pokazuje, jaką rolę odgrywają Polacy, występujący regularnie w rosyjskiej państwowej telewizji. Z jednej strony, zdecydowanie bronią Polski w sporach z prokremlowskimi propagandystami. Z drugiej – dając się prowokować, wchodzą na ten sam poziom co ich adwersarze. Ostatecznie więc i tak potwierdzają stereotyp o Polakach jako rusofobach, pieniaczach i awanturnikach.

Gospodarze chętnie zapraszają pochodzących z „wrogich państw" (USA, Ukraina, Polska) obcokrajowców, których albo wyśmiewają, albo bezpardonowo atakują. Przy czym biografie polskich gwiazd Ostankina pokazują, że nie zawsze byli oni rycerzami antyrosyjskiej krucjaty.

Jakub Korejba, politolog i dziennikarz, zrobił doktorat na Moskiewskim Państwowym Instytucie Spraw Międzynarodowych (MGIMO), na którym pracował jako wykładowca. MGIMO to uczelnia dyplomatyczna, podlegająca rosyjskiemu MSZ. Swoje teksty o tematyce wschodniej publikował na łamach polskiego „Newsweeka". Krytykował imperialną politykę Putina. Równolegle współpracował z mediami rosyjskimi, na których użytek atakował z kolei Polskę. W 2014 r. w napisanym dla agencji RIA Novosti artykule pt. „Dywersja przeciw Ukrainie: polski ślad" oskarżył Warszawę o próbę podporządkowania sobie południowo-wschodniego sąsiada. Korejba oznajmił rosyjskim czytelnikom, że to Polska (a nie Rosja) naruszyła prawo międzynarodowe, zepsuła relacje z sąsiadami i przelała krew ukraińską. Po tym tekście „Newsweek" zerwał z nim współpracę. Korejba dalej pisał o relacjach polsko-rosyjskich dla polskiego czytelnika, tym razem jednak już jako komentator Sputnika – należącej do Kremla agencji informacyjnej. Tam np. krytykował ideę burzenia sowieckich pomników.

O Tomaszu Maciejczuku zrobiło się głośno, gdy został pobity na wizji za stwierdzenie, że Rosjanie „żyją w gównie". Kilka miesięcy później wdał się w kolejną bójkę. Rusłan Ostaszko, prokremlowski dziennikarz, obwieścił, że jeśli jeszcze raz ktoś z dyskutantów powie, że jego dziadkowie byli czerwonymi faszystami, „dostanie w mordę". „Ja powiem!" – zgłosił się Maciejczuk i ruszył do wymiany ciosów. Nie wyglądało to na spontaniczną reakcję honorowego Polaka, tylko na celowe awanturnictwo. – W dyskusjach z Rosjanami trzeba być ostrym jak Brzeziński, Reagan czy Trump. Nasi wschodni sąsiedzi rozumieją i szanują język siły, język dyplomacji i umizgi odbierają zaś jako przejaw słabości – twierdzi Maciejczuk. Przy czym nie zawsze używa pięści. W jednej z dyskusji zasadnie stwierdził, że sowieccy żołnierze byliby bohaterami, gdyby tylko wyzwolili Polskę od Niemców, a potem wrócili do siebie, zamiast nas okupować. W odpowiedzi usłyszał: „A co, myśleliście, że tak za darmo damy wam wolność, byście potem znowu spiskowali przeciw nam?!".

W rozmowie z „Do Rzeczy" Maciejczuk przyznaje, że gospodarze progra-



eprasa.pl 4eef091ca4




Jakub Korejba jako komentator Sputnika krytykował m.in. wyburzanie sowieckich pomników w Polsce FOT. YOUTUBE (3)




Tomasz Maciejczuk bierze udział w bójkach podczas programów telewizyjnych

mów publicystycznych często zapraszają obcokrajowców o ciętym języku, bo wiedzą, że ostra dyskusja zapewnia wysoką oglądalność i przychody z reklam. – W Polsce takich programów nie ma, polskie talk-show wieją nudą, brakuje w nich emocji – twierdzi Maciejczuk. – TVP powinna brać przykład z Rosjan, tworzyć takie programy, zapraszać gości z Ukrainy, z Rosji, z Niemiec, rozmawiać z nimi o UPA, Stalinie, reparacjach, uchodźcach i islamizacji.

## SKRUSZONY ESBEK

Maciejczuk przedstawiany jest jako polski dziennikarz, mimo że nie współpracował z żadnym większym ogólnopolskim medium. Był wolontariuszem Fundacji Otwarty Dialog, jeździł do Donbasu wspierać Ukraińców, by potem publikować w Internecie rzekome dowody na neonazistowskie poglądy bojowników batalionu Azow. Dostał zakaz wjazdu na Ukrainę. Deklaruje się jako polski nacjonalista.

W rosyjskich politycznych talk-show regularnie występuje także Zygmunt Dzięciołowski, również przedstawiany jako polski dziennikarz, mimo że w ostatnich latach ze świecą szukać w polskich mediach materiałów jego autorstwa. W jednym z programów zwrócił się do Witalija Tretjakowa: „Rosji z pańską twarzą nie można ufać, bo jest gorsza niż Związek Sowiecki". Prokremlowski politolog zaczął mu przerywać, wykrzykując, że nie życzy sobie takiego chamstwa w swoim kraju, a prowadząca Olga Skabiejewa uspokajała, przekonując: „Wysłuchajmy do końca, przecież to oficjalna pozycja oficjalnego przedstawiciela Polski, który do nas przyjechał". Bo nieznani we własnym kraju komentatorzy właśnie tak traktowani są w Moskwie – jako wiążący głos Warszawy.

Dzięciołowski, z wykształcenia filolog i tłumacz, wg IPN był agentem peerelowskiej Służby Bezpieczeństwa o pseudonimie „Orfeusz". Zwerbowany został w areszcie, do którego trafił za udział w strajkach studenckich w 1968 r. Inwigilował środowisko komandosów, pisał donosy na kolegów. Na polecenie bezpieki podróżował po zachodzie Europy, zyskał zaufanie Jerzego Giedroycia i innych działaczy polskiej emigracji. Dzięciołowski nigdy nie zrezygnował ze współpracy z SB. Zgubiło go jednak uczucie do pewnej mężatki, której poprzez swoje kontakty ułatwił uzyskanie paszportu. Gdy spotkali się w Paryżu, okazało się, że kobieta nie odwzajemnia jego uczuć, więc zdesperowany Dzięciołowski przyznał się jej, że jest agentem i że to jemu zawdzięcza ona swój zagraniczny wyjazd. Pomimo dekonspiracji „Orfeusz" nie został całkowicie odrzucony przez inwigilowane środowisko. Giedroyc przekonywał go do rezygnacji z agenturalnej działalności. O tym, jaką drogę wybrał Dzięciołowski, świadczy treść raportu, jaki po wybuchu afery złożył esbekom: „Dekonspiracji towarzyszyła deklaracja poczucia winy, demonstracja potrzeby rehabilitacji w przyszłości. Decyzję dekonspiracji odmalowałem jako akt, który może spotkać się z poważnymi represjami ze strony MSW". – Jeszcze w czasach ZSRS w jego warszawskim mieszkaniu schronienie mieli antysowieccy dysydenci – zauważa z kolei Sofia Adamowa, niezależna rosyjska dziennikarka.

## DLA „ZWYKŁYCH ROSJAN"?

Polscy komentatorzy rosyjskiej telewizji twierdzą, że ich bezkompromisowa postawa i antykremlowskie poglądy są bardzo potrzebne rosyjskim widzom, jako ideologiczna alternatywa dla propagandy Putina. Lubią chwalić się poparciem „zwykłych Rosjan", którzy rozpoznają ich na ulicy i gratulują „odważnej walki o prawdę". – Dzięciołowski, a już zwłaszcza Korejba i Maciejczuk, szkodzą wizerunkowi Polski zarówno w oczach społeczeństwa, jak i ekspertów rosyjskich. Ich wystąpienia są nieprofesjonalne, nie na temat, za to często agresywne i obraźliwe dla zwykłego Rosjanina. To właśnie z ich powodu w ostatnich latach pogorszył się stosunek Rosji do Polski – uważa Siergiej Michiejew, politolog związany z Kremlem. – W ostatnich latach pojawiło się u nas wielu takich obcokrajowców, których jedyną zaletą w publicznej dyskusji jest to, że dobrze znają język rosyjski. Szybko okazało się, że są dla nas „chłopcami do bicia" – nie mają wiedzy, za to mają dużo honoru [w jęz. ros. „honor" ma



eprasa.pl 4eef091ca4

znaczenie negatywne, chodzi raczej o brawurę – przyp. red.], dlatego łatwo udaje się ich wyśmiać, za jednym zamachem wyśmiewając głoszone przez nich idee. Występują w telewizji za pieniądze, grając role klaunów na arenie politycznego cyrku. Nie udaje im się godnie reprezentować państw, z których pochodzą, dlatego realizując własny biznes, szkodzą swoim rodakom – dodaje Michiejew. Jego zdaniem to nie polscy komentatorzy wykorzystują rosyjską telewizję do głoszenia własnych poglądów, ale rosyjska telewizja używa polskich komentatorów do dyskredytowania ich poglądów.

Michiejew też jest stałym gościem politycznych talk-show i niejednokrotnie ostro ścierał się z obcokrajowcami, jawnie ich prowokując. Brał udział w pobiciu Maciejczuka na wizji (wcześniej stwierdził, że „Polacy i Ukraińcy są sprzedajni"), a gdy innym razem Korejba przerywał mu jego wywód, wypalił do niego: „Ochujałeś, Polaczku". Jednak komentarz tego agresywnego polonofoba pozwala zrozumieć, jaki użytek z krewkich polskich „dziennikarzy" ma kremlowska propaganda.
– Celem tych programów jest budowanie obrazu Rosji jako twierdzy oblężonej przez wrogów, takich jak zgniły Zachód czy faszystowska Ukraina. Polska znalazła się na tapecie, gdy wybuchła „afera" wokół burzenia sowieckich pomników. Obcokrajowcy są wygodnymi adwersarzami do udowadniania propagandowych tez o wrogach Moskwy. Moja żona jest Rosjanką, mam wielu znajomych w Rosji i wiem, że ta propaganda działa – mówi Przemysław Marzec, wieloletni korespondent radia RMF FM w Moskwie. Sam też wystąpił parę razy w debatach, nie przejawiał jednak takiej awanturniczej gorliwości jak Maciejczuk czy Korejba. Prowokowany przez Żyrinowskiego zaczepkami w stylu „ej ty, Polaczku" kazał mu się po prostu zamknąć. – Bardzo często mnie zapraszają, nawet gdy jestem na urlopie w Polsce, proponują opłacenie przelotów do Moskwy i honorarium, na co nigdy się nie zgadzam – mówi Marzec. – Wielu komentatorów zarabia w ten sposób na życie. Nie ma innego wytłumaczenia, bo potrafią po kilka godzin spędzać w studiach różnych programów. I właśnie od tych, którzy dostają za to pieniądze, więcej się wymaga – „rosyjscy patrioci" mogą z nimi wejść w spór nie tylko za pomocą słów, ale i pięści, dla „dobra spektaklu" – dodaje. Marzec zapewnia, że wiele razy wydawcy rosyjskich programów telewizyjnych prosili go o kontakty do komentatorów z Polski, co oznacza, że „dyżurni Polacy" niekoniecznie są przebranymi agentami FSB.

Maciejczuk zarzeka się, że nie dostaje honorariów, a jedynie zwroty kosztów. Jak zapewnia Sofia Adamowa, dziennikarka rosyjskiego niezależnego portalu The Insider, autorka reportażu „Spowiedź propagandysty" o kremlowskiej telewizji od kuchni, Zygmunt Dzięciołowski również nie bierze pieniędzy za występy. – Płacą mu jedynie za przelot i hotel, przy czym, w odróżnieniu od amerykańskich gości, nie życzy sobie żadnych luksusów – mówi Adamowa. W swoim reportażu opisuje sposób działania rosyjskich programów. Przy ich tworzeniu pracują np. ludzie, których zadaniem jest przed wejściem na antenę zdenerwować „wrogiego gościa"

**Rosyjskie media zapraszając do reprezentowania polskiej strony, proponują opłacenie przelotów do Moskwy oraz honoraria**

(Ukraińca, Polaka, Amerykanina) po to, by w studiu łatwo dał się prowokować i kompromitować. „Krzykliwość" jest zresztą miarą, wedle której oceniana jest przydatność komentatora. Jeśli dużo krzyczy – znaczy, będzie oglądalność. Zdaniem Adamowej nie wszyscy Polacy występują w jednakowej roli. – Dzięciołowski gra „rozumny głos Zachodu". Krytykuje Kreml, ale nie daje się sprowokować do krzyku, nie jest radykałem, w jego słowach nie słychać nienawiści do Rosji. Ma za zadanie przekazać liberalnemu widzowi informację o tym, co Polacy i inni Europejczycy myślą o Putinie – uważa rosyjska dziennikarka. – Za to Maciejczuk w oczywisty sposób kompromituje zachodnie wartości. W tym sensie wygodnie jest go zapraszać. Nie wiem, czy jest szczery w swoich emocjach, ale udaje mu się grać rolę „złego Polaka". Znienawidzi go każdy widz lojalny wobec Putina. A przy tym nie można go traktować poważnie, bo w oczywisty sposób prowokuje, dąży do konfrontacji.

## PROROSYJSCY

Nie wszyscy Polacy wypowiadający się w rosyjskich mediach prezentują postawę antyrosyjską. Osobną grupą są prorosyjsko nastawieni zwolennicy donieckich separatystów, krytycy „zgniłego Zachodu", NATO i „ukraińskich faszystów". Dawid Hudziec (wcześniej działacz Obozu Wielkiej Polski) uważa się za nacjonalistę i słowianofila. W Doniecku pracuje jako fotoreporter dla prorosyjskich mediów. Wrogo nastawiony zarówno do Ukrainy, jak i UE. Przed aresztem w programach często gościł Mateusz Piskorski, z reguły atakując „banderowską Ukrainę".

Specyficznym przypadkiem jest Tomasz Omański, założyciel i dyrektor Polskiego Centrum Kultury w Kaliningradzie. To zarejestrowane w Poznaniu stowarzyszenie organizuje bezpłatne kursy języka polskiego dla młodych Rosjan, wymianę młodzieży, a także wycieczki po Polsce (m.in. dla rosyjskich weteranów II wojny światowej). Omański mieszka w Rosji od ponad dwudziestu lat. Na łamach rosyjskich mediów krytykuje często Polskę. Po tym jak w Pieniężnie zdemontowano pomnik odpowiedzialnego za likwidację AK na Wileńszczyźnie sowieckiego generała, stwierdził, że obecne polskie władze niczym nie różnią się od Państwa Islamskiego. – Nie chcę wdawać się w ideologiczną dyskusję, czy Sowieci nas wyzwolili, czy okupowali, ale faktem jest, że burzenie pomników szkodzi naszym relacjom gospodarczym z Rosją – broni się Omański w rozmowie z „Do Rzeczy".

Na odcinku smoleńskim „obowiązki Polaka" pełni Paweł Deresz, którego zrozumiałą traumę wykorzystują prokremlowskie media jako dowód, że „PiS zmusza Polaków do żałoby". – Nikt nie pytał nas o zdanie. Aparat państwowy wtargnął w nasze życie osobiste – mówił „Niezawisimej Gaziecie" wdowiec po posłance SLD, przedstawiony jako „przywódca akcji protestacyjnej" przeciwko „przymusowym ekshumacjom".

Rosjanie, zapraszając do swoich mediów komentatorów z Polski, nie kierują się stopniem ich rozpoznawalności i znaczenia dla polskiej opinii publicznej. Polak w rosyjskich mediach ma swoje obowiązki – musi krytykować „faszystowską Ukrainę" (Hudziec, Piskorski), potwierdzać stereotyp Polaka-awanturnika-rusofoba (Maciejczuk, Korejba) bądź dawać przykład geopolitycznej uległości wobec wielkiej Rosji (Korejba, Omański, Deresz).

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl 4eef091ca4

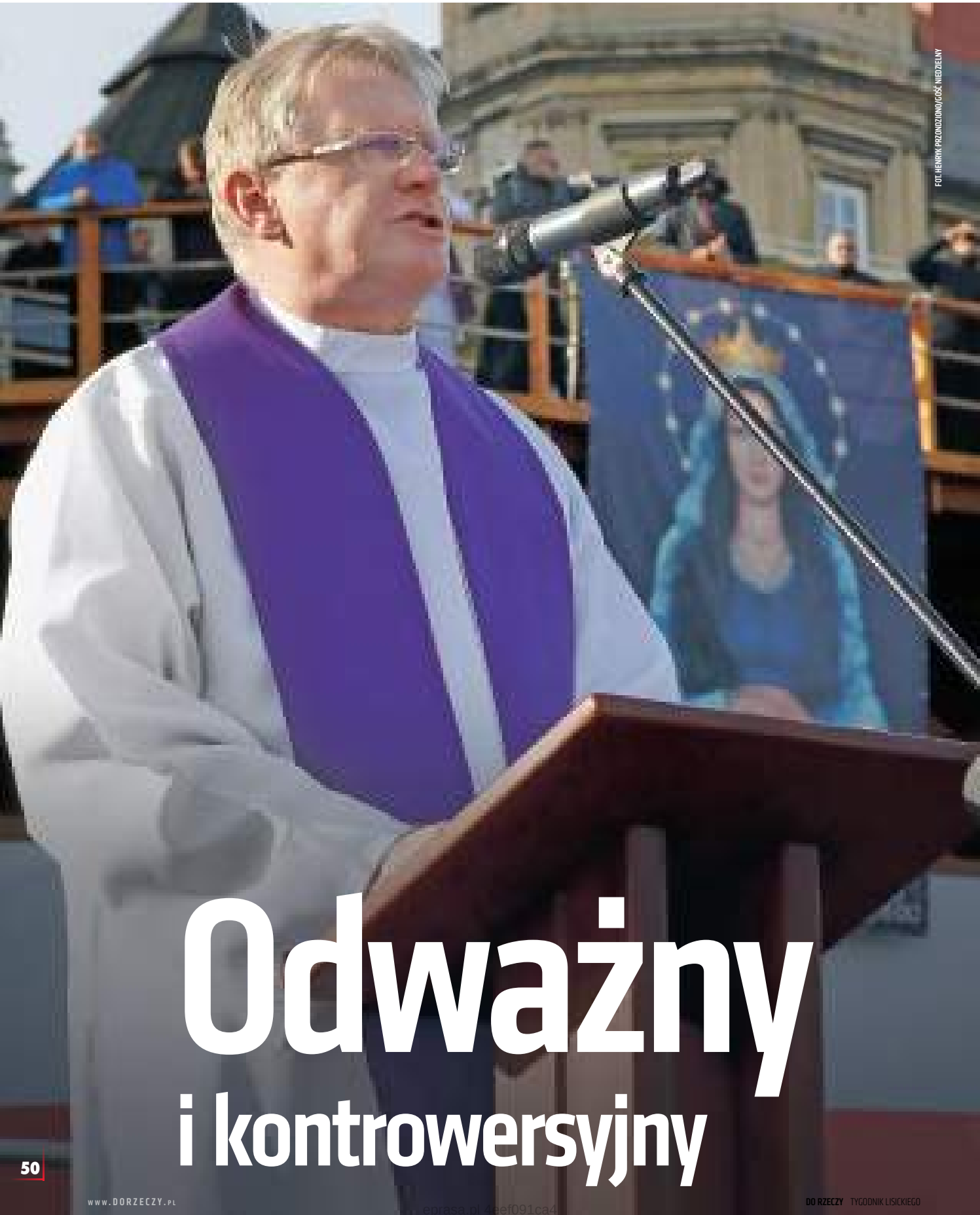
TOTALIZATOR
SPORTOWY



**Niezapomnianych Świąt Bożego Narodzenia,
rodzinnych spotkań w atmosferze szczęścia i miłości,
a także wszelkiej pomyślności w nadchodzącym 2018 roku
życzy Zarząd i pracownicy Totalizatora Sportowego**

**Razem od ponad 60 lat**

eprasa.pl 4eef091ca4



FOT. HENRYK PRZONDZIONO/GOŚĆ NIEDZIELNY

# Odważny i kontrowersyjny



eprasa.pl 4eef091ca4



*Tomasz P. Terlikowski*

**O takich księżach mówi się „kontrowersyjni” i chętnie utrudnia im życie. A jednak to właśnie oni realnie wpływają na wiernych oraz innych kapłanów i zmieniają ich życie**

Od razu stawiam sprawę jasno. To nie jest tekst obiektywny. Jego bohatera znam osobiście i nie ukrywam, że jestem pod jego wrażeniem. Księdza Piotra Glasa poznałem w tym roku, a wcześniej zdarzało mi się słuchać jego wykładów na temat egzorcyzmów czy czytać spisane słowa modlitwy o uwolnienie wygłoszonej w czasie Wielkiej Pokuty. I nie mam wątpliwości, że jest to kapłan, w najlepszym tego słowa znaczeniu, charyzmatyczny. Historia jego życia może realnie zmienić życie wielu innych kapłanów.

## NAWRÓCENIE KAPŁANA

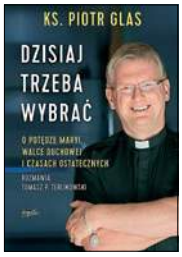
Dlaczego? Odpowiedź jest prosta. Ksiądz Glas, jak sam przyznawał w „Dzisiaj trzeba wybrać”, wywiadzie rzece, jakiego mi udzielił, nawrócił się po wielu latach własnego kapłaństwa. Nie, nie oznacza to, że wcześniej był jakimś wielkim grzesznikiem, ale że zamiast posługiwać z całą mocą swoich święceń, ograniczał się do wypełniania obowiązków, administracji. Nie było w nim żywej wiary, świadomości walki duchowej, jaka się toczy. – Zbytnio się niczym nie przejmowałem, chciałem tylko pracować, by mieć za co żyć i by biskup oraz wierni byli zadowoleni – wspominał w rozmowie ze mną.

Zmiana przyszła stopniowo, za sprawą pewnego chłopca. – Przez siedem lat cierpiał na coś, co wyglądało jak padaczka. Miał straszliwe ataki, tracił świadomość na wiele godzin; kiedy robił się coraz starszy, silniejszy, jego rodzice już sobie nie radzili. Kiedyś wezwano mnie do szpitala, bym udzielił mu sakramentu namaszczenia chorych. Zapytałem dlaczego, bo proszę mi wierzyć, to nic przyjemnego namaszczanie takiego dziecka. Odpowiedzieli mi, że on już jest tak niebezpieczny, że nie ma dla niego żadnego ratunku, że trzeba go przenieść do innego szpitala, w którym zamkną go jakby w klatce, na stałe – wspominał ks. Glas. Kilka tygodni później kapłan wyjechał do Medjugorje, jednak jeszcze przed wyjazdem spotkał się z chłopcem, by zapowiedzieć, że będzie się za niego modlił. – Ty się tutaj módl, tak jak możesz, a ja będę się modlił tam. I stworzymy takie duchowe połączenie, jakby duchowy pomost – opowiadał kapłan. I tak się stało. – Pojechałem do Medjugorje, po raz pierwszy tam naprawdę pościłem do bólu, odprawiłem po trzy msze święte w jego intencji oraz drogę krzyżową na górze Križevac. Był straszny upał, na tych skałach temperatura dochodziła pewnie do 60 st. C. Ja nie znoszę upałów, więc było to dla mnie naprawdę bardzo trudne doświadczenie. Cały czas modliłem się za tego chłopaka, prosiłem Boga: „Zrób coś”. 21 maja 2004 r. było tam widzenie na Górze Objawień przy niebieskim krzyżu. O dziesiątej wieczór. Poszliśmy tam o szóstej, żeby zająć dobre miejsce. Byłem niedaleko widzącego Iwana i miałem małe szkolne zdjęcie tego chłopaka. Kiedy nadeszła godzina dziesiąta i przyszła Matka Boża, zrobiło się cicho, ciemno, i wtedy ja wyciągnąłem to zdjęcie i powiedziałem: „Matko Boża, ja wszystko zrobiłem jako ksiądz, jako człowiek. Weź to w swoje ręce i coś zrób. Jeżeli to jesteś Ty. Ja cię nie widzę, nie wiem, wierzę, ale jeżeli tu naprawdę jesteś teraz, to popatrz się na to zdjęcie” – opowiadał. A potem… stał się cud. Chłopak modlił się w tym samym czasie u siebie w domu, zapalił 10 świec. – O dziewiątej zaczął odmawiać Różaniec. Chłopak u siebie w domu, ja w Medjugorje. Gdy wypowiadałem tamte słowa w miejscu objawień, w ich domu zaczęły, po kolei, nie za jednym razem, gasnąć te świece. Nie był to wiatr. Kiedy zgasła ostatnia, chłopak został całkowicie uzdrowiony. Już nigdy nie miał ataków – opowiadał ks. Glas. Nie jest to jednak koniec tej historii. Później chłopak stracił wiarę, wszedł w świat rozrywek, narkotyków i dziewcząt, by wreszcie po kolejnej walce duchowej wstąpić do seminarium. Dzisiaj jest kapłanem w Stanach Zjednoczonych.

A dla ks. Glasa stało się to początkiem wielkiej przygody, odkrywanego na nowo kapłaństwa. – Wtedy zrozumiałem, że wiara to nie jest filozofia, idea, ale rzeczywistość. Taka rzeczywistość jak to, że tu siedzimy, jemy, idziemy do sklepu – wspomina duchowny. Krótko później, na skutek pewnego zbiegu okoliczności (nie mogę niestety opowiedzieć wszystkich historii z życia ks. Glasa), został egzorcystą w jednej z brytyjskich diecezji i to otworzyło mu oczy na świat walki duchowej, demonicznych zniewoleń i… mocy sakramentów. – Kiedy człowiek dotyka tej rzeczywistości, nagle staje się ona tak realna jak moje życie. I nie chodzi bynajmniej tylko o diabła, lecz także o niebo czy piekło. Ja nie jestem już w stanie czytać tych wywodów mędrków, którzy przekonują, że opętania niemal się nie zdarzają albo bardzo sporadycznie, a piekło będzie prawie na pewno puste lub – w najgorszym wypadku – niemal puste. Bóg jest tak miłosierny, że nie pozwoli nikomu doświadczyć tej rzeczywistości. Ja po prostu doświadczyłem, że tak nie jest, że wybór jest nasz, nie Boga, że świat walki duchowej jest bardzo realny, że jest częścią naszej rzeczywistości, w której żyjemy – mówił mi.

## WOJOWNIK MATKI BOŻEJ

Wbrew powracającym często zarzutom nie oznacza to, że duchowny ten skupiony jest wyłącznie na demonach i złu. Wręcz przeciwnie. Ogromną większość czasu, jaką z nim spędziłem, poświęcił na opowiadanie o Matce Bożej, sile Eucharystii i spowiedzi. Maryi oddał się – idąc za wskazaniami św. Ludwika Marii Grignion de Montforta – w wieczystą niewolę i namawia obecnie do tego aktu, a także do odmawiania Różańca polskich kapłanów i świeckich. – Myślę, że Matka Boża za pośrednictwem tych wielu aktów konsekracji, odmawianych nowenn pompejańskich do czegoś szczególnego nas, nasz kraj, przygotowuje, tworzy grupę ludzi przygotowanych na wielką próbę, która czeka świat, a przede wszystkim Kościół – mówi wprost. O jaką próbę chodzi? – Próbę, jaką już widzimy w Kościele, utraty wiary, masowego odejścia młodych ludzi, chaosu doktrynalnego. Kościół jeszcze nigdy nie był w takim kryzysie. Były wojny, kryzysy, ale Kościół mocno trwał, były skandale, ale nie było tam masowego odstępstwa, takiego zamieszania. Pewnie dlatego Matka Boża jest tak aktywna w naszych czasach. Prosi nas i błaga jak matka swoje błądzące




**KS. PIOTR GLAS, TOMASZ P. TERLIKOWSKI „DZISIAJ TRZEBA WYBRAĆ. O POTĘDZE MARYI, WALCE DUCHOWEJ I CZASACH OSTATECZNYCH” ESPRIT 2017**



eprasa.pl 4eef091ca4

dzieci o powrót do wiary i prawdziwe nawrócenie – zaznacza. I dodaje, odwołując się do nieżyjącego już włoskiego mistyka: – Może jeszcze mocniej mówi o tym o. Gobbi, a dokładniej Matka Boża do o. Stefano Gobbiego, w orędziu 83., które powinno być traktowane jako jego swoisty testament, ostatnie przesłanie. Ta jedna kartka jest niezwykle poruszająca, dodaje mi siły w najgorszym czasie zwątpienia, braku sił. Matka Boża mówi tam, że gdy będzie się już wydawało, iż wszystko jest stracone, gdy Kościół będzie już leżał na łopatkach, wówczas ona wkroczy i pokona szatana.

Współcześnie kapłani i świeccy, którzy oddadzą się Matce Bożej w całej pełni, mają się stać wielką armią Dzieci Maryi, które w czasach ostatecznych, według zapowiedzi św. Ludwika, pokonają szatana i jego sługi. „[…] władza Maryi nad wszystkimi diabłami zajaśnieje zwłaszcza w czasach ostatecznych, kiedy szatan zastawi zasadzki na Jej piętę, czyli na Jej pokornych niewolników i biedne dzieci, które Maryja wzbudzi, aby prowadziły z nim wojnę. Będą one małe i ubogie w oczach świata, i uniżone wobec wszystkich jak pięta, deptane i prześladowane jak pięta wobec innych części ciała; w zamian za to będą jednak bogate w łaskę Bożą, którą Maryja będzie im hojnie rozdzielać; wielkie i wyniesione w świętości przed Bogiem, przewyższające wszelkie stworzenie żywą wiarą i tak mocno oparte na boskiej pomocy, że pokorą swej pięty, w zjednoczeniu z Maryją, zmiażdżą głowę diabła i doprowadzą do zwycięstwa Chrystusa” – wskazywał św. Ludwik Maria Grignion de Montfort w „Traktacie o prawdziwym nabożeństwie do Najświętszej Maryi Panny”. Częścią tej armii pragnie być właśnie ks. Glas.



Wielka Pokuta za wszystkie grzechy popełnione w Polsce, Częstochowa, 15 października 2016 r. FOT. HENRYK PRZONDZIONO/GOŚĆ NIEDZIELNY/FORUM

## CHARYZMATYCZNA WIARA

Ta armia zbudowana jednak być może wyłącznie na żywej, jak ją określa sam ks. Glas, charyzmatycznej wierze. Bez niej nie ma kapłaństwa, ewangelizacji, zaangażowania. – Kiedy nie ma wiary, zostaje czysty, ludzki interes, układy, wygodne ułożenie sobie życia – mówi o zjawisku kapłańskiej niewiary. – A przecież Jezus mówi do nas: „Szukajcie po pierwsze Królestwa Bożego”. To jest istota kapłaństwa. Kiedyś rozmawiałem z kimś o tym, jak to możliwe, że jakiś biskup jest masonem, że kapłan czy biskup popełnia tak straszliwy grzech? Mój rozmówca, osoba bardzo pobożna i wyrobiona duchowo, odpowiedział: „Oni po prostu nie wierzą”. Nie mieściło mi się to w głowie. „Jeśli nie wierzą, to po co są księżmi, po co mszę odprawiają?” – pytałem. „Bo to ich zawód” – padła brutalna odpowiedź. To było jak kubeł zimnej wody na moją głowę. Z czasem coraz bardziej widzę, że to jest prawda. Dla niektórych księży kapłaństwo to tylko zawód, odprawianie rytuałów, w które nie wierzą. A właśnie wiara jest najważniejsza. Mnie to uświadomiła pewna znana charyzmatyczka, siostra Briege McKenna, gdy pojechałem kiedyś na spotkanie z nią. Ona ma taki szczególny dar, że rozmawia z kimś, a potem ofiarowuje mu słowo, a niekiedy także cytat z Pisma Świętego. Gdy do niej przyszedłem, przedstawiłem się, ona powiedziała mi, żebym modlił się o jeden szczególny dar dla siebie. Ucieszyło mnie to, myślałem, że dostanę dar uzdrawiania, a może jakieś inne charyzmaty. A ona na to, że mam się modlić o dar charyzmatycznej wiary. Zły od niej wyszedłem, nie o taki dar mi przecież chodziło. Wolałbym dar rozeznania albo uzdrawiania, a nie jakiejś charyzmatycznej wiary. Jednak gdy zacząłem się modlić, czytać Słowo, jakie od niej dostałem, dotarło do mnie, że właśnie to jest najważniejszy dar. Charyzmatyczna wiara to nie wiara, że Bóg istnieje, ale pewność co do istnienia tej rzeczywistości, której nie widzę. To jest wiara, dzięki której mogę góry przenosić – zaznacza ks. Glas.

## PEWNOŚĆ

Jakie są skutki tej wiary? Odpowiedź jest prosta. Odwaga, by głosić pełną Ewangelię, by modlić się o uzdrowienia, ale też żeby dostrzec nie tylko realność Eucharystii, lecz także siłę sakramentu spowiedzi. – To jest ta pewność, że ten biały opłatek, który trzymam w dłoniach podczas mszy, chociaż nic nadzwyczajnego nie widzę, jest prawdziwym, kochającym Bogiem. To jest ta pewność, że kiedy odmawiam Różaniec, jak powiedział w swojej konferencji w Szczecinie ks. Dominik Chmielewski, to za każdym razem idę na randkę z Matką Bożą, że moja mama modli się za mnie i za mną. To jest ta pewność, że Ona jest tak blisko, że każde „Zdrowaś Mario” ma siłę egzorcyzmu, uwolnienia i uzdrowienia. To jest dla mnie niesłychane, cudowne i najważniejsze, ta moc Różańca.

Jednak ta pewność idzie dalej, że cokolwiek Pan Bóg będzie chciał dać osobie, która prosi o modlitwę, to będzie dobre. Będzie dobre, gdy ją uzdrowi, ale będzie też dobre, gdy nie uzdrowi. To jest też wiara, że On chce uzdrawiać – wspomina ks. Glas.

Co w tym wszystkim jest kontrowersyjnego: duchowny, który głosi rzeczy obecne w Kościele od prawie 2 tys. lat? Dlaczego gdy tylko opublikowałem wywiad z nim, natychmiast zaczęto mnie bombardować sugestiami, że to przesada, by oddawać głos takim ludziom, a media katolickie konsekwentnie odmawiają nawet poinformowania o wydaniu książki? Odpowiedź jest chyba niestety dość prosta. Charyzmatyczna wiara, oddanie się Matce Bożej, a także odwaga w krytykowaniu zjawisk niebezpiecznych duchowo (nawet jeśli dochodzi do nich w środowiskach mu bliskich) nie sprzyjają kultowi największego świętego polskiego Kościoła, czyli świętego spokoju. A skoro tak, to wygodnie jest uciszyć kapłana, który nieustannie narusza status quo, czepia się i wzywa do nawrócenia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl 4eef091ca4



Niemający rąk i nóg Nick Vujicic nurkuje w oceanie, pływa w basenie, skacze na spadochronie, jeździ na deskorolce, gra w golfa i surfuje na desce, a także pisze książki, które zostają bestsellerami FOT. KANAE VUJICIC/CEN/EAST NEWS

# Niepokonani



*Jacek Przybylski*

**Teoretycznie niepełnosprawni. W praktyce na przekór wszystkim udowadniają, że cuda są w zasięgu ręki. Inspirują, zarażają nadzieją i potrafią oduczyć narzekania największych gburów**

Miał cztery latka, gdy lekarze zdiagnozowali u niego dystrofię mięśni. Rehabilitacja nie przyniosła rezultatów. Gdy miał siedem lat, wylądował na wózku inwalidzkim. Próbował malować, ale ręce zaczęły odmawiać mu posłuszeństwa. Jego stan zdrowia pogorszył się na tyle, że nie mógł utrzymać nawet pędzla. Zaczął myśleć o samobójstwie. – Przeszedłem przez okres buntu wobec Boga i ludzi. Z perspektywy czasu sądzę, że dobrze, iż stało się to w tak młodym wieku – mówi „Do Rzeczy" Łukasz Krasoń. Gdy udało mu się zrealizować rzeczy, które jemu i wielu innym wydały się niemożliwe, pomyślał, że on też może mieć dobre życie. – Każdy człowiek ma dwie opcje: albo dać coś od siebie i cieszyć się życiem, albo popaść w marazm i nie robić nic – opowiada.

Podjął decyzję, że zostanie grafikiem komputerowym. – Gdy miałem sprawne ręce, uwielbiałem rysować. Potem myszka była moim pędzlem, a komputer mięśniami – opowiada. Nauczył się też walczyć nie tylko z chorobą, lecz także ze złośliwymi komentarzami nieznających go ludzi. Rodzina i znajomi pomogli mu ukończyć studia. W 2011 r. zakochał się i wyprowadził do Barcelony. W 2012 r. w Hiszpanii, podczas konferencji Harva Ekera, autora bestsellera „Bogaty albo biedny. Po prostu różni mentalnie",



eprasa.pl 4eef091ca4

odkrył misję swojego życia i zdecydował, że zostanie mówcą motywacyjnym.

## NIEMOŻLIWE JEST OSIĄGALNE

W październiku 2012 r. wrócił do Polski, aby inspirować ludzi. – Nie chodzi o to, jak wielki jest problem. Liczy się tylko to, jak wielki jesteś ty – przekonuje, opowiadając o zmaganiach z własnymi słabościami i zachęcając ludzi do zmiany życia na lepsze.

– Zrozumiałem, że urodziłem się, by inspirować innych. Sprawia, by ludzie przestali narzekać i poczuli, że niemożliwe jest osiągalne. Wierzę, że jestem w stanie dotrzeć do osób, do których nikt inny być może by nie dotarł. Mam zresztą wiele listów i e-maili od ludzi, których udało mi się zachęcić do opuszczenia bezpiecznej strefy i spełnienia marzeń, poprawy relacji z ważnymi osobami etc. – opowiada „Do Rzeczy" charyzmatyczny 29-latek. – Pomagam im zrozumieć, że nie trzeba być idealnym. Ludziom czasem się wydaje, że muszą być idealni, by mogli coś osiągnąć. Ja tłumaczę im, że mogą próbować rozwijać się po drodze – dodaje.

Od 2012 r. przemawiał już do ponad 13 tys. osób. Wystąpił na jednej scenie z takim gwiazdami jak Kanadyjczyk Brian Tracy, który uważany jest za jednego z najlepszych mówców motywacyjnych na świecie, czy Amerykanin Kevin Hogan – ekspert specjalizujący się w psychologii perswazji. Jeździ z wykładami po całej Polsce. W listopadzie porwał m.in. uczestników gali „100% Polski Produkt", organizowanej przez tygodnik „Do Rzeczy". Przemierza także świat.

– Jestem w Wielkiej Brytanii. Właśnie wygłosiłem swoje pierwsze przemówienie po angielsku – pochwalił się podczas naszej rozmowy w połowie grudnia. Bez zażenowania przyznaje się też, że jemu również zdarzają się gorsze chwile. Niedawno rozstał się z żoną Małgorzatą. – To jest część życia. Trzeba jednak pamiętać, aby z każdego kryzysu wyciągnąć jakąś lekcję. Czasami związek można naprawić. Czasem zaś trzeba się rozstać, aby móc być szczęśliwym i iść przez życie oddzielnie, aby móc dalej wzrastać – podkreśla Łukasz Krasoń. I snuje ambitne plany na przyszłość. Chce częściej wygłaszać mowy motywacyjne po angielsku, a także kupić więcej nieruchomości – próbuje bowiem swoich sił również jako inwestor i zarządzający.

Gdy tylko Łukasz Krasoń zaistniał publicznie, zaczęto porównywać go z Nickiem Vujicicem. Jest on jednym z najbardziej znanych mówców motywacyjnych, który co jakiś czas przyjeżdża również do Polski. 35-letni Australijczyk serbskiego pochodzenia został dotknięty zespołem tetraamelia, czyli brakiem kończyn od urodzenia (ma tylko jedną niewielką stopę).

Wiele dzieci z tą ekstremalnie rzadką chorobą nie dożywa nawet pierwszych urodzin. Nick wygrał pierwsze lata walki z amelią totalną, ale jako ośmiolatek wpadł w koszmarną depresję. Nieustannie wytykany przez inne dzieci załamał się tak bardzo, że w wieku 10 lat podjął decyzję o samobójstwie. Leżąc w wannie pełnej wody, obrócił się na brzuch, aby się utopić. Powstrzymała go jedna myśl – wyobraził sobie rodzinę, a zwłaszcza matkę, która z pewnością bardzo płakałaby nad jego grobem. – Ja ich kocham. Nie chciałem zostawić im takiego bólu. Postanowiłem zostać. Słuchajcie, cieszę się, że nadal tu jestem – wyznał w Krakowie.

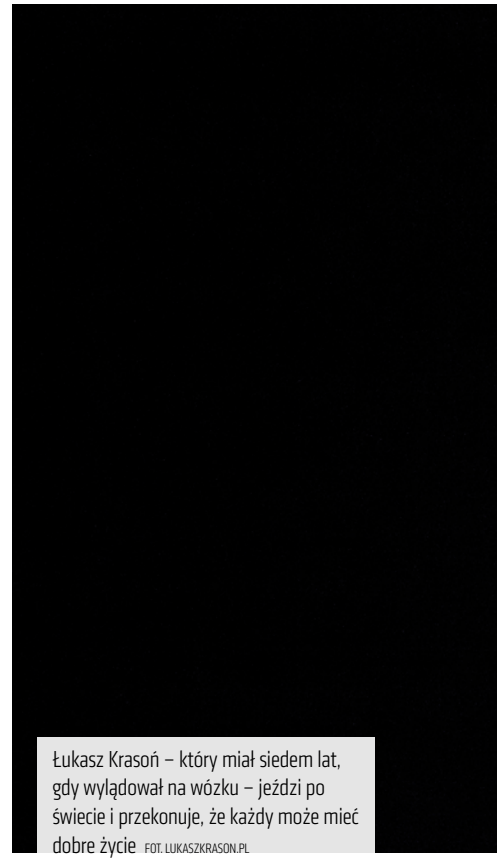
## SZCZĘŚCIE BEZ KOŃCZYN

Decyzję o tym, że chce wygrać ze swoją chorobą, podjął po przeczytaniu artykułu o niepełnosprawnym, który mimo inwalidztwa czuje się spełniony. Po tej lekturze syn pastora i pielęgniarki nauczył się posługiwać komputerem i smartfonem, samodzielnie się golić, myć zęby. Jako 17-latek był już na tyle pewny siebie, że zaczął publicznie opowiadać o swojej niepełnosprawności, o Bogu i nadziei.

Obecnie jest jednym z najbardziej znanych mówców motywacyjnych i ewangelizatorów na świecie.

Ma na koncie ponad 3 tys. wystąpień na całym globie przed milionami widzów. Chętnych jest tak wielu, że spotkania z nim organizowane są na wypełnionych po brzegi stadionach, a bilety na nie sprzedają się szybciej niż na koncerty gwiazd muzyki pop. Na Facebooku ma ponad 9 mln fanów.

– Urodziłem się bez kończyn, ale na przekór okolicznościom żyję pełnią życia – mówi na spotkaniach. – Prawda o mnie jest taka, że nikt nie wie, dlaczego taki się urodziłem. Czasami w życiu coś się wydarza, co nie ma sensu. Jednak masz wybór. Możesz się złościć na to, czego nie masz, albo być wdzięcznym za to, co masz – tłumaczy.



Łukasz Krasoń – który miał siedem lat, gdy wylądował na wózku – jeździ po świecie i przekonuje, że każdy może mieć dobre życie FOT. LUKASZKRASON.PL

W jego słowach często nie ma niczego specjalnie nowego. Wiele cytatów można uznać za truizmy.

– Ja chciałem mieć ręce i nogi. Czego ty chcesz? Pieniędzy, narkotyków, seksu, pornografii, popularności? Jeśli pokładasz szczęście w tymczasowych rzeczach, to twoje szczęście też będzie tymczasowe. Jeśli nie znalazłeś czegoś, za co warto byłoby umrzeć, to nie znalazłeś czegoś, dla czego warto byłoby żyć – mówił podczas spotkania w Krakowie, podkreślając, że choć wciąż trzyma w szafie parę butów na wypadek, gdyby Bóg dał mu jednak ręce i nogi, to nie czeka na cud, tylko stara się jak najlepiej wykorzystywać to, co już ma.

Te truizmy zyskują moc, gdy wypowiada je mężczyzna, który mimo że został pozbawiony kończyn, rzeczywiście czuje się szczęśliwy i spełniony. Nick z sukcesem prowadzi więc organizację charytatywną Life Without Limbs, która walczy z przemocą i agresją wśród dzieci. Na jej profilach społecznościowych można odnaleźć wyznania wielu niedoszłych samobójców, a także byłych narkomanów czy alkoholików, którzy dzięki słowom Vujicica uznali, że nie jest im wcale tak źle, jak myśleli, a dzięki jego nienachalnemu nauczaniu o Bogu i Jezusie odnaleźli sens życia oraz wzięli


eprasa.pl 4eef091ca4



się w garść. Dzięki Australijczykowi wielu rodziców, którym lekarze doradzali aborcję ze względu na wady rozwojowe płodu, zdecydowało się urodzić i wychować niepełnosprawne dzieci.

Vujicic zaskakująco dobrze radzi sobie nie tylko w życiu zawodowym. Chociaż bał się, że nigdy nie znajdzie żony, w 2012 r. wziął ślub z piękną i pełnosprawną Kanae Miyaharą, która swego męża poznała, gdy przyszła posłuchać jednego z jego wystąpień motywacyjnych. O dziecku kiedyś nawet nie śmiał marzyć, tymczasem jest już dumnym ojcem dwóch radosnych synów oraz malutkich bliźniaczek.

Brak rąk i nóg nie powstrzymuje go również przed dalekimi podróżami – na elektrycznym wózku inwalidzkim odwiedził ponad 55 państw – ani przed uprawianiem sportów. Charyzmatyczny Nick z uśmiechem na twarzy jeździ na deskorolce, gra w golfa, kopie piłki tenisowe, nurkuje w oceanie, pływa w basenie, skacze na spadochronie oraz surfuje na desce. Tej ostatniej aktywności uczyła go słynna Bethany Hamilton – znakomita surferka, która choć straciła rękę w wyniku ataku żarłacza tygrysiego, to kontynuowała treningi i już bez lewego ramienia wygrała wiele zawodów. Oprócz tego uwielbia malować, grać w filmach i pisać książki. Jedna z nich „Bez rąk, bez nóg, bez ograniczeń!" została przetłumaczona na ponad 30 języków i stała się światowym bestsellerem.

– Chcę, żebyś zrozumiał, że życie to dar. Chodzi o to, aby część po części odpakowywać je i wykorzystywać – mówił w zeszłym roku podczas wystąpienia w Tauron Arenie w Krakowie, dodając, że każdy powinien odpowiedzieć sobie na dwa pytania: „Kim jestem?" i „Czego pragnę?", bo jeśli sami nie poznamy swojej wartości jako człowieka, to zaczniemy wierzyć w to, co inni ludzie o nas myślą. – Jestem dowodem na to, że Bóg nie popełnia błędów – przekonuje.

**Każdy człowiek ma dwie opcje: albo dać coś od siebie i cieszyć się życiem, albo popaść w marazm i nie robić nic**

Na polskie spotkania z Nickiem Vujicicem zapraszał internautów m.in. pochodzący z Dąbrowy Tarnowskiej Piotr Radoń. On również urodził się z amelią totalną, a po porodzie lekarze wprost zapytali jego rodziców, czy biorą go do domu, czy zostawiają w szpitalu. Historia młodego chłopaka bez rąk i nóg, którego rodzice musieli nosić na rękach, trzy lata temu wywołała w Polsce ogromne poruszenie. – Mama i tata to są takie moje tymczasowe egzoszkielety. Muszę mieć pomoc, bo sam bym się przecież nie nakarmił, nie zjadłbym, nie ubrał się – tłumaczył w rozmowie z TVP.

Mimo braku kończyn, astmy oraz skrzywionego kręgosłupa, który uciskał płuca i inne narządy wewnętrzne, Piotrek imponował siłą woli i zarażał optymizmem. Świetnie się uczył. Dostawał świadectwa z czerwonym paskiem. Zdołał też bardzo dobrze zdać maturę i dostać się na studia w Polsko-Japońskiej Wyższej Szkole Technik Komputerowych w Warszawie. Jednocześnie zaczął pracę w PKP InterCity na stanowisku administratora strony internetowej. Niestety, z powodu redukcji etatów stracił pracę. Został więc tylko z rentą w wysokości 600 zł i bez szans na pomoc finansową od rodziców, którzy sami borykali się z kłopotami finansowymi.

Dzięki fotografowi Jakubowi Szymczukowi, który na swoim blogu opublikował wzruszające zdjęcie Piotra razem z ojcem – wspólnie zbierających pieniądze na wózek inwalidzki – zainspirował ludzi do publicznej zbiórki pieniędzy, w której datki złożyło ponad 6 tys. osób. Za pośrednictwem serwisu Zrzutka.pl internauci zebrali 308 tys. zł, czyli 1027 proc. potrzebnej kwoty.

„Jesteście wszyscy cudni, mam już spłacony czynsz, wózek też będzie, dziś miały być przymiarki, ale jestem niestety w szpitalu. Nie uciekną, wyleczę się i znów działam, pójdę na zajęcia ah dziś miałem iść też ok co jeszcze u mnie hmm, to kupował będę inhalator przenośny, i oczyszczacz powietrza, i szukam tańszego wynajmu:) szukam też rehabilitanta specjalistycznego, z płucami i układem kostnym, bo 80 godzin tylko z NFZ przysługuje. Pozostałe wpłaty zbieram na wymarzony egzoszkielet. Ok kończę idę odpoczywać" – napisał Piotr Radoń 22 października 2014 r.

Tydzień później zmarł. 21-latek nie zdążył spełnić swoich marzeń. Zdołał jednak w wielu sercach zaszczepić radość i nadzieję na szczęśliwe życie. I – podobnie jak Łukasz Krasoń czy Nick Vujicic – sprawił, że miliony ludzi polubiło swoje życie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl 4eef091ca4






butiki **SWISS**

# NA PREZENTY PRZYSZEDŁ CZAS

HANOWA
SWISS MADE

194 705 **490 zł**

194 729 **590 zł**




ROAMER
OF SWITZERLAND

243 504
**1790 zł**




pierre cardin
PARIS

246 658
**490 zł**




TOMMY HILFIGER

237 387
**790 zł**

eprasa.pl 4eef091ca4

PROMOCJA

Spraw, aby marzenia Twoich najbliższych znalazły się pod świątecznym drzewkiem. Podziękuj im za wspólnie spędzane chwile.




ROAMER
OF SWITZERLAND

200 009
**1790 zł**




SWISS MILITARY
HANOWA

220 646
**1290 zł**




pierre cardin
PARIS

246 672
**470 zł**




TOMMY HILFIGER

245 380
**880 zł**

swiss.com.pl

eprasa.pl 4eef091ca4



*Krzysztof Masłoń*

**Ponad 450 mln dol. – w historii handlu sztuką to najwyższa suma, absolutny rekord wszech czasów**



# Rekordzista Vinci i

Dnia 15 listopada na aukcji w nowojorskim oddziale londyńskiego domu aukcyjnego Christie's za namalowany na desce (60 x 40 cm) wizerunek Zbawiciela Świata („Salvator Mundi") anonimowy nabywca zapłacił, wraz z prowizją, 450,3 mln dol. Tyle okazało się warte ostatnie ponoć dzieło Leonarda da Vinci znajdujące się w prywatnych rękach, inne bowiem stanowią ozdobę kolekcji publicznych i raczej nie ma szans, by trafiły do sprzedaży.

Obraz wystawił na aukcję rosyjski miliarder Dmitrij Rybołowlew, o którym głośno było wiele razy, np. z powodu rozwodu kosztującego go połowę majątku, obliczanego na 4,5 mld dol. A na majątek ten, zrobiony na nawozach sztucznych i kopalniach soli potasowej, składał się m.in. klub piłkarski Monaco, willa w Palm Beach na Florydzie kupiona od Donalda Trumpa, no i najbardziej nas interesujące dzieła sztuki. Nawiasem mówiąc, „Salvatora Mundi", za którego zapłacił 127,5 mln dol., usiłował sprzedać już wcześniej – bez skutku. Uważał zresztą, że przepłacił za obraz; teraz pewnie zmienił zdanie, o ile, rzecz jasna, dzieło da Vinci wciąż pozostawało w jego rękach, co do końca pewne nie jest.

## NICZYM ŹRENICA OKA

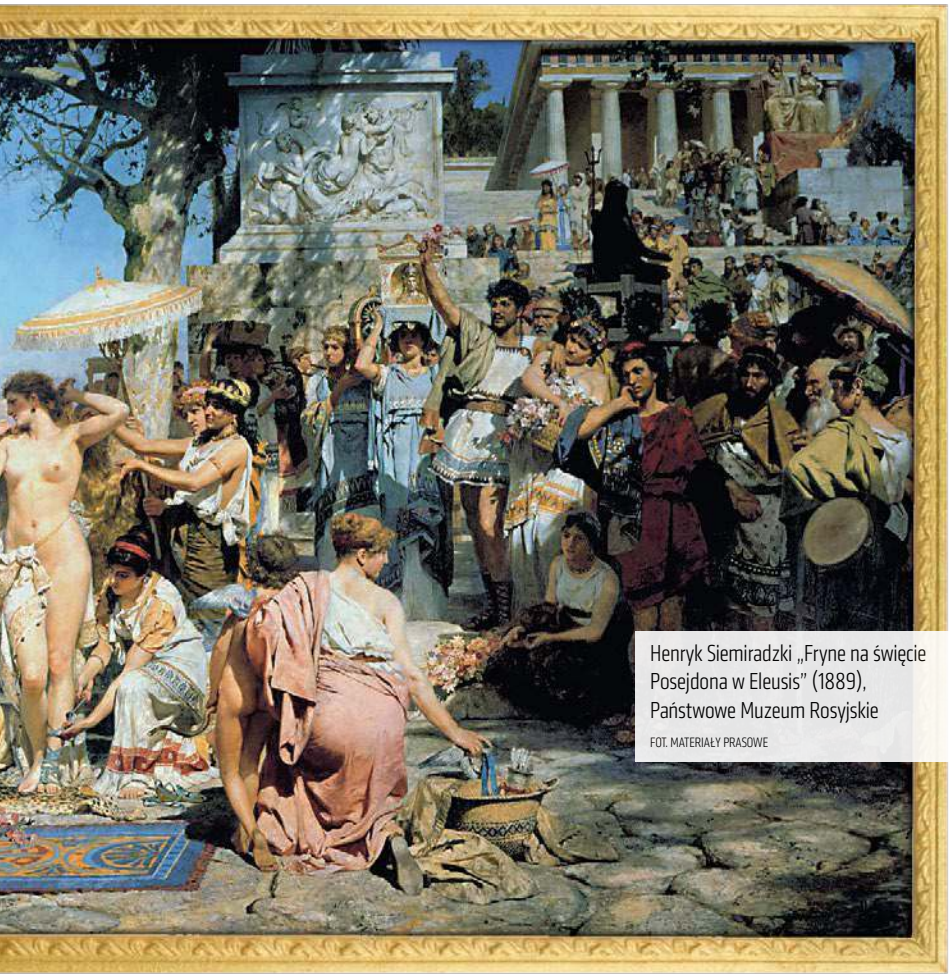
W ogóle nic tu nie jest pewne w stu procentach, włącznie z autentycznością obrazu, o którym do roku 2011 myślano, że wyszedł spod ręki ucznia Leonarda, Giovanniego Boltraffio. Wtedy jednak równolegle przeprowadzane ekspertyzy dowiodły autentyzmu „Salvatora", o czym podobno miała zadecydować… szklana kula trzymana przez Jezusa w lewej ręce (prawą ma wzniesioną do błogosławieństwa).

Pozycja Leonarda da Vinci na rynku sztuki jest wyjątkowa pod każdym względem. Z tego punktu widzenia dobrze się stało, że to jego obraz pobił rekord sprzedaży wcześniej należący do „Kobiet Algierii" Picassa sprzedanych na aukcji Christie's w 2015 r. za 179,4 mln dol. A w sztuce dawnej prym wiódł Rubens z „Rzezią niewiniątek" (80 mln dol.). No tak, ale dzieła da Vinci nie trafiają na aukcje i dopiero „Salvator Mundi" rozpalił emocje kolekcjonerów. Co nie znaczy, że nie usiłowano wejść w posiadanie obrazów Leonarda będących w zbiorach muzeów, gdzie – zdawałoby się – strzeżone są niczym źrenica oka. A jest tych obrazów – najprawdopodobniej – 15, w tym „Dama z gronostajem" z Muzeum Narodowego w Krakowie. Brawurową, tyle że całkowicie fikcyjną opowieść o próbie kradzieży tego obrazu przedstawił w 2004 r. w filmie „Vinci" Juliusz Machulski.

Jednak dzieło Leonarda rzeczywiście wykradziono, i to „Monę Lisę"! Z Luwru! W 1911 r. Vincenzo Peruggia, który dopuścił się tego czynu, utrzymywał, że powodowały nim względy patriotyczne, gdyż chciał zwrócić słynny obraz Włochom. Obraz – podkreślał – zrabowany przez Francuzów, dokładnie przez Napoleona. Była to, oczywiście, bzdura, choć Bonaparte grabieżą wytworów kultury parał się z upodobaniem. I to nie tylko w krajach podbitych, lecz także u sojuszników. W Warszawie zażyczył sobie np. czterech obrazów Canaletta i jednego Bacciarellego znajdujących się na Zamku Królewskim. Dobrze też, że ówczesne możliwości techniczne nie pozwoliły mu przetransportować do Paryża



eprasa.pl 4eef091ca4



Henryk Siemiradzki „Fryne na święcie Posejdona w Eleusis" (1889), Państwowe Muzeum Rosyjskie

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

# polskie „wycieki"

wileńskiego kościoła św. Anny, na co miał wielką ochotę.

## ZŁODZIEJ – PATRIOTA

Włoski złodziej z Luwru mijał się jednak z prawdą. Kiedy Napoleon okradał włoskie galerie, m.in. Watykan, „Mona Lisa" od setek lat znajdowała się we Francji, a francuski król Franciszek I zapłacił za nią krocie.

Obraz odzyskano po 27 miesiącach, a złodziej – pracujący w Luwrze jako malarz dekorator – wykpił się niewielkim wyrokiem: roku i 15 dni więzienia, obniżonym następnie do siedmiu miesięcy, a że na poczet kary zaliczono areszt śledczy, Peruggię uwolniono. Prasa włoska, a przynajmniej jej część, robiła z niego bez mała bohatera narodowego, a w każdym razie żarliwego patriotę, choć dziś większość znawców tematu przychyla się do opinii, że sprawca kradzieży chciał po prostu osiągnąć korzyści materialne. I zapewne dopiąłby celu, gdyby zachowywał się z większą ostrożnością.



Sandro Botticelli „Madonna" ze zbiorów Raczyńskiego (ok. 1477 r.), Berlin, Gemäldegalerie

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Kradzież „Mony Lisy" okazała się świetnym zabiegiem marketingowym, ugruntowała bowiem przekonanie o tym, że jest to dzieło absolutnie wyjątkowe, a Leonardo da Vinci był geniuszem, któremu cała artystyczna konkurencja niegodna jest czyścić butów. Zaraz też, na fali wzmożonego zainteresowania obrazem, pojawiły się opinie kwestionujące jego oryginalność. Te spory o autentyzm tego akurat, a nie innego wizerunku „Mony Lisy" były całkiem zasadne. Już w 1955 r. stwierdzono bowiem istnienie 60 (!) falsyfikatów sławnego dzieła. Autentyzm innych dzieł Leonarda kwestionowany jest rzadziej, ale np. jego „Madonną wśród skał" szczycą się zarówno francuski Luwr, jak i angielska National Gallery.

A spór o to, czy „Salvator Mundi" jest rzeczywiście obrazem Vinci, przypomina podobne, nawet jeszcze bardziej zacięte, polemiki o „Madonnę z wrzecionem" tego samego artysty. Czy namalował go sam Leonardo, czy też jego uczniowie, a może nawet naśladowcy? Ma też swoich zwolenników opinia, że „Madonna..." ta być może i wyszła spod pędzla mistrza, ale – najzwyczajniej – w tym akurat przypadku nie wzniósł się on na szczyty swego kunsztu.

## JAK NA LEKARSTWO

Niedawna sprzedaż „Salvatora Mundi" ponownie – który to już raz! – przyciągnęła nazwisko Vinci na pierwsze strony gazet. Aukcja z połowy listopada poprzedzana była już od dawna zapowiedziami, że czekają nas niebywałe zupełnie emocje, licytowane będą prawdziwe arcydzieła, a do zakupów przymierzają się najbogatsi ludzie na świecie. Ostatecznie tego, kto nabył „Salvatora...", nie jesteśmy całkowicie pewni. Dużo przemawia za chińskim miliarderem Liu Yiqian. Wraz z żoną Wang Wei sztuką interesuje się od dawna, jest fundatorem Long Museum w Szanghaju. Tymczasem Muzeum Luwr Abu Zabi poinformowało na Twitterze, że obraz będzie można w przyszłości oglądać w stolicy Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Według „New York Timesa" anonimowym nabywcą obrazu z przedstawieniem



eprasa.pl 4eef091ca4

wizerunku Jezusa Chrystusa jest książę Bader bin Abdullah bin Mohammed bin Farhan al-Saud z Arabii Saudyjskiej. Z kolei francuski tygodnik „Le Journal du Dimanche" twierdził, że „Salvator Mundi" sprzedano dwóm firmom inwestycyjnym.

W ograbionej z zabytków Polsce arcydzielnej sztuki mamy jak na lekarstwo. „Damę z łasiczką" Leonarda w Krakowie, „Sąd ostateczny" Memlinga w Gdańsku. A dalej? Nie tylko kradziono nam dzieła sztuki, lecz także sami wywoziliśmy je za granicę. Tak było z „Madonną" Botticellego, którą Atanazy Raczyński przemieścił z Poznania do Berlina, później kolekcja wróciła do Poznania, jednak bez „Madonny". A tę ostatnią w 1953 r. spadkobiercy Raczyńskiego sprzedali do berlińskiej Galerii Obrazów i tam można teraz podziwiać to dzieło, opisywane w każdym podręczniku historii sztuki jako „Tondo Raczyński".

Inny sławny obraz znajdujący się w polskich zbiorach – „Jeździec polski" Rembrandta, często zwany „Lisowczykiem" – sprzedany został do Ameryki przez Zdzisława Tarnowskiego już w 1910 r. Niedawno, przy okazji zablokowania aukcyjnej sprzedaży „Tańca wśród mieczów" Henryka Siemiradzkiego, który przecież jakoś z Polski „wyciekł", przypomniały mi się tamte, głośne swego czasu, wydarzenia.

## SIEMIRADZKI PO ŁEMPICKIEJ

Po I wojnie światowej sprawy zwrotu zagrabionych zabytków uregulować miał, wraz z innymi kwestiami, traktat wersalski. O ile w kwestii granic Polski przyniósł on rozstrzygnięcia w sumie dla nas korzystne, o tyle nie można tego powiedzieć o spełnieniu naszych próśb i żądań odnośnie do dzieł sztuki. Cóż, brało się to z tego, że przedwojennej Polski nie było i, niejako z automatu, polskie dzieła włączano do zasobów pruskich, austriackich czy rosyjskich. W efekcie do dziś najchętniej kupowany na aukcjach i osiągający najwyższe ceny Henryk Siemiradzki uznawany jest często za malarza rosyjskiego, i to nie tylko w Rosji, gdzie – nawiasem mówiąc – bardziej okazała wersja tego samego „Tańca wśród mieczów", wzbudzającego obecnie patriotyczne emocje, zdobi salę malarstwa rosyjskiego Galerii Tretiakowskiej w Moskwie. Nasi sąsiedzi ze Wschodu przy każdej okazji podnoszą fakt, że Siemiradzki był synem wysokiego oficera carskiej armii, a rodzina miała dom w Charkowie, gdzie przyszły artysta chodził do szkoły, malarstwo zaś studiował w Petersburgu. To prawda, ale prawdą jest też, że był Henryk (a nie żaden Giennrich czy Genrikh) Siemiradzki polskim patriotą, przez matkę, Michalinę z Pruszyńskich, wychowanym w wierze katolickiej, przyjacielem Sienkiewicza zmarłym w Strzałkowie koło Radomska, gdzie nabył pałac. I pochowano go na krakowskiej Skałce.



Leonardo da Vinci „Salvator Mundi" (1506–1513)
FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Jacek Malczewski „Polski Hektor" (1913)
FOT. GRZEGORZ JAKUBOWSKI/PAP



Rembrandt „Jeździec polski" (1655), kolekcja Fricka w Nowym Jorku FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Warto wiedzieć, że inna wersja „Tańca..." Siemiradzkiego (w sumie są ich cztery) sprzedana została w 2011 r., na aukcji rosyjskiego (!) malarstwa zorganizowanej przez Sotheby's w Nowym Jorku, za 2,1 mln dol. Dwa lata wcześniej, szacowana na 300–500 tys. dol., nie znalazła nabywcy. W 2011 r. estymacja była już wyższa, a końcowy wynik licytacji robił wrażenie.

Do Henryka Siemiradzkiego należy także rekordowy wynik sprzedaży polskiego obrazu w naszym kraju. Dwa lata temu na aukcji Rempexu replikę znajdującego się w petersburskim Ermitażu monumentalnego (370 x 767 cm) obrazu „Fryne na święcie Posejdona w Eleusis" sprzedano za 3,45 mln zł. Wcześniej listę najwyżej sprzedanych w kraju polskich obrazów otwierał „Polski Hektor" Jacka Malczewskiego (2,6 mln w 2013 r.). W czołówce rankingu mamy jeszcze jednego Siemiradzkiego – „Żebrzącego rozbitka", który w 2000 r. osiągnął cenę 2,13 mln zł.

Z całą pewnością jest Siemiradzki najbardziej wziętym polskim malarzem, oczywiście po bezkonkurencyjnej pod tym względem Tamarze Łempickiej, jednej z najdroższych malarek świata. W 2011 r. pobiła absolutny rekord, gdy jej „Le rêve" sprzedano na aukcji w nowojorskim Sotheby's za 8,48 mln dol. Także inne dzieła Łempickiej (m.in. „La Dormeuse" czy „Portrait de Madame M.") uzyskiwały zawrotne ceny. W sumie już ponad 20 obrazów malarki sprzedano za kwoty co najmniej milionowe (liczone w dolarach).

## MILION PO RAZ PIERWSZY

Z polskich artystów współczesnych najwyżej ceniony jest Roman Opałka. Dalej mamy, niezależnie od ocen, krańcowo różniących się Piotra Uklańskiego i Wilhelma Sasnala, a w rankingu zaznaczyli też swą obecność Magdalena Abakanowicz i Wojciech Fangor. Krajowe aukcje mają innych bohaterów: z Jackiem Malczewskim, ze Stanisławem Wyspiańskim, z Józefem Chełmońskim, Alfredem Wieruszem-Kowalskim na czele.


eprasa.pl 4eef091ca4

Listopadowa aukcja Christie's była rekordowa nie tylko za sprawą Leonarda da Vinci i jego „Zbawiciela Świata". Rekordy osiągnęła również poprzedzająca licytację Vinci aukcja impresjonistów i dzieł sztuki nowoczesnej. Łącznie sprzedano na niej obrazy o wartości 479 mln dol., co stanowi sumę od 10 lat największą i dwa razy wyższą od tej z roku ubiegłego. Za znów rekordową kwotę – 70 mln dol. – sprzedany został „Kontrast form" Fernanda Légera, ale największe zainteresowanie towarzyszyło licytacji „Robotnika na polu" Vincenta van Gogha, jednak w tym przypadku rekord nie padł, gdyż obraz osiągnął „zaledwie" 72 mln dol., co oznacza, że wciąż droższy pozostaje „Portret doktora Gachet", sprzedany w 1990 r. za 82,5 mln dol.

Niezależnie od fajerwerków w rodzaju gigantycznych sum osiąganych za wyjątkowe obrazy wyjątkowych twórców generalnie – co może dziwić – większe zainteresowanie towarzyszy sprzedaży dzieł współczesnych twórców, żyjących bądź zmarłych stosunkowo niedawno. Po zdecydowanie gorszym okresie, gdy wywoływane skandale przyćmiły jego działalność artystyczną, znów świetnie sprzedaje się malarz i rzeźbiarz Jeff Koons. Nie maleje zainteresowanie pracami Luciana Freuda, zmarłego sześć lat temu wnuka sławnego Zygmunta Freuda. Wciąż w cenie są Mark Rothko czy Willem de Kooning.

Milionowe kwoty za dzieła powstałe całkiem niedawno przestały już dziwić. I pomyśleć, że pierwszy raz milion dolarów za obraz współczesnego malarza zapłacono ledwie 60 lat temu. Cenę tę osiągnęła „Martwa natura" Paula Gauguina z 1901 r.

## POWINNOŚĆ ŚWIĘTA I TKLIWA

Wzrost cen na rynku sztuki jest w zasadzie nieustanny. Owszem, zdarzają się sytuacje kryzysowe, wielkie domy aukcyjne szybko jednak stabilizują stan rzeczy. Pojawiają się wówczas nowe mody, „odkrywani" są nowi artyści, do łask powracają dawni mistrzowie. A od czasu do czasu zadziwia się świat znaleziskiem w rodzaju „Salvatora Mundi"...

W połowie lat 70. zeszłego wieku, gdy kolekcjonerzy japońscy, wcześniej kupujący w Europie obrazy jak leci, przywieźli je z powrotem na Stary Kontynent i wystawili na sprzedaż, ceny dzieł sztuki gwałtownie zmalały. Impresjonistów kupowano, np. o 40 proc. taniej! Dyrektor Sotheby's, który wcześniej twierdził, że „dzieło sztuki to najlepsza lokata kapitału", zaczął dowodzić, iż „dzieła sztuki nie należy traktować jak lokaty kapitału, dlatego kupować je powinno się tylko wtedy, gdy jesteśmy nim naprawdę zachwyceni" i dopiero „ścisłe przestrzeganie tej zasady będzie najlepszą, długoterminową inwestycją". Trochę wszystko to było bełkotliwe, nic więc dziwnego, że kąśliwie komentowano te słowa: „Kiedy marszandzi zaczynają mówić o sztuce jako takiej, to znak, że interesy idą źle".



Henryk Siemiradzki „Żebrzący rozbitek" (1878) FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Jeśli chodzi o nasz rodzimy potencjał sztuki, to po szwedzkim potopie i rozbiorach czarę goryczy przelały II wojna światowa i okupacja Rzeczypospolitej przez Niemców oraz Sowietów. Do kraju wróciły jedynie nieliczne ze zrabowanych dzieł. Pół biedy, jeśli gdzieś je można oglądać, tak jak obrazy polskich twórców we Lwowie. Co się jednak stało z takimi arcydziełami znajdującymi się w Polsce jak „Portret młodzieńca" Rafaela?

**Co może dziwić – większe zainteresowanie towarzyszy sprzedaży dzieł współczesnych twórców, żyjących bądź zmarłych stosunkowo niedawno**

Nie ulega kwestii, że przez długie lata sprawa rewindykacji ukradzionych nam dzieł sztuki zamiatana była pod dywan. A przecież nie ma nic ważniejszego w działalności Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, które przy pomocy wyspecjalizowanych służb, MSZ i nie tylko, może udaremnić sprzedaż takich obrazów jak teraz „Taniec wśród mieczów" Henryka Siemiradzkiego, a całkiem niedawno „Pomarańczarka" Aleksandra Gierymskiego. Śledzenie aukcji sztuki – i tych najważniejszych, i tych mniej ważnych – jest zadaniem obowiązkowym. Dwieście pięćdziesiąt lat temu Stanisław Kostka Potocki podkreślał, że „zachować od zatracenia pamiątki narodowe, podawać je wiekom potomnym było zawsze i u wszystkich narodów powinnością świętą i tkliwą". Jednak dziś te wielkie słowa zawieszają się w próżni. Rynek dzieł sztuki podlega takim samym prawom jak inne branże, a w funkcjonowaniu swoim przypomina giełdę. A na giełdzie, jak na giełdzie, można zarobić, ale można i stracić. Przede wszystkim trzeba jednak pilnować interesów: swoich, a na cudze mieć baczenie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl 4eef091ca4



*Piotr Gociek*

**„Ostatni Jedi" przynosi rewolucyjne zmiany w mitologii gwiezdnej sagi. Już nic nie będzie takie samo jak dawniej**



# GWIEZDNE WOJNY punkt zwrotny

Dawno, dawno temu, w naszej rodzinnej galaktyce po obejrzeniu filmu Johna Carpentera „Gwiezdny przybysz" („Starman", 1984), jeden z mych piszących znajomych (dziś całkiem popularny autor – Robert J. Szmidt) rzekł: „Gdyby ten film nakręcił Steven Spielberg, to główny bohater miałby całe wiadro tych magicznych kulek". Kto pamięta tamtą opowieść, ten wie, o co chodzi, ale ci, którzy filmu nie znają, też na pewno chwycą w lot – są filmowcy, którzy gospodarują efektem „wow!" oszczędnie, ale są i tacy, którzy za każdym razem chcieliby widzowi sprzedać całe wesołe miasteczko. Nie wystarczają im karuzela, dom strachów i gabinet luster, ładują do opowieści wszystko, co im podpowie rozbuchana dziecięca wyobraźnia. A może jeszcze słonia na wrotkach? I tańczące pingwiny z tacami pełnymi słodyczy? A jeśli rollercoaster, to największy na świecie.

Rian Johnson, reżyser najnowszych „Gwiezdnych wojen", zalicza się właśnie do tej drugiej grupy. W „Ostatnim Jedi" atrakcji jest co niemiara: bitwy w kosmosie, bitwa na planecie, pojedynki krótsze i dłuższe, zupełnie nowe światy, nowe rasy, garść nowych bohaterów oraz odpowiednia dawka przygód dla każdego z nich. A ponieważ na scenie mamy wciąż także bohaterów starych (Luke Skywalker, jego siostra Leia, kudłaty Chewbacca plus para robotów z oryginalnej trylogii) oraz tych staro-nowych (to znaczy przedstawionych w poprzedniej części – „Przebudzenie Mocy"), na ekranie robi się tłoczno, a całość ledwie mieście się w dwóch i pół godzinach projekcji.

## LUKE NA EMERYTURZE

Akcja „Ostatniego Jedi" rozpoczyna się tuż po finale poprzedniego filmu – rebelianci nadal tropieni są przez siły Najwyższego Porządku i wiedzie im się kiepsko. Wróg nie potrzebuje niszczyciela planet, żeby przeważać. Ma mnóstwo wojennych gwiezdnych okrętów, fanatycznych żołnierzy, okrutnego przywódcę władającego Mocą (naczelny wódz Snoke) oraz jego ucznia Kylo Rena. Osaczeni przez wroga zwolennicy dawnej Republiki dowodzeni przez gen. Leię Organa toczą samotny, nierówny bój, nie wiedząc, jaki efekt przyniosła misja dzielnej Rey, która w finale poprzedniego filmu wyruszyła, by odnaleźć Luke'a Skywalkera, przebywającego na dobrowolnym wygnaniu.

Widzowie są w lepszej sytuacji od gwiezdnych rebeliantów, bo wiedzą, że Rey dotarła do dawnego mistrza Jedi, w nowym filmie śledzą zaś jednocześnie to, co się dzieje podczas pościgu za topniejącymi siłami Lei, i to, co przytrafia się Rey. Luke, delikatnie mówiąc, nie jest zachwycony faktem, że ktoś zakłóca jego emeryturę wśród sympatycznych wielkookich ptaszków, rybopodobnych służek piorących mu ubrania i fal chłodnego oceanu. Kwestia, którą znacie z pierwszego zwiastuna (pochmurny Luke ogłaszający: „Czas Jedi minął"), to nie zmyłka. Skywalker nie tylko odciął się od reszty wszechświata, lecz także on naprawdę uważa, że cała ta zabawa z Mocą, zakon Jedi, szkolenie kolejnych pokoleń uczniów i tak dalej, że wszystko to było diabła warte. Dlaczego? To





eprasa.pl 4eef091ca4



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

pytanie tkwi w centrum nowego filmu. A to, co najważniejsze, rozgrywa się w trójkącie Skywalker-Rey-Kylo Ren. Kto kogo przechytrzy? Na którą stronę przeciągnie? Dlaczego Skywalker i Kylo Ren darzą się tak wielką niechęcią? Skąd wzięła się moc Rena? Tak, w filmie pojawią się odpowiedzi.

## BĘDĄ OFIARY

„Ostatni Jedi" to środkowy film nowej trylogii, przynosi więc mroczne punkty zwrotne i ponure komplikacje, podobnie jak „Imperium kontratakuje" w oryginalnej trylogii oraz „Atak klonów" w trylogii prequeli dokręconych w latach 1999–2005. Na dobrą sprawę mógłby nosić tytuł „Najwyższy Porządek kontratakuje" i też bardzo by pasowało. To czas, kiedy nadzieja gaśnie, siły zła okazują się potężniejsze, niż dotąd sądzono, a nielicznym reprezentantom dobra przydarzają się rzeczy fatalne. Śmierć Hana Solo w poprzednim filmie była sporym zaskoczeniem dla fanów, od razu zaczęły się też spekulacje, kto padnie trupem w kolejnej części. Nie zdradzając szczegółów, powiem, że będą ofiary zarówno wśród postaci pierwszoplanowych, jak i tych na drugim oraz trzecim planie. Zresztą, jeśli chodzi o szybkie pozbywanie się ciekawie nakreślonych postaci, które zostały błyskawicznie zaakceptowane przez miłośników sagi, „Ostatni Jedi" momentami niebezpiecznie przypomina „Grę o tron". Pozostawia widza z otwartymi ustami: Zaraz, zaraz! Jak to! Nie mogą tego zrobić, przecież jeszcze tyle można było wycisnąć z tego bohatera!

„Przebudzenie Mocy" grało kartą nostalgii, „Ostatni Jedi" przynosi ciekawą zabawę ze znanymi motywami, ale już w inny sposób. Podobnie jak „Imperium kontratakuje" zaczyna się od rozpaczliwej ucieczki rebeliantów z oblężonej przez wroga planety, ale zamiast bitwy w śniegach Hoth mamy wielką gwiezdną batalię, która robi imponujące wrażenie, zaś sposób, w jaki jest pokazywana, to ciekawe nawiązanie do hollywoodzkiej klasyki wojennej, która inspirowała kiedyś Lucasa. Przecież przyznawał, że tworząc sceny bitewne, wzorował się na powietrznych pojedynkach pokazywanych w filmach o II wojnie światowej.

To samo robi Rian Johnson, ale po swojemu.

Z kolei sceny przypominające pojedynek rebeliantów z machinami kroczącymi pojawią się w finale „Ostatniego Jedi". Także i tu przetworzone w twórczy sposób. Reżyser najnowszego filmu gwiezdnej sagi zdaje sobie doskonale sprawę z tego, że pewne klisze cyklu już się wyczerpują, zaczyna się więc nimi bawić. Jakie? Sami wiecie. Dlaczego zawsze los rebelii musi zależeć od tego, czy ktoś wśliźnie się do bazy wroga i wyłączy ten jeden, jedyny przełącznik sterujący polem ochronnym wroga? Czy rewelacje na temat pochodzenia głównych bohaterów zawsze muszą być zdradzane podczas pojedynku na miecze świetlne? Ileż razy postaci mogą sobie rzeczonymi mieczami obcinać dłonie? I tak dalej. Czy wszyscy, którzy coś znaczą w Galaktyce, muszą być spokrewnieni z rodziną Skywalkerów?

Ta ostatnia sprawa jest szczególnie ciekawa, bo tu „Ostatni Jedi" przynosi zmiany rewolucyjne. Pamiętam, jak kiedyś lewicujący (i bardzo utalentowany) amerykański pisarz SF David Brin narzekał na „Gwiezdne wojny", wytykając, że to bajka utrwalająca klasowe stereotypy. Władzę i potęgę się dziedziczy (ewentualnie przekazywana jest wybrańcom, tak jak sekrety Mocy kolejnemu pokoleniu adeptów Jedi), za losy Galaktyki odpowiadają księżniczki oraz imperatorzy, a cała reszta to tylko mięso armatnie. Teraz Brin powinien być zadowolony, bo nowy odcinek gwiezdnej sagi odsyła sporo z tych zasad do lamusa, pozbywa się części mitologii i zwiastuje awans krzywdzonych i poniżonych ze społecznych nizin. Poczekajcie szczególnie na ostatnią scenę filmu.

## NOWE ZASADY

Dzieje się więc wiele i uniwersum „Gwiezdnych wojen" już nigdy nie będzie takie samo, na dobre i na złe. Przede wszystkim zmieniają się zasady gry, czego w pierwszej chwili widz może nie dostrzec, przygnieciony nagromadzeniem wątków i wydarzeń, próbujący kibicować dawnym herosom. To, co poważniejsze i dające do myślenia, jest od razu przykrywane scenami komicznymi, których w tej części jest wyjątkowo wiele. Jest to, dodam od razu, na szczęście humor wyższej próby niż w prequelach.

Jednocześnie ten natłok szkodzi klarowności opowieści. Nowe postacie wyskakują z pudełka, brak czasu na ich ładne nakreślenie, a już znikają, bo trzeba gnać dalej. Film wydaje się przeładowany, spokojnie można było z niego wykroić dwie części. Niedawny „Łotr 1" robi przy nim wrażenie wzorca konstrukcji. Całkiem jakby reżyser „Ostatniego Jedi" spieszył się okrutnie, żeby jak najszybciej pozamykać niektóre wątki i z czystą kartą kręcić kolejne filmy – a ma, przypomnę, odpowiadać za zupełnie nową trylogię, w ogóle niezwiązaną z dziejami rodziny Skywalkerów. Dobra wiadomość: Rian Johnson świetnie się bawi nowymi „Gwiezdnymi wojnami", jest co oglądać. Zła: ma w zapasie kilka wiader magicznych kulek i nigdy nie waha się ich użyć.




★★★★★★

**REŻ. RIAN JOHNSON**
**„GWIEZDNE WOJNY: OSTATNI JEDI" („STAR WARS: THE LAST JEDI")**
**USA 2017**

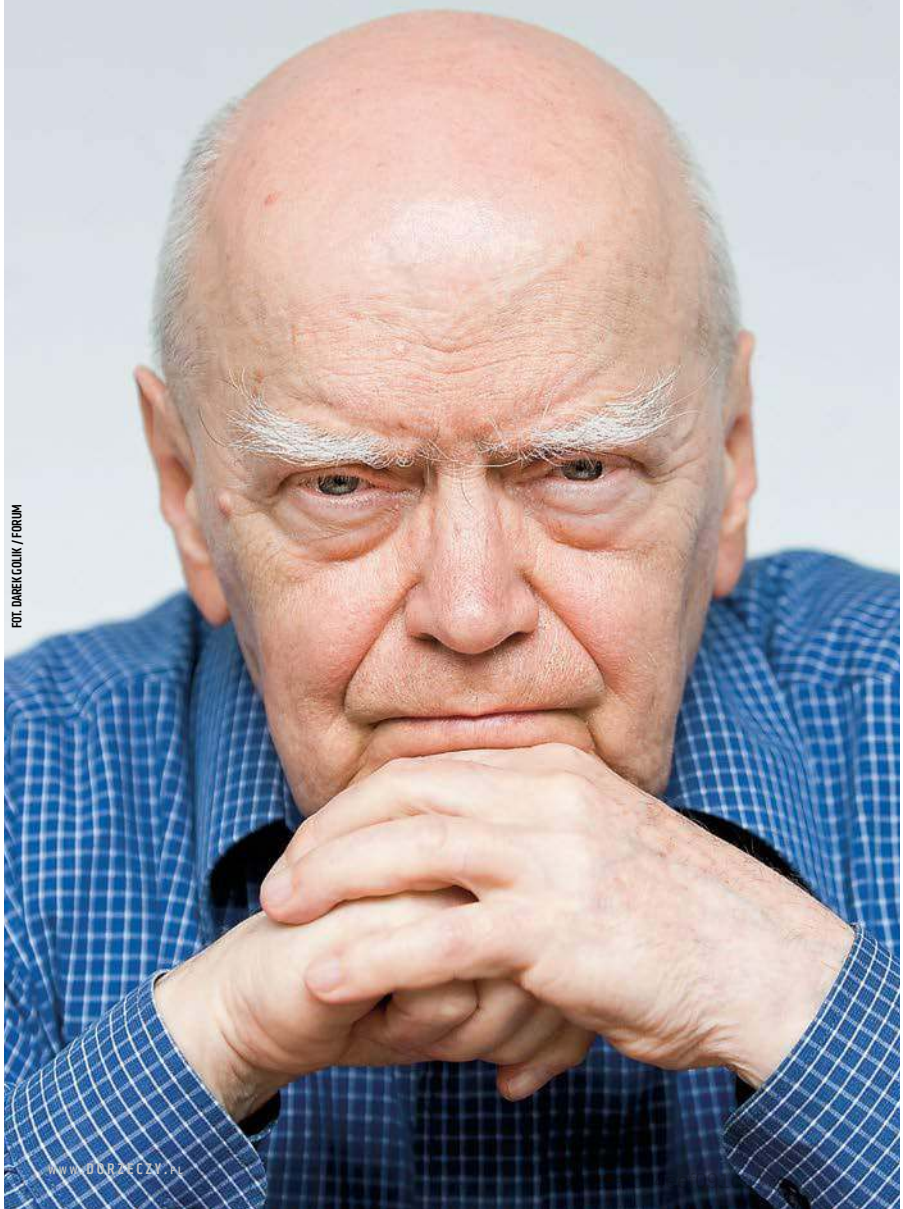
wyst. Daisy Ridley, John Boyega, Adam Driver, Mark Hamill, Carrie Fisher

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl 4eef091ca4

# Safianowe czerwone buty



FOT. DAREK GOLIK / FORUM



*Joanna Lichocka*

**Twierdzenie, że Jarosław Marek Rymkiewicz jest potomkiem Czyngis-chana, może się wydać pomysłem fantastycznym. Jednak nie da się tego zupełnie wykluczyć – fragment powstającej książki**

Przeciwnie, prawdopodobieństwo pochodzenia od władcy Mongołów jest realne. A ściśle rzecz ujmując, w jakimś stopniu (w jakim – to pozostaje zagadką) realne jest to, że poeta jest w prostej linii potomkiem Dżoczi, czyli uznanego przez Czyngis-chana pierworodnego dziecka jego żony Börte. Została ona – wkrótce po zawarciu małżeństwa z Czyngis-chanem (o czym opowiada „Tajna historia Mongołów") – porwana przez rywalizującego z nim innego wodza jednego z mongolskich plemion. Z owego porwania po zwycięskiej wyprawie została odbita i – jak się okazało – była wtedy w ciąży. Wkrótce urodził się syn, który przyszedł na świat jako pierwsze dziecko Czyngis-chana, i to właśnie od niego pochodzić miałaby dawka błękitnego Orientu w żyłach autora „Do Snowia i dalej".

W posiadaniu rodziny prof. Krzysztofa Baranowskiego znajduje się wywód rodu Tuhan-Baranowskich, z którego pochodziła matka poety, Hanna Baranowska. Wymienia on kolejnych męskich członków rodu, następujących po sobie i tworzących 900-letnią linię rodową. Do generacji, w której pojawia się na świecie Jarosław Marek Rymkiewicz, jest to lista obejmująca 27 pokoleń. Podaję go poniżej, zachowując ortografię, interpunkcję i skróty oryginału:

***WYCIĄG Z GENEALOGII RODU KNIAZIÓW TUHAN MIRZA BARANOWSKICH***

opracowanej przez Macieja Baranowskiego, autora pracy „O muślinach litewskich" w połowie XIX w. uzupełnionej przez Michała Baranowskiego, ekonomistę, profesora uniwersytetu w Petersburgu, w pierwszych latach XX w. oraz przez Wacława Baranowskiego, dyrektora gimnazjum w Pułtusku w 1924 r.

***Jesugej ba tuur,*** ok. 1125–1165, wódz plemienia Tatarów

***Czingis chan,*** 1155–1221, twórca imperium tatarskiego

***Dżuczi,*** najstarszy syn Czingis chana, wódz zachodnich ord tatarskich

***Berke,*** chan Złotej Ordy, 1202–1266

***Mönge Timur,*** 1232–1280, przez pewien okres czasu chan Złotej Ordy

***Togryłdża,*** jeden z 10 synów Mo'nge Timura, wódz tatarski

***Özbek,*** 1282–1342, w latach 1312–1342 chan Złotej Ordy, przyjął islam

***Murad Karasakkał/Czarnobrody,*** jeden z 40 synów chana Özbeka, 1318–1357, zabity podczas zamieszek w 1357 r.

***Ali Kantemir/Krwawy Miecz,*** 1341–1388, w 1357 r. uniknął śmierci i ukrywał się w stepach nad Morzem Aralskim, następnie z ramienia chana Tochtamysza naib/gubernator/Derbentu w Dagestanie

***Temir Tuhan be,*** ok. 1366–1410, naib Derbentu, po bitwie pod Worsklą w 1399 r. uciekł na Litwę, zginął w bitwie pod Grunwaldem w 1410 r.

***Miran,*** zwany Mirzą Tuhańskim albo Mirzą Dagestańskim, dwukrotny poseł litewski do Złotej Ordy, zm. ok. 1450 r.

***Baran,*** zwany Mirzą Tuhańskim albo Mirzą Dagestańskim, tłumacz kancelarii W. Ks. Litewskiego, zm. ok. 1500 r.

***Dawid,*** zwany Baranowiczem lub Daranowskim, chorąży tatarski, zm. ok. 1540 r.

***Ahmed*** albo Achmeć Mirza Baranowski albo Mirza Tuhański, rotmistrz chorągwi tatarskiej, zm. ok. 1580 r.

***Mustafa,*** używający konsekwentnie nazwiska Baranowski albo Tuhan Baranowski, rotmistrz chorągwi tatarskiej, poległ w walkach ze Szwedami w Inflantach w pierwszych latach XVII w.

***Bohdan,*** ścięty przez kata w Oszmianie za najazd na dwór jednego z sąsiadów w 1617 r., był „towaryszem chorągwi lekkiego znaku"

***Mustafa,*** rotmistrz chorągwi tatarskiej, zginął w 1656 r. w walkach ze Szwedami

***Dawid,*** chorąży tatarski trocki, zm. ok. 1699 r., autor kilku rękopiśmiennych traktatów teologicznych, odbył pielgrzymkę do Mekki i Medyny, pozostawił znaczne legaty na odbudowę szeregu meczetów w W. Ks. Litewskim

***Bohdan,*** rotmistrz chorągwi tatarskiej, jako zwolennik Augusta II zginął w walkach ze Szwedami w pierwszych latach XVIII w.

***Jakub,*** przeniesiony przez Augusta III do służby w wojsku saskim, doszedł do stopnia generała. Dowodził w „rajzach" lekkiej kawalerii sasko-tatarsko-bośniackiej na teren Brandenburgii. Zwany Szwarcem. Jeszcze w połowie XIX w., według etnograficznych zapisów, w niektórych okolicach Brandenburgii matki straszyły swe dzieci, że jeśli będą niegrzeczne, to „Czarny Tatar" porwie je lub zje. Wsławił się (przekreślone) Podczas wojny siedmioletniej spaleniem (zmienione, w domyśle „spalił") szeregu (skreślone „u") podberlińskich wsi. Zm. ok. 1765 r.

***Mustafa,*** generał w służbie Stanisława Augusta, zm. ok. 1790 r.

***Jakub,*** pułkownik, brał udział w powstaniu kościuszkowskim, zm. ok. 1816 r.

***Maciej,*** ziemianin, uczestnik powstania listopadowego, autor pracy „O Muślinach litewskich", zm. ok. 1860 r.

***Bohdan,*** oficer wojsk rosyjskich, w 1863 r. przeszedł do szeregów powstańczych, dowódca samodzielnie działającego oddziału, ciężko ranny na polu walki, nie chcąc się dostać do niewoli, zastrzelił się

***Szymon,*** po stracie ojca wychowywany przez matkę chrześcijankę, porzucił islam i przyjął chrystianizm, ziemianin, właściciel majątków Maniatyn, Hełubne, Hiranowiec i Mokre na wsch. Wołyniu, zm. w 1920 r.

***Wacław,*** 1880–1929, ukończył historię na Uniwersytecie Kijowskim, organizator strajku szkolnego w Pułtusku w 1905 r. Dyrektor pierwszego gimnazjum polskiego w tym mieście w l. 1905–1907, w l. 1921–1929 dyrektor państwowego gimnazjum żeńskiego w Pułtusku. Właściciel majątku Gnojno koło Pułtuska

***Bohdan,*** ur. w 1915 r. profesor historii Uniwersytetu Łódzkiego, brał udział w powstaniu warszawskim w 1944 r.

Ów ostatni Bohdan to rodzony brat Hanny Baranowskiej, matki Jarosława Marka Rymkiewicza. Spis obejmuje jeszcze synów Bohdana – Krzysztofa i Władysława – oraz syna Władysława, Bartłomieja, urodzonego w 1972 r. Wyciąg opracował i na maszynie napisał właśnie ów Bohdan Tuhan-Baranowski, profesor Uniwersytetu Łódzkiego, historyk, autor wielu prac dotyczących m.in. relacji polsko-tatarskich.

W dacie śmierci Czyngis-chana w „Wyciągu…" jest błąd – źródła historyczne podają rok 1227, być może wyniknął on z prostej literówki, w rękopisie 1 mogło być pomylone z 7. Najstarszy syn Czyngis-chana miał na imię Dżoczi, nie Dżuczi, jak jest to ujęte w „Wyciągu…". Był protoplastą rodu władców Złotej Ordy. I – jak chcą tego przynajmniej trzej wymieni jako autorzy wywodu Tuhan-Baranowscy (tak wynika z ich badań) – praprzodkiem Mistrza z Milanówka.

## PRAPRAPRADZIADEK

Pierwszym, któremu zawdzięczamy tę myśl (poprzyglądajmy się jej, potomek chanów Złotej Ordy rytmicznie uderzający w klawiaturę komputera przy biurku obok okna z widokiem na ogród w Milanówku), jest Maciej Tuhan-Baranowski, autor rękopisu „O muślinach litewskich" wydanego przez Antoniego Krumana w 1896 r. W odróżnieniu od Czyngis-chana jest on jak najbardziej realnym, można rzec – konkretnym, przodkiem Jarosława Marka Rymkiewicza, ziemianinem, praprapradziadkiem poety. Antoni Kruman pisze we wstępie opracowanej przez siebie książki: „Maciej Tuhan-Baranowski, obywatel z powiatu trockiego, biegły znawca wschodnich języków, gromadził materyały do dziejów swego plemienia, lecz potem ustał w tej pracy, a cenne jego notatki i przekłady poszły w poniewierkę. Jeden z rękopisów jego, w połowie już zniszczony, nabyłem przypadkiem przed laty kilkunastu w mieście Wilejce i ocaliłem od zatraty. […] Chciałem porozumieć się z autorem rękopisu i pomódz mu w ułożeniu systematycznego dzieła w tym przedmiocie, lecz go nigdzie odszukać nie mogłem: wyniósł się pono z kraju" [pisownia oryginalna – przyp. red.].

Wydawca pisze też we wstępie, że unikatowość zebranych przez imć Macieja Baranowskiego informacji polega na tym, że miał on wiedzę zebraną od rodów tatarskich i swej własnej rodziny, opierał się na przechowywanych u nich dokumentach – napisał „o tatarach litewskich z ich źródeł domowych". W swym rękopisie opisał fale osadnictwa tatarskiego na ziemiach Rzeczypospolitej. Przodek Mistrza z Milanówka pojawia się na ziemiach polskich po śmierci Witolda, gdy jego następca Swirdygiełło „zwraca się o pomoc do państwa Zawołżańskiego", skąd przybywa wsparcie wojska, dzięki któremu



eprasa.pl 4eef091ca4



Czyngis-chan, twórca imperium mongolskiego

FOT. HERITAGE IMAGES/GETTY IMAGES

książę zachowuje tron litewski. „To była druga osada Tatarów na Litwie": spośród „dzielnych Azyatów" zostaje na stałe 3 tys. wojska tatarskiego. „Nad tymi pułkami pierwszym marszałkiem był Temir Tuhan-bej, kniaź z Dagestanu, który przedtem służył u cara Zawołżańskiego" – to właśnie wedle „Wyciągu..." praprzodek naszego poety.

Wiemy, jak się nosił: „Ubiór marszałka składał się z kaftana aksamitnego, bramowanego trzema galonami złotemi, z szerokich, z błękitnej materii, szarowarów z lampasami, wchodzącymi w buty z czerwonego safianu, z czapki barankowej śpiczastej ze złotym kutasem; pas złotolity, za którym bogato oprawny kindżał oraz pałasz krzywy, wiszący przez ramię, dopełniał ubioru".

Wiemy, gdzie zamieszkał: „Tuhan-bej otrzymał w dziedzictwo wieś Winksznupie, a w lenne władanie: Roś, Potylcze, Wilkobole, Terliszki i Guściany. W późniejszych czasach dziedzictwo tych dóbr zostało zatwierdzone przez królów polskich Tuhanom-Baranowskim".

I to od niego dalej szli wszyscy kolejni Tuhan-Baranowscy – rotmistrzowie, chorążowie, oficerowie oddziałów tatarskich.

Pewien Baranowski, jako rotmistrz w powstaniu styczniowym na Wołyniu, pojawia się na kartach opowiadania Marii Konopnickiej „Hrabiątko". Być może to o Bohdanie Baranowskim, prapradziadku poety, mówi wspomnienie dwóch weteranów 1863 r. zawarte w piśmie „Słowo" w 1927 r. Według nich Baranowski był jednym z dowódców w partii Miładowskiego na Litwie: „Jeden taki oddział pod dowództwem Tuhan Mirzy Baranowskiego na własną rękę począł przedostawać się w stronę Niemna [...] tu jednak w ostatniej chwili dopadły powstańców silne oddziały moskiewskie...".

Jeśli zatem Maciej Tuhan-Baranowski, Michał Baranowski (czyli Michaiło Baranowski, rosyjsko-ukraiński ekonomista, który sądząc z opisu, miał jakiś udział w redakcji „Wywodu"), Wacław Baranowski, nauczyciel z Pułtuska, i wreszcie Bohdan Baranowski, profesor historii z Łodzi, się nie mylą, to możemy rozejrzeć się po domu w Milanówku uważniej. Potomek chanów Złotej Ordy stuka w klawiaturę, a spod biurka wyglądają czerwone, wysokie safianowe buty. Kaftan aksamitny bramowany „galonami złotemi" wisi (pod kurtką od deszczu) w przedpokoju. W sieni, niedaleko drzwi na półce, leży „czapka barankowa śpiczasta" (złoty kutas przepadł gdzieś, ale jeszcze niedawno tu był, może leży z tyłu na dnie półki).

Kolejne wersy – koniecznie w tej jednej chwili dziko, wprost ze stepów Dagestanu – spadają na ekran komputera.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

***Bibliografia:***

***„O muślinach litewskich: z notat i przekładów litewskiego tatara Macieja Tuhana-Baranowskiego", Warszawa, Gebethner i Wolff, 1896.***

***„Tajna historia Mongołów. Anonimowa kronika mongolska z XIII wieku", tłum. Elżbieta Milewska, Państwowy Instytut Wydawniczy, 2005.***

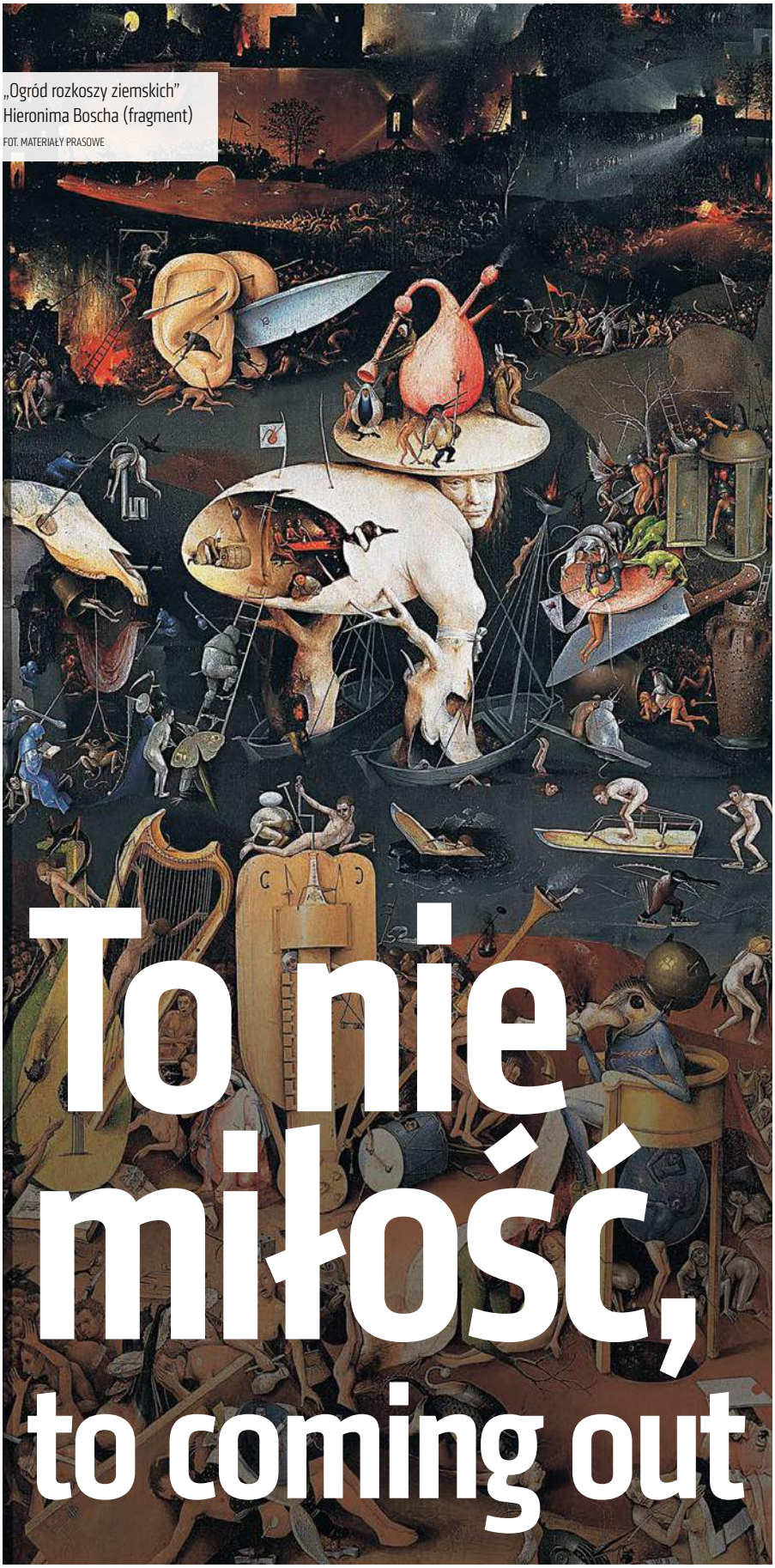
***„Herbarz rodzin tatarskich w Polsce", Stanisław Dziadulewicz, Wilno, 1929.***

***„Hrabiątko. Jak Suzin zginął", Maria Konopnicka, Gebethner i Wolff, 1924.***

***„Ze wspomnień weteranów 63 r. p. Aleksandra Radziwończyka i pana Karola Rutkowskiego", „Słowo" nr 294, 25 grudnia 1927 r.***



eprasa.pl 4eef091ca4



„Ogród rozkoszy ziemskich" Hieronima Boscha (fragment)

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

# To nie miłość, to coming out



*Andrzej Horubała*

**Sprawa wygląda dość groteskowo. Oto po wielkiej aferze towarzysko-środowiskowej, objawiającej zawstydzającą miałkość naszego literackiego światka, Ignacy Karpowicz – bohater całego zamieszania, sprawny dość, choć amoralny pisarz – wydaje kolejną powieść**

Następuje to parę lat po żenadzie, w której literaci i krytycy sięgnęli obyczajowego dna, piorąc publicznie brudy i przebijając poziom wszelkich portali plotkarskich.

Wśród oskarżeń o gwałt (starszej krytyczki na Pisarzu), o nieoddane pieniądze (krytyczce przez Pisarza), świadczenie usług seksualnych dla kariery (przez Pisarza – krytykom), wreszcie promowanie kochanka (Pisarza przez krytyka, sekretarza nagrody Nike, redaktora magazynu „Książki") w gruzy walił się radosny obraz hedonistycznej warszawki zawarty w powieści „Ości" tegoż Karpowicza. Miziający się beztrosko geje, pary wymieniające między sobą usługi seksualne, radosna poliamoria stracili swój urzekający blask, choć z okładki książki nadal zachwalał ją borykający się z własnymi problemami rodzinnymi uchachany Maciej Stuhr oraz profesor z poznańskiego uniwersytetu – Przemysław Czapliński, zamiast wierności postulujący poszerzanie związków.

Głupiutka, choć skrząca się, mamiąca błyskotkami, świetnie przyrządzona bajeczka o tym, że hedonistyczny seks nie rani i da się stworzyć bezbolesną tolerancyjną utopię, gdzie bez cierpienia, wśród rekwizytów klasy średniej, spożywać będziemy radośnie owoce naszego niewysilonego trudu, okazała swe ponure oblicze, gdy na powierzchnię zaczęły wychodzić personalne i środowiskowe klucze do opowieści… Stało się jednak to, gdy na rynek urodzony w Białymstoku pisarz rzucił już następną opowieść – bałamutną „Sońkę" – rzecz o dziewczynie z pogranicza polsko-białoruskiego, która zapałała uczuciem do esesmana. Niemoralność tej opowiastki – znów kapitalnie napisanej – była już



eprasa.pl 4eef091ca4

znacznie ostrzejsza, tak jakby Karpowicz testował granice zepsucia swoich czytelników i ich przyzwolenia na podważanie tradycyjnych norm. Losy zagubionej, nieszczęśliwej dziewczyny odnajdującej w mordercy z Niemiec oparcie i czyniącej z niego swego boga, miały być wielkim oskarżeniem Historii, która skazała piękne uczucie na porażkę. Gry, które uruchamiał w swej powieści Karpowicz, umiejętnie łącząc patos z ironią i wygłaszając apele o poszanowanie praw jednostki dążącej do szczęścia i seksualnego spełnienia, brzmiały naprawdę niesmacznie, a przede wszystkim nie składały się w logiczną całość. Podążając tropami Jonathana Littella, który w „Łaskawych", serwując nam popłuczyny po Dostojewskim i de Sadzie, cynicznie epatował okrucieństwem połączonym z perwersją, Karpowicz w „Sońce" prowadził grę z czytelnikiem, bawiąc się w immoralistę. I znów krytycy spod znaku wszech tolerancji i europeizacji wystawili Karpowiczowi laurki. Przewrotny prof. Koziołek z Uniwersytetu Śląskiego w otwierającym Agorowy magazyn „Książki" eseju zatytułowanym „Esesman, mój bliźni" pospieszył z postmodernistycznym bełkotem, odnajdując w związku Sońki z hitlerowskim oprawcą spełnienie przykazania miłości nieprzyjaciół. Zaś miłujący syntezy, wciąż meblujący nam głowy prof. Czapliński nazwał „Sońkę" dziełem przełomowym, stanowiącym „podsumowanie istotnego nurtu polskiej prozy ostatniego ćwierćwiecza".




IGNACY KARPOWICZ „MIŁOŚĆ" WYDAWNICTWO LITERACKIE 2017

## PROMOCYJNA HUCPA

No, ale mleko już się rozlało i dziarski marsz Karpowicza po nagrodę Nike został zastopowany przez wybuch obyczajowej afery i ujawnienie niespecjalnie sympatycznego backgroundu, w którym erotyczne relacje dziwnie splatały się z tekstami ku chwale naszego Pisarza.

Zabawne w tym wszystkim jest rzeczywiście to, że nie sposób odmówić Karpowiczowi smykałki do układania skrzących się humorem opowieści. Rozbrajającym głupstewkom, na jakich ufundowana jest jego wizja świata, które tragikomicznie skumulowały się w obyczajowej aferze, towarzyszy naprawdę sprawny pisarski warsztat.

I oto pomilczał sobie Karpowicz przez parę lat i nagle, bez zapowiedzi wydawniczych, wystrzelił z kolejną powieścią.

„Miłość" zatytułował swe dzieło, a jej kolejne części równie bezpretensjonalnie – „Piękno", „Prawda", „Dobro". No tak, bo jak informuje czytelników Agorowego magazynu „Książki" sam autor, pewnego wieczoru szedł ze swym „kompanem" po Amsterdamie i „dyskusja tak się rozpaliła, żeśmy zeszli na Platona"…

Genezę powieści objawia światu autor w pretensjonalnym szkicu „Jak napisałem »Miłość«". Skojarzenie z Thomasem Mannem i jego zapiskami „Jak powstał »Doktor Faustus«" nie jest na wyrost. Biedny Karpowicz, upewniany przez towarzyszących mu krytyków, w końcu koneserów z polskiej ekstraklasy – Przemysława Czaplińskiego, Dariusza Nowackiego, Ryszarda Koziołka, Pawła Goźlińskiego i wreszcie jego życiowego partnera, Juliusza Kurkiewicza – uwierzył snadnie, że stworzył coś więcej niż zgrabnie skrojoną comingoutową powiastkę

Pierwszy na linii promocyjnego frontu, wychodząc z założenia, że jak hucpa, to na całego, jest magazyn „Gazety Wyborczej" – „Książki". Bezczelne chłopaki z Czerskiej, no w końcu, kto im coś zrobi, przecież oni dyktują warunki całemu mainstreamowi, umieszczają powieść Karpowicza – jeszcze przed jej ukazaniem się w księgarniach! – wśród 10 najlepszych książek roku 2017, a redaktor naczelny Paweł Goźliński częstuje nas na zakończenie swego peanu kuriozalnym zdaniem: „Ta powieść i jej obecność w naszym rankingu nie uniknie plotkarskiego tła, więc od razu wyjaśniam: bliscy autorów nie mają wpływu na obecność ich dzieł w naszej dziesiątce". Czy Goźliński nie widzi swej śmieszności? Najwyraźniej nie, ale nie zapominajmy, że to autor, który ongiś, odchodząc z prawicowych mediów do „Gazety Wyborczej", jako wkupne opublikował łzawą, a przez to nieodparcie komiczną, opowieść o mękach, jakie przeżywał wśród konserwatystów, i harmonii, którą odnalazł dopiero w Agorowym raju.

W tym samym numerze pisma – wielki, podbity fotą autora w spisie treści – przywoływany już esej Karpowicza o tworzeniu tego arcydzieła. Z wypiekami na twarzy czytamy o tym, że mu nie szło, a potem poszło i tak fajnie wszystko wymyślił.

Jednocześnie na łamach „Gazety Wyborczej" Dariusz Nowacki prezentuje nam tekst „M jak miłość, M jak majstersztyk", w którym unosi się w zachwytach nad książką Karpowicza. Argumenty na rzecz jej arcydzielności są dość wątpliwe, no bo fakt, że Karpowicz operuje różnymi konwencjami i wplata te same motywy w odmienne konteksty, że nawiązuje do kanonu literackiego i intertekstualnymi grami sugeruje głębię, to jeszcze nie powód do patetycznego stwierdzenia: „Słowem, nie jakaś tam miłość, lecz Miłość – zasługująca na wielką literę, wyniesiona naprawdę wysoko, absolutyzowana z rozmachem godnym »Hymnu o miłości« świętego Pawła".

No, bardzo przepraszam, ale takich bzdur nie da się czytać spokojnie. Książka Karpowicza to comingoutowa opowieść, w której dziennikowe wyznania pisarza o swym homoseksualnym związku, otarciu się o śmierć i relacjach rodzinnych obudowują literackie wariacje: nowelka nawiązująca do epizodu z życia Iwaszkiewicza, dystopia o homofobicznej, nacjonalistycznej Polsce rządzonej przez „Prawo i Swobodę", gdzie chemicznie eliminuje się homoseksualizm, wreszcie baśń o związku księcia z pastuszkiem (wszędzie niby Eros z Tanatosem się spotykają). To wszystko skąpane w nieznośnej ckliwości i egzaltacji, która – gdyby jej odjąć nimb miłości zakazanej, gdyby pozbawić heroizmu coming outu – prezentowałaby poziom kobiecej sentymentalnej prozy z najniższej półki.

Intertekstualność? Zachwyca się nią Nowacki, ale najwyraźniej ściemnia. Przywołanie „Snu nocy letniej" w Iwaszkiewiczowskiej nowelce jest przecież wbrew jego cmokaniom tylko pustym ornamentem, błyskotką, mającą olśnić czytelnika. Oczywiście można napisać jak Nowacki, że „nieprzypadkowo wystawienie »Snu…« […] zostało ograniczone do odegrania fragmentu zawierającego sztukę wtrąconą o Piramie i Tyzbe", ale przecież zarówno w planie świata przedstawionego akurat ten wybór z piątego aktu „Snu nocy letniej" nie ma specjal-


eprasa.pl 4eef091ca4

nego sensu, jak też Karpowicz poza erudycyjną aluzją niczego sensownego nie potrafi zrobić z tą komedią Szekspira. Gdy z „Miłością" zestawi się to arcydzieło sprzed z górą czterech wieków i ujrzy, jak z lekkością snuje się tam pełna ciemności teatralna opowieść o bezsilności człowieka wobec rozwibrowanych erotycznych energii, jak tworzy się iluzja końcowego ładu po magicznej nocy, to trudno nie zasromać się nad poziomem polskiej krytyki, która widzi w Karpowicza snach o stojącym przed lustrem mężczyźnie w bokserkach z pianą do golenia na policzkach odpowiednik szekspirowskiej wizji. Przesadzam? Ależ to sami krytycy przywołują arcydzieła literatury światowej i pośród nich chcą umieścić comingoutową powieść swego pupilka. Podobnie baśń o księciu i pastuszku snuta w czasach, gdy wszelkie obyczajowe tabu są już w literaturze przekroczone, nie niesie w sobie żadnej tajemnicy, która jest warunkiem mitu, i brzmi pusto: ot, gejowska opowiastka, stylistyczna wprawka zwieńczona pompatycznym finałem.

Aluzje literackie, które czyni Karpowicz do wielkich opowieści o miłości zakazanej – do Prousta, do „Tristana i Izoldy", do Szekspira – nie budują wszak jeszcze wielkiej literatury. A tak zdają się mniemać podekscytowani krytycy, którzy zwykły postmodernistyczny chwyt towarzyszący modnemu teraz emancypacyjnemu gestowi biorą za gwarancję wysokiej sztuki.

## KATOLICKA HOMOFOBIA?

No tak, trudno zaprzeczyć, Karpowicz umie prowadzić literackie gry, niezgorszy też z niego imitator, choć miejscami to dziwaczne – opis seansu spirytystycznego u Iwaszkiewiczów jest zaskakująco odpuszczony, podobnie jak baśniowe stylizacje, jakieś przedziwne: „Odziej, proszę, szlafmycę na piżamę" czy też w pierwszej kostropatej nowelce pretensjonalne: „przynadziejna żona" i banalne „gasł w oczach niczym bleknące wspomnienie" lub „temat zdawał się szeroki jak pejzaż"…

O ile wystąpienie autorów z drużyny Agory to nic innego niż środowiskowa zmowa i wzajemne towarzyskie podkręcanie się, to przecież głosy innych krytyków oraz pisarzy – choć wszystko dałoby się jakoś wyjaśnić, czy to słabością charakteru, czy choćby wpływami Wydawnictwa Literackiego – każą mi zadać pytanie, czy to czasami nie moja katolicka homofobia powoduje tak niską ocenę najnowszego dzieła Ignacego Karpowicza. Czy słów potępienia nie dyktuje mi tęsknota za dawnymi świadectwami zakazanej miłości, które wolne były jeszcze od tego ideologicznego nalotu, od natrętnych gejowskich klisz? Że niby co? Że wolę głosy trzymających się w półcieniu, w ukryciu nieszczęśników? Ale przecież oni sobie niezgorzej radzili bez tej gejowskiej wrzawy, a na pewno pisali ciekawiej… Co począć, jeśli od całej książki Karpowicza bardziej stymulujące jawią mi się choćby fragmenty „Niby-dziennika" Mycielskiego, jak ten z roku 1974, gdzie zafascynowany pięknym marynarzykiem ujrzanym w kawiarni rozważa on fenomen swojej homoerotycznej wrażliwości: „Uroda – jaki jest jej stosunek do sztuki, co my możemy zrobić, stworzyć, powiedzieć, wobec jednego uśmiechu, oczu, zębów, gdy świecą w tej otchłani, która nas ogarnia, pochłania.

Jeżeli to są wrażenia i potoczne myśli starego pederasty, to dodam jeszcze: jak mnie zastanawia, że tego zachwyconego stosunku do piękności nie spotykam – a jeżeli spotykam, to bardzo rzadko – u najbardziej zakochanych w urodzie kobiet. Owszem, widzą oni piękne dziewczyny, ale jak rzadko konstatować mogłem ten rodzaj wstrząsu, jaki homoseksualiści przeżywają, gdy błyśnie ten wdzięk i uroda, które wcisnęły piękno na nas".

**Bezczelne chłopaki z Czerskiej umieszczają powieść Karpowicza – jeszcze przed jej ukazaniem się w księgarniach – wśród 10 najlepszych książek roku 2017**

## SMUTEK SOBOWTÓRÓW

Albo ostatnie doświadczenie, zaledwie refleks jeden w oceanie znużenia na niedawnych występach Dance Theatre of Harlem w Warszawie. Smutny widok czarnoskórych tancerek i tancerzy wtłoczonych w gorset klasycznych form, z zablokowanymi biodrami, z wykastrowaną ekspresją, no ale gdy w choreograficznym eseju o miłości i stracie, po scenach homoerotycznych tańców: płaskich, lustrzanych, jednostajnych, przywołujących myśl o smutku i samotności sobowtórów, doszło do połączenia par w heteroseksualne związki, to wówczas objawiła mi się właśnie istota baletu, istota naszej kultury opartej jednak – mimo wszystko – na wzbogacającej się wzajem różnicy, na dwóch wyodrębnionych pierwiastkach: męskim i żeńskim. I rodzącej się z połączenia tych pierwiastków miłości, i rodzącym się z tego nowym życiu. Czy to też homofobia?

Oczywiście lęk, odraza i wstręt wobec różnego rodzaju perwersji i zboczeń to jedna sprawa. Ale przecież pozostaje literacki smak. Sam pamiętam, jak nie byłem w stanie w roku 1991, jako ojciec dwóch malutkich, najsłodszych na świecie córeczek, czytać „Lolity" Nabokova. Naprawdę, fizycznie odrzucało mnie. Ale nawet wtedy czułem zachwyt dla pierwszych zdań powieści:

„Lolito, światło mego życia, płomieniu mych lędźwi. Mój grzechu, moja duszo. Lo-li-ta: czubek języka schodzący w trzech stąpnięciach wzdłuż podniebienia, aby na trzy trącić o zęby. Lo. Li. Ta." (tłum. Robert Stiller).

*Lolita, light of my life, fire of my loins. My sin, my soul. Lo-lee-ta: the tip of the tongue taking a trip of three steps down the palate to tap, at three, on the teeth. Lo. Lee. Ta.*

Obrzydliwy perwers, ale jak to jest napisane! W „Miłości" Karpowicza takich passusów próżno szukać. Jego rzekomy traktat o miłości, mimo że posiłkuje się imieniem Albertyny, nie ma nic wspólnego z proustowskim laboratorium uczuć i pamięci. Jest zręczną comingoutową powieścią, która uwzniośla homoseksualny związek przez ciągłe podkreślanie społecznej opresji, jakiej podlega. Przekonanie o swym sensie, swej świętości czerpie z nienawiści, jaką jest otaczany.

Realizując strategię emancypacyjną, zwodzi polskich krytyków, których stadne zachwyty są jeszcze jednym argumentem, by nie dowierzać mainstreamowi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl 4eef091ca4

# Prezentowe insp

*Najważniejsze znajdziesz w środku*



super oferta




59,00 44,25 oprawa twarda

**Książka. Najpotężniejszy przedmiot naszych czasów zbadany od deski do deski**
Keith Houston

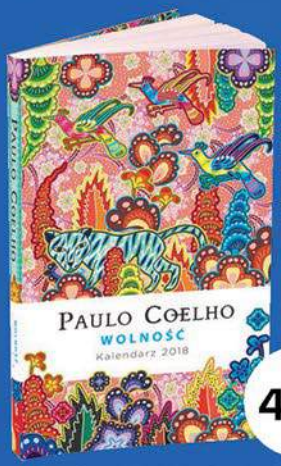
super oferta




mój empik 129,99* z kartą mój empik 249,99 cena regularna 48% oszczędzasz

**Star Wars Battlefront II**
Gra PS4

& tylko w empiku




42,90

**Kalendarz 2018 Paulo Coelho. Wolność**
Format: B5

Zapraszamy do salonów **empik** i na **empik.com**

eprasa.pl 4eef091ca4

# iracje




super oferta

44,99 33,74 oprawa zintegrowana

**Kukuczka. Opowieść o najsłynniejszym polskim himalaiście**
Dariusz Kortko, Marcin Pietraszewski




super oferta

mój empik 24,99 z kartą mój empik 44,90 cena regularna 44% oszczędzasz

**Początek**
Dan Brown




super oferta

34,99 19,99 oprawa miękka

**Psiego najlepszego. Był sobie pies na święta**
W. Bruce Cameron




super oferta

mój empik 129,99* z kartą mój empik 259,99 cena regularna 50% oszczędzasz

**Gran Turismo Sport**
Gra PS4




& tylko w empiku

39,99 2DVD

**Dunkierka**
2 DVD (wydanie specjalne)




super oferta

19,99 CD

**Rolling Stones**
Blue & Lonesome




super oferta

19,99 CD

**Sting**
57th & 9th

* Oferta dostępna w wybranych salonach empik i na empik.com




& tylko w empiku

39,99* /szt.

**Kubki ze znakami zodiaku**
Pojemność 500 ml




& tylko w empiku

119,99 /szt.

**Gry z serii „Gierki Małżeńskie”**

empik

eprasa.pl 4eef091ca4



„Męczeństwo" tych, którzy zostali zatrzymani przez policję, bo obrzucali jajkami rządowe auta, może dla „fanatyków" być bodźcem do odwetu

FOT. STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

# Bujanie Polską



*Rafał A. Ziemkiewicz*

**Brutalizacja opozycji to nie tylko efekt obłędu, który jeszcze bardziej odpycha od niej Polaków. To liczenie na wywołanie awantury i interwencję zewnętrzną**

Zauważyli państwo, jak zmieniły się preferencje głównych stacji informacyjno-publicystycznych? Dwa lata temu, gdy opozycja urządzała uliczną demonstrację, TVN24 grzała ją cały dzień i zasypywała swych widzów obrazkami z ulic, a TVP Info starała się te obrazki czymś przykryć i odwrócić od nich uwagę. Od pewnego czasu jest odwrotnie – protesty, coraz bardziej zdominowane przez Obywateli RP i mnożące się organizacje o jeszcze bardziej pompatycznych nazwach oraz jeszcze dziwniejszych liderach, nie schodzą z ekranu TVP Info, podczas gdy TVN24 stara się zainteresować widzów innymi sprawami. Tak np. było podczas procedowania ustaw sądowych. Paweł Kasprzak, bełkotliwie wykrzykujący, że Sejm przestał być władzą i żaden poseł nie ma prawa z niego wyjść, „Farmazon" Jagielski ubliżający po chamsku reporterce czy wynurzenia marzącej o „koktajlach Mołotowa" literatki Suchanow wbiły się w pamięć widzów telewizji postrzeganej jako prorządowa, tymczasem widz antypisowski mógł tych bohaterów „walki o demokrację" nie zauważyć.

## FANATYZM JEST ŚMIESZNY

Trudno o lepszy dowód, że działania „totalnej opozycji" stały się w oczywisty sposób dla każdego rozsądnego człowieka przeciwskuteczne. Fanatyczne, histeryczne zachowania ludzi ryczących pod Sejmem, tłukących nogami w policyjne tarcze i szarpiących barierki ośmieszają opozycję oraz zrażają do niej ludzi normalnych, nic więc dziwnego, że władza stara się pokazać ich wszem wobec: „Patrzcie, to tacy osobnicy zwalczają nas i nasze reformy. Chcecie mieć coś wspólnego z tym psychiatrykiem?".

Jednak działania opozycji nie są już skierowane ku „normalsom", tworzącym polityczne centrum i główną widownię debaty publicznej. Przeciwnie, dziś opozycja pogodziła się z ich utratą i nastawia się na najtwardszych zwolenników. Zdaje sobie sprawę, że przekaz, który do nich kieruje, innych zniechęca, skupia go więc w mediach niszowych, hejterskich – a władza przeciwnie, chce właśnie aby o tym, jaki jest przekaz „opozycji totalnej", powiedzieć „zwykłym Polakom".

Dotyczy to także nagłaśniania – „agregowania", mówiąc językiem fachowym – przekazu antypisowskich mediów. Profile i portale postrzegane jako „PiS-owskie" z lubością upowszechniają pompatyczne odezwy Jarosława Kurskiego czy co smakowitsze agitki Lisa albo Żakowskiego. Wychwytują też i nagłaśniają wpisy z antypisowskich profilów na mediach społecznościowych. To w ten sposób sławę zdobyła pani



eprasa.pl 4eef091ca4

anestezjolog mieszkająca w Paryżu, która zapowiedziała, że „w Polsce musi polać się krew" i że „ma nadzieję, iż będzie to krew PiS-owska".

Wyrazy potępienia, jakie powyższy wpis wzbudził, portal „Gazety Wyborczej" przedstawił jako… „PiS-owską" nagonkę na jego autorkę, przy czym w zamieszczonym screenie wpisu obciął owo zdanie: „Mam nadzieję, że będzie to krew PiS-owska". Podobnie jako prześladowany przez „reżim", przedstawiony został w mediach „opozycji totalnej" wspomniany już właściciel agencji ochroniarskiej „Farmazon" Franciszek Jagielski, który razem z Wojciechem Królem – obaj są stałymi uczestnikami „zadym" Pawła Kasprzaka – w plugawych słowach zaatakował reporterkę TVP Info oraz operatora kamery. Sam Kasprzak, który wraz z Bartoszem Kramkiem z fundacji Otwarty Dialog przypatrywał się tej scenie i bynajmniej nie próbował uspokoić agresji swoich ludzi, umieścił w sieci kuriozalne oświadczenie, w którym, stojąc z białą różą w ręku, atakuje zwyzywaną od k… reporterkę za to że „doprowadziła Jagielskiego do stanu, w którym go widzieliśmy", jego samego zaś tłumaczy jako „prostego człowieka", zapewniając: „Franku, jesteśmy z tobą!". W podobnym duchu zresztą wsparł go także wspomniany Kramek, autor rewolucyjnej instrukcji, jak „wyłączyć" państwo polskie.

Obsesja kreowania męczenników jest dla „opozycji totalnej" charakterystyczna. Stanowi to prostą konsekwencję przekonania, że dobra zmiana dokonała się właściwie bez żadnego powodu, że miażdżąca większość Polaków jest z ćwierćwiecza III RP zadowolona oraz tym samym niechętna obecnej władzy, i aby „znowu było tak, jak było", wystarczy ją tylko „przebudzić". A „przebudzić" mają ją właśnie „ofiary" reżimu – kreowany na „zwykłego szarego człowieka" samobójca, kobieta, która próbowała zablokować Marsz Niepodległości i demonstracyjnie paradowała potem w gorsecie ortopedycznym (choć wszystko wskazuje, że był on jedynie przebraniem, a nie żadną zaleconą przez lekarza formą leczenia odniesionych obrażeń), czy inna, która usłyszała, jak policjant mówi do kolegi „Kulson", bo takie funkcjonariusz nosi przezwisko, i wydało się jej, że nazwano ją brzydkim słowem.

## POCZUCIE PRZEŚLADOWANIA

Kto śledzi profile opozycyjnych polityków i liderów opinii, zauważy, jak intensywnie wytwarzają oni u swoich zwolenników poczucie prześladowania, zagrożenia. Zdjęcia policyjnych barierek czy kordonów pod Sejmem – dość oczywistej reakcji na powtarzające się zapowiedzi bojówek opozycji, że będą wdzierać się do Sejmu albo uniemożliwiać posłom jego opuszczenie – z lubością ocierającą się o onanizm upowszechniane są z podpisami w rodzaju: „Tak wygląda demokracja w Polsce", „PiS boi się narodu" etc., często zestawiane ze zdjęciami z czasów PRL.

„619 spraw przeciwko uczestnikom antyrządowych manifestacji […]. Miara swobody zgromadzeń i wolności słowa w Polsce AD2017" – to jeden z wielu podobnych wpisów, autorstwa Konrada Piaseckiego, pracownika Radia Zet i TVN. Wciąż nie udaje się sprowokować policji do brutalnych działań, to przynajmniej popodniecajmy się liczbą mandatów wlepionych za oczywiste, celowe łamanie przepisów.

Coś się jednak zmienia, przekroczona została kolejna granica – w chwili, gdy „ofiarą" ogłaszana jest „brutalnie rzucona na twarz" osoba, która obrzucała jajkami prezydencką kolumnę (powiedzmy sobie szczerze, że polska policja zareagowała arcydelikatnie – amerykańska czy francuska zastrzeliłaby taką osobę na miejscu), na dodatek niezwykle ze swego „czynu" dumna i chwaląca się, że wolałaby użyć koktajli Mołotowa, to dotychczasowa farsa zaczyna wyglądać niebezpiecznie. „Męczeństwo" pani Suchanow dla fanatyków może się stać bodźcem do „odwetu".

Tym bardziej że wypowiedzi osób publicznych i dziennikarzy związanych z „opozycją totalną" niedwuznacznie do tego zachęcają. Uchwalenie ustaw sądowych zaowocowało wieloma aberracyjnymi wypowiedziami, na różne sposoby oswajającymi ludzi znajdujących się w kręgu jej oddziaływania z myślą, że „musi się polać krew". Są to nie tylko intensywnie reprodukowane wpisy internetowych anonimów, lecz także apele osób publicznych. Były członek KRRiT Krzysztof Luft, były poseł KPN i doradca społeczny prezydenta Bronisława Komorowskiego Krzysztof Król oraz wielu innych, obłudnie ubierając swe wezwania w formę rzekomej troski, wpajają fanatykom, że „krew musi się polać", że poleje się prędzej czy później i że winny za to będzie oczywiście znienawidzony PiS.

## FRASYNIUK I KAMIENIE

Kiedy Władysław Frasyniuk w podobnie obłudny sposób oznajmia, że „po jajkach polecą kamienie", to jest oczywiste, iż nie mamy do czynienia z żadnymi obawami, tylko przeciwnie – z zachętą. Kto widział, w jaką histerię i obłęd wpadli zgromadzeni pod Sejmem „obywatele" po przegłosowaniu przez Sejm reformy sądownictwa, nie ma wątpliwości, że w gronie doprowadzonym medialnym praniem mózgu do takiego fanatyzmu znalezienie chętnych do sięgania po kamienie czy butelki z benzyną jest tylko kwestią czasu.

A jeśli już się uda Frasyniukowi i innym nikczemnikom, którzy jeszcze tak niedawno lali obłudne ślozy, że „miesięcznice smoleńskie" to „podpalanie Polski", namówić swoich wyznawców do atakowania policji, a ta będzie musiała użyć gazu łzawiącego albo gumowych kul – jakże marzyć musi opozycja, by taka kula wybiła komuś oko, najlepiej lewicowej poetce albo dziecku! – to histeria mocą samospełniającej się przepowiedni wejdzie na jeszcze wyższy poziom.

Na razie udało się opozycji zainspirować kolejne ataki na biura poselskie PiS. Tutaj także „autorytety" starają się ewidentne przekraczanie norm zrelatywizować i rozgrzeszyć (nie wiadomo, czy podpalenie miało charakter „intencjonalny", orzekła w TOK FM Dominika Wielowieyska po wrzuceniu wymarzonego przez panią Suchanow „koktajlu Mołotowa" do biura poselskiego Beaty Kempy; prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak zaś wezwał, by „także w całej Polsce" posłom PiS „nie było łatwo").

Ktoś powie, że to wszystko, poza niewątpliwym moralnym upadkiem opozycji, dowodzi jej ostatecznego zidiocenia – przecież brutalizując swą walkę i sięgając po przemoc, jeszcze bardziej się ona zmarginalizuje i obrzydzi normalnym Polakom. A mimo to nie sądzę, żeby opozycja nie wiedziała, co czyni, i żeby apele o opamiętanie się miały jakikolwiek sens. Instancją, do której się odwołuje, próbując rozbujać polską łódkę, nie jest polski „suweren", ale ościenne mocarstwa. I to w nich lokuje dziś opozycja swą jedyną nadzieję, że dysponując „niusami" o „zdestabilizowanej Polsce", wkroczy i – tak jak kilka lat temu w pogrążonej w kryzysie Grecji czy we Włoszech – narzuci swój rząd, dzięki któremu znowu „będzie, jak już było".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl 4eef091ca4



FOT. EAST NEWS

# Kolonializm na zamówienie



*Filip Memches*

**Ludzie lewicy kulturowej w Polsce stają się użytecznymi idiotami polityki historycznej państw, które z różnych powodów próbują wybielić swoją przeszłość**

Polska lewica kulturowa postanowiła się rozprawić z rodzimą wersją kolonializmu. Wmawianie Polakom poczucia winy za współudział w Holokauście widać już nie wystarczy. Pojawiły się zatem postulaty, by rozliczyć się z takich haniebnych kart rzekomo obciążających dzieje Polski, jak podboje ziem, które dziś należą do Ukrainy, Białorusi i Litwy.

Zjawisko kreowania Polski na kolonialną potęgę, brutalnie wyzyskującą swoich wschodnich sąsiadów, ma wiele źródeł. Jednak z pewnością istotną rolę w tej sprawie odgrywa – chcąc nie chcąc – francuski historyk Daniel Beauvois.

To on rozpowszechnił tezę, która pobrzmiewa na łamach „Krytyki Politycznej" czy „Gazety Wyborczej", kiedy pod adresem Polaków padają oskarżenia o paternalistyczne nastawienie do krajów oddzielających ich od Rosji. Beauvois uważa, że polska szlachta traktowała obszar dzisiejszej Ukrainy tak jak Francuzi Martynikę. Polską nostalgię za wschodnimi rubieżami przedrozbiorowej Rzeczypospolitej określa pejoratywnym terminem „kresomania". Snuje w dodatku porównania, które w odbiorze Polaków są niepokojące.

W rozmowie z Agnieszką Sabor dla „Tygodnika Powszechnego" w 2006 r. Beauvois powiedział m.in.: „Kresy – a więc tereny niepodległych dziś państw – to przecież coś podskórnie »naszego«, polskiego, coś, do czego »my«, Polacy, mamy pewne prawo. Tymczasem żaden Niemiec, udając się do Strasburga, nie mówi, że jedzie na kresy dawnej Rzeszy".

## RELATYWIZACJA RÓL I OCEN

Jacek Żakowski w „Mojej stronie. Bitwie redaktorów", cyklicznej dyskusji z Pawłem Lisickim w Wirtualnej Polsce, porównał stosunki polsko-ukraińskie do polsko-niemieckich. Stwierdził, że na



eprasa.pl 4eef091ca4

przestrzeni dziejów Polska traktowała Ukrainę w analogiczny sposób jak Niemcy Polskę. I postawił znak równości między nacjonalizmem ukraińskim a polskimi dążeniami niepodległościowymi oraz między datującą się od co najmniej czasów jagiellońskich polską obecnością na ziemiach ruskich a niemieckim ekspansjonizmem. „Polska była krajem kolonialnym, który okupował Ukrainę, walczył z patriotami ukraińskimi, żeby utrzymać swoją dominację na tym terytorium" – orzekł publicysta „Polityki".

Nie wiadomo tylko, kogo publicysta „Polityki" miał na myśli, mówiąc o patriotach ukraińskich. Terrorystów ze Stepanem Banderą na czele, którzy w roku 1934 zamordowali Bronisława Pierackiego, ministra spraw wewnętrznych II Rzeczypospolitej, szukającego porozumienia z umiarkowanymi środowiskami ukraińskimi? Ludobójców masakrujących w roku 1943 – pod niemiecką kuratelą, w imię czystości etnicznej ziem ukraińskich – polską ludność Wołynia? Bo przecież nie Kozaków dowodzonych przez Bohdana Chmielnickiego.

Opinia Żakowskiego pokrywałaby się z przekazem byłego prezydenta Ukrainy, Wiktora Juszczenki, który w październiku stwierdził, że Ukraińska Powstańcza Armia była jak Armia Krajowa, bo – jego zdaniem – każda z tych formacji walczyła o niepodległość swojego kraju.

Ta relatywizacja ocen dotyczących ról, jakie poszczególne podmioty odgrywały w rozmaitych konfliktach, prowadzi zaś do tego, że polscy lewicowi intelektualiści stają się użytecznymi idiotami polityki historycznej państw, które z różnych powodów próbują wybielić swoją przeszłość.

Weźmy niemieckie elity. Część z nich chętnie przyjmie taką wersję dziejów, w której AK czy Narodowe Siły Zbrojne zostaną uznane za formacje nie tylko walczące o wyzwolenie swojej ojczyzny spod okupacji III Rzeszy i ZSRR, lecz także zarazem reprezentujące to, co „postępowa" Europa zdecydowanie potępia: militaryzm oraz nacjonalizm. W ten sposób okaże się, że Polacy nie mają moralnego prawa wytykać ciągle Niemcom nazistowskiej przeszłości.

## WYBIELANIE NASZYM KOSZTEM

Tymczasem stosowanie symetrii wobec stosunków polsko-niemieckich i polsko-ukraińskich to przede wszystkim pokłosie przykładania do nich schematów ideologicznych oraz ahistorycznych. Roli Polski w dziejach Europy nie można jednak porównywać ani do tego, co robiły mocarstwa europejskie w zamorskich koloniach, ani do niemieckiego Drang nach Osten.

Przede wszystkim trzeba wziąć pod uwagę to, jakie miejsce zajmował dany kraj w dwutorowym rozwoju gospodarczym Starego Kontynentu. Od czasów wielkich odkryć geograficznych na zachód od Łaby rozwijał się kapitalizm, natomiast na wschód od niej – model folwarczno-pańszczyźniany.

Polska znalazła się po stronie wschodniej. Nie czerpała więc korzyści z zamorskich kolonii, z globalnej wymiany handlowej. W I Rzeczypospolitej rozwijała się gospodarka ekstensywna. Wyzysk chłopów był faktem, ale olbrzymim nadużyciem jest nazywanie tego kolonializmem. Wielkie Księstwo Litewskie, zawiązując w roku 1385 unię z Koroną Królestwa Polskiego, dokonało bądź co bądź dobrowolnego politycznego wyboru.

REKLAMA

# Luminox Navy SEAL 3500

## ZEGARKI NIE TYLKO DO ZADAŃ SPECJALNYCH

**Szwajcarskie zegarki Luminox to od lat wybór profesjonalnych jednostek specjalnych na całym świecie m.in. U.S. Navy SEALs czy pilotów F-117 Nighthawk™.**

Każdy zegarek Luminox jest wyposażony w unikalny samozasilający system podświetlania LLT (Luminox Light Technology) gwarantujący stałą widoczność godziny w każdych warunkach aż do 25 lat. Bez konieczności naświetlania czy naciskania jakiegokolwiek przycisku, godzina jest zawsze czytelna, nawet w zupełnej ciemności.

Nowe modele z serii Navy SEAL 3500, jednej z najbardziej znanych serii zegarków Luminox, to wciąż modele, które powstają przy użyciu najbardziej zaawansowanych technologii i materiałów, wystawiane na ciężkie próby. Kolorystyka nowych modeli to barwy używane przez armię czy Marynarkę Wojenną. Paski z wzmacnianego materiału (nylonu) czyli tzw. paski NATO są bezpieczne, trwałe, wygodne. Dobrze dopasowują się do męskiego nadgarstka.
Koperta jest wykonana z materiału Carbonox™ czyli opatentowanego przez Luminox kompozytu stosowanego od lat w zegarkach tej marki. Dzięki temu koperta jest lekka (wielokrotnie lżejsza niż stal czy tytan), wytrzymała, odporna na zarysowania. W modelu XS.3503.ND koperta jest wykonana z równie wytrzymałego materiału zawierającego włókno szklane – koperta zyskała przez to charakterystyczny grafitowy odcień.
Odporne na stłuczenia mineralne szkło jest dodatkowo hartowane. Posiada bardzo wysoką odporność na zarysowania, znacznie wyższą niż standardowe szkła mineralne. Koronka ze stali szlachetnej z podwójną uszczelką gwarantuje niezwykle wysoką wodoszczelność 200 m.



**CENA: 1390 zł**
dostępny w wybranych butikach Swiss i na swiss.com.pl



eprasa.pl 4eef091ca4

Istotny problem tkwi w tym, że I Rzeczpospolita nie została przeorana przez nowoczesność – tak jak to się stało udziałem Prus. Słabość władzy królewskiej, mocna pozycja szlacheckiej oligarchii, gospodarka ekstensywna, tolerancja religijna – te czynniki pchały Polskę w odwrotnym kierunku niż ten, który wyznaczał drogę rozwoju innym państwom europejskim. I przyczyniły się – czy to się komuś podoba, czy nie – do upadku I Rzeczypospolitej.

Prusy natomiast stały się nowoczesną monarchią absolutną opierającą się na drylu wojskowym i biurokracji. W tym protestanckim państwie religia była podporządkowana władzy świeckiej. W XIX w. przekształciło się ono w nowoczesny walec, który aż do I wojny światowej rozjeżdżał wszystko, co stawało mu na przeszkodzie. I tak powstał podatny grunt pod zainicjowaną przez Ottona von Bismarcka w drugiej połowie XIX w. politykę germanizacji Polaków w zaborze pruskim, wzmocnioną antykatolickimi działaniami, czyli kulturkampf.

**Nowoczesność oznacza nie tylko rozwój cywilizacyjny, lecz także unicestwienie starego świata. Dlatego jej wykuwaniu się towarzyszyły wojny, rewolucje i inne wydarzenia, w których rozlewała się przemoc**

## CIEMNE OBLICZE NOWOCZESNOŚCI

Próżno szukać w historii Polski takiego modelu ekspansji. Nie dlatego, że Polacy stali moralnie wyżej od Niemców, lecz z powodu dzielących jednych od drugich odmiennych kultur politycznych.

Czym się one różnią? Podejściem do nowoczesności. Aby to pojąć, trzeba dostrzec jej ciemne oblicze. Nowoczesność oznacza nie tylko rozwój cywilizacyjny, lecz także unicestwienie starego świata. Dlatego jej wykuwaniu się towarzyszyły wojny, rewolucje i inne wydarzenia, w których rozlewała się przemoc.

W tym sensie Polacy mają kłopot z nowoczesnością, bo byli zawsze na nią za poczciwi. Zapatrzeni w staroświecką etykę rycerską, nie nadążali za politycznym okrucieństwem jako swoistym europejskim standardem ulepszania rzeczywistości. Może również dlatego Polska z II wojny światowej wyszła jako najbardziej poszkodowany kraj.

Pewne rzeczy można także zauważyć, gdy się je wkomponuje w odpowiednie, różniące się od nich, tło. I tak – dyktatura sanacyjna była zdecydowanie łagodniejsza od reżimów autorytarnych międzywojennej Europy. Z kolei PRL nie przypadkiem był nazywany najweselszym barakiem w obozie socjalistycznym.

Ponadto Polacy w odróżnieniu od Ukraińców i innych narodów europejskich nie stworzyli politycznych struktur kolaborujących z III Rzeszą. Antysemityzm w okupowanej przez nazistowskie Niemcy Polsce nie przybrał charakteru instytucjonalnego, co może świadczyć właśnie o specyfice jej kultury politycznej.

Czy to oznacza, że Polacy są narodem aniołów, niewiniątek? A co z rabacją galicyjską? Co ze szmalcownikami? Co z incydentami, w których z rąk partyzantów z AK ginęli cywile ukraińscy czy białoruscy? Rzecz jasna, także dzieje Polski nie są pozbawione ciemnych kart. Jednak w odróżnieniu od innych krajów europejskich nad Wisłą przemoc nie została zinstytucjonalizowana. Stanowiła przejaw bandytyzmu, a nie uprawiania polityki. Bandyci w Polsce nie przejmowali rządów, chyba że – tak jak w latach 1944–1989 – byli narzucani jako „przewodnia siła narodu" przez obce komunistyczne mocarstwo.

## SWOJSKOŚĆ NIE BEZ INNYCH

Polacy, stanowiąc wspólnotę polityczną będącą w posiadaniu własnego państwa, nie wynieśli do władzy ugrupowań, które opowiadałyby się za unicestwieniem Żydów. I nie uroili sobie idei supremacji etnicznej na wschodnich rubieżach II RP, nawet jeśli rządy sanacyjne realizowały twardy, może nawet zbyt konfrontacyjny, kurs wobec ukraińskiej mniejszości.

Skądinąd trzeba zaznaczyć, że sama kwestia politycznej podmiotowości Ukraińców, Białorusinów, Litwinów pojawiła się dopiero w XIX w. To bowiem wtedy nastąpiły procesy narodowotwórcze, które wprowadziły ich na arenę dziejów. I dlatego nacjonalizm ukraiński – żywioł, który dał się Polakom we znaki w okresie międzywojennym i szczególnie drastycznie w czasie II wojny światowej – okazał się zjawiskiem wtórnym wobec wielowiekowej polskiej obecności na ziemiach dziś należących do Ukrainy.

Stosunki Polaków z mniejszościami narodowymi w II RP nie były zatem łatwe. Jednak nawet młodzi polscy nacjonaliści pod wpływem nauczania Kościoła katolickiego rewidowali w latach 30. swoje poglądy i zwracali się ku chrześcijańskiemu uniwersalizmowi.

Przykładem może być Wojciech Wasiutyński, który w roku 1935 na łamach tygodnika „Prosto z Mostu" opublikował „List do Ukraińca". Adresatem tekstu był Dmytro Doncow, ideolog skrajnego skrzydła ukraińskich nacjonalistów.

Wasiutyński pisał: „Jeżeli jest możliwość budowy prawdziwego państwa ukraińskiego, to tylko i wyłącznie wtedy, kiedy centrum zachodniej cywilizacji, środek nowego porządku będzie w Polsce. Kiedy człowiek znad Dniepru będzie mógł wybrać [...] nie rosyjski marksizm, tylko chrześcijaństwo". Publicysta zarazem podkreślał, że czynnikami tworzącymi naród nie są „biologia, etnografia, lingwistyka", lecz „idea i porządek cywilizacyjny".

Ten zwrot polskiego nacjonalizmu ku chrześcijańskiemu uniwersalizmowi podyktowany był właśnie specyfiką polskiej kultury politycznej. Tymczasem nowoczesna, biologiczna koncepcja narodu, którego sensem istnienia jest eliminacja innych narodów w walce o byt, została wdrożona przez NSDAP.

Jeśli zatem dziś polska lewica kulturowa tropi gdzie się da rodzimą wersję kolonializmu, to może to świadczyć o tym, że pozazdrościła swoim towarzyszom z Zachodu. Chce ich naśladować, więc szuka dla siebie takiego samego przeciwnika, jakiego mają oni. Polski kolonializm ma się pojawić niczym towar na ideologiczne zamówienie.

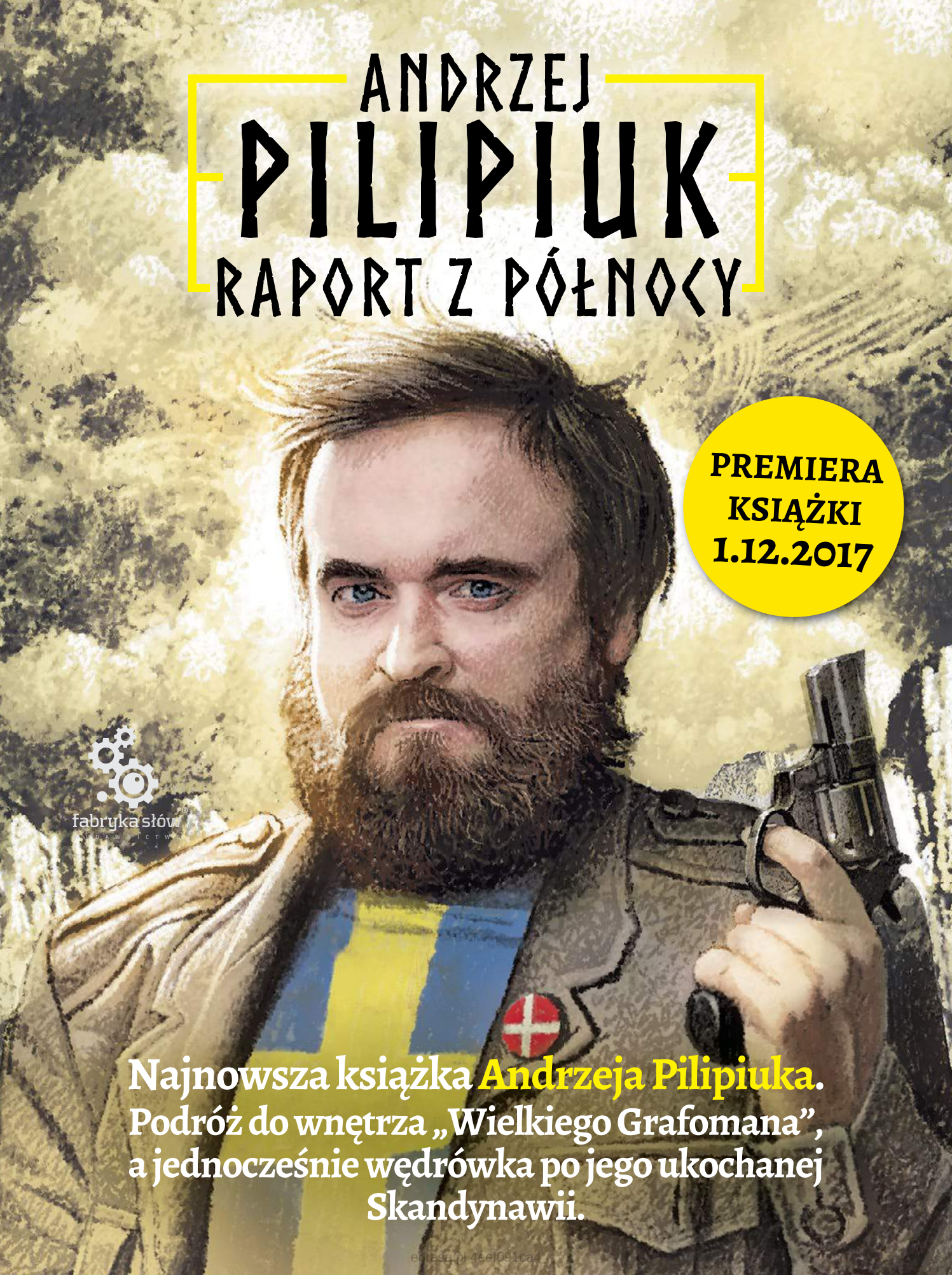
W ten sposób jednak ujawnia się prowincjonalna mentalność ludzi, którzy sami ulegają kolonizacji. Pozwalają oni bowiem zasiedlać swoje umysły ideom nieprzystającym do polskiej rzeczywistości.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą Polskiego Radia 24.



eprasa.pl 4eef091ca4


ANDRZEJ
PILIPIUK
RAPORT Z PÓŁNOCY
PREMIERA KSIĄŻKI 1.12.2017
fabryka słów
Najnowsza książka Andrzeja Pilipiuka.
Podróż do wnętrza „Wielkiego Grafomana”,
a jednocześnie wędrówka po jego ukochanej
Skandynawii.




Porozumienie „Polska Genetyka" podpisali Dyrektor Generalny KOWR – Witold Strobel – oraz Dyrektor Instytutu Zootechniki – prof. Maciej Pompa-Roborzyński

# Sto dni funkcjonowania KOWR

**Od powstania Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa minęło już 100 dni. Utworzona 1 września nowa agenda rządowa przejęła zadania Agencji Nieruchomości Rolnych oraz część zadań Agencji Rynku Rolnego. Wprowadzone zmiany miały na celu – zgodnie z intencją ministra Krzysztofa Jurgiela – uporządkowanie i usprawnienie instytucji otoczenia rolnictwa. Obecnie mamy w Polsce jedną agencję wykonawczą, którą jest Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa (KOWR), oraz jedną płatniczą, czyli Agencję Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa (ARiMR)**

100 dni funkcjonowania KOWR to okazja do podsumowania. Podsumowania takiego można dokonać przez pryzmat postawionych wcześniej celów i ciągłość realizacji zadań przejętych ze zniesionych agencji. Rzeczywiście, trzeba uczciwie przyznać, że zadania te zostały zrealizowane.

Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa to centrala podzielona na pięć pionów merytorycznych, 17 oddziałów terenowych oraz ponad 60 biur zamiejscowych. Wszystko po to, aby być jak najbliżej rolników oraz ułatwiać dostęp wszystkim interesantom. Realizacją bieżących zadań w całym kraju zajmuje się około 2 tys. pracowników. Dla porównania w ANR i ARR pracowało przeszło 3 tys. osób. Zadania KOWR wpisują się w politykę rolną przyjętą przez MRiRW. Kluczowe jest gospodarowanie nieruchomościami rolnymi Skarbu Państwa. Prawie od 2 lat podstawową formą zagospodarowania państwowych gruntów jest dzierżawa, a nie jak w ubiegłych latach – sprzedaż. Grunty dzierżawione są przede wszystkim w formie przetargów ograniczonych, w których mogą brać udział rolnicy. Chodzi o to, by ziemia faktycznie służyła uprawie i produkcji żywności. Ziemi rolnej już nie przybędzie. Stąd tak ważne jest jej prawidłowe zagospodarowanie. Dlatego już w pierwszych miesiącach funkcjonowania Ośrodka opracowane zostały przejrzyste zasady dzierżawy. Jak mówi Janusz Zaniewski, dyrektor Pionu Gospodarowania Nieruchomościami, będą one jeszcze uzgadniane z Samorządem Rolniczym i organizacjami rolników, tak aby w przyszłym roku przetargi na dzierżawę były realizowane w myśl


eprasa.pl 4eef091ca4

uporządkowanych kryteriów, umożliwiających tworzenie i powiększanie gospodarstw rolnych.

Zadaniem KOWR jest wzmocnienie ochrony gospodarstw rodzinnych i ziemi rolniczej w Polsce przed jej spekulacyjnym wykupywaniem przez osoby, które nie gwarantują zgodnego z interesem społecznym wykorzystania nabytej ziemi. W ramach realizacji ustawy z 11 kwietnia 2003 r. o kształtowaniu ustroju rolnego do OT KOWR od września do listopada 2017 r. wpłynęły 4722 wnioski o wyrażenie zgody na nabycie nieruchomości rolnych. Wydano 4291 decyzji administracyjnych, w tym pozytywnych – 3947, negatywnych – 75 – i o umorzeniu postępowania – 269.

Ośrodek sprawuje również nadzór właścicielski nad 41 spółkami hodowli roślin uprawnych oraz hodowli zwierząt gospodarskich o szczególnym znaczeniu dla gospodarki narodowej, a także spółką Elewarr zajmującą się m.in. obrotem i przechowywaniem zbóż. Spółki KOWR odgrywają główną rolę w kreowaniu i upowszechnianiu postępu biologicznego w polskim rolnictwie, gdyż dysponują cennym materiałem genetycznym roślin i zwierząt gospodarskich. W listopadzie 2017 r. szefowie KOWR i Instytutu Zootechniki w Krakowie podpisali porozumienie dotyczące powstania konsorcjum pn. „Grupa Polska Genetyka". Zadaniem konsorcjum jest prowadzenie prac rozwojowych w zakresie postępu genetycznego w krajowej populacji zwierząt gospodarskich. Jak mówi prof. Maciej Pompa-Roborzyński, niedopuszczalne jest, aby na krajowym rynku dominował obcy materiał zarodowy.

Kluczowymi zadaniami KOWR są także działania interwencyjne. Zakupy interwencyjne i dopłaty do prywatnego przechowywania towarów rolno-spożywczych uruchamiane są przez Komisję Europejską w przypadku wystąpienia w UE poważnych zakłóceń jako element „siatki bezpieczeństwa". W 2017 r. (do końca października) w KOWR przyjęto do realizacji 80 wniosków na interwencyjny zakup 3442 ton OMP. Rolników zapewne ucieszy, że do końca 2017 r. KOWR wypłaci na podstawie przeszło 65 tys. złożonych wniosków 106,8 mln zł (o 21 proc. więcej niż w 2016 r.) dopłat – w listopadzie wypłacono 26 mln zł.

Inny przykład pozytywnej roli KOWR dla producentów żywności to środki finansowe wypłacone w październiku dla uczestników mechanizmu WPR „Wsparcie rynku produktów pszczelich". W sezonie 2016/2017 na konta beneficjentów zostało przelane prawie 25 mln zł.



Artykuł 23 Konstytucji RP mówi, że podstawą ustroju rolnego państwa jest gospodarstwo rodzinne

Pobudzanie eksportu i promocja polskiej żywności to kolejne zadania nowej instytucji. Zgodnie ze „Strategią promocji żywności Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi" KOWR został głównym ośrodkiem wdrażającym instrumenty polityki promocji w sektorze rolno-spożywczym. Kontynuowana jest m.in. kampania pod hasłem „Polska smakuje". Cały czas jest udoskonalana aplikacja pod tą samą nazwą. Producenci mogą się w niej rejestrować, a użytkownicy – znaleźć interesujący ich produkt rolno-spożywczy w miejscu, w którym się znajdują. Nie wszyscy wiedzą, że Ośrodek aktywnie bierze udział w targach i misjach gospodarczych poza granicami kraju, do uczestnictwa w których zaprasza przede wszystkim małych i średnich producentów żywności. Dzięki temu polscy przedsiębiorcy mogą brać udział w tych wydarzeniach na znacznie korzystniejszych warunkach niż w przypadku organizowania wyjazdów indywidualnych. KOWR realizuje także branżowy program promocji polskich specjalności żywnościowych, wspiera inicjatywy informacyjne i promocyjne realizowane przez grupy producentów na rynku wewnętrznym.

Ważnym zadaniem Ośrodka jest realizacja nowego „Programu dla szkół". Od roku szkolnego 2017/2018 zastąpił on dwa programy: „Mleko w szkole" oraz „Owoce i warzywa w szkole". Na to działanie przeznaczono ponad 240 mln zł. Celem programu jest uczenie dzieci zdrowych nawyków żywieniowych poprzez dietę bogatą w owoce, warzywa i mleko. To gigantyczne przedsięwzięcie logistyczne i organizacyjne. Realizacja programu rozpoczęła się 2 października. W roku szkolnym 2017/2018 dzieci otrzymają ponad 160 mln porcji owocowo-warzywnych i około 144 mln porcji mlecznych. Warto zauważyć, że program obejmuje nie tylko dostawę produktów, ale również organizację zajęć edukacyjnych dla dzieci dotyczących zdrowego odżywiania.

KOWR realizuje również Program Operacyjny Pomoc Żywnościowa 2014–2020 PO PŻ. Żywność za pośrednictwem organizacji partnerskich trafia do tych osób, które wymagają opieki i wsparcia. Liczba dostarczanych produktów w stosunku do poprzednich edycji programu wzrosła do 19 i wprowadzono nowe produkty, tj.: kaszę gryczaną, buraczki wiórki, herbatniki maślane oraz produkty bezglutenowe – makaron kukurydziany bezglutenowy. Łączna ilość zakupionej żywności w ramach I postępowania przetargowego wyniosła ponad 7 tys. ton o wartości 320 mln zł. Dostawy odbywają się do 131 magazynów organizacji partnerskich, są realizowane w sposób ciągły i potrwają do końca maja 2018 r.

Pytany o plany na przyszłość Dyrektor Generalny KOWR Witold Strobel podkreśla konieczność realizacji projektów innowacyjnych, które mają wnieść wartość dodaną do polskiego rolnictwa i przyczyniać się do poprawy warunków życia na terenach wiejskich. Przedstawimy strategię działań w tym zakresie w pierwszych miesiącach przyszłego roku – zapowiada dyrektor.

Już z tego krótkiego przeglądu wynika, że Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa energicznie realizował w pierwszych miesiącach działalności przypisane zadania. Należy mieć nadzieję, że nowa instytucja będzie dobrze służyła polskiej wsi i rolnikom.

MATERIAŁ PARTNERA

Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa



eprasa.pl 4eef091ca4




FOT. MACIEJ STANIK/REPORTER

# Feministki, czyli zapiski z wariatkowa



*Łukasz Warzecha*

**O niektórych lewackich pomysłach nie da się pisać poważnie. Jaki sens jest bowiem w rozkraczaniu się czy publicznym oddawaniu moczu i chwaleniu się tym?**

Jeśli jesteś feministką, to powinnaś czym prędzej zamieścić w sieci swoje rozkraczone zdjęcie. Przepraszam za dosadność, ale tak właśnie jest: najnowsza akcja środowisk walczących bezkompromisowo o prawa kobiet na tym właśnie polega. Środowiska feministyczne doszły do wniosku, że jednym z naczelnych problemów współczesnego świata jest sposób, w jaki mężczyźni – wiadomo, od wieków opresorzy, uzurpatorzy i mizogini – siedzą, przede wszystkim w środkach transportu publicznego. A siedzą mianowicie, rozkładając nogi na boki. Jest to – zdaniem feministek – nie tylko nieestetyczne, ale też zabiera zbyt wiele miejsca. Dlatego właśnie, w słusznym siostrzanym proteście, feministki postanowiły publikować w sieci swoje własne rozkraczone zdjęcia. Do akcji włączył się główny polski portal feministyczny – Codziennik Feministyczny.

Trudno zrozumieć, w jaki sposób zdjęcia rozkraczonych pań miałyby spowodować, że panowie mniej się będą rozkraczać. Poza, rzecz jasna, aktywistami „Krytyki Politycznej" i innymi mężczyznami z tego środowiska, którzy już teraz – zwłaszcza po aferze z Jakubem Dymkiem i Michałem Wybieralskim, oskarżonymi o niestosowne zachowania – muszą mieć duszę na ramieniu. Trudno orzec, czy przypadkiem siedzenie z rozkraczonymi nogami nie zostanie przez feministki uznane za formę molestowania i potępione w ramach akcji #MeToo, muszą się więc męscy feminiści i postępowcy pilnować. Widzę tu potencjał dla producentów poprawnych politycznie gadżetów – można by wyprodukować coś w rodzaju spinacza, którym, po zajęciu pozycji siedzącej, panowie mogliby spinać sobie uda.

## SŁODKA TAJEMNICA

Chciałoby się rzec – dobrze, to był zabawny wstęp, a teraz poważnie. I tak zapewne należałoby rzecz kontynuować – właśnie w poważnym tonie – gdybym pisał ten tekst w Wielkiej Brytanii, we Francji czy w Niemczech, czyli w krajach, gdzie polityczna poprawność, forsowana również przez feministki właśnie, poczyniła realne postępy. Wymusiła np. najbardziej absurdalne parytety, wbrew faktycznym umiejętnościom, czy stosowanie obowiązkowych żeńskich końcówek (lub neutralnych, będących dziełem nowomowy), zaś za nieprzestrzeganie tych reguł grożą realne kary. Szczęśliwie Europa Środkowa, a szczególnie Polska, jest od tej paranoi wolna. Jej postępy, poczynione za Platformy, skutecznie zahamowało dojście do władzy PiS, i chwała za to partii Jarosława Kaczyńskiego.

Dlatego też poważnie o lewackim kabarecie w Polsce pisać się nie da. Gdy na wspomniany Codziennik Feministyczny zajrzy osoba niewtajemniczona, a posługująca się zdrowym rozsądkiem w stopniu choćby podstawowym, będzie przekonana, że trafiła na portal satyryczny.

Na pierwszym miejscu znajdzie oskarżenie Justyny Samolińskiej z Partii Razem wobec Marka Jakubiaka z Kukiz'15. Samolińska opisała (pierwotnie w felietonie dla Wirtualnej Polski), jak to Jakubiak miał jej składać nieprzyzwoite propozycje „o seksualnym podtekście". Zgodnie z tradycją akcji #MeToo sprawa nie wydarzyła się ani tydzień, ani nawet miesiąc wcześniej, ale podczas wieczoru wyborczego w roku 2015. Słodką tajemnicą pani Samolińskiej pozostaje, dlaczego nie opisała tej bulwersującej sytuacji wówczas, ale dopiero teraz. Tak jak słodką tajemnicą innych pań, lansujących się w ramach akcji #MeToo, pozostaje, czemu nagle zaczęły sobie przypominać przypadki sprzed pięciu czy 10 lat. Trzeba przyznać, że w porównaniu z tym standardem Justyna Samolińska wykazała się i tak niezwykłym refleksem.

Oto relacja oburzonej działaczki: „Znudzony Jakubiak najpierw zaczął z obleśnym uśmiechem pytać, czy nie zimno mi w tej cienkiej bluzeczce, następnie stwierdził z żalem, że program długi, on już wypił całą swoją wodę i poszedłby do toalety. Może poszłabym z nim?". Zwróćmy uwagę: Jakubiak miał to absurdalne pytanie zadać „z obleśnym uśmiechem", a więc – panowie – pamiętajcie: do lewicowych, feministycznych działaczek nigdy



eprasa.pl 4eef091ca4

nie należy się uśmiechać, bo być może będzie to uśmiech obleśny o seksualnym podtekście, nawet jeśli sobie tego nie uświadamiacie. Marek Jakubiak skierował już w tej sprawie pozew do sądu. Bardzo jestem ciekaw, jak pani Samolińska będzie tam dowodzić swoich racji.

Inna sprawa, że na stronie Codziennika znajdziemy też tekst atakujący lewackie towarzystwo wzajemnej adoracji za obronę Janusza Rudnickiego. O chamskich odzywkach tego szerzej nieznanego pisarza zrobiło się głośno właśnie w kontekście akcji #MeToo. Pisałem o nich w tekście poświęconym tejże akcji. To pokazuje, że są różne poziomy feminizmu. Codziennik prezentuje feminizm, by tak rzec, integralny, podczas gdy osoby „z towarzystwa", takie jak Kazimiera Szczuka czy Magdalena Środa, feminizm bardziej kawiorowy.

Trudno orzec, w której kategorii sytuują się takie zagraniczne ikony feminizmu jak Águeda Banón, od paru miesięcy rzeczniczka rady miasta w Barcelonie. O pani Banón stało się głośno, gdy przypomniano zdjęcie, na którym elegancko rozkraczona (ale na stojąco) sika na środku barcelońskiej ulicy. Szybko okazało się, że zdjęcie miało ilustrować stosunek pani Banón do patriarchatu, a w sukurs hiszpańskiej polityk przyszła niezawodna „Gazeta Wyborcza".

Agata Szczęśniak tak poetycko opisywała scenę uwidocznioną na zdjęciu: „Błyszcząca plama szczyny. Patrzy prosto w obiektyw i śmieje się szeroko. Jest w tym radość. Jest w tym wolność. Jest w tym: »A co mi zrobicie?«". I dalej: „Kałuża raz oddanych publicznie kobiecych sików jest powodem prawicowego oburzenia. »Co mi zrobisz« połączone ze zwierzem budzącym się w mężczyźnie, którego przypiliło, układają się w »wyprost polski«".

Nie do końca wiadomo, co to jest ów „wyprost polski", ale na pewno coś skrajnie męsko szowinistycznego, paternalistycznego i ogólnie strasznego.

## PORNO W PODZIEMIU

A może jednak jest w tym lewackim kabarecie coś, co można by potraktować poważnie? Na stronie Codziennika w zakładce „Nasze akcje" akcja jest jedna: „Miałam aborcję". Aborcja to dla feministek coś, czym warto się pochwalić – i z lewackiego, feministycznego punktu widzenia to całkiem logiczne. Po pierwsze – przecież nienarodzone dziecko nie jest człowiekiem i nie warto się nad jego samoistnością zastanawiać. Co innego pieski, kotki albo norki w klatkach. Po drugie – ciąża to właściwie choroba i trzeba ją „wyleczyć", a to najłatwiej zrobić poprzez aborcję. Po trzecie – dziecko uwiązuje, obarcza obowiązkami, do tego może dojść rodzina, a rodzina to – jak wiadomo – patriarchalne narzędzie zniewolenia kobiety, na ogół połączone z przemocą psychiczną i fizyczną.

Na stronie Codziennika jest kilkadziesiąt relacji – trudno orzec, ile z nich prawdziwych, bo nie są podpisane nazwiskami. Dlaczego? Cóż, aborcją można by się chwalić publicznie w prawdziwie wolnym społeczeństwie, ale w ksenofobicznym, nietolerancyjnym, takie jak polskie, może to nieść ze sobą ogromne ryzyko.

Oto fragment jednej z relacji (ostrzegam lojalnie wrażliwsze osoby – nie jest to miły opis): „Trzęsącymi rękami wpakowałam do ust pierwszą serię tabletek i czekałam. […] Po godzinie leżałam na łóżku w ramionach partnera, który głaskał mnie po głowie. […] Wzięłam paracetamol, usiadłam w fotelu i starałam się ignorować ból brzucha, grając w swoje ulubione gry. Nagle poczułam, że muszę szybko do łazienki. […] Wyleciało ze mnie kilka skrzepów wielkości pięści. Nie patrzyłam na nie. Spuściłam wodę. […] Można uznać mnie za nieczułą osobę, ale nie żałuję. Ba, nawet rzadko o tym myślę. Nie chciałam i nie chcę być matką. Podjęłam słuszną decyzję".

W tym samym tonie, z takimi samymi sztampowymi konkluzjami („podjęłam słuszną decyzję", „kobieta powinna mieć prawo do decydowania", „nie żałuję"), utrzymane są pozostałe relacje. Każdy, kto wyposażony jest w choćby śladową wrażliwość, musi zwrócić uwagę na ich całkowicie nieempatyczny ton. O ile umiarkowani zwolennicy poszerzenia prawa do aborcji uznają, że choć powinna być ona szerzej dopuszczalna, to nie jest jednak powodem do chwały, o tyle feministki integralne są innego zdania. Chodzi nie tylko o to, żeby pochwalić się zabiciem własnego dziecka, lecz także o to, by poprzez prezentację drastycznych szczegółów pokazać, że to nie żywa istota, ale jakiś „skrzep".

Jednak dość tego ponurego tonu. Weźmy teraz na warsztat coś weselszego, czyli Dni Cipki. To być może naczelna impreza feministyczna, organizowana kilkakrotnie od 2009 r. Czy nadal się odbywa – nie udało mi się ustalić. Być może kaczystowski reżim ograniczył już wolność tak bardzo, że Dni Cipki musiały się przenieść do podziemia. A może cała kasa poszła na stypendium dla Mateusza Kijowskiego – w końcu kiedyś występował na zdjęciach w spódnicy w ramach jednej z feministycznych kampanii, więc może jest trochę kobietą.

Dni Cipki, według ich organizatorek, to „celebracja kobiecości". Oczywiście nie tej w konserwatywnym, szowinistycznym, tradycyjnym wydaniu, ale tej postępowej. Program imprez był zawsze bardzo bogaty: targi gadżetów erotycznych, projekcje „kobiecego porno" (cokolwiek to oznacza), warsztaty masturbacji – nie wiadomo niestety, czy połączone z pokazami na żywo czy też operujące w sferze czystej teorii, ewentualnie na specjalnych modelach. W 2012 r. tak reklamowano warsztat o życiu seksualnym (proszę zwrócić uwagę na oryginalną, politycznie poprawną pisownię końcówek osobowych): „Dowiesz się, być może ku swojemu zaskoczeniu, że możesz codziennie doświadczać seksualnej przyjemności, bez względu na to, czy jesteś w intymnej relacji z partnerką_rem czy też nie. Co więcej – że możesz cieszyć się seksualnymi doznaniami, nie robiąc nic z tego, co powszechnie uznawane jest za seks. Warsztat ma charakter praktyczny. Przygotuj się na trochę ruchu, pracy indywidualnej i w grupie".

## MOGŁO BYĆ GORZEJ

Brzmi to wszystko jak zapiski z wariatkowa? I słusznie – taki jest polski współczesny feminizm. To właściwie niewielka liczebnie trupa satyryczna z własnymi stronami internetowymi, pismami, kręgami towarzyskimi. Jedynym momentem w ciągu ostatnich lat, gdy feministkom udało się przebić na moment do głównego nurtu, były czarne protesty – demonstracje przeciwko społecznej propozycji zaostrzenia ustawy antyaborcyjnej. Jednak nawet wtedy radykalny nurt był marginesem. Gdyby stał się bardziej słyszalny, niewykluczone, że zraziłby wiele demonstrujących kobiet.

Polska radykalna lewica, w tym feministki, to wciąż zjawisko z pogranicza kabaretu – i raczej tak zostanie, bo radykalne lewicowe postulaty, choć od lat natrętnie promowane m.in. przez „Gazetę Wyborczą", wciąż uznawane są za folklor. A polskie feministki szczęśliwie wyżywają się na Manifie czy podczas Dni Cipki, a nie poprzez burdy, jak to miało miejsce np. w tym roku w Dniu Kobiet w Buenos Aires, gdzie agresywne lewactwo szarpało samotnego chłopaka, stojącego obok trasy ich marszu z flagą Watykanu.

Szanujmy zatem, proszę państwa, nasze feministki, bo możemy mieć gorsze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl 4eef091ca4



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

# Prezenty – 20 lat później

Z upływem lat kupowanie prezentów świątecznych przychodzi mi z coraz większym trudem. A jeszcze nie tak dawno to uwielbiałem. Sądziłem, że to wcale nie komercyjna szopka, ale moment, w którym trzeba przejrzeć naszego bliskiego, żeby sprawić mu jak najlepszy podarek.

I w sumie nadal tak uważam. Problem polega na tym, że po 20 latach znamy się z żoną jak łyse konie i już dawno kupiliśmy sobie to, o czym naprawdę marzyliśmy. Jednak to nie wszystko. Pojawiają się dodatkowe problemy. Z grubsza polegają one na tym, że nasze mieszkanie posiada pewną – jakby to nazwać – wytrzymałość przestrzenną. To znaczy, nie da się do niego wepchnąć więcej, niż się da. A te możliwości i tak są ostro testowane przez mojego syna oraz jego pęczniejącą w niewytłumaczalny sposób kolekcję klocków Lego.

Weźmy na przykład książki. Idealny prezent. Jednak nie chciałbym się znaleźć w sytuacji pewnego starszego pana z satyrycznego rysunku bodaj w „New Yorkerze". Oto jego żona rozmawia przez telefon i tłumaczy, jak jej małżonek rozstał się ze światem: „Zawaliła się na niego sterta książek, które odkładałam do przeczytania na mojej szafce nocnej". Książki zatem odpadają ze względów bezpieczeństwa. Te odłożone przy łóżku spokojnie mogłyby zabić nie tylko mnie, lecz także nawet słonia. W mniej newralgicznych punktach naszego mieszkania – czyli na półkach z książkami – po prostu nie ma już miejsca.

Kiedyś zdarzyło mi się kupić obraz. Jednak część ścian pokryliśmy półkami (na książki, a jakże!), pozostałe zaś są już pokryte obrazami. Nowego nie da się wetknąć. Co najwyżej dołączy do kilku płócien, które zrolowane i ulokowane w tubach stoją w szafie. W której – notabene – też już nie ma miejsca.

Oczywiście zawsze można iść w biżuterię. Jednak i jej przez te dwie dekady trochę się nazbierało, a że nasza sypialnia jest ciasnawa oraz nie da się w nią wtłoczyć toaletki, rodowe skarby dzielą miejsce z rachunkami za gaz i kopiami PIT-ów w komodzie, do której nie wejdzie już po prostu nic więcej.

No, niestety. Jesteśmy przedstawicielami klasy średniej, która przez lata pożycia obrosła w tłuszczyk i teraz każdy materialny dowód miłości staje się nie lada kłopotem.

Skali tego problemu niech świadczy to, że latem, podczas remontu, zapakowaliśmy całą wielką walizę bibelotów i pamiątek z podróży, którą wywieźliśmy do teściów na strych. Sądziliśmy, że nie możemy bez tych rzeczy żyć. Jednak okazało się, że nie tylko możemy, lecz także w dodatku nie mamy wrażenia, żeby w domu się choć trochę rozjaśniło. Wcale nie zrobiło się luźniej. Niestety – jesteśmy zalewani przez przedmioty.

W sumie najsensowniej byłoby kupić nowe, większe mieszkanie. Jednak po pierwsze mnie nie stać, po drugie trudno byłoby taki prezent włożyć pod choinkę. ©℗



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

# Sztuka odchodzenia

Sztuka odchodzenia bywa trudniejsza od sztuki wejścia. Zwłaszcza w polityce. Styl, w jakim odchodzący przywódca żegna się z władzą, często mówi o nim więcej niż lata sprawowanych rządów.

Tadeusz Mazowiecki po prostu obraził się na wynik wyborów, w których naród nie po raz ostatni podziękował tym, którzy uważali się za lepszych i mądrzejszych niż reszta. Jana Krzysztofa Bieleckiego zapomniano zaraz po dymisji. Jan Olszewski, obalony przez spisek byłych tajnych współpracowników SB, jak na prawnika przystało, odszedł po znakomitej mowie obrończej. Hanna Suchocka odeszła przez rozstrój żołądka swego ministra. Zresztą i tak nie była postrzegana inaczej niż żeńskie odbicie Geremka. Oleksy wypadł zdemaskowany jako agent „Olin". Jerzy Buzek wysiadł razem z kierującym nim z tylnego siedzenia Marianem Krzaklewskim. Cimoszewicza spłukała powódź i tekst „Było się ubezpieczyć". Leszek Miller spadł razem z helikopterem (oraz Jakubowską) i już się nie pozbierał, przywalony aferą Rywina. Marcinkiewicza zapamiętamy głównie ze szkolnych studniówek i burzliwego związku z Isabel. Jarosław Kaczyński sprawuje rząd dusz od pradziejów i jeśli nawet odchodzi z funkcji, to zostaje na czele. Donald Tusk, na podobieństwo Henryka Walezego, uciekł z kraju, nie chce płacić rachunków za Sowę i Przyjaciół. A pani Kopacz? Nie znęcajmy się nad kobieciną, która tyle napodróżowała się po kraju i przekopała ziemię na półtora metra w głąb.

**Odeszła jak żołnierz po wykonaniu zadania**

Na tym tle odejście Beaty Szydło jawi się jako eleganckie, godne i niezrozumiałe. Odeszła jak żołnierz po wykonaniu zadania, pozostawiając swój ślad niczym złotą broszkę na firmamencie polskiej polityki.

Powiadają, że gdy jabłko dojrzewa, to spada, a polityk gdy spada, to dojrzewa. Chyba że nie jest to jabłko, lecz yo-yo, o czym świadczą kariera Waldemara Pawlaka czy w międzywojniu Kazimierza Bartla. ©℗



eprasa.pl 4eef091ca4

DODATEK HISTORYCZNY

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

# STAN WOJENNY



- Mniejsze zło Jaruzelskiego
- Świat wobec stanu wojennego i pacyfikacji „Wujka”
- Bitwa wrocławska
- Centrum Historii Zajezdnia

FOT. TEODOR WALCZAK/FORUM

Partnerzy dodatku

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

Ośrodek Pamięć i Przyszłość

centrum historii zajezdnia

eprasa.pl 4eef091ca4

HISTORIA DO RZECZY

# NAJNOWSZY NUMER
# OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!




## SZOKUJĄCE DOKUMENTY!

## UJAWNIAMY, CO NAPRAWDĘ WYDARZYŁO SIĘ W BIRCZY

Piotr Zychowicz **– Polacy, Żydzi, Holokaust**
Tomasz Stańczyk **– Krótsza lista Sendlerowej**
Peter Godwin **– Krwawe zbrodnie Mugabe**
Rafał A. Ziemkiewicz **– Watykan przeciwko Polsce**
Sławomir Koper **– Kochanki Stanisława Augusta**
Marian Zacharski **– Sowiecki agent 007**
Marcin Bartnicki **– Polskie żywe torpedy**
Sławomir Cenckiewicz **– Bolszewicy z Birczy**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 4eef091ca4



FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

# Pamiętajmy o ofiarach stanu wojennego

Wejdą czy nie wejdą? To pytanie zadawali sobie Polacy na początku lat 80., w trakcie festiwalu Solidarności. Zdania były wówczas podzielone. I tak pozostało do dziś. Część Polaków uważa, że gen. Wojciech Jaruzelski wprowadzając stan wojenny, uratował ojczyznę przed sowiecką interwencją. Był więc tragicznym patriotą, który musiał użyć przemocy wobec rodaków, aby uratować ich przed „większym złem".

Pogląd taki – w świetle dokumentów ujawnionych po upadku Związku Sowieckiego – jest nie do utrzymania. Bolszewicy w grudniu 1981 r. nie mieli najmniejszej ochoty na interwencję na terenie PRL. Mało tego, to polscy komuniści zabiegali u „towarzyszy radzieckich" o pomoc w walce z krnąbrnym narodem.

Generał Wojciech Jaruzelski nie był więc żadnym Konradem Wallenrodem, nie był tragicznym patriotą ani bohaterem antycznej tragedii. Jaruzelski był zbrodniarzem i wiernym sługą Moskwy. Jego konto obciąża nie tylko samo wprowadzenie stanu wojennego, lecz także wszystkie tragiczne konsekwencje tej decyzji.

W trakcie rozprawy z Solidarnością komuniści zamordowali bowiem blisko 60 Polaków. Działaczy Solidarności, księży, robotników, opozycyjnych intelektualistów. Ludzi, którzy ośmielili się przeciwstawić totalitarnej opresji i podjąć walkę o Polskę. Kolejne tysiące Polaków zostały internowane, zamknięte w więzieniach, pozbawione pracy. Kolejnym tysiącom władza złamała życie.

Stan wojenny całe szczęście nie uratował gnijącego systemu. Komunizm zawalił się z hukiem w 1989 r. Mimo to sprawcy stanu wojennego nigdy nie zostali pociągnięci do odpowiedzialności. Generał Jaruzelski zmarł spokojnie w roku 2014. Półtora roku później umarł szef bezpieki – gen. Czesław Kiszczak.

Nie mam wątpliwości, że przyszłe pokolenia Polaków nie będą w stanie zrozumieć, dlaczego kolejne rządy III RP dopuściły do takiego zaniechania. Dlaczego pozwoliły na tak drastyczne naruszenie zasad sprawiedliwości? Tak, niestety, ta historia nie ma happy endu.

W każdą kolejną rocznicę stanu wojennego pamiętajmy więc o ofiarach komunistycznej przemocy. Oni naprawdę zginęli po to, żebyśmy my mogli być wolni. ©℗

***Piotr Zychowicz***



eprasa.pl 4eef091ca4



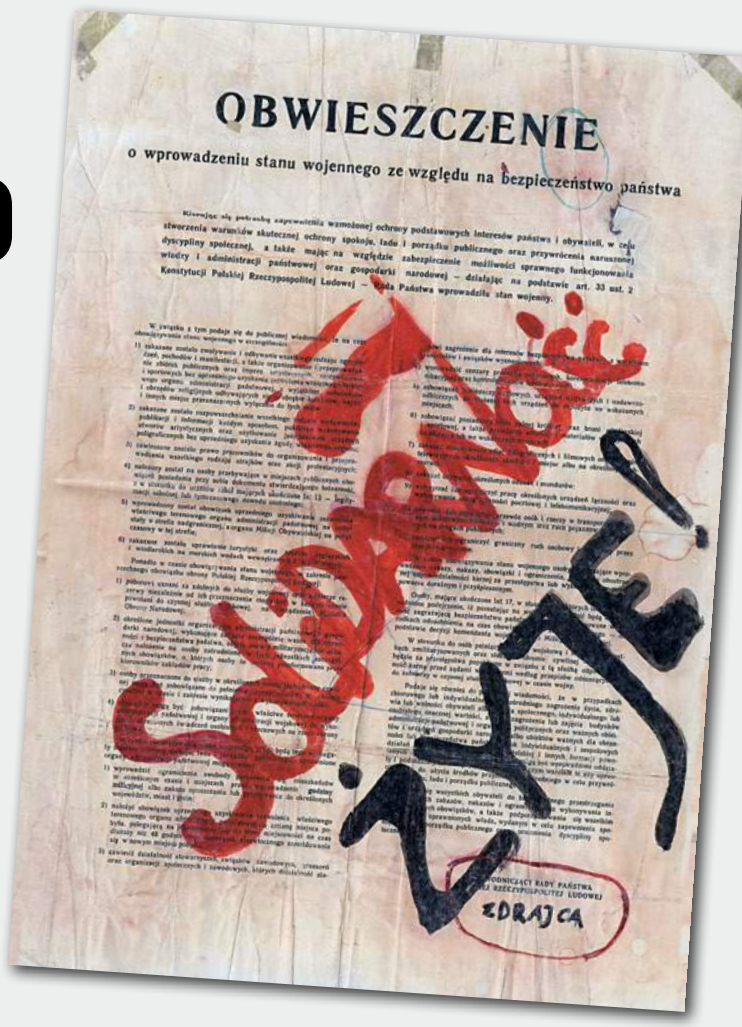
# Mniejsze zło Jaruzelskiego



*Filip Musiał*
*IPN Kraków*

**„Na tę akcję idziemy pod hasłem »ratowania Ojczyzny«, »ratowania narodu«" – tłumaczył Sowietom Wojciech Jaruzelski propagandowe wytyczne związane z wprowadzeniem stanu wojennego**

Rzeczywistość była zgoła odmienna, celem wprowadzenia stanu wojennego było złamanie kręgosłupa Solidarności, stłumienie polskiego dążenia do wolności, spacyfikowanie rodzącego się niezależnego społeczeństwa. Jednak przewaga informacyjna, jaką dysponował reżim, pozwalała na skuteczne przeprowadzenie operacji propagandowej, której skutki trwają do dzisiaj. Według badań przeprowadzonych przez CBOS w zeszłym roku – 41 proc. Polaków uważa, że wprowadzenie stanu wojennego było decyzją słuszną, tylko 35 proc. uznaje, że było przeciwnie. Badania te pokazują z jednej strony niską świadomość historycz-






eprasa.pl 4eef091ca4




ną Polaków, z drugiej zaś są dowodem na skuteczność mitu mniejszego zła.

## ROK 1981. POCZĄTEK BUDOWY MITU

System komunistyczny był oparty na kłamstwie i odwróceniu znaczenia pojęć. Fundamentem propagandowej oprawy związanej z wprowadzeniem stanu wojennego było więc przekonywanie polskiego społeczeństwa, że komuniści działający faktycznie przeciw polskiemu społeczeństwu działają w jego interesie. To dlatego Jaruzelski mówił: „Społeczeństwo musi być przekonane, że robimy wszystko właśnie po to, aby […] stanu konfrontacyjnego nie było". Minister obrony narodowej Florian Siwicki zagrzewał zaś do działań, nawołując: „Od dziś zacząć artyleryjskie przygotowanie propagandowe społeczeństwa. Bez osłonek pokazywać kontrrewolucyjną działalność".

Zatem w czasie gdy reżim z całą mocą przygotowywał się do pacyfikacji Solidarności, sporządzał listy osób do internowania, stawiał w pełnej gotowości aparat represji, jednocześnie propagandowo przekonywał, że władza dąży do porozumienia. To Solidarność była przedstawiana jako element destabilizujący sytuację w PRL, to za sprawą strajków – jak przekonywali reżimowi dziennikarze – półki w sklepach świeciły pustkami…

Narracja ta została utrzymana także po 13 grudnia. Wprowadzając stan wojenny, Jaruzelski podkreślał: „Chodzi o przyszłość Polski, o którą moje pokolenie walczyło na wszystkich frontach wojny i której oddało najlepsze lata życia". I dodawał: „Atmosfera niekończących się konfliktów, nieporozumień, nienawiści sieje spustoszenie psychiczne, chaos i demoralizacja przybrały rozmiary klęski, awanturnikom trzeba skrępować ręce".

W tle sformułowano mit mniejszego zła – a więc szerzono przekonanie o groźbie wkroczenia (oficjalnie przecież sojuszniczej i przyjacielskiej) armii sowieckiej do PRL, które to zagrożenie zostało oddalone przez wprowadzenie stanu wojennego. Dlatego z końcem listopada 1981 r. nadzorujący bezpiekę Czesław Kiszczak nakazywał, by: „Używać straszaka interwencji, koncentracji wojsk na granicy, że już mogą wejść wojska nie tylko radzieckie, ale czeskie, niemieckie".

## LATA 90. – PODTRZYMANIE MITU

Z początkiem lat 80. mit mniejszego zła odgrywał dwojaką rolę. Początkowo miał zastraszyć społeczeństwo wizją sowieckich tanków na polskich ulicach. W drugiej fazie miał być dowodem na patriotyzm i głęboką troskę ekipy Jaruzelskiego o PRL. I w tej drugiej odsłonie przetrwał do naszych czasów, stając się elementem, który miał – już w wolnej Polsce – ocieplać wizerunek Jaruzelskiego, a poprzez niego postkomunistów obecnych w życiu politycznym III RP.

Już po powołaniu rządu Tadeusza Mazowieckiego w listopadzie 1989 r. specjalny zespół aparatczyków z kancelarii prezydenta Jaruzelskiego, KC PZPR, MON, MSW i Prokuratury Generalnej przygotował kompleksowe wytyczne związane ze zbliżającą się ósmą rocznicą wprowadzenia stanu wojennego. Propagandyści podkreślali, aby „łączyć rzeczową analizę przyczyn wprowadzenia stanu wojennego z ukazywaniem tego, w jaki sposób przerwanie groźnych wydarzeń z 1981 r. umożliwiło późniejsze porozumienie, a w efekcie »okrągły stół« i głęboką transformację systemu politycznego Polski. Szczególnie mocno powinien być wyeksponowany motyw »mniejszego zła«". Zalecali też, by przekonywać, że „zasadniczym celem stanu wojennego było przywrócenie wartości, które zostały określone w porozumieniach robotniczych z sierpnia-września 1980 r., przeciwko którym zwrócił się nieokiełznany ruch strajkowy, który zagrażał państwu i społeczeństwu". W czołgi jako narzędzie porozumienia mało kto wierzył. Natomiast dzięki zbiorowemu wysiłkowi udało się zrelatywizować postawę Jaruzelskiego.



eprasa.pl 4eef091ca4



*Cecylia Kuta (IPN Kraków)*




# Przerwana droga do wolności

Ostateczna decyzja o wprowadzeniu na terytorium PRL stanu wojennego zapadła po południu 12 grudnia 1981 r. Formalnie miała zostać ogłoszona następnego dnia. Była ona zwieńczeniem kilkumiesięcznych przygotowań.

## KOMPROMITACJA DLA PARTII

Latem 1980 r. na fali społecznego niezadowolenia, spowodowanego polityką PZPR i ciągle pogarszających się warunków bytowych, wybuchły ogólnopolskie protesty. Podpisanie porozumień między strajkującymi robotnikami a przedstawicielami władz PRL spowodowało wybuch entuzjazmu i nadziei wśród społeczeństwa. Do spontanicznie organizowanych struktur NSZZ „Solidarność" wstąpiły miliony osób. Powszechnie wierzono, że jest to początek nowego rozdziału w dziejach Polski, szansa nie tylko na poprawę katastrofalnej sytuacji gospodarczej, lecz przede wszystkim na odzyskanie przez społeczeństwo podmiotowości, poszanowanie praw człowieka i obywatela czy wreszcie na odzyskanie suwerenności narodowej.

Dla kierownictwa PZPR istnienie Solidarności było nie do pogodzenia z logiką ustrojową PRL. Komuniści traktowali ją jako przejściowe ustępstwo i zakładali, że związek zostanie „rozbrojony" i podany kontroli partii. Wojciech Jaruzelski oceniał: „Jest to potworna, makabryczna kompromitacja dla partii, że po 36 latach sprawowania władzy trzeba jej bronić siłą milicyjną. Ale przed nami nie ma już nic. Trzeba być przygotowanym do podjęcia decyzji, która pozwoli uratować to, co podstawowe". Dlatego też komuniści od samego początku przygotowywali się do siłowej konfrontacji. Taki wariant rozważano już w sierpniu 1980 r. Uznano jednak wówczas, że nie można pacyfikować zmobilizowanego społeczeństwa, gdyż skala konfliktu jest zbyt wielka, by była możliwa do stłumienia przy użyciu wojska i milicji. Powołany wówczas sztab MSW do kierowania operacją „Lato 80", na czele którego stanął wiceminister spraw wewnętrznych gen. Bogusław Stachura, w kolejnych miesiącach doprecyzowywał plany wprowadzenia stanu wojennego. Systematyczne przygotowania rozpoczęto w październiku 1980 r. W pracach koordynowanych przez Komitet Obrony Kraju uczestniczyli przedstawiciele Ministerstwa Obrony Narodowej i Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

## GRUNTOWNE PRZYGOTOWANIA

Na początku września 1980 r. z funkcji I sekretarza KC PZPR odwołany został Edward Gierek. Zastąpił go cieszący się poparciem Moskwy Stanisław Kania. Kilkanaście dni później minister obrony narodowej – Wojciech Jaruzelski – nakazał Sztabowi Generalnemu LWP pilne opracowanie planu wprowadzenia stanu wojennego. W październiku 1980 r. gotowe były pierwsze listy osób przewidzianych do internowania. Opracowano zestaw praw stanu wojennego, plany pacyfikacji największych zakładów, blokady łączności i granic, przejęcia środków masowego przekazu. Szykowano odpowiednie siły i środki, wytypowano ośrodki internowania, zabezpieczano zapasy broni, paliwa, żywności. W ramach przygotowań pomyślano też o zapewnieniu ochrony rodzinom funkcjonariuszy aparatu represji, aktywu partyjnego i administracyjnego oraz ochronie budynków partyjnych i wojskowych. Wyznaczono miejsca dla karabinów maszynowych, strzelców wyborowych, granatników, koncentracji ZOMO, wojska, zabezpieczono dla nich wyżywienie i transport. W szpitalach przygotowano dziesiątki wolnych łóżek, dodatkowe dyżury lekarzy, zapasy opatrunków, lekarstw.

Przez kolejne miesiące Kania nie podjął jednak decyzji o konfrontacji. Coraz bardziej zirytowana nieudolnością swego namiestnika Moskwa


eprasa.pl 4eef091ca4



doprowadziła do kolejnej zmiany. W październiku 1981 r. Kanię na stanowisku I sekretarza KC PZPR zastąpił Jaruzelski. Nazajutrz po objęciu funkcji mówił Breżniewowi: „Bardzo wam dziękuję, drogi Leonidzie Iljiczu, za gratulacje i przede wszystkim za zaufanie, którym mnie obdarzyliście. […] Zrobię Leonidzie Iljiczu wszystko jako komunista i jako żołnierz, żeby było lepiej, żeby osiągnąć przełom w sytuacji w naszym kraju, w naszej Partii".

Jesienią 1981 r. przygotowania do wprowadzenia stanu wojennego wkroczyły w ostatnią fazę.

## DECYDUJĄCE STARCIE

Po południu 12 grudnia 1981 r. do wszystkich komend wojewódzkich milicji i dowództw poszczególnych jednostek wojskowych wysłano rozkazy nakazujące uruchomienie przygotowanych od dawna procedur. Przed północą rozpoczęto operację o kryptonimie „Azalia", polegającą na opanowaniu węzłów łączności oraz ośrodków radia i telewizji. Wraz z wybiciem północy rozpoczęto działania opatrzone kryptonimem „Jodła", czyli akcję internowania działaczy opozycji, a także dla „równowagi" niektórych reprezentantów ekipy Gierka. „Mnie z ojcem przewieźli na dziedziniec komendy przy ul. Siemiradzkiego. Byliśmy jedynymi zatrzymanymi tylko w bieliźnie. Staliśmy na kilkunastostopniowym mrozie. Dopiero po paru godzinach Krzysiek Dawidowicz, gdy nas zobaczył, dał nam swoje kalesony i tenisówki. […] Rodzina przez dwa tygodnie nie wiedziała, gdzie jesteśmy. Później załadowano nas do milicyjnej »budy«. Po przejechaniu kilkudziesięciu kilometrów wszystkim kazano wysiąść. Było to w pobliżu więzienia w Wiśniczu. W samochodzie pozostawiono tylko mnie i ojca. Chwilę później ruszyliśmy i zatrzymaliśmy się po kilkunastu minutach. Przez szczelinę dostrzegliśmy cmentarz. Wcześniej tyle razy słyszeliśmy od esbeków, że takich jak my trzeba zabić. […] Oboje uklękliśmy i zaczęliśmy się modlić. Pilnujący nas milicjant aż się wzruszył. Kilka minut później przewieziono nas na komisariat w Nowym Wiśniczu, gdzie pobrano odciski palców. […] Po czym dołączyli nas do internowanych w więzieniu w Wiśniczu" – wspomina Ryszard Majdzik.

W czasie, gdy trwała akcja internowań, do Warszawy przybywali członkowie Rady Państwa, którzy mieli zalegalizować przeprowadzoną operację oraz legitymizować Wojskową Radę Ocalenia Narodowego. Bezprawne nawet w świetle ówczesnej konstytucji dekrety wojskowych Rada Państwa przyjęła niemal jednogłośnie.

Niedzielnym rankiem 13 grudnia Polacy z przerażeniem słuchali przemówienia Jaruzelskiego, wygłaszanego w radiu i telewizji niemal bez przerwy. Na ulicach miast stanęły czołgi i wojskowe patrole. Wydrukowane w Związku Sowieckim obwieszczenie o wprowadzeniu stanu wojennego informowało o rozlicznych obostrzeniach nałożonych na społeczeństwo. Zakazano organizowania strajków, zgromadzeń, zawieszone zostały związki zawodowe i większość organizacji społecznych, zmilitaryzowano wiele dziedzin gospodarki narodowej, wprowadzono godzinę milicyjną i konieczność posiadania przepustek przy opuszczaniu miejsca stałego zamieszkania. W wielu przedsiębiorstwach i instytucjach władzę objęli wyznaczeni przez WRON komisarze wojskowi. Zawieszono zajęcia w szkołach i na uczelniach. Zakazano publikacji, pozostawiając tylko dwie centralne gazety: „Trybunę Ludu" i „Żołnierza Wolności" oraz kilka lokalnych pism. W radiu i telewizji pozostawiono po jednym programie.

## TO OPRAWCY POWINNI PROSIĆ O ŁASKĘ

Dekret o stanie wojennym przewidywał surowe kary. Za działalność w zawieszonych organizacjach, zrzeszeniach i związkach zawodowych groziła kara 3 lat więzienia, za udział w strajku 5 lat, a za drukowanie bibuły nawet 10 lat.

Najdłuższy wyrok w stanie wojennym – 10 lat więzienia i 5 lat pozbawienia praw publicznych za rozpowszechnianie ulotki nawołującej do czynnego oporu przeciwko stanowi wojennemu – otrzymała Ewa Kubasiewicz. Wspominając po latach aresztowanie i proces, mówiła: „To był proces, w którym zapadły najwyższe wyroki – ja dostałam 10 lat. [...] Przez 14 godzin usiłowali mnie przesłuchiwać. Od razu powiedziałam, że nie odpowiem na żadne pytanie. Wyprowadzili mnie na korytarz – patrzę, w kajdankach prowadzą mojego syna. Chciałam do niego podejść to facet mnie przytrzymał za ramię, jego też popchnęli, on tylko powiedział: »Nie przejmuj się, mamo...«. Byłam dumna, że mój syn się w ten sposób zachowuje, a z drugiej strony to było bardzo ciężkie. [...] Byłam w trzech więzieniach, w Gdańsku, w Fordonie i w Grudziądzu". Zabroniła komukolwiek występować do przewodniczącego Rady Państwa o łaskę dla niej, bo tej nie przyjmie. Swą decyzję uzasadnia: „To oprawcy powinni prosić o łaskę". Po latach tłumaczyła: „Ludzie często mówili, że oni by tam coś zrobili, ale nie mogą, bo mają dzieci. A ja właśnie pomyślałam sobie, że ten mój syn może mi kiedyś zadać pytanie: »Mamo, a ty się nic nie przeciwstawiłaś? Co ty robiłaś w tym czasie?«".

Prawda o zbrodniach stanu wojennego jest znana. W czasie jego trwania internowano blisko 10 tys. osób, około 12 tys. zostało skazanych przez sądy wojskowe i powszechne, wobec około 210 tys. tzw. kolegia do spraw wykroczeń orzekły kary, prawie 2,5 tys. zmuszono do wyjazdu z kraju, tysiące zwolniono z pracy, rozerwano rodziny, setki dzieci internowanych i skazywanych trafiły do sierocińców. Wszystkie ofiary stanu wojennego trudno zliczyć. Nie wszystkie zbrodnie zostały rozliczone, a ich sprawcy nie zostali osądzeni.



eprasa.pl 4eef091ca4

# Świat wobec stanu wojennego



*Adam Hlebowicz*
*IPN Warszawa*




Wybuch strajków Sierpnia '80, a potem powstanie NSZZ „Solidarność" w Polsce wolny świat przyjął z nadzieją na zmiany polityczne w bloku państw komunistycznych. Do popularności idei „S" przyczyniła się obecność dziennikarzy zagranicznych w Stoczni Gdańskiej w trakcie trwania wielkiego strajku, a potem podpisywania porozumień pomiędzy stroną opozycyjną i władzami PRL. W trakcie karnawału 16 miesięcy istnienia wolnego związku zawodowego Polska gościła na czołowych miejscach mediów Zachodu. Wolny świat przyglądał się z uwagą i w jakimś stopniu drżał o los wyzwalającego się z niewoli narodu, słusznie obawiając się jakiejś formy siłowego rozwiązania ze strony ZSRS bądź władz komunistycznych w Polsce.

Potwierdzeniem tych obaw, a zarazem szokiem było wprowadzenie w Polsce stanu wojennego 13 grudnia 1981 r., internowanie dziesięciu tysięcy działaczy związkowych, a potem areszty i pacyfikacje protestujących zakładów pracy przez milicję, wojsko i SB. Należy tu jednak rozróżnić stanowisko polityczne różnych państw od postawy spontanicznego wsparcia dla Polaków ze strony społeczeństw zachodnich. Wśród krajów NATO jednoznaczne stanowisko wsparcia Solidarności i zdecydowanego protestu wobec reżimu Jaruzelskiego przyjęły Stany Zjednoczone, chwilę potem Wielka Brytania. Stanowisko ostrożne zajęła Francja, a najbardziej wstrzemięźliwą postawę prezentowały Niemcy. Stany Zjednoczone zamroziły oficjalne kontakty z PRL, zawiesiły rządowe gwarancje na kredyty, wprowadziły zakaz połowu na amerykańskich wodach i wstrzymały dostawy dla rolnictwa. Wszelkie sankcje USA wobec Polski zostały zniesione dopiero w 1987 r.

Wyrazem solidarności z Polską był zwyczaj palenia świec w oknach swoich domów. Pierwszy zapoczątkował go amerykański prezydent Ronald Reagan, który 23 grudnia 1981 r. spotkał się w Białym Domu z polskim ambasadorem w USA Romualdem Spasowskim, który właśnie poprosił o azyl polityczny. Podczas prywatnego spotkania Spasowski poprosił prezydenta o zapalenie świecy. Reagan zareagował spontanicznie, zapalił świecę i postawił ją w oknie swojej jadalni. Wieczorem tego dnia prezydent USA wygłosił w telewizji przemówienie, gdzie powiedział m.in.: „Od tysiąca lat w Polsce, kraju ludzi głębokiej wiary, świętowano Boże Narodzenie. Te święta nie przyniosą jednak radości dzielnym ludziom w Polsce. Zostali oni zdradzeni przez własny rząd". Prezydent USA poprosił Amerykanów, aby zapalili świecę w geście życzenia wolności dla Polski. Następnego dnia w wigilię Bożego Narodzenia podobny gest uczynił Jan Paweł II, który w oknach swojego apartamentu w Watykanie zapalił świecę solidarności z rodakami.

Jan Paweł II, przemawiając podczas modlitwy „Anioł Pański" 13 grudnia 1981 r. na placu św. Piotra, poprosił wiernych o modlitwę w intencji Polski, przypominając swoje słowa wypowiedziane kilka tygodni wcześniej z okazji rocznicy wybuchu drugiej wojny światowej: „Nie może być przelewana polska krew, bo zbyt wiele jej wylano, zwłaszcza w czasie ostatniej wojny". Następnego dnia na placu św. Piotra z inicjatywy ruchu Communione e Liberatione odbyło się modlitewne czuwanie tysięcy wiernych w intencji Polski. 18 grudnia 1981 r. przybył do Warszawy arcybiskup Luigi Poggi, który w imieniu Ojca Świętego przekazał przewodniczącemu Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego specjalny list. Jan Paweł II zwrócił się w nim do W. Jaruzelskiego „z usilną prośbą i zarazem z gorącym wezwaniem o zaprzestanie działań, które przynoszą ze sobą rozlew krwi bratniej". Domagał się zniesienia stanu wojennego, respektowania praw człowieka i rozwiązywania trudnych spraw metodą dialogu. 31 stycznia 1982 r., kiedy odbywał się w krajach zachodnich „Dzień solidarności z narodem polskim", Jan Paweł II włączył się w tę akcję, wyrażając „żywą wdzięczność za wszelkie dowody tej solidarności" i za pomoc materialną i moralną udzieloną naszej Ojczyźnie. A pomoc ta płynęła do Polski szerokim strumieniem, prowadzona zarówno przez organizacje społeczne, związki zawodowe, jak i zwykłych ludzi, spontanicznie reagujących na tę sytuację. Nasz kraj zyskał wówczas wielu nowych przyjaciół i więzy zadzierzgnięte pomiędzy tymi wolontariuszami serca i ludźmi w Polsce nierzadko przetrwały lata.

W kolejnych miesiącach Polacy przebywający na emigracji, wspierani przez przyjaciół z Zachodu, zorganizowali wiele spektakularnych akcji skierowanych przeciwko organizatorom stanu wojennego w Polsce. Do najbardziej znanych należało spalenie ogromnej kukły gen. Jaruzelskiego na barce pośrodku Sekwany w Paryżu czy kilka miesięcy później oklejenie znaczkami „S" pociągu relacji Paryż – Warszawa – Moskwa i zorganizowanie happeningu na stacji Gare du Nord. Masowe uliczne protesty miały miejsce też w Nowym Jorku, Chicago, San Diego, Londynie, Brukseli, Kolonii i wielu innych miastach świata.



eprasa.pl 4eef091ca4





*Grzegorz Majchrzak (IPN Warszawa)*

# Politycy zachodni wobec pacyfikacji „Wujka”

W trakcie pacyfikacji Kopalni Węgla Kamiennego „Wujek” w Katowicach 16 grudnia 1981 r. zginęło sześciu górników. Był to najbardziej krwawy epizod stanu wojennego.

Ta brutalna akcja wywołała komentarze w mediach na całym świecie. Odniosły się do niej również władze niektórych państw zachodnich. Jedna z pierwszych zareagowała Szwecja. Rząd tego kraju już 18 grudnia w oświadczeniu „zdecydowanie potępił tę – jak to nazwał – wielką zbrodnię przeciwko prawom człowieka”. „Szwecja uważa za swój obowiązek żądać, aby przywódcy państwa polskiego zaprzestali wojskowych i policyjnych akcji, które są zamachem na życie i wolność. Polska musi kontynuować linię rokowań i kompromisu, którą zapoczątkowano tak obiecująco”. Wpłynęło to na zmianę ostrożnego wcześniej stanowiska Szwecji wobec stanu wojennego. Ola Ullsten, minister spraw zagranicznych, porównał wydarzenia z Katowic z krwawą rozprawą z robotnikami podczas Grudnia ’70.

Rzecznik Departamentu Stanu USA w oświadczeniu stwierdzał: „Amerykańskie koła rządowe z niepokojem obserwują używanie przemocy przeciwko Polakom, którzy starają się korzystać z przysługujących im praw obywatelskich i politycznych”. Zakwestionował także podaną przez władze PRL liczbę ofiar śmiertelnych. Powoływał się na „miarodajne źródła, które utrzymują, że liczba ofiar śmiertelnych może przekroczyć 60”. Później zresztą sprecyzował ich liczbę na 66, przy czym 10 osób miało zostać śmiertelnie pobitych, a reszta zginąć od kul. Dane te miały dotyczyć całego Śląska, a ofiary – być wynikiem „starć, do jakich doszło podczas łamania strajków”. Dlatego „rząd USA […] chce zorganizować zjednoczoną akcję odwetową”.

Z kolei belgijski parlament „uczcił minutą milczenia pamięć Polaków, którzy zginęli, broniąc wolności”, a belgijski minister spraw zagranicznych Leo Tindemans zaapelował do władz w Warszawie o poszanowanie Aktu Końcowego Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, podpisanego w Helsinkach w 1975 r.

Nie wprost, ale akcję pacyfikacji „Wujka” potępiła również Komunistyczna Partia Hiszpanii: „Wiemy, jak zaczyna się reżim wojskowy – od strzelania do robotników i stawiania ich przed sądem. […] Komuniści hiszpańscy zabierają w tej sprawie głos na podstawie własnego doświadczenia w oparciu o 40 lat autorytarnych rządów generała Franco”. Podobnie wypowiadał się b. przywódca Komunistycznej Partii Szwecji C.-H. Hermansson w wywiadzie dla dziennika „Dagens Nyheter”: „Nie powinno się bronić reżimu, który posyła wojsko, by strzelało do strajkujących robotników. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że nie powinno się utrzymywać przyjaznych stosunków z reżimem, który dopuścił się takich krwawych czynów, ani też z partią, która broni takich postępków”.

Szef MSZ Irlandii James Dooge wyraził „głębokie zatroskanie” z powodu wydarzeń w Polsce, a śmierć górników z „Wujka” uznał za tragedię, która może doprowadzić „do krawędzi katastrofy gospodarczej i obywatelskiej”. Takie stanowisko przedstawił podczas obrad KBWE w Madrycie.

Premier Francji Pierre Mauroy 23 grudnia skomentował sytuację w PRL. Nie zamierzał jednak zmieniać przyjętego 13 grudnia swego miękkiego stanowiska wobec wprowadzenia stanu wojennego. Podobne podejście prezentował jego komunistyczny koalicjant – Georges Marchais. Lider Francuskiej Partii Komunistycznej stwierdził, że choć stan wojenny w PRL pociągnął za sobą „zawieszenie podstawowych swobód obywatelskich, aresztowania, internowania, wypadki śmierci […] wszystkie te wydarzenia wstrząsnęły nami”, to nie miało jednak wpływu na przyjęte przez FPK stanowisko „niepodejmowania żadnych poczynań, które mogłyby sprzyjać wewnętrznej konfrontacji czy umiędzynarodowieniu konfliktu”.

Kanclerz Republiki Federalnej Niemiec Helmut Schmidt również mimo śmierci górników z „Wujka” nie zmienił swej oceny stanu wojennego jako „mniejszego zła”.

Papież Jan Paweł II w homilii po modlitwie Anioł Pański 20 grudnia 1981 r. powierzył Polskę opiece Matki Boskiej i prosił o solidarność z narodem polskim, mającym prawo do życia w pokoju i poszanowaniu praw człowieka. Wezwał też do modlitwy za zabitych, rannych i aresztowanych.

Była też reakcja krajów tzw. demokracji ludowej. I tak np. przywódcy Wietnamu – jak raportowała ambasada PRL w Hanoi – 19 grudnia 1981 r. stwierdzali, że „wypadki w kopalni »Wujek«, w Gdańsku oraz w Warszawie, oceniają jako rzucone przez przeciwników kolejne wyzwanie dla sprawdzenia gotowości bądź zdecydowania władz do użycia wszelkich środków w obronie socjalizmu”. Najbardziej kuriozalnie zareagowali komuniści mongolscy. Ambasada PRL w Ułan Bator, blisko rok po pacyfikacji kopalni, pisała w raporcie: „Towarzysze mongolscy zabiegali i w dalszym ciągu zabiegają o materiały fotograficzne i filmowe z frontu walki z kontrrewolucją”, w tym z takich działań, jak „pałowanie, polewanie, gazowanie, akcja [w kopalni] »Wujek«, Gdańsk, Nowa Huta” czy „przejawy spontanicznej wdzięczności mas pracujących”…



eprasa.pl 4eef091ca4




Wystawa główna „Wrocław 1945–2016"
FOT. MARCIN JĘDRZEJCZAK

# Od Solidarności zaczął się współczesny Wrocław

Opowiedzmy Wrocław – ta myśl przyświecała nam, gdy przed laty tworzyliśmy koncepcję Centrum Historii Zajezdnia. Byliśmy przekonani, że Wrocław ze swoją fascynującą historią i wielokulturową przeszłością wart jest współczesnego muzeum, które przeniesie w czasie i pozwoli prześledzić losy osadników – od powojennego okresu pionierskiego do czasów współczesnych. Miejsce tej opowieści – siedziba dawnej Zajezdni nr 7 przy ul. Grabiszyńskiej – zostało wybrane nieprzypadkowo, tu bowiem narodziła się dolnośląska Solidarność i wtedy też domknął się okres mozolnego budowania tożsamości wrocławian.

O tym, że historia lat 80. jest wśród mieszkańców wciąż żywa, przekonaliśmy się, gdy z okazji 30-lecia podpisania porozumień gdańskich otworzyliśmy plenerową wystawę „Solidarny Wrocław" w hali namiotowej przy pl. Społecznym. Obejrzały ją dziesiątki tysięcy osób, co – jak się okazało – było ważnym argumentem, że warto zbudować przestrzeń ekspozycyjną o stałym charakterze. Władze Wrocławia przekazały na ten cel zajezdnię przy ul. Grabiszyńskiej. Tam powstawało Centrum Historii Zajezdnia z zajmującą 1980 mkw. powierzchni wystawą główną, w której poczesne miejsce zajmuje historia lat 80.

Centrum Historii Zajezdnia opowiada o tym, jak zaczął się powojenny Wrocław, o wielkich zniszczeniach miasta, zmianie granic będącej wynikiem wojny, przesiedleniach ludności. Jednak równocześnie jest to historia odbudowy, pojednania polsko-niemieckiego, wielkiego wkładu cywilizacyjnego i polskiego sukcesu. Ekspozycja poświęcona Solidarności została usytuowana w dolnej kondygnacji, by przywodzić skojarzania z działalnością podziemną.

Wystawa wprowadza w klimat lat 80. – można zwiedzić prawie pusty sklep mięsny, pokój opozycjonisty, a nawet celę więzienną, obejrzeć fragmenty filmu „Bitwa wrocławska" o największej demonstracji stanu wojennego w Polsce czy też wysłuchać homilii Jana Pawła II wygłoszonej na wrocławskich Partynicach w 1983 r. Uwagę przykuwa fiat 125p z walizkami wypełnionym po brzegi słynnymi 80 mln, a w pomieszczeniu poświęconemu wolnemu słowu – maszyny drukarskie i powielacze oraz publikacje, które ukazywały się w podziemiu, a także audycje Radia Solidarność i Radia Solidarność Walcząca, które można wysłuchać. Wystawa prezentuje też sylwetki związanych z Solidarnością kapłanów oraz przypomina o zagranicznej pomocy dla Polski. Historia Solidarności, oporu antykomunistycznego, to ważna dziś część współczesnej tożsamości Wrocławia.

Zapraszamy serdecznie do odwiedzenia Wrocławia i Centrum Historii Zajezdnia.

***Marek Mutor,***
***dyrektor Centrum Historii Zajezdnia***


eprasa.pl 4eef091ca4



Wystawa „Wrocław 1945–2016"
FOT. KAROLINA JANKOWSKA

# Zajezdnia – miejsce, do którego się wraca

Ilekroć razy myślę o Centrum Historii Zajezdnia, tylekroć przypomina mi się jeden z eksponatów: milicyjna czarna tonfa, wisząca na ścianie wśród religijnych wotów, opatrzona tabliczką z napisem: „Ja, który nie umiałem powiedzieć »nie«, proszę o przebaczenie Boga i ludzi, odtąd wierny Matce Boskiej pocieszenia. Były funkcjonariusz WUSW. Wrocław, 13 kwietnia 1986 r.". Gdyby ta sama pałka z tą samą inskrypcją zawisła w innym miejscu – w jakiejś izbie pamięci lub nawet stworzonym od zera muzeum, poświęconym choćby historii opozycji antykomunistycznej – nie robiłaby zapewne takiego wrażenia jak właśnie w murach budynku przy ul. Grabiszyńskiej. Te mury przechowują bowiem kawał historii, również tej najnowszej, gdy takie właśnie pałki spadały na plecy opozycjonistów.

Muzea mieszczące się w murach mających własną, bogatą historię, przechowują ducha czasu i genius loci – ducha miejsca. Takie są Muzeum Powstania Warszawskiego w budynku dawnej elektrowni na Woli czy Muzeum Historii Polski, instalujące się powoli w warszawskiej Cytadeli.

Historia Dolnego Śląska dzieli się na czas najdawniejszy, Piastów śląskich i późniejszy – pruski oraz współczesny, polski. Zajezdnia, gdzie mieści się „Zajezdnia", ma historię w pewnym sensie podwójną, pruską, PRL-owską i współczesną, jako muzeum. Budynek przy ul. Grabiszyńskiej zbudowano w latach 90. XIX w. jako zajezdnię tramwajową. Wojnę przetrwał jako ruina, ale po odbudowaniu wrócił do swojej dawnej funkcji, przechowując przecież cząstkę swej dawnej, niemieckiej historii w polskim już Wrocławiu. Milicyjna pałka w części ekspozycji, opowiadającej o mieście w czasach PRL, jest w pewnym sensie w swoim naturalnym otoczeniu, bo w 1980 r. zajezdnia stała się ogniskiem strajkowym Wrocławia. Tam wybuchł strajk Solidarności ze strajkującymi już robotnikami Wybrzeża.

Zajezdnia jest muzeum narracyjnym. Czyli, po ludzku mówiąc, opowiada nam pewną historię, zamiast pokazywać eksponaty w gablotkach. W tę opowieść zagłębiamy się od pierwszych kroków na wystawie, pokazujących ciszę przed burzą pod koniec lat 30. w hipotetycznym polskim miasteczku na kresach, skąd mogą pochodzić przesiedleńcy, którzy zaludnili Wrocław po przekazaniu go Polsce. Później płynnie przechodzimy przez kolejne momenty historii Polski, regionu, miasta. Poprzez wojnę, oblężenie Wrocławia (Festung Breslau, jak zresztą zatytułował jedną ze swoich książek Marek Krajewski, twórca postaci Eberharda Mocka i wielki apologeta zarówno przedwojennego, jak i powojennego Wrocławia), losy miasta zaraz po wojnie, osiedlenie się w nim dawnych kresowian, poprzez PRL z jego specyficznym kolorytem, dziś egzotycznym dla wielu odwiedzających Zajezdnię – aż do czasów Solidarności i stanu



eprasa.pl 4eef091ca4



Wystawa „Wrocław 1945–2016”
FOT. KAROLINA JANKOWSKA

wojennego. Odwiedzający muzeum powinni zatrzymać się na moment w miejscu, gdzie zgromadzono tabliczki z nazwami ulic – z czasów niemieckich, PRL-owskich i współczesnych. Ta ekspozycja zatytułowana jest „Spotkanie”, bo faktycznie jest to spotkanie trzech różnych rzeczywistości: najpierw Adalbertsrasse, potem Józefa Wieczorka, teraz kard. Wyszyńskiego; najpierw Weisenhausstrasse, potem Starcza, dziś bł. Edyty Stein; kiedyś Königsplatz, później plac 1 Maja, dzisiaj Jana Pawła II. I to jest też w Zajezdni dobre: że nie próbuje historii cenzurować i udawać, że Wrocław zaczął się w 1945 r.

Czasy niemieckie albo tużpowojenne to jednak w dużej mierze już historia martwa, czyli taka, której świadkowie odeszli. Pozostały po nich świadectwa, wspomnienia, relacje, ale oni sami już wystawy nie odwiedzą. Im bliżej teraźniejszości, tym żyjących świadków więcej.

Tutaj Zajezdnia uzupełnia potężną lukę w polskim muzealnictwie, wciąż bowiem nie istnieje muzeum PRL. Tymczasem przy ul. Grabiszyńskiej każdy, kto ma około czterdziestki lub więcej, rozpozna artefakty z dzieciństwa lub swojego dorosłego życia w czasach komuny. Są mydła Bambino, pistolety Precyzja (sam taki miałem), szary papier toaletowy, metalowe pudełka po herbacie. To okres mniej heroiczny, czasy stabilizacji, przywodzące na myśl słynny bon mot Stefana Kisielewskiego: „Naszym problemem nie jest to, że jesteśmy w d..., ale to, że zaczęliśmy się tam urządzać”.

Jednak koniec lat 70. to początek walki z systemem. W Zajezdni czas Solidarności nie pojawia się znikąd. Twórcom muzeum udała się sztuka niełatwa: z jednej strony pokazali specyficzny, pastelowy koloryt PRL-owskiej rzeczywistości – tej późniejszej niż cele, w których UB trzymała więźniów politycznych. Z drugiej, przeszedłszy się po salonie PRL-owskiego mieszkania, obejrzawszy ofertę PRL-owskiego kiosku ruchu i zdjęcia z życia w PRL-owskim Wrocławiu, rozumiemy, że Solidarność była nieunikniona, a PRL-owski komfort był złudny. Że wybuch buntu musiał nastąpić. Rozumiemy, skąd się wziął.

Najmłodsi działacze Solidarności z lat 80. zbliżają się zaledwie do pięćdziesiątki. To dzięki ich darom wystawa w tej części wygląda tak, jak wygląda. To oni przekazali do Zajezdni swoje solidarnościowe pamiątki: „bibułę”, ulotki, powielacze, nadajniki, dzięki którym emitowano nielegalne audycje. To sprawia, że czują się poniekąd – i słusznie – współwłaścicielami tego miejsca, które przecież ma być właśnie żywe. Dlatego – jak opowiadają pracownicy Zajezdni – bywa, że odwiedzając wystawę, nie tylko wspominają swoją walkę z PRL, lecz także potrafią się spierać, czasem całkiem gwałtownie, o sposób wyeksponowania poszczególnych przedmiotów lub ich opisy.

Czerwony mały fiat, na którego tylnych siedzeniach leżą torby pełne PRL-owskich banknotów, nie jest oryginalny, ale podobnym w brawurowej akcji Józef Pinior, Piotr Bednarz, Tomasz Surowiec i Stanisław Huskowski przewieźli do wrocławskiej kurii podjęte z banku 3 grudnia 80 mln zł, będących własnością dolnośląskiej Solidarności. Gdyby nie ten wyczyn, uwieczniony kilka lat temu w filmie Waldemara Krzystka, cała suma trafiłaby niechybnie w ręce komunistów.

Nie jest, jak sądzę, przypadkiem – a jeśli, to bardzo znaczącym – że wystawa, pokazująca działania antykomunistycznej opozycji jest w Zajezdni umieszczona w podziemiu, na poziomie –1. W szczególności ma to znaczenie w opowieści o Solidarności Walczącej – radykalnej organizacji antykomunistycznej, założonej właśnie we Wrocławiu w 1982 r. m.in. przez Kornela Morawieckiego. Zdjęcia, dokumentujące działalność organizacji, robiła współpracująca z nią Niezależna Agencja Fotograficzna „Dementi”– unikatowy przykład organizacji medialnej działającej w drugim obiegu.

Zajezdnia nie jest muzeum skończonym i nigdy nie będzie – tak jest z muzeami, które żyją. To miejsce nie tylko coś nam opowiada poprzez zebrane eksponaty, instalacje, pokazywane filmy, lecz także zaprasza ciągle na coś nowego: imprezy, spotkania, żywe opowieści. To nie jest muzeum, do którego idzie się jeden raz. Tam się wraca – wielokrotnie.

***Łukasz Warzecha***

***Autor jest publicystą tygodnika „Do Rzeczy”.***


eprasa.pl 4eef091ca4



Kadr z filmu „Bitwa wrocławska"

# Bitwa wrocławska

**Z dzisiejszej perspektywy widzimy wyraźnie, że Wrocław swoją powojenną tożsamość odnalazł w pełni dopiero w sierpniu 1980 r. To wtedy wrocławianie poczuli się w tym „obcym mieście" „u siebie". 31 sierpnia 1982 r. wyszli na ulice z żądaniem: „Oddajcie nam nasz Sierpień!"**

W zajezdni autobusowej przy ul. Grabiszyńskiej, w której dzisiaj mieści się Centrum Historii Zajezdnia, powstał Międzyzakładowy Komitet Strajkowy, w którym ramię w ramię działali robotnicy, studenci, pracownicy wyższych uczelni i duszpasterze opozycji. Kilka dni temu świętowaliśmy tu 40. rocznicę powstania Studenckiego Komitetu Solidarności we Wrocławiu i zdaliśmy sobie sprawę, że stolica Dolnego Śląska jest wyjątkowa także z tego punktu widzenia, że większość uczestników studenckiego protestu z 1977 r. włączyła się w strajk sierpniowy w 1980 r. i budowanie struktur lokalnej Solidarności. Jeżeli szukamy jednak momentu, w którym mieszkańcy Wrocławia pokazali w pełni swoją siłę, jedność i determinację, to był to niewątpliwie 31 sierpnia 1982 r. – dzień największej w Polsce ulicznej bitwy stanu wojennego, którą od pewnego czasu nazywamy „Bitwą wrocławską". Taki tytuł przyjął też projekt filmowy, którego realizacji podjęła się utytułowana wrocławska dokumentalistka Beata Januchta. Realizacja filmu trwała prawie trzy lata. To, co autorka filmu odkryła przez ten czas, przeszło najśmielsze oczekiwania.

Główny bohater filmu „Bitwa wrocławska" 31 sierpnia 1982 r. miał 15 lat. Od początku stanu wojennego prowadził pamiętnik. Opisał w nim szczegółowo przygotowania i swój udział w wielkiej wrocławskiej demonstracji.

Bohater filmu dzisiaj jest dorosłym człowiekiem, jednak żyje wspomnieniami z młodości. Pewnego dnia decyduje, żeby zanieść swój pamiętnik do Instytutu Pamięci Narodowej i zacząć konfrontować zapiski z dokumentami, które zachowały się po Służbie Bezpieczeństwa. Tak zaczyna się historia, która nie jest tylko sentymentalną podróżą, lecz z minuty na minutę zaczyna przypominać dziennikarskie śledztwo inspirowane zapisaną mimochodem informacją o czterech ofiarach śmiertelnych we Wrocławiu.

Film jest pełny niepublikowanych do tej pory materiałów archiwalnych, spotkań po latach i niespodzianek. Pamiętnik głównego bohatera wraca w obrazach, które na potrzeby filmu w formie animacji przygotowało studio Juice. Dzięki temu zabiegowi film pozwala wejść w świat wewnętrznych przeżyć bohatera. Widzimy nagromadzenie obrazów, dźwięków, emocji, które towarzyszyły temu jednemu niezwykłemu dniowi.

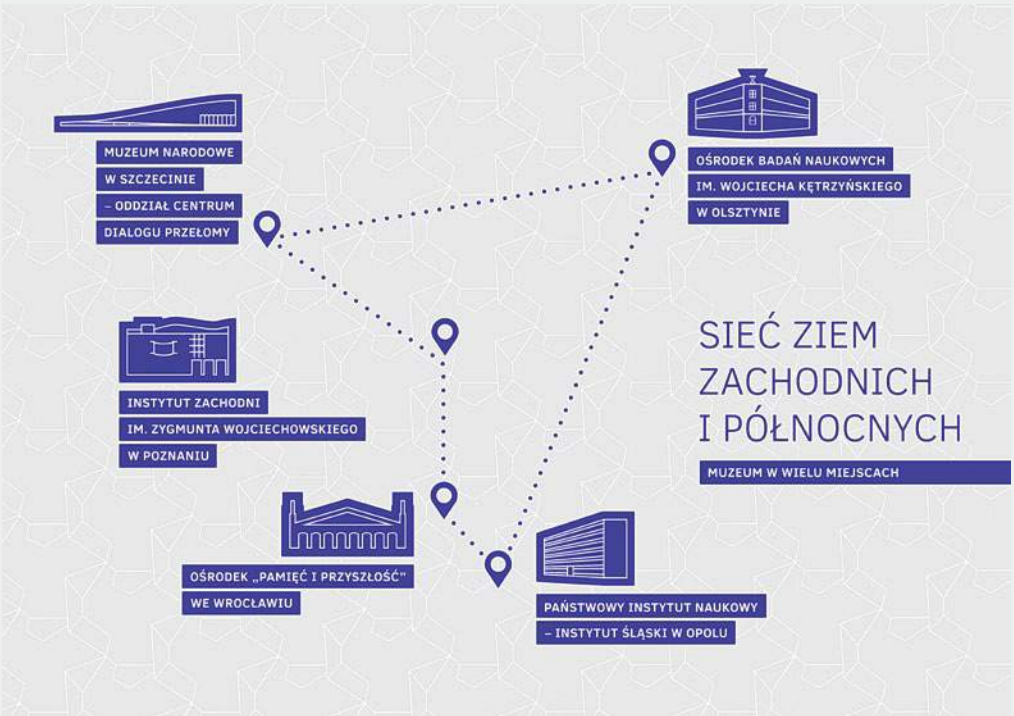
Film Beaty Januchty schodzi jednak jeszcze głębiej, bo dociera do ludzi, którzy znaleźli się zupełnie na marginesie historii „Bitwy wrocławskiej". Dokumentalistka z taką samą pieczołowitością, z jaką odtwarza fakty historyczne, pochyla się nad losem bohaterów trzeciego planu. I tu brzmi najmocniej kluczowe dla filmu pytanie o prawdę. Historia Wrocławia składa się z setek tysięcy takich ludzkich losów. Film „Bitwa wrocławska" prowadzi widza przez labirynt emocji, wspomnień i autentycznych ludzkich dramatów.

Film wyprodukował Ośrodek „Pamięć i Przyszłość" w koprodukcji z Odrą-Film, Biurem Festiwalowym Impart i studiem animacji Juice. Mecenasem projektu jest PKO Bank Polski.



eprasa.pl 4eef091ca4

# Sieć Ziem Zachodnich i Północnych




**Przed przeszło 10 laty w polskiej debacie publicznej zaistniała idea wzniesienia Muzeum Ziem Zachodnich. Celem nowej instytucji miało być opowiedzenie o polskim dorobku państwowym, kulturalnym, społecznym i gospodarczym na ziemiach zachodnich po 1945 r. Realizacja tego postulatu stała się faktem dzięki powołaniu do życia Sieci Ziem Zachodnich i Północnych – programu współpracy pięciu instytucji, które wspólnie mają tworzyć „Muzeum Ziem Zachodnich w wielu miejscach"**

Działalność Sieci oficjalnie zainaugurowano w Warszawie 19 czerwca 2017 r., podając do publicznej wiadomości główne cele, założenia i idee przyświecające jej inicjatorom oraz realizatorom. Podstawą zawiązanej przez nich współpracy stało się podpisane 24 marca 2017 r. we Wrocławiu Porozumienie Intencyjne wyrastające z przekonania, że powojenna historia ziem zachodnich i północnych to opowieść o ważnych, przełomowych momentach w dziejach Polski i Europy, a także w dziejach sąsiedztwa Polski z innymi narodami. W zamyśle twórców ekspozycja ogromnego wysiłku polskiego ducha, dzięki któremu, poprzez kolejne dekady powojnia, nowi mieszkańcy tych ziem poczuli się u siebie, zaś zastane dziedzictwo niemieckie uznali za wspólne, stanowić ma nowy komponent dotychczasowych opowieści o powojennych dziejach ziem przyłączonych do Polski w 1945 r., równoważący skrajne narracje i stwarzający płaszczyznę do międzynarodowych dyskusji.

Do realizacji tej misji, odpowiadającej założeniom powołania Muzeum Ziem Zachodnich, Sieć przystępuje bez konieczności wznoszenia nowego gmachu i instytucji ale na drodze wykorzystania istniejącego już potencjału i infrastruktury instytucji ją współtworzących. Poszerza ponadto wyjściowy zakres tematyczny o istotny element ziem północnych, traktując w sposób całościowy i komplementarny obszar, który znalazł się w granicach Polski po 1945 r. W konsekwencji Sieć dysponuje dwoma tematycznymi wystawami stałymi (we wrocławskim Centrum Historii Zajezdnia oraz szczecińskim Centrum Dialogu Przełomy), a także otwartą w listopadzie 2017 r. wystawą podróżującą – „Wrastanie". Działalność ekspozycyjną uzupełnia komponent naukowy, ujęty ramami programu badawczego, w ramach którego powstało do tej pory ponad 100 opracowań: artykułów naukowych, ekspertyz, edycji źródeł czy recenzji. Część z nich zostanie udostępniona odbiorcom na łamach internetowego czasopisma naukowego „Rocznik Ziem Zachodnich".

Formuła „muzeum w wielu miejscach" stwarza realną szansę znacznego powiększenia zasięgu oddziaływania oraz dotarcia do szerszego grona odbiorców – zarówno w Polsce, jak i poza jej granicami. Służą temu nie tylko specjalne działania promujące, organizowane w ramach Sieci debaty, konferencje i seminaria, lecz także specjalny program stypendialny dedykowany młodym badaczom z zagranicy, którzy w swoich badaniach poruszają kwestie odpowiadające programowi badawczemu SZZiP i w ramach pobytów stypendialnych w Polsce mają możliwość pracy z polskimi źródłami oraz literaturą.

Sieć Ziem Zachodnich i Północnych jako realizowany ze środków oraz pod auspicjami ministra kultury i dziedzictwa narodowego program współpracy tworzą: Państwowy Instytut Naukowy – Instytut Śląski w Opolu, Instytut Zachodni im. Zygmunta Wojciechowskiego w Poznaniu, Muzeum Narodowe w Szczecinie – oddział Centrum Dialogu Przełomy, Ośrodek Badań Naukowych im. Wojciecha Kętrzyńskiego w Olsztynie oraz Ośrodek „Pamięć i Przyszłość" we Wrocławiu, który koordynuje realizację programu.

Więcej informacji na stronie internetowej: www.szzip.pl.

***Marcin Musiał,***
***sekretarz Sieci Ziem Zachodnich i Północnych***


eprasa.pl 4eef091ca4

centrum
historii
**zajezdnia**





## Wystawa główna



## Projekty edukacyjne




## Publikacje



## Konferencje

**www.zajezdnia.org**

eprasa.pl 4eef091ca4



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

# Stare, lepsze czasy

Wydaje się, że minęła już cała epoka. A to raptem 75 lat! Wśród nas są jeszcze ludzie, którzy pamiętają tamte czasy, w których dwory i pałace nie były walącymi się ruinami ani nie służyły za przydrożne zajazdy oraz hotele. Były po prostu domami. Siedzibami naszych ziemiańskich rodów.

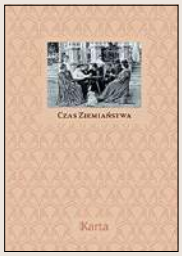
Rzeczpospolita – jak chyba żaden inny kraj Europy – była państwem szlacheckim. Właśnie ta kasta społeczna przez stulecia nadawała ton naszemu życiu gospodarczemu, politycznemu i kulturalnemu – decydowała o obliczu Rzeczypospolitej. Rewolucja bolszewicka przyniosła tymczasem ziemiaństwu zagładę. Na wschód od granicy ryskiej proces ten dokonał się w latach 1917–1921. A na zachód od granicy ryskiej – czyli na terytorium II RP – po zakończeniu II wojny światowej, za „drugiego Sowieta". Dzisiaj nie ma już ziemian, a co za tym idzie – współczesna Polska jest zupełnie innym państwem. Jest czymś nowym. Czy lepszym? Śmiem wątpić. Obawiam się, że to, co najlepsze, mamy już za sobą.

Cóż nam więc pozostaje? Czytać i wspominać stare, dobre czasy. Właśnie ukazała się książka wyjątkowa – wydana przez KARTĘ antologia ziemiańskich wspomnień i dzienników od końca XIX w. do roku 1945. A więc od czasów świetności do zagłady.

„Wystarczyło wyjść wieczorem na rozległe łąki – pisał Tadeusz Janota-Bzowski – ujrzeć wstającą z nich mleczną mgłę, posłuchać grania świerszczy i kumkania żab na otulonych krzakami jeziorkach i w udręczoną duszę człowieczą wstępowała cisza i ukojenie. Dwór, modrzewiowy, długi, z przedzielającym dwie jego części gankiem, był jasny, ciepły i przytulny. Miał belkowe stropy. Na jednej z belek, w jadalnym pokoju, widniała prymitywnie wyrzeźbiona data: A.D. 1733".

Ech, rozmarzyłem się…

„Czas ziemiaństwa" to nie tylko pasjonująca lektura. To także prawdziwa gratka dla bibliofilów. Dawno nie widziałem tak pięknie wydanej książki. Ziemiańskim wspomnieniom towarzyszą dziesiątki niesamowitych zdjęć. Dzięki nim możemy zobaczyć, jak wyglądał ten zgładzony świat. ©℗




★★★★★★
**ANTOLOGIA „CZAS ZIEMIAŃSTWA" OŚRODEK KARTA**



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

# Bodo i Reri

Kariera Anne Chevalier, zwanej Reri, przypomina bajkę o Kopciuszku. Rodowita Polinezyjka, która z dnia na dzień stała się gwiazdą filmową. Spędziła kilkanaście miesięcy w Polsce, gdzie uważano ją za oficjalną narzeczoną Eugeniusza Bodo. Niestety historia Reri nie zakończyła się szczęśliwie.

Anne miała 17 lat, gdy na Tahiti pojawili się amerykańscy filmowcy planujący nakręcenie w tamtejszych plenerach filmu „Tabu". Do głównej roli zaangażowali Anne, uznając, że urocza dziewczyna idealnie będzie się nadawała do ich produkcji. Premiera „Tabu" okazała się wielkim sukcesem i chcąc ją zdyskontować, zaangażowano Reri do rewii „Ziegfeld Follies".

**Palmy wprawiły w osłupienie miejscowych Kaszubów**

Rewia trafiła także do Warszawy, gdzie „czarną Hawajkę" uznano za większą atrakcję niż toczący się właśnie w Krakowie proces apelacyjny Rity Gorgonowej. Urokowi Reri nie oparł się też Eugeniusz Bodo i na jego prośbę (za zgodą promotorów trasy) pozostała w stolicy.

Gwiazdor zaproponował dziewczynie, by zamieszkała u niego, ona zgodziła się, co było poważnym błędem. Pani Junod (Bodo mieszkał z matką) nie znosiła bowiem „tej uroczej dziewczyny, sekowała ją i gnębiła". Na razie jednak Reri intensywnie uczyła się polskiego i już niebawem wymawiała „chrząszcz brzmi w trzcinie" lepiej niż Fryderyk Járosy.

Bodo miał wobec Reri sprecyzowane plany, obsadził ją w „Czarnej perle" – egzotycznej opowieści o miłości, zdradzie i wierności. Film wzbogacił muzyką Henryk Wars, grał w nim też Bodo, który napisał scenariusz i podjął się roli producenta.

Film kręcono w polskich studiach, a część plenerów nad Bałtykiem, gdzie przywiezione ze stolicy palmy wprawiły w osłupienie miejscowych Kaszubów.

Premiera odbyła się 20 grudnia 1934 r. i odniosła ogromny sukces.

Po latach najbardziej przejmujące wrażenie wywiera fragment, w którym Reri śpiewa piosenkę „Dla ciebie chcę być biała". To znakomita scena, a kaleczenie przez dziewczynę polskich słów dodaje jej tylko autentyczności, podobnie jak nieudolna próba tańczenia fokstrota. Natomiast zamknięty w sobie i obserwujący ją uważnie Bodo to już prawdziwe mistrzostwo świata. Zagrał tę scenę bez słów i przy bardzo oszczędnej mimice, co pokazuje, jak znakomitym był aktorem.

Śpiewając przed kamerą, Reri nie przypuszczała zapewne, że dni jej znajomości z Bodo są już policzone, a ona sama niebawem na zawsze opuści Warszawę.

Do jej dalszych losów powrócę w jednym z następnych felietonów. ©℗



eprasa.pl 4eef091ca4



SUPER HISTORIA.pl

TYGODNIK LISKIEGO DO RZECZY

NOWY CYKL

PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH

# BOHATEROWIE

JUŻ DZIŚ OGLĄDAJ NOWY ODCINEK SERII

BOHATEROWIE.DORZECZY.PL

19 GRUDNIA

## CZĘŚĆ IV Z CYKLU „CICHOCIEMNI I WYWIAD”

## „MISJA KARSKIEGO”

EMISARIUSZ POLSKIEGO PAŃSTWA PODZIEMNEGO PRZEKAZUJĄCY NA ZACHÓD PRAWDĘ O HOLOKAUŚCIE. POKAŻEMY. JAK ZOSTAŁO PRZYJĘTE JEGO ŚWIADECTWO.

PARTNER PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH: PGE

eprasa.pl 4eef091ca4



# Hej, orle biały ...

**... pierzchły dziejów mroki, leć wzwyż wspaniały, hen, na lot wysoki, nad pola chwały, nad niebios obłoki, ponad świat cały...**

Tymi słowami Ignacy Paderewski opisuje schyłek zaboru niemieckiego w Wielkopolsce oraz drogę do zwycięstwa Wielkopolan.

To właśnie przyjazd wirtuoza do Poznania jest iskrą na beczkę prochu, na już istniejące napięcia w społeczności poznańskiej i wielkopolskiej. 26 grudnia 1918 r. przyjeżdża do Poznania, witają go tłumy poznaniaków. Wszędzie widać flagi, nie tylko biało-czerwone, lecz także amerykańskie, Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii czy francuskie. Tego samego dnia wieczorem mistrz przemawia z okna hotelu Bazar, pod którym zebrało się ok. 50 tys. osób. Nazajutrz okupant odpowiada brutalnie, aresztując uczestników, pod hotelem padają pierwsze strzały, które wkrótce rozbrzmiewają w całym Poznaniu, a następnie obejmują całą Wielkopolskę. Dnia 27 grudnia 1918 r. zaczyna się otwarte powstanie ciemiężonych pod zaborami Polaków przeciwko niemieckiemu okupantowi.

W pierwszej linii powstańców stają ówcześni członkowie organizacji Sokół, która oficjalnie była towarzystwem gimnastycznym, jednak prawdziwym celem stowarzyszenia było prowadzenie szkolenia wojskowego obejmującego nie tylko ćwiczenia fizyczne, lecz także prowadzenie zajęć edukacyjnych, wychowawczych oraz propagandowych, oraz przystosowanie członków jako potencjalnych żołnierzy. Niemniej jednak warto wspomnieć, iż było to również miejsce spotkań towarzyskich i kulturowych. Organizacja ściśle współpracowała także ze środowiskiem skautowskim, z którego to pochodzili członkowie Sokoła. Tak przygotowani młodzi ludzie uodpornieni na propagandę niemieckiego zaborcy odbywali zasadniczą służbę wojskową w wojskach okupanta, by potem wykorzystać zdobyte doświadczenie przeciwko uzurpatorom. Niemcy doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że organizacja prowadzi taką działalność, przez co bardzo często dochodziło do szkalowania działaczy, a wykorzystywane symbole, wydarzenia kulturalne, były pod stałą obserwacją niemieckich cenzorów.

To właśnie działacze organizacji stanowią ochronę Paderewskiego, organizują oddziały powstańców oraz zawiązują komórki administracyjne na stopniowo wyzwalanych terenach. Informacje o wystąpieniu zbrojnym błyskawicznie rozprzestrzeniły się na obszarze Wielkopolski. Powstańcom wystarczyły zaledwie trzy dni na zajęcie poznańskiej Cytadeli, reduty Grolmana, arsenału przy Wielkich Garbarach oraz koszar 6. Pułku Grenadierów. 29 grudnia od niemieckiego okupanta wyzwalają się Kórnik, Grodzisk, Kłecko, Witkowo, Wielichowo i inne mniejsze miejscowości. 31 grudnia kolejne miejscowości, m.in. Ostrów, Oborniki, Kościan, Wronki, Śrem, Wągrowiec. 6 stycznia zostaje zdobyty ostatni przyczółek Niemców w Poznaniu, a jest nim lotnisko Ławica. Zdobyte samoloty posłużą powstańcom do zbombardowania Frankfurtu nad Odrą.

Wydarzania tamtych czasów świetnie opisuje ówczesny dziennikarz „Kuriera Poznańskiego":

***Wielkie i niezapomniane chwile przeżywała Września w ciągu ostatnich dni. W sobotę 28 grudnia na telefoniczną wiadomość delegata***

ARTYKUŁ PROMOCYJNY



eprasa.pl 4eef091ca4



Podpisanie traktatu wersalskiego w 1919 r. FOT. ARCHIWUM

*wysłanego do Poznania, że Poznań zrzucił kajdany ucisku, tutejsza kompania straży granicznej pod wodzą p. Wiewiórowskiego z Miłosławia wzięła szturmem bez krwi rozlewu koszary tutejszego batalionu pułku piechoty 46 i rozbroiła resztę załogi i lazaretu i zatknęła sztandar polski na wieży. Na hasło to całe miasto przybrało godowe szaty, setki sztandarów i chorągwi narodowych prawie równocześnie ukazało się na domach i na gmachach publicznych, jak ratusz, sąd, poczta. Odbyto rewizje za bronią.*

*W nocy na niedzielę zawołało Witkowo o pomoc. Osobnym pociągiem małej kolejki wyjechał w niedzielę rano oddział około 100 ochotników pod wodzą p. Wiewiórowskiego – a ze Strzałkowa tyleż ludzi pod wodzą porucznika Nowaka. Już o 6 wieczorem powrócili zuchy nasze z powrotem wioząc z sobą 130 jeńca. Zdobyte karabiny i broń pozostawiono w Witkowie, gdzie otworzył się oddział zamiejscowy.*

*W poniedziałek zawołało Gniezno o pomoc, lecz wyprawa wróciła wobec zawartej na miejscu ugody. Gdy nas znowu wezwano już w sile 250 ludzi z kilku karabinami pośpieszyliśmy do Gniezna. Po zwycięskich bitwach pod Zdziechową, goniąc Niemców z Ostschutzu aż pod Żnin, Pakość i Kruświcę, oczyściły siły polskie Września, Gniezno i Witkowo, te powiaty zupełnie. [...]*

Powstańcy borykali się jednak z jednym dość poważnym problemem. Służba w niemieckim wojsku nie pozwalała Polakom na awans w szeregach wroga, a droga do stopni oficerskich pozostawała zamknięta. Polakom brakowało oficerów wyższego stopnia, nie wspominając o generałach. Naczelnym dowódcą już oficjalnego powstania zostaje kpt. Stanisław Taczak. Zastrzega on jednak, że funkcję dowódcy będzie pełnił dopóty, dopóki zwierzchnictwa nad armią powstańczą nie przejmie oficer wyższy stopniem. Kapitan pełniąc powierzoną mu funkcję, skutecznie zawiązuje zalążki Armii Wielkopolskiej.

Taczak pełni funkcję przywódcy powstania do dnia 16 stycznia 1919 r., kiedy to z zaboru rosyjskiego przybywa do Wielkopolski gen. Józef Dowbor-Muśnicki, przywożąc ze sobą brakującą kadrę oficerską, która zasili szeregi powstania wielkopolskiego. Generał doprowadza do reorganizacji powstańców, forsując decyzję o poborze, co przyczynia się do powstania Armii Wielkopolskiej liczącej w szczytowej formie ok. 100 tys. żołnierzy.

Podczas działań zbrojnych prowadzona jest również szeroko zakrojona ofensywa dyplomatyczna. Dnia 29 stycznia polski delegat na konferencję pokojową w Paryżu, Roman Dmowski, na posiedzeniu Rady Dziesięciu wygłasza pięciogodzinną przemowę dotyczącą całości polskich żądań. Nie korzysta przy tym z pomocy tłumaczy, obawiając się ich niekompetencji, i sam przekłada to, co mówi na język angielski i francuski. Doskonale obrazuje sytuację geopolityczną, mówi m.in.:

*[...] W obecnej chwili Niemcy zachowują janusowe, podwójne oblicze. Na Zachodzie mówią o pokoju, a na Wschodzie przygotowują wojnę. Wojsko na froncie zachodnim uznaje swoją porażkę, ale oddziały, które są na froncie wschodnim, marzą jeszcze o podbojach. Zdają sobie doskonale sprawę z tego, co utraciły na Zachodzie, ale chcą utrzymać i – jeśli to możliwe – pójść dalej na Wschód. [...]*

Niestety, szok Niemców wywołany wybuchem powstania mija i przechodzą oni do kontrofensywy. Powstańcy 9 stycznia 1919 r. zostają zmuszeni do wycofania się z Nakła. 11 stycznia dochodzi do ciężkich walk o Szubin, które kończą się zwycięstwem Polaków, jednak od strony niemieckiej dochodzą niepokojące wieści o zachowaniu zaborców. Opis niepokojącego zachowania zawiera zamieszczona w prasie notatka o treści: Podczas bitwy stoczonej pod Szubinem dopuszczali się żołnierze niemieccy okrucieństw na Polakach. Naoczny świadek opowiada, że Niemcy o rannych żołnierzy polskich nie troszczyli się zupełnie. Z poległych zdzierano mundury i buty, pozostawiając ich tylko w koszuli. Ponieważ nie było opieki lekarskiej, ranni odwiezieni przez obywateli i gospodarzy do miasta padali na ulicy. Pomocy i żywności Niemcy zakazywali udzielać rannym. Jeńców polskich bito kolbami. Odznaczyli się przy tym uzbrojeni urzędnicy kolejowi z Bydgoszczy i żołnierze, którzy odgrażali się, że wszystkich pozabijają.

12 lutego 1919 r. niemiecka ofensywa wspomagana ciężkimi pociągami pancernymi zwycięża w walkach o Babimost i Kargowę. 14 lutego zapada decyzja o przeniesieniu naczelnego dowództwa wojsk niemieckich do Kołobrzegu, co może sugerować plany dużej ofensywy niemieckiej przeciwko Wielkopolsce. Do ofensywy na szczęście nie dojdzie, ponieważ dnia 16 lutego 1919 r. armia powstańcza zostaje uznana w Trewirze za wojsko sprzymierzone i objęta układem o przedłużeniu rozejmu z Niemcami z wojskami ententy. Nie przynosi to jednak pełnego spokoju w Wielkopolsce i w niektórych miejscach dochodzi do niewielkich starć trwających do czerwca 1919 r.

28 czerwca 1919 r. Roman Dmowski i Ignacy Paderewski podpisują traktat wersalski, który przywraca Polskę na mapę Europy. Uznana zostaje państwowość Polski z Wielkopolską i Pomorzem Gdańskim, a na Warmii, Mazurach i Górnym Śląsku zarządzone zostaje referendum. Ustanowione zostaje Wolne Miasto Gdańsk. Starania kilku pokoleń Wielkopolan zostają uhonorowane i zwieńczone olbrzymim sukcesem. Wielkopolska odzyskuje wolność! Polska odzyskuje wolność!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

***Kamila Comba***

MECENASEM CYKLU O HISTORII WIELKOPOLSKI JEST ENEA





eprasa.pl 4eef091ca4




*Elena i Gabriel Michalikowie*

# Kto się boi Kseni Sobczak?

**Udział celebrytki w wyborach prezydenckich sprawi, że Putin rozwiąże wiele problemów za jednym zamachem**

Trudno mieć wątpliwości, że za najważniejsze sznurki kukiełek na rosyjskiej scenie politycznej pociągają te same dłonie. Obecnie rolę opozycyjnego kandydata na urząd prezydenta Federacji Rosyjskiej powierzono wieloletniej gwieździe reality show. W sam raz pasuje. Czym bowiem, jeśli nie show mającym przysłonić faktyczne gry interesów na szczytach władzy, będą te wybory?

Do dnia głosowania pozostały raptem trzy miesiące, a po tym, jak Aleksiejowi Nawalnemu odmówiono rejestracji kandydatury, powstała sytuacja kompletnego braku choćby symbolicznej konkurencji. Wielkim wyzwaniem jest dla Kremla wzbudzenie w Rosjanach zainteresowania samymi wyborami. Przytłaczające poparcie obywateli dla polityki prezydenta traci znaczną część swego uroku, jeżeli nie przekłada się na masowy pochód do urn wyborczych. Wciąż boleśnie żywe jest wspomnienie zeszłorocznych wyborów do Dumy Państwowej, kiedy to frekwencja była najniższa w całym ćwierćwieczu rosyjskiego parlamentaryzmu. Obawiając się zatem, że na triumfalnej uczcie Putina z okazji czwartej rocznicy „powrotu Krymu do Ojczyzny" zabraknie gości, Kreml z silną zadyszką stara się znaleźć sposób obudzenia w Rosjanach jakichkolwiek emocji w stosunku do wyborów. Zaskakującym, a więc niepozbawionym błyskotliwości sposobem na galwanizację nastrojów stało się zorganizowanie kandydata z kapelusza.

## BLONDYNKA W CZEKOLADZIE

Nasza gwiazda przyszła na świat w 1981 r., jako córka Anatolija Sobczaka, mera Sankt Petersburga w latach 1991–1995, wówczas bezpośredniego przełożonego Władimira Putina, o którym świat mało jeszcze wtedy słyszał. Jest jedną z najbardziej rozpoznawalnych postaci tzw. rosyjskiego życia publicznego.



FOT. JAPARIDZE MIKHAIL/TASS/GETTY IMAGES

Ksenia Sobczak znana jest jako skandalistka, osoba arogancka i niezbyt lotna. Gdyby szukać analogii wśród polskich gwiazd i gwiazdeczek, należałoby wziąć pod uwagę hybrydę wdzięku Aleksandry Kwaśniewskiej, temperamentu Dody i umysłowości Joli Rutowicz, i tak powstałby idealny kandydat na prezydenta, któremu ekscentryzmu mógłby pozazdrościć nawet Donald Trump.

Bramą do popularności stał się dla Sobczak udział w charakterze prowadzącej w rosyjskiej wersji reality show „Dom-2", doceniony przez twórców Księgi Guinnessa jako najdłużej ciągnący się program w swoim gatunku (zaczął się w 2004 r. i trwa do dzisiaj). Program krytykowano jako demoralizujący, skoncentrowany na prymitywizacji zachowań seksualnych, samą zaś Sobczak próbowano postawić przed sądem pod zarzutem stręczycielstwa, ale rzecz rozeszła się jakoś po kościach.

Równolegle sławę lwicy salonowej umacniał program „Blondynka w czekoladzie" (2007), w której obecna kandydat na urząd prezydenta Federacji Rosyjskiej oprowadzała widzów po kulisach świata show-biznesu. Na uwagę zasługują stroje Sobczak z tego okresu: złote suknie i futra stworzyły nowy kanon upowszechniającego się w zamożniejszych kręgach największych miast Rosji złego smaku. Sama zaś Sobczak zdobyła kolejną kompetencję i zajęcie jako prowadząca show modowy „Top model po rusku" oraz autorka książek poświęconych strojom i dbałości o wygląd, a od 2014 r. redaktor naczelna modnego magazynu „L'Officiel".



Popularność budowała konsekwentnie w oparciu o skandale obyczajowe. Imię jej rozsławił cykl awantur z Ałłą Pugaczową (Sobczak niewybrednie wypominała nestorce estrady jej podeszły wiek), miłosny trójkąt z milionerem Wiaczesławem Lejbmanem i ciągłe waśnie z jego admiratorką, baletnicą, a w końcu nawet mordobicia w samym programie „Dom-2", gdzie Sobczak tłukła się z drugą prowadzącą, Ksenią Borodiną.

## OKULARY MĄDROŚCI

W tamtej młodzieńczej epoce Ksenia Sobczak nie wykazywała zainteresowania polityką, ograniczając się do afirmacji życia, jak przystało na celebrytkę. Zmieniło się to w grudniu 2011 r., gdy po wyborach do Dumy przez rosyjskie miasta przewaliła się fala protestów przeciwko fałszerstwom wyborczym. Sobczak nie tylko zaczęła przychodzić na demonstracje, lecz także nawet dobrała sobie adekwatny obiekt zainteresowań miłosnych; panem jej serca stał się przystojny młody opozycjonista Ilja Jaszyn. Zmieniła fryzurę, częściej wkładała okulary, a co najważniejsze – przyjęła sposób ubierania się przywodzący na myśl stroje rewolucjonistek z początku wieku XX, wskutek czego (jak twierdzą złośliwi) została wybrana do Rady Koordynacyjnej opozycji. W kolejnym roku ostatecznie rozstała się z show „Dom-2", konsekwentnie pozycjonując się teraz jako intelektualistka i dysydentka, w którym to charakterze jęła prowadzić program w opozycyjnym kanale – TV Dożdż. W warunkach rosyjskich można to potraktować jako przejście z jednego działu show-biznesu do drugiego, gdyż życie polityczne w kraju rządzonym przez służby specjalne stanowi raptem tylko igrzyska, w których obywatele nie muszą rezygnować z wygodnej roli widza.

Czarodziejska przemiana Sobczak w płomienną rewolucjonistkę spowodowała różnorodne reakcje zasiedziałych aktorów opozycyjnej części show. I o ile śp. Boris Niemcow, wspomniany już Ilja Jaszyn oraz Aleksiej Nawalny przywitali Sobczak w swoim kółku chlebem i solą, a ich wspólne fotografie zapełniły serwisy społecznościowe, o tyle np. Siergiej Udalcow, lider radykalnie lewicowego ruchu Lewy Front, twierdził, że Sobczak celowo dezorganizuje prace komitetu, i nazwał ją koniem trojańskim opozycji (na uwagę zasługuje jadowity hipologiczny aspekt metafory; rywalki Sobczak w jej poprzednim wcieleniu nazywały ją, rzekomo dla typu urody, „końską mordą"). Z tym że Udalcow wskutek protestów z roku 2012 znalazł się na cztery i pół roku w więzieniu, więc i jego kasandryczne wykrzykniki wobec gwiazdy nie zyskały większego rezonansu.

Przy czym cierpieć „za wolność naszą i waszą" celebrytka miała okazję. Furorę robiły zdjęcia, na których OMON-owcy wprowadzają do więźniarki gwiazdę dzierżącą dumnie w dłoniach bukiet białych róż, symbol protestów 15 grudnia 2011 r.

Pół roku później w głośnych protestach na placu Błotnym Sobczak wprawdzie osobiście nie wzięła udziału, ale można uznać, że komuś jednak nadepnęła na odcisk, gdyż wkrótce, w ramach ogólnej wojny z opozycją, w mieszkaniu Kseni przeprowadzono rewizję, w toku której zabezpieczono milion euro, ponad pół miliona dolarów i kilkaset tysięcy rubli. Na uwagę zasługuje to, że wszystkie te pieniądze śledczy zwrócili Sobczak, choć w podobnej sytuacji wspomniany już Ilja Jaszyn po dziś dzień szuka wiatru w polu. I by już więcej o Jaszynie nie wspominać, dodajmy, że Ksenia rozstała się z Ilją, a nawet – już jako prawowierna opozycjonistka – wyszła za mąż za aktora Maksima Vitorgana, a w zeszłym roku urodziła mu syna.

## TWARZ OPOZYCJI

Można by powiedzieć, że wiadomość gruchnęła jak grom z jasnego nieba. Jednak w sytuacji, gdy najpierw coś jest tematem żartobliwych proroctw z zakresu purnonsensu, a potem nagle okazuje się ponurą rzeczywistością, ta metafora pogodowa chyba nie będzie na miejscu. Pod koniec września dziennik „Wiedomosti" poinformował o wspomnianych już zmartwieniach Kremla. Napisano, że administracja prezydenta Putina gorączkowo poszukuje kontrkandydata dla Putina lub jego pomazańca. Wówczas to pojawił się kawał, że bierze się pod uwagę Ksenię Sobczak.

Sama Sobczak pośpiesznie zaprzeczyła, jakoby miała zamiar kandydować. Jednak już na początku października



eprasa.pl 4eef091ca4

plotki o jej przygotowaniach do kampanii wyborczej jęły napływać ze wszystkich stron. I wprawdzie celebrytka nadal je dementowała, ale – jak ustalił portal informacyjny Meduza – równolegle bardzo intensywnie zajmowała się rekrutacją na stanowisko szefa sztabu wyborczego.

W końcu więc, 18 października, równo pięć miesięcy przed terminem wyborów, Ksenia „dała się przekonać" i ogłosiła, że kandyduje jako przedstawiciel tych wszystkich, którzy kandydować nie mogą (w domyśle: Nawalnego, który jednak wzywał do bojkotu wyborów, a nie do powołania swego zastępcy w jej osobie), że jej celem jest wyrazić pretensje wobec systemu; że w końcu jej kandydatura jest „przeciwko wszystkim". Te ostatnie słowa stały się hasłem wyborczym kandydatki.

Ku zdumieniu nielicznych ludzi rozsądnych zamiast powszechnego grymasu niedowierzania w Moskwie rozpoczęły się dość żałosne zabiegi niegdyś poważnych, a obecnie całkowicie zmarginalizowanych postaci sceny politycznej o to, aby Ksenia reprezentowała ich komitet wyborczy. Szczególnie wstydliwe były zabiegi chadeckiego działacza, byłego premiera Michaiła Kasjanowa, lidera coraz bardziej kanapowej partii PARNAS, aby Sobczak zgodziła się używać tytułu kandydata tej właśnie organizacji (nie zgodziła się!).

Aleksiej Nawalny przyjął inicjatywę Sobczak dość chłodno, ograniczając się do komentarza, że dama ta ma z racji wieku i obywatelstwa bierne prawo wyborcze, może więc czynić zeń użytek (co zabawne, dokładnie tymi samymi słowami powitał kandydaturę córki dawnego zwierzchnika prezydent Putin). Należy dodać, że wcześniej, gdy możliwość udziału Kseni Sobczak w wyborach była tylko przedmiotem żartów i plotek, Nawalny pozwolił sobie na znacznie ostrzejszy komentarz, wzywając Sobczak, by nie brała udziału w kremlowskiej intrydze, mającej na celu wystawienie w wyborach cudaka, który już samą swoją dotychczasową postawą i image'em skompromituje opozycję.

Nawalny milczy, ale inni opozycjoniści są obecnie mniej oszczędni w słowach i formułują pod adresem Sobczak takie epitety jak „zdrajczyni", „podła gadzina" i „kreatura" (to ostatnie określenie wyszło – o paradoksie! – z ust konkubiny szefa sztabu wyborczego Kseni).

Głosy te mają jednak charakter tylko lokalny, a ich echa nie dochodzą do rosyjskich mas. Te mają bowiem okazję oglądać Ksenię podczas tournée po podporządkowanych Kremlowi stacjach telewizyjnych, które żyjącym w coraz trudniejszych warunkach Rosjanom prezentują pławiącą się w luksusach celebrytkę-skandalistkę jako twarz zjednoczonej opozycji.

## SREBRNA KULA

Szanse na zwycięstwo wyborcze Kseni Sobczak są oczywiście minimalne. Życzliwy gwieździe politolog Stanisław Biełkowski szacuje liczbę jej wyborców na 7–8 proc. uprawnionych do głosowania; inni eksperci są jeszcze bardziej ostrożni, wyliczając poparcie na maksimum 2 proc. Pamięta się przy tym także o ogromnym, bo sięgającym 70 proc., negatywnym elektoracie Sobczak, na który zapracowała sobie przede wszystkim latami prezentowania słodkiego życia bananowego dziecka. Rosjanie nie zapomnieli jej, że miała zwyczaj nazywać ich „odpadem genetycznym"; pamięta się jej słowa o tym, że „biedni frajerzy zapaskudzili jej ukochane Monako", pamięta się nawet ordynarne kpiny z ludzi cierpiących na nadwagę; pamięć tę podsycają pojawiające się stale już od września telewizyjne składanki prezentujące co bardziej niesmaczne występy Kseni Sobczak na przestrzeni lat. Równolegle z materiałami o charakterze retrospekcji emituje się obecne wystąpienia Sobczak potępiającej aneksję Krymu, konflikt na Ukrainie i wzywającej do walki z korupcją.

### Celebrytki chcą na Kreml

Były przyjaciel Kseni Sobczak, zbiegły z Rosji biznesmen i działacz opozycyjny Jewgienij Cziczwarkin, objaśnia kandydowanie gwiazdy w wyborach prezydenckich właściwą jej żądzą znajdowania się w centrum uwagi. Podkreśla też zarazem, że Ksenia posiada wrodzoną charyzmę trendsettera. To ostatnie twierdzenie wydaje się tym trafniejsze, że po ogłoszeniu przez naszą bohaterkę udziału w wyścigu do Kremla swoje kandydatury zgłosiła jeszcze pewna liczba luksusowych blondynek, a nawet jedna gwiazda filmów porno, nie budząc jednak tak szerokiego zainteresowania znajdujących się w rękach reżimu mediów.

Jest więc Ksenia Sobczak genialnym narzędziem do skompromitowania nie tylko samych opozycjonistów (tym zajmują się na co dzień odpowiednie służby, choćby przez inicjowanie skandali pościelowych w kręgach dysydentów), lecz przede wszystkim do zdezawuowania postulatów opozycji, z głównym postulatem zmienialności władzy. Przekaz jest jasny: władza proponuje Putina lub Miedwiediewa, są, jacy są. Jednak kogo ma do zaoferowania opozycja?

Rolą Kseni Sobczak jest jednak nie tylko zapewnienie większej frekwencji w wyborach i przyprawienie dysydentom obmierzłej gęby. Równie ważny cel, który przyświeca pomysłodawcom wystawienia w wyborach celebrytki, jest całkiem inny, dalekosiężny, a z zewnątrz rosyjskiej machiny władzy może wydawać się marginalny. Rosja, zgodnie z konstytucją, jest państwem demokratycznym. W takim państwie opozycja obowiązkowo być musi, o co Kreml ma obowiązek zadbać.

Chodzi więc teraz o dokonanie renowacji lojalnej opozycji. W jej charakterze coraz słabiej daje sobie radę tandem Władimir Żyrinowski – Giennadij Ziuganow. Politolodzy nazywają Ksenię Sobczak srebrną kulą odlewaną na tych dwóch polityków. Zorientowanych nacjonalistycznie wyborców dawno już wziął pod swoje skrzydła Putin, więc Żyrinowski staje się zbędny; zmieniło się też znaczenie nostalgii za czasami sowieckimi, którą uosabiał komunista Ziuganow. To nie nacjonaliści i komuniści wyrażają ambicje oraz tęsknoty mniejszości niezadowolonej z rządów Putina. Przeciwko sobie prezydent ma obecnie bowiem już tylko szczątkową klasę średnią i ludzi młodych, którzy pobyli nieco na Zachodzie i nie godzą się z tym, jak bardzo różni się ich życie od życia rówieśników w Europie czy USA. To ich musi zagospodarować Putin. Podobnie jak przed laty w przypadku nacjonalistów i komunistów będzie to zagospodarowanie przez obezwładnienie.

Ksenia Sobczak to zatem wunderwaffe. Kto czytał baśnie braci Grimm, pamięta dzielnego krawczyka, który bez trudu zabijał jednym ruchem siedmiu wrogów (w istocie były to muchy, ale poskrommy złośliwą prawdomówność). Najwyraźniej baśnie te można znaleźć i wśród lektur inspirujących Władimira Putina. I taki jest właśnie powód, dla którego w gabinetach Kremla postawiono na celebrytkę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl 4eef091ca4



## ZAKAZ ŚWIĄTECZNYCH WIEŃCÓW

To nic nowego we współczesnej Europie, że święta są „kontrowersyjne". Postępowcy z Francji już dawno temu dopuszczali umieszczanie bożonarodzeniowych szopek w miejscach publicznych tylko pod warunkiem, że będą one „laickie". Podobnie na symbolikę świąt zapatrują się w niektórych miejscach Hiszpanii. Austriacy w tym roku wyszli z propozycją bardziej pragmatyczną. Jak doniósł tabloid „Kronen Zeitung", w budynkach należących do wiedeńskiej gminy zabroniono wieszania kompozycji kwiatowych i ozdób. A że – przez przypadek – z tego zrobione są świąteczne wieńce, to już trudno. Chodzi przecież o dobro ludzi, żeby nie narażać ich na pożary. Dlatego kara za wieńce to nawet 21 tys. euro.

FOT. FOTOLIA

## SZUBIENICA, CZYLI TAKA SZTUKA

Wieszanie portretów europosłów jest po prostu straszne (faktycznie, jest strasznie głupie). No, chyba że się jest artystą. Wtedy można sobie robić takie malutkie szubieniczki i pisać na nich, że przeznaczone są dla Angeli Merkel oraz ministra spraw zagranicznych Sigmara Gabriela. Takie robi jeden przedsiębiorca z gminy Niederdorf i opycha je za 15 euro za sztukę. Niemiecka prokuratura przyjrzała się tym przedmiotom – które są kopią szubienicy niesionej podczas politycznych protestów – i uznała, że przesłanie tych przedmiotów można różnie intepretować, są więc one „sztuką". A za sztukę kary być nie może. A „faszyści z Polski" wyszli na głupców – nie dość, że dostali burę za wieszanie portretów, to jeszcze żadnego nie sprzedali.

## ROZWÓD DZIĘKI LEGALNYM HOMOZWIĄZKOM

Postępowi Australijczycy zalegalizowali związki osób tej samej płci. Można by sądzić, że najbardziej zadowoleni będą geje i lesbijki, którzy chcieli mieć urzędowy papierek na bycie razem. Okazuje się, że nie tylko oni. BBC doniosło o uszczęśliwieniu pewnej pary Australijek, które pobrały się w konsulacie innego państwa. Pokłóciły się potem i żyły w separacji, ale nie mogły się formalnie rozwieść (nie jest jasne, dlaczego nie powędrowały do tego samego konsulatu). Teraz opowiadają dziennikarzom, że odetchnęły z ulgą, bo nowe homoprawo pozwoli im formalnie zakończyć małżeństwo. To się chyba nie śniło najstarszym gejom.

## OSŁY W WIĘZIENIU

Podczas gdy w Niemczech płazem uchodzi robienie i sprzedawanie szubieniczek przeznaczonych dla kanclerz, w Indiach bezkarne nie mogą się czuć nawet zwierzęta (oprócz krów – wiadomo, kasta uprzywilejowana). W mieście Kanpur osiem osłów trafiło do aresztu. Wina? Zjadły młode sadzonki cennych roślin. Ich właściciel zignorował wcześniejsze ostrzeżenia władz. Na nic zdały się jego prośby o uwolnienie zwierząt. Wydreptały na wolność dopiero po „odsiedzeniu" całej kary i to jeszcze przy interwencji miejscowych władz, które wstawiły się za właścicielem stada. ©℗

***Łukasz Zboralski***



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

# O karkołomnej wolcie

Jeszcze kilka tygodni temu opowiadanie na postępowych salonach Italii, że to Niemcy wywołali kryzys finansowy we Włoszech, a potem obalili rząd Berlusconiego, groziło dożywotnim bojkotem towarzyskim, jeśli nie defenestracją, a tu proszę…

Przez sześć długich lat obowiązywała jedynie słuszna interpretacja: katastrofie winni są Berluska i bunga-bunga. I oto nagle tygodnik „L'Espresso" epatuje wielkimi literami: „2011: DEUTSCHE BANK ATAKUJE ITALIĘ". I wykłada, że wówczas największy niemiecki bank wyzbył się niemal wszystkich włoskich obligacji (na 7 mld euro), ogłaszając o tym wszem wobec. Wywołało to efekt domina na rynkach finansowych. W efekcie wartość włoskich papierów dłużnych dramatycznie spadła i wtedy, już potajemnie, DB je wykupił.

Co jeszcze ciekawsze, postępowy organ sugeruje, że Deutsche Bank wykonał ten niecny ruch na polityczne zamówienie kanclerz Merkel. Miało chodzić o obalenie Berlusconiego. Jakkolwiek było, włoski kryzys finansowy przepoczwarzył się w kryzys polityczny i w grudniu 2011 r. rząd medialnego krezusa upadł. Naturalnie, przynajmniej na razie, te spekulacje pozostają teorią spiskową, ale spekulacyjną działalność Deutsche Banku potwierdzają dokumenty. Dlatego prokuratura w Mediolanie chce postawić przed sądem jego pięciu ówczesnych szefów. I pewnie stąd zmiana.

Przeraża myśl, że Niemcy mogły rzeczywiście obalić rząd dużego, demokratycznego kraju UE. Poraża natomiast wolta wykonana bez cienia zażenowania, bez słowa „przepraszam", jakby było rzeczą normalną jednego dnia pisać tak, a drugiego siak. Zupełnie jakby czytelnicy niczym nie różnili się od rybki z akwarium, której pamięć sięga zaledwie 4 sekund. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



eprasa.pl 4eef091ca4



*Stefan Sękowski*



FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

# Nieskuteczny jak Balcerowicz

**Były wicepremier zmienił się z eksperta od ekonomii w twitterowego jastrzębia. Jego krytyka rządu jest często słuszna, jednak agresywność i własna przeszłość powodują, że potrafi przekonać tylko przekonanych**

Coś dziwnego dzieje się z Leszkiem Balcerowiczem. Ten stateczny ekonomista zamienił się w czołowego hejtera rządu PiS, rzucającego w wywiadach porównaniami sytuacji w Polsce do okresu realnego socjalizmu, Turcji Erdoğana czy Rosji Putina. Były wicepremier stał się też jastrzębiem mediów społecznościowych. Nie przebiera w słowach, a krytykującym go po chamsku potrafi odpowiadać pięknym za nadobne, wyzywając, niby to w pytaniu, od „szczerych PiS-owskich komuchów" czy „trolli od Łukaszenki". Czytelnik przeciera oczy ze zdumienia i zastanawia się, czy nie miało miejsca wrogie przejęcie profilu lub czy nie obcujemy wręcz z fake kontem. A jednak nie: za wirtualnym Balcerowiczem kryje się realny Leszek Balcerowicz.

Dlaczego tak się dzieje, były wicepremier i minister finansów tłumaczy w wywiadzie udzielonym Money.pl. – Jestem najbardziej aktywny na Twitterze i Facebooku, dużo mniej piszę dłuższych artykułów, bo chodzi mi o to, żeby jak największa liczba ludzi mogła się zapoznać z tym, co uważam za otumanianie społeczeństwa i czemu się staram przeciwstawiać – mówi o swojej internetowej twórczości. Trzeba więc zejść z katedry i ruszyć w tłumy. A przy okazji nie potknąć się o własne nogi.

## LAS BEZ DRZEW

Na dłuższą metę jest to niemożliwe. Leszek Balcerowicz może być autorytetem dla przekonanych: Tomasza Lisa, który ze zrozumieniem pokiwa głową nad opowieścią o upadku polskiej gospodarki, Obywateli RP czy Komitetu Obrony Demokracji, którzy chcieliby, by było, jak było, czy zwolenników Nowoczesnej, którzy próbują w Polsce (nie oni pierwsi) stworzyć demokratyczno-liberalną partię według zachodnich wzorców. Jednak na dużą część polskiej opinii publicznej nazwisko „Balcerowicz" działa jak płachta na byka. Ekonomista tkwi w trzech pułapkach, które się ze sobą przeplatają: akademickości, dogmatyzmie i własnej przeszłości.

Splot pierwszej i drugiej świetnie widać na przykładzie jednego z jego największych ostatnich potknięć. W połowie października Dominika Wielowieyska z „Gazety Wyborczej" napisała tekst o dobrych stronach programu „500+". Balcerowicz skomentował ten tekst na Twitterze, zadając rzekomo retoryczne pytanie: „Ile dobrego można by sfinansować za 25 mld, które co roku idą na »500+«?". Ile? Powiedzmy: 500 mln paczek pieluch, 250 mln par markowych zimowych butów dziecięcych, 10 mld litrów mleka, 160 mln tornistrów czy 1,25 mld godzin kursu językowego. Z badań Instytutu Rozwoju Gospodarki Szkoły Głównej Handlowej (Alma Mater Balcerowicza) wynika, że pieniądze z „500+" idą właśnie głównie na jedzenie, ubrania, wydatki szkolne czy zajęcia dodatkowe. Oczywiście można powiedzieć, że ankietowani wiedzą, jakich odpowiedzi się od nich oczekuje. Jednak twierdzenie, że nie sfinansowano czegoś „dobrego", ponieważ przeznaczono pieniądze na wsparcie dla rodzin, wydaje się dość niesmaczne. I utwierdza stereotyp Leszka Balcerowicza jako Ebenezera Scrooge'a polskiej ekonomii.

Były minister finansów ma prawo wysuwać często słuszne uwagi krytyczne wobec „500+" w kategoriach systemowych. Tyle że oprócz nich istnieje ocena, jaką wystawiają programowi miliony Polaków, obserwując realną poprawę sytuacji finansowej swoich rodzin. Profesor w swym pojmowaniu świata nie potrafi jednak wyjść poza wskaźniki (oczywiście bardzo ważne) i postawić się w roli konkretnej osoby, której dana zmiana dotyczy. Symptomatyczna w tym zakresie była choćby odpowiedź, jakiej Balcerowicz udzielił Marcie Stremeckiej w wywiadzie rzece pt. „Trzeba się bić". Pytany o losy byłych pracowników PGR-ów skarcił dziennikarkę za to, że powołała się na przykład, który zaobserwowała na wyspie Wolin: „Nie formułuje się sądów generalnych na podstawie tego, co pani zobaczyła w jednym miejscu". Problem w tym, że właśnie „się formułuje", nawet



eprasa.pl 4eef091ca4

jeśli się nie powinno. Życie składa się bowiem z takich obserwacji – i na nich ludzie budują swój obraz świata, czego Balcerowicz nie rozumie, i dlatego nie dotrze do szerokiego audytorium, choćby nie wiem, jak się wytężał.

Z tego akademizmu i dogmatyzmu wynika także jego ocena polskiej transformacji społeczno-gospodarczej, a zwłaszcza jego największego politycznego dzieła, czyli „planu Balcerowicza", którego 28. rocznica uchwalenia mija 28 grudnia. Pytany przez Stremecką o to, czy niektóre zmiany można było przeprowadzić wolniej lub mniej boleśnie, odpowiada: „Nie ma takich przykładów. Ci, którzy robili reformy wolniej, zapłacili za to większą cenę". Co najwyżej można było szybciej przeprowadzić prywatyzację, co postulował prof. Jan Winiecki. Pamiętajmy, że mówimy tu o reformach, za które Balcerowicz został przez swoich najzagorzalszych krytyków okrzyknięty „Mengele polskiej gospodarki", nie są więc one wcale oceniane jednoznacznie.

## OPERACJA SIĘ UDAŁA. CO Z PACJENTEM?

W tym jest oczywiście dużo przesady, a na tak radykalną opinię można odpowiedzieć przysłowiem: „Kowal (komuniści) zawinił, Cygana (Balcerowicza) powiesili". Polska gospodarka była pod koniec 1989 r. w katastrofalnej sytuacji. Balcerowiczowi zawdzięczamy choćby wprowadzanie, poprzez zdjęcie znad przedsiębiorstw państwowych parasola ochronnego, zrębów konkurencji, a także otwarcie nas na zagranicznych inwestorów. Być może działo się to zbyt szybko, ale trzeba pamiętać, że tak daleko idącej zmiany – polegającej na odwróceniu całego sposobu myślenia o gospodarce z nakazowo-rozdzielczego na rynkowy – nie dokonał wcześniej nikt inny. Co jest tylko częściowym usprawiedliwieniem. Balcerowicz zafiksował się na walce z hiperinflacją, zapominając o innych elementach gospodarki. Stąd wynikały czasowe ustalenie stałego kursu dolara, popiwek czy drapieżna polityka stóp procentowych, które doprowadziły do zubożenia społeczeństwa i utrudniły budowę klasy średniej. W efekcie w dół poszły statystyki od PKB do długości życia, w górę zaś bezrobocie – i to znacznie bardziej, niż przewidywał to rząd. A inflacji i tak całkowicie nie zduszono; do jednocyfrowego poziomu spadła dopiero po 10 latach.

Ta obrona wczesnego etapu polskiej transformacji nie wynika tylko z tego, że w ten sposób Balcerowicz broni swojego dorobku. Jej ocena wynika ze światopoglądu, któremu jest od lat wierny. Nie można go nazwać koniunkturalistą, potrafił krytykować każdy rząd, z którym się nie zgadzał, bez względu na polityczne barwy, choć raczej nie jest też idealistą zdolnym do rzucenia wszystkiego na jedną szalę. Po dymisji Tadeusza Mazowieckiego odmówił zostania po nim premierem, gdyż nie mógłby się wtedy skupiać na gospodarce. Po zakończeniu funkcjonowania rządu Jana Krzysztofa Bieleckiego zamiast budować wobec marki swego nazwiska nowe ugrupowanie lub wejść do któregoś z istniejących, odszedł z polityki. Wrócił do niej po czterech latach, by zostać liderem Unii Wolności, którą porzucił w 2000 r. (ówczesne sondaże wcale nie zapowiadały klęski w kolejnym roku), by poświęcić się temu, co lubił najbardziej, czyli polityce monetarnej, jako prezes Narodowego Banku Polskiego. Tam dbał o stabilność naszej waluty (tym razem nie wymagało to drastycznych środków). Po odejściu z NBP w środku rządów „pierwszego PiS" pozostawał aktywny na niwie publicznej. Ostro atakował Platformę Obywatelską i Polskie Stronnictwo Ludowe za podcinanie składek płynących do otwartych funduszy emerytalnych. Balcerowicz stanął na czele nieformalnego „stronnictwa OFE", chłoszcząc Donalda Tuska i Jacka Rostowskiego za chęć de facto likwidacji filaru kapitałowego. Podsumowaniem tego sporu była debata w TVP między byłym a urzędującym ministrem finansów, która odbyła się w 2011 r. Balcerowicz atakował swojego byłego współpracownika (jak widać, niejeden jego doradca ostatecznie odchodził od jego linii) za to, że chce zniweczyć reformę emerytalną z 1999 r., realizuje socjalistyczne założenia dotyczące praw własności, a także za nadmierne wydatki np. na biurokrację. Rostowski odpowiadał mu, że OFE winne są zadłużeniu Polski i że niesłusznie fundusze nie inwestowały w akcje.

Balcerowicz wystąpił więc otwarcie przeciwko rządowi PO-PSL. Swoją krytykę powtórzył dwa lata później, gdy Tusk z Rostowskim postanowili pójść na całość w walce z OFE. Trudno powiedzieć, jaki miał w tym udział Balcerowicz, ale ponad 2,5 mln osób postanowiło pozostawić część „swoich" składek w OFE, mimo że wymagało to pewnej fatygi. Ten ruch można interpretować jako wotum nieufności wobec rządu podejrzewanego o to, że zmiany przeprowadza wyłącznie z powodów oszczędnościowych, nie zaś z dbałości o system emerytalny. Balcerowicz nie zdyskontował jednak tego niezadowolenia politycznie: na czele Nowoczesnej stanął jego były współpracownik, Ryszard Petru.

## JAK (NIE) PRZEKONAĆ

Z punktu widzenia swojego środowiska Balcerowicz dobrze zrobił, pozostając jedynie ideowym patronem nowej formacji. Tutaj dochodzimy do ostatniej pułapki, w jakiej tkwi. Cokolwiek bowiem krytykuje, ma swoje odbicie w przeszłości. Gdy pisze, że „PiS komunizuje nasz ustrój" lub porównuje PiS do bolszewików, na usta sam ciśnie się komentarz: facet musi wiedzieć, w końcu należał do PZPR od 1970 r. przez 12 lat (wystąpił po ogłoszeniu stanu wojennego). Gdy krytykuje szybkość uchwalania ustaw dotyczących OFE czy ustaw sądowych za PiS, można mu wypomnieć, że przecież pakiet ustaw wchodzących w skład „planu Balcerowicza" uchwalono w… 11 dni. Gdy zaś krytykuje ministra Morawieckiego za propagandę sukcesu, czy sam nie uprawia takiej samej od 28 lat?

„Trzeba określić naturalny elektorat innych partii oraz resztę wyborców, czyli strefę pośrednią, i odpowiednio rozłożyć zasoby polityczne partii: umacniać lojalność i morale naturalnego elektoratu, maksymalizować wpływy w strefie pośredniej oraz nie rezygnując z programu, starać się przekonać naturalny – w tej chwili – elektorat innych partii, że nie mają one bynajmniej najlepszej odpowiedzi na jego problemy" – pisał w nieco przydługim zdaniu 22 lata temu Balcerowicz po tym, jak został liderem UW (ten oraz inne jego teksty można przeczytać w wydanym niedawno przez Czerwone i Czarne zbiorze „Wolność, rozwój, demokracja").

Dzisiaj były wykładowca SGH chce przekonać naturalny elektorat PiS do tego, że nie należy utożsamiać sytuacji gospodarczej z polityką gospodarczą albo że zadłużanie się na poczet wydatków socjalnych jest na dłuższą metę szkodliwe. Jego krytyka polityki rządu jest często słuszna. Problem w tym, że na pewno wyzywanie Ryszarda Terleckiego od „niszczycieli Polski" lub określanie PiS mianem „»antykomunistycznych« komunistów" nie jest najlepszą metodą, by przekonać do tego nieprzekonanych. I tak Balcerowicz, popełniając te same co lata temu błędy i dodając do nich kolejne, staje się jednym z najmniej wpływowych autorytetów w Polsce.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

*Autor jest zastępcą dyrektora thinkzine'u Nowa Konfederacja.*



eprasa.pl 4eef091ca4



*Tomasz Wróblewski*

# Czebolizacja



**Czy skopiowanie koreańskiego pomysłu sprzed lat ma dziś jeszcze sens?**

Co kilka lat rządzący obierają sobie jakiś nowy odległy, idealny model gospodarczy i za wszelką cenę próbują wpasować w to cały kraj. Pomijając drugą Japonię Wałęsy, w czasach wczesnego Balcerowicza wzorowaliśmy się na Reaganowskiej Ameryce, nie mając własnego kapitału. W epoce Tuska państwo miało działać jak niemiecki koncern, tyle że bez niemieckiej technologii. Dzisiaj chcemy naśladować koreańskie czebole, ale już sama etymologia słowa pokazuje, że znowu czegoś brakuje nam do ideału.

Termin pochodzi od kombinacji słów „bogaty" i „klan". Odnosi się do wielkich przemysłowych rodów powiązanych interesami. Większość z nas kojarzy Hyundaia, LG, Samsunga. Są jednak i inne marki, takie jak Hanjin, Kumho, Lotte czy SK Group, potężne koncerny, które odpowiadają za gospodarczy cud – przeprowadzenie Korei Południowej z Trzeciego Świata do pierwszej ligi najwyżej rozwiniętych państw. Tradycyjny czebol to rodzina firm o różnych specjalnościach. LG produkuje smartfony, telewizory, chemię domową, nawozy, ale jest też właścicielem drużyny koszykówki i baseballa. Hyundai oprócz samochodów buduje windy, prowadzi hotele i sklepy wielobranżowe.

Polska nie ma ani jednego rodu, który mógłby się mierzyć z koreańskimi potentatami. Jeżeli mielibyśmy gdzieś szukać podobieństw, to chyba tylko w spółkach z udziałem Skarbu Państwa, takich jak Orlen czy grupa PZU, w których potencjale inwestycyjnym premier Morawiecki upatruje szansy na przebudowę polskiej gospodarki, repolonizację strategicznych branż i wyrwanie ich z łańcucha dostawczego niemieckiego przemysłu eksportowego. W przeciwieństwie do koreańskich czeboli państwowym przedsiębiorstwom w Polsce brakuje jednak spójnej długoterminowej strategii i ciągłości polityki kadrowej.

Jednak zasadnicze pytanie co do przenoszenia koreańskiego modelu należałoby zadać samym Koreańczykom. Po doświadczeniach kryzysu lat 1997 i 2008 twórcy czeboli dochodzą do wniosku, że czas szukać nowego pomysłu na siebie i zacząć czerpać z silnych wolnorynkowych oraz innowacyjnych gospodarek, takich jak Stany Zjednoczone. W innym razie mogą paść łupem chińskich czeboli.

## KONIEC POLSKIEGO MODELU EKSPANSJI

Korea miała 64 lata na dojście do poziomu 11. największej gospodarki świata. Cztery pokolenia ściśle reglamentowanej i subsydiowanej gospodarki. Manipulacji walutowych, odgórnego planowania, niemalże wojskowego reżimu edukacji zawodowej i astronomicznych subsydiów. Pomijając już to, że wiele z tych mechanizmów jest poza zasięgiem polskiego rządu, z racji unijnych regulacji i zakazów pomocy publicznej, musimy pamiętać, że wiele współczesnych problemów Korei Południowej ciągnie się za nią jeszcze z lat 60. i 70. – bezwzględnego podporządkowania gospodarki i społeczeństwa eksportowi oraz wzrostowi gospodarczemu. Korea jest niewątpliwie bogatszym państwem od Polski, różnica jest jednak zdecydowanie mniejsza niż ta, która dzieli nas np. z Niemcami. Czy nawet z Irlandią, która w latach 50. również należała do najbiedniejszych państw kontynentu. Dochód narodowy na głowę Polaka w przeliczeniu na dolary, z uwzględnieniem parytetu siły nabywczej, jest dziś na poziomie koreańskiego dochodu z 2006 r. Jednym słowem, dzieli nas aż – i tylko – 10 lat. Pamiętamy oczywiście, że w 1953 r., po zakończeniu wojny koreańskiej, kraj był doszczętnie zdewastowany i ponad dwukrotnie biedniejszy od Polski.



eprasa.pl 4eef091ca4



FOT. BLOOMBERG/GETTY IMAGES

# Polski

Dopiero w 1985 r. PKB na głowę było wyższe niż PKB na głowę mieszkańca Polski. Dzisiaj przeciętny mieszkaniec Korei zarabia rocznie o 11 tys. dol. więcej od statystycznego Polaka. To wciąż spora różnica, ale malejąca. Korea po latach 10 i 15 proc. wzrostów PKB dziś może liczyć na co najwyżej 2,9 proc., podczas gdy szacunki dla Polski przekraczają już 4 proc. na koniec 2017 r.

Jeżeli teraz porównamy ostatnie 27 lat, to zobaczymy, że w tym samym czasie PKB Polski na głowę mieszkańca wzrósł o 117 proc., a Korei – o 101 proc. Stąd też opozycja zadaje często pytanie, czy cała ta operacja z polonizacją i czebolizacją polskiej gospodarki ma sens. Czy nie wystarczyło zostawić gospodarki samej sobie i cierpliwie czekać, aż znowu przegonimy Korę Południową?

Problem w tym, że paliwo, które przez ostatnie ćwierć wieku napędzało naszą gospodarkę, powoli się wypala. Zarówno jeżeli chodzi o sam model gospodarczy, jak i demografię. Brak rąk do pracy powoduje, że gospodarka mimo historycznie dobrej koniunktury zaczyna się dusić. Wciąż nie poradziliśmy sobie z problemem emigracji. Za granicą obecnie przebywa ok. 2,6 mln rodaków. Naszym problemem pozostaje niska aktywność zawodowa (56,7 proc. populacji w wieku produkcyjnym przy unijnej średniej 70,1 proc.). Do tego dodajmy problemy strukturalne wsi. Po dynamicznych zmianach w latach 2000–2010 obserwujemy zastój. W dalszym ciągu mieszka tam ponad 35 proc. społeczeństwa, z czego zaledwie 40 proc. aktywnie zajmuje się rolnictwem. Kolejne 30–35 proc. pozostaje na utrzymaniu państwa albo żyje z przypadkowych dorywczych prac na granicy ubóstwa. Obniżenie wieku emerytalnego dodatkowo pogorszy tę statystykę. Szacuje się, że z rynku odejdzie 5 mln osób. To o jakieś 120 tys. więcej niż rok temu. Jednym z programów koreańskiej rewolucji gospodarczej była aktywizacja społeczności rolnej. Z narodu w 60 proc. rolniczego, z wąską kilkuprocentową grupą wykształconych, w 1953 r. stała się narodem o jednym z najwyższych wskaźników wykształcenia i w przeważającej części miejskim. Wydatki na szkolnictwo wyższe od lat należą tu do najwyższych w świecie i wynoszą ok. 2,6 proc. PKB (Polska wydaje poniżej 1,5 proc.).

Polska jest krajem szybko rozwijającym się, nasz dobrobyt systematycznie rośnie, ale już dziś widać systemowe ograniczenia dla dalszego rozwoju. W przeciwieństwie do Korei jesteśmy państwem uzależnionym od obcego kapitału, bez własnych marek i do wyjątków należą produkty kojarzone z Polską. Problem dobitnie widać na przykładzie dwóch branż, w których Polska jest potentatem europejskim. W branży meblarskiej jesteśmy potęgą, ale blisko 90 proc. polskich mebli czy półproduktów sprzedawane jest w Niemczech i Wielkiej Brytanii jako produkty najwyższej jakości pod obcą marką oraz z zyskiem idącym głównie do zagranicznych pośredników. W przemyśle samochodowym obserwujemy z kolei zjawisko nazywane w ekonomii korpokoncentracją: koncentrowania eksportu wokół kilku czy kilkunastu zagranicznych korporacji inwestujących na naszym rynku. One odpowiadają za większość eksportu w tej branży.

Z kolei 10,4 proc. całego polskiego eksportu kontroluje pięć koncernów. Łącznie obce firmy w Polsce to 21 proc. eksportu. W towarach wysyłanych z Polski do Niemiec 43 proc. stanowią półprodukty czy materiały wcześniej do nas sprowadzone). Zaledwie 50 proc. wartości opla wyprodukowanego w Gliwicach to części wytworzone u nas. Zmontowany w Polsce opel przynosi nam tyle pieniędzy, ile zarobi polski robotnik plus inwestycje poczynione w linie produkcyjne. Francuski właściciel zgarnia całą marżę.

Wicepremier Morawiecki ma rację, że nie da się przeskoczyć do kolejnego etapu rozwoju dopóty, dopóki pracujemy na pomnażanie obcego kapitału. Dobrym punktem odniesienia jest tu porównanie Korei Południowej i Meksyku – dwóch skrajnych przypadków. Pod koniec lat 70. Korea Południowa pod względem PKB na głowę mieszkańca była na poziomie Meksyku. Meksyk, podobnie jak Polska epoki Tuska, wszedł na drogę szyb-



eprasa.pl 4eef091ca4

kiego, niezrównoważonego wzrostu. W połowie lat 80. 50 proc. nowych inwestycji w Meksyku pochodziła z zagranicy. W Korei w tym samym czasie było to zaledwie 5 proc. Stosunkowo niewielka pula, ale przemyślnie prowadzona. Korea wpuszczała jedynie firmy najbardziej zaawansowane technologicznie, podczas gdy Meksyk witał wszystkich z otwartymi ramionami. Dzisiaj Meksyk wciąż jest ogromnym poligonem produkcyjnym USA, bez własnego know-how i możliwości budowy własnego przemysłu jako alternatywy dla przemysłu narkotykowego. Polska oczywiście bardzo różni się od Meksyku, ale i tu mamy kilka porażających przykładów, jak choćby inwestycja zagranicznego producenta wędlin w jednej z centralnych stref ekonomicznych spowodowała bankructwo kilkunastu polskich producentów.

## CZEBOLE NIE LUBIĄ DEMOKRACJI

Prezydent i dyktator Chung Hee od początku otwarcie subsydiował wyłącznie rodzimy eksport. Celem nie były byle jakie miejsca pracy, tylko wysokiej jakości produkty, własne marki, które z czasem miały pociągnąć rynek pracy. Swoim przedsiębiorcom oferował nisko oprocentowane kredyty, sztucznie zaniżał kurs wona, żeby podnieść atrakcyjność koreańskich produktów. Wspierał firmy w promocji marek. Oferował specjalne zwolnienia z podatków na towary eksportowe, ulgi pracownicze i nawet zwolnienia z ceł na zakup importowanych surowców. Tego nie da się powtórzyć w polskich warunkach, choć warto tu docenić wzmożoną aktywność Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu. Po latach bezładnego wydawania pieniędzy na wsparcie polskiego przemysłu eksportowego PAIH, a BGK wspierają dziś także polskich przedsiębiorców w negocjacjach w procesie pozyskania kredytów, rozpoznania konkurencji. Pozbawiony mechanizmów bezpośrednich subsydiów premier Morawiecki szuka pośrednich rozwiązań. Bezpośrednich inwestycji. Polski Fundusz Rozwoju przejmuje dobrze rokujące polskie przedsiębiorstwa nastawione na eksport. Takie jak choćby ostatnia inwestycja w koncern wojskowy WB Electronics. PFR Ventures oferuje specjalne fundusze polskim przedsiębiorcom na przejęcia polskiej konkurencji. Wszystkie z założeniem, że firmy będą się rozwijać i prowadzić ekspansję.

Ciemną stroną aktywności koreańskiego rządu było to, w jaki sposób rząd traktował firmy, które nie chciały się podporządkować dyktatowi. Niezależnie od potencjału i jakości swoich produktów firmy były prześladowane przez urzędy skarbowe, kontrole jakościowe, patentowe i przy każdej okazji namawiane do podporządkowania się rządowym planom. Ostatecznie efekt był jednak imponujący. Dzięki jasno określonym priorytetom, konsekwencji i bezkompromisowości w najlepszych dla koreańskiej ekspansji gospodarczej latach eksport rósł ponad 30 proc. rocznie. Nie da się tego porównać z kilkuprocentowym wzrostem polskiego eksportu, ale też nie da się porównać ani zastosować tamtych metod. Ani podporządkowania prywatnych firm urzędnikom, ani zaufania firm dla merytorycznego przygotowania urzędników. Koreańska maszynka działała sprawnie nie tylko dzięki specjalnym relacjom polityków z klanami przemysłowymi, lecz także dzięki przekonaniu biznesu, że wszyscy grają do jednej bramki. Tego w Polsce nie da się dziś zaordynować.

**Po 65 latach czebole powoli przechodzą na emeryturę. Ich przywódcy coraz częściej muszą odpowiadać przed sądem na zarzuty o korupcję**

Współpracę państwa z sektorem prywatnym należałoby budować od początku, i to stopniowo. Powoli odzyskując zaufanie, którego na dobrą sprawę nigdy tam nie było. Temu też miała służyć Konstytucja dla biznesu, przepisy interpretowania niejasności prawa na korzyść przedsiębiorców. Pomysłów było bez liku, gorzej z ich wdrażaniem.

## CZY JEST JESZCZE CO NAŚLADOWAĆ?

Interwencjonizm, pycha państwa i gospodarowania nie swoimi pieniędzmi zawsze prowadzą do anomalii rynkowych. Okazuje się, że nie ma tu żadnej magicznej recepty. Obok setek dobrych pomysłów i trafionych decyzji koreańska droga do świetności usłana była kosztownymi wpadkami, korupcją i anomaliami społecznymi, które dziś zdają się blokować dalszy rozwój. W latach 80. korporacje godziły się realizować rządowe programy, nawet jeżeli uważały je za absurdalne, ponieważ za tym szły państwowe pieniądze. Czebole zaciągały zobowiązania na poczet projektów, których wiadomo było, że nie zrealizują. Jedną z konsekwencji czebocudu była bańka kredytowa, a w konsekwencji kryzys azjatycki w 1997 r. Rząd ogromnym nakładem środków ratował koncerny, zwracał bankom pochopnie zaciągnięte kredyty, a także domagał się głębokich zmian strukturalnych. Większej korporacyjnej przejrzystości, zamknięcia nierentownych projektów. Chociaż niezmienna pozostała polityka eksportowa, to zaangażowanie państwa stopniowo malało jako zbyt kosztowne i ograniczające elastyczność koncernów.

Kolejny kryzys w 2008 r. był bodźcem do jeszcze głębszych reform i odchodzenia od tradycyjnych relacji państwo – czebole. Budżet stopniowo uwalniał się od korporacyjnych zobowiązań, ale też ograniczał subsydia. W zamian tego obniżone zostały korporacyjne podatki, otwarto rynek na zagraniczne produkty finansowe i zniesiono preferencyjne ścieżki dla wybranych rodów. Mało tego, stworzono specjalne wylęgarnie dla start-upów, zachęcając firmy ulgami do większej dekoncentracji.

Po 65 latach czebole powoli przechodzą na emeryturę. Samsung i Hyundai w dalszym ciągu napędzają koreańską gospodarkę, ale przywódcy największych czeboli coraz częściej muszą odpowiadać przed sądem na zarzuty o korupcję. Samsung odnotował w zeszłym roku blisko o 60 proc. mniejszy zysk, ten rok nie zapowiada się lepiej. Uśredniony zysk kolejnych największych czeboli – Hyundaia i LG – skurczył się o 30 proc. Rząd zdaje sobie sprawę, że przyszłość już nie należy do wielkich, trudnych do sterowania koncernów, lecz do mniejszych elastycznych firm nastawionych na innowacyjne, unikalne produkty z bardzo wysoką marżą. Korea dołącza dziś do chóru najbogatszych państw apelujących o większą otwartość handlową w obawie że straci rynki dla swoich produktów. Żeby jednak móc martwić się o ich zbyt, trzeba je mieć. Żeby głosić wolności rynkowe, trzeba zbudować własny niezależny rynek. Liczne przykłady pokazują, że odwrotna droga prowadzi do meksykanizacji gospodarczej. Zdaje się, że Polska nie ma innej drogi, jak tylko, na gwałt szukać własnego modelu czeboli.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl 4eef091ca4

TYGODNIK WOLNYCH POLAKÓW

# CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO RZECZY**

## PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+ 2 KSIĄŻKI




**144 zł**

OSZCZĘDZASZ!

110 zł

## PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+ 2 KSIĄŻKI

**145 zł**




OSZCZĘDZASZ!

122 zł

# PRENUMERATA




**220 zł**

OSZCZĘDZASZ!

258 zł

## PRENUMERATA ROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+ 3 KSIĄŻKI

**260 zł**




OSZCZĘDZASZ!

194 zł

## PRENUMERATA ROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+ MIESIĘCZNIK "HISTORIA DO RZECZY"

**JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:**
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

**JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:**
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

**WIĘCEJ INFORMACJI** E-MAIL: **prenumerata@point-group.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **www.prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 4eef091ca4



PROSTO ZYGZAKIEM

# Morawiecki albo śmierć?

PIOTR GABRYEL

Zazdrośni o sukces polskiej gospodarki pod rządami najpierw wicepremiera i ministra rozwoju, potem wicepremiera oraz ministra rozwoju i finansów, a teraz premiera Mateusza Morawieckiego nie ustają – jak to mają w zwyczaju – w szukaniu dziury w całym.

Półgębkiem przyznają, że może to i prawda, iż Morawiecki jakiś sukces rzeczywiście odniósł, zmniejszając lukę podatkową, czyli odbijając z rąk złodziei ciężkie miliardy złotych, trafiające teraz – zamiast na konta ludzi nieuczciwych – do budżetu naszego państwa, wszelako – dodają na jednym oddechu – polska gospodarka, choć rozwija się szybko, to i tak wolniej niż niejednego kraju w Unii, a choćby Rumunii. Czyli że nasze 4,7 proc. PKB wzrostu to zasługa ekipy Morawieckiego co najwyżej w takim stopniu, w jakim miała ona wpływ na to, że akurat teraz znalazła się u władzy. Cała reszta – a więc owa gospodarcza koniunktura – to rezultat cyklu ekonomicznego, w którym znalazły się Polska i znaczna część świata.

Wszelako największą armatą, z jakiej zazdrośnicy walą w stronę Morawieckiego, są dołujące inwestycje. I wskazują, że za jego rządów spadły one do poziomu ok. 18 proc. PKB – najniższego od niemal 20 lat. Mocno skurczyły się w 2016 r. i choć w 2017 r. nieco wzrosły, to nie udało się im jeszcze wrócić do stanu z 2015 r., kiedy też przecież nie prezentowały się jakoś szczególnie imponująco.

A z takimi inwestycyjkami nie ma nawet mowy o tym, byśmy mogli skutecznie ścigać bogatsze państwa, skoro udział inwestycji w ich PKB jest często wyższy od naszego – nieco ponad 20 proc. w Niemczech i we Francji, 24 proc. – w Czechach i Szwecji, 29 proc. – w Irlandii itd. Natomiast gospodarki krajów, którym udało się w ostatnich dekadach odnieść prawdziwy sukces i naprawdę bardzo szybko rozwijać, jak Korea Południowa czy Chiny, cieszyły się inwestycjami na poziomie 30 proc., a bywało, że i znacznie powyżej 30 proc. PKB, czyli dwa razy wyższym niż nasze obecnie.

W dodatku – wskazują rzeczeni zazdrośnicy – Morawiecki dobrze o tym wie; to w końcu elementarz ekonomii. Dlatego od początku stawiał na rozgrzanie inwestycji – i to aż do 25 proc. PKB. Istotą jego planu, przywołaną po raz kolejny niedawno, w exposé teraz już premiera Morawieckiego, jest przecież nakręcenie rozwoju gospodarczego przez wzrost inwestycji, najlepiej innowacyjnych, a nie konsumpcji, która może sprzyjać koniunkturze tylko na krótką metę.

W tej – kluczowej – kwestii Morawiecki poniósł na razie porażkę, a jego plan jest w tej części martwy. A wraz z nim śmiertelnie zagrożone są nadzieje na długofalowy wzrost polskiej gospodarki. Ciekawe, czy Morawieckiemu, już jako premierowi, uda się przestawić politykę państwa z torów prosocjalnych na proinwestycyjne. Czyli czy uda mu się uchronić polskie ożywienie gospodarcze przed śmiercią. ©℗



RYBIM OKIEM

# Efekt motyla

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

W 2013 r. na kilku spotkaniach, w których uczestniczyli kluczowi politycy PiS, zaproponowałem program wypłaty 1 tys. zł co miesiąc, do 18. roku życia, na każde nowo narodzone polskie dziecko. Propozycja takiej polityki demograficznej wynikała z faktu, że według prognoz, przy niezmienionej dzietności, Polaków w 2100 r. będzie tylko 12 mln. A najważniejszym celem każdego rządu jest przetrwanie narodu. Propozycja została oceniona jako zbyt kosztowna i PiS przyjęło program „500+”.

W 2015 r. PiS wygrał wybory, a jednym z kluczowych czynników tej wygranej był program „500+”, ponieważ wiele rodzin, których od lat nie było stać na dziecko, dostrzegło w tej polityce szansę na realizację marzeń.

**Często ważne wydarzenia mogą być skutkiem ciągu pozornie przypadkowych, niepowiązanych ze sobą zdarzeń**

W 2016 r., w trakcie wyborów prezydenckich, Bill Clinton przemawiał na wiecu demokratów, zbierając pieniądze na kampanię swojej żony. Podczas tego wystąpienia ostro skrytykował Jarosława Kaczyńskiego, szczególnie w kwestii polityki imigracyjnej i reformy sądownictwa. Wideo z tego wystąpienia zostało pokazane przedstawicielom Polonii amerykańskiej, którzy, wściekli na Clintonów, zmobilizowali Polaków do głosowania przeciw Hillary. To było kilkadziesiąt tysięcy głosów w kilku stanach, co przechyliło szalę zwycięstwa na rzecz Trumpa, który wygrał wybory. Swoją wdzięczność okazał Polakom podczas niedawnej wizyty.

Niedawno zadzwonił do mnie znajomy, który od lat mieszka w USA, ale zna wielu wpływowych ludzi w Polsce. Podsumował on tę historię tak: „Gdyby nie Twój pomysł wypłaty 1 tys. zł na dziecko, dzisiaj w USA prezydentem byłaby ta #@! Hillary”.

Często ważne wydarzenia mogą być skutkiem ciągu pozornie przypadkowych, niepowiązanych ze sobą zdarzeń. Mówi się, że ruch skrzydeł motyla może wywołać huragan w innej części świata, stąd taki splot wydarzeń określa się jako efekt motyla.

Nawet największe mózgi ani sztuczna inteligencja nie są w stanie opracować listy takich powiązań przyczynowo-skutkowych, żeby im przeciwdziałać. Gdyby demokraci w 2013 r. byli w stanie wymyślić taki scenariusz, mogliby spróbować nie dopuścić do prezentacji idei 1 tys. zł i wtedy Hillary Clinton być może zostałaby prezydentem. Nawet jeżeli ta historia nie była decydująca, to prawdopodobnie istnieje wiele innych „efektów motyla”, które doprowadziły do wygranej Trumpa. ©℗

Autor jest rektorem Narxoz University w Ałma Acie w Kazachstanie.



eprasa.pl 4eef091ca4

# TEST „DO RZECZY": LOGITECH MX SOUND



Funkcjonalność oraz nowoczesny, elegancki design to zalety nowego zestawu do odtwarzania muzyki szwajcarskiej firmy Logitech. Niestety, niespodziewanie w tym modelu minusów jest więcej niż plusów.

Proste głośniki ze srebrnymi pierścieniami wyglądają oryginalnie i dobrze pasują do innych bezprzewodowych gadżetów, takich jak mysz czy klawiatura. Dużą zaletą MX Sound jest też to, że za pośrednictwem tego zestawu można słuchać muzyki zarówno bezprzewodowo – przez interfejs Bluetooth – jak i przewodowo, przy użyciu wejścia 3,5 mm. Bez przeszkód da się więc do nich podłączyć smartfona oraz tablet (jednocześnie przez Bluetooth można sparować z głośnikami dwa urządzenia, a maksymalny zasięg bezprzewodowego połączenia jest dużo mniejszy niż deklarowane przez producenta 25 m), a także laptop czy tradycyjny komputer PC. Trzeba jednak uważać: projektanci szwajcarskiej firmy zapomnieli o przycisku, który pozwoliłby wybrać, czy chcemy słuchać muzyki przewodowo czy bezprzewodowo. Po stronie minusów można też wpisać brak wbudowanego mikrofonu, przez co testowanego zestawu Logitecha nie da się wykorzystać w roli zestawu głośnomówiącego.

Dźwięk odtwarzany przez głośniczki o mocy szczytowej wynoszącej 24 W jest wyraźny i dość mocny. Szkoda jednak, że mało naturalny i za mało dynamiczny. Ogólnie przy średnim poziomie głośności jakość odtwarzanej muzyki jest przyzwoita. Im głośniej zrobimy, tym wyraźniej będziemy słyszeć, jak bardzo daleko od ideału jest np. jakość basu. Jeśli już ten zestaw miałby się sprawdzić, to jako głośniczki używane do gier komputerowych, a nie do dłuższego odtwarzania porządnej muzyki.

Wadą testowanego modelu jest też kiepska stabilność samych głośniczków. Wprawdzie wyglądają one dość elegancko, ale postawione na biurku nieco się chwieją. Gdy zaś włączymy muzykę z ostrym basem, momentami zaczynają się nawet same poruszać. To zaskakujące, że tak renomowany producent jak Logitech tym razem wypuścił na rynek produkt, który niczym specjalnym się nie wyróżnia i który w skali od 1 do 5 zasługuje tylko na tróję.

Słabo wypada też stosunek ceny do jakości. Za testowane głośniki trzeba zapłacić 369 zł. Za takie pieniądze na rynku można znaleźć lepsze zestawy do bezprzewodowego odtwarzania muzyki. ©℗

***Jacek Przybylski***

# DUSZEK W BUTELCE

W dawnej Polsce skrzaty (albo w zależności od regionu – krasnale) siusiały do mleka, ale jeśli gospodarz dbał o nie i zostawiał im miseczki z okruchami, to potrafiły się odwdzięczyć wymyciem izby i naczyń. Dzisiaj, gdy dobre stworki o nas najwyraźniej zapomniały, musimy albo sami zakasać rękawy, albo skorzystać z takich rozwiązań nowoczesnych technologii, jakie proponują projektanci Quartz Bottle reklamowanej jako „pierwsza na świecie samoczyszcząca się butelka". Do butelki wystarczy nalać wody i wcisnąć przycisk – wówczas silniczek wprawia wodę w wirowanie, a jednocześnie zapala się w niej światło UVC 280 nm, które zabija bakterie i powoduje oczyszczanie powierzchni. Oczywiście producent przekonuje też, że lampki LED emitujące światło są energooszczędne i bardziej ekonomiczne w porównaniu z tradycyjną technologią UV. Przekonywanie całkiem dobrze projektantowi Quartz Bottle – World's First Self-Cleaning Bottle – wychodzi, bo planowaną zbiórkę funduszy na uruchomienie produkcji zrealizował z nawiązką 4580 proc., zbierając ostatecznie na ten cel na portalu Indiegogo kwotę ponad 1,3 mln dol. „Samoczyszcząca się" brzmi dobrze, ale – jak to mawia Korwin-Mikke – nic się nie robi samo i nie ma nic za darmo, więc za buteleczkę też trzeba zapłacić, i to niemało, bo co najmniej 250 zł.




# ENERGETYCZNY PALUSZEK



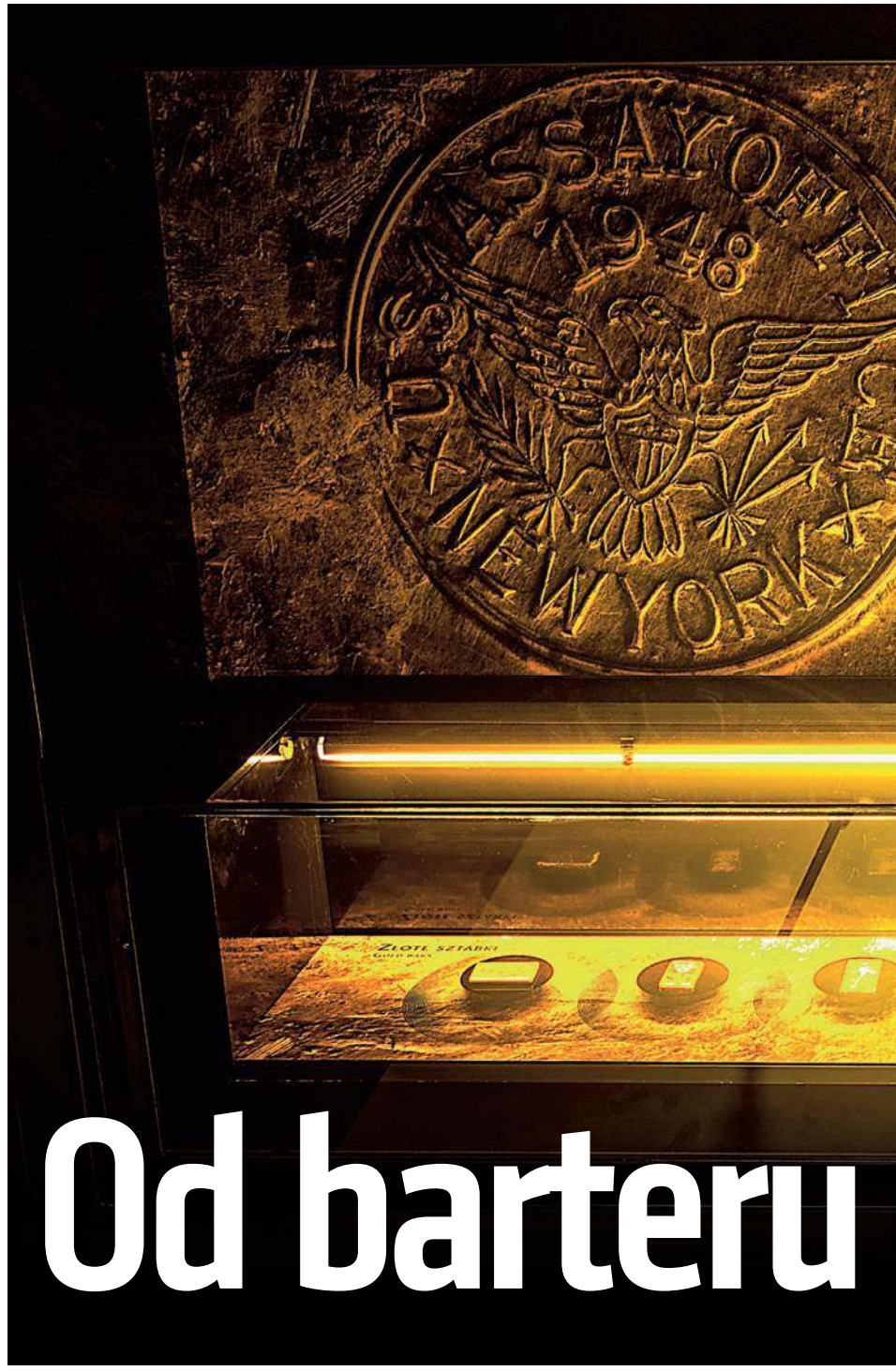
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Dobra, przyznaję, nazwa „Finger POW" brzmi dziwnie i może wywoływać pewne skojarzenia, ale już całkiem serio – urządzenie choć nie jest ostatnim krzykiem techniki, jest zmyślne i przydatne. To niewielka, przenośna baza dla kilku miniaturowych – wielkości pendrive'a – powerbanków. Zamiast więc szamotać się z ciężkim akumulatorem, kablami, podpinaniem, rozpinaniem, mamy niewielką, lekką ładowarkę i kilka „paluszków", które w razie potrzeby odczepiamy od niej i podczepiamy – bez żadnych kabli – do wejścia USB w telefonie, doładowując go energią z „paluszka". Każdy pojedynczy z nich może naładować iPhone'a 8 do poziomu 25 proc. baterii. Gadżecik nie jest drogi, kosztuje ok. 150 zł. Kupić można go na Kickstarterze, ale dostawa dopiero od kwietnia. ©℗

***Wojciech Wybranowski***



eprasa.pl 4eef091ca4



# Od barteru

*Jan Pieniążek*

**Pieniądz. Ponoć rządzi światem. Zanim przybrał formę monet i banknotów, jego funkcję spełniały m.in. kawałki płótna, korce zboża, siekierki, tytoń oraz kruszce soli. Po wielowiekowej ewolucji w XXI w. pieniądz coraz częściej przybiera formę elektroniczną**

Pieniądz jest jednym z najstarszych i najważniejszych wynalazków w historii. Wynalezienie pieniądza ułatwiło wymianę towarów, przyczyniło się do szybkiego rozwoju handlu, a także stworzyło podstawy do rozwoju gospodarki, a co za tym idzie – rozwoju świata.

## MUSZLE, NARZĘDZIA I ZŁOTO

Ludzie handlowali ze sobą dużo wcześniej, niż wymyślili pieniądze. Już kilka tysięcy lat p.n.e. wymieniali z sąsiadami lub kupcami jedne towary na inne: owce, bydło, ryby, warzywa, narzędzia czy zboża. Z wymianą barterową wiązało się jednak wiele problemów. Niełatwo było znaleźć odpowiedniego kontrahenta. Trudno było też tak dobrać towary, aby miały bardzo podobną do siebie wartość. Barter nie umożliwiał więc zaspokojenia wszystkich potrzeb.

Żeby uprościć sobie życie, ułatwić zakup dowolnych towarów, a także umożliwić oszczędzanie, zaczęto więc poszukiwać przedmiotu, który symbolizowałby wartość samą w sobie, a przy okazji miał niewielkie rozmiary, był łatwo podzielny oraz wygodny w transporcie. W wielu krajach i plemionach zaczął więc funkcjonować pieniądz towarowy. Szacuje się, że rolę pieniądza odgrywało w różnych częściach globu ok. 150 różnych towarów.

Wartość tzw. płacideł początkowo była mocno związana z użytecznością przedmiotów spełniających tę funkcję. W krajach rolniczych cenę różnych dóbr przeliczano na zboże. Ziarno miało bowiem tę zaletę, że można było odmierzyć dowolną jego ilość.

Zboża jako waluty używano zarówno w Europie, jak i na Bliskim Wschodzie, a także w krajach Ameryki Środkowej (w tym regionie płacidłem były m.in. ziarna kakaowca). Z kolei w Chinach funkcję pieniądza pełniły różne zminiaturyzowane narzędzia codziennego użytku, wykonywane najczęściej z brązu, m.in. noże i motyki. W basenie Morza Śródziemnego popularnymi płacidłami były też metalowe pręty.

Tam, gdzie większe znaczenie miała hodowla zwierząt, funkcję pieniądza pełniły skóry. Już Homer w „Iliadzie" pisał, że dobra zbroja warta była 10 wołowych skór. Cenę danego towaru przeliczano też często np. na liczbę siekier czy też dzid. Nad Morzem Śródziemnym już w neolicie popularnym środkiem płatniczym były muszle spondylusów. Na obszarach Afryki, wysp Pacyfiku oraz Azji funkcje monetarne pełniły zaś muszelki kauri – naj-



eprasa.pl 4eef091ca4



W Centrum Pieniądza NBP w Warszawie można zobaczyć bezcenne okazy numizmatyczne z całego świata FOT. K. SŁOMKA

# do banknotu

starsze płacidła tego rodzaju pochodzą z Chin sprzed 3 tys. lat.

Chociaż na terenach zamieszkiwanych przez Słowian już w średniowieczu znano rzymskie, celtyckie, greckie, bizantyjskie oraz arabskie monety, to powszechnie używano płacideł takich jak pręty żelaza, siekierki, a także miód oraz grudy soli i kawałki płótna zwane płatami. Te dwa ostatnie były powszechnie stosowanym środkiem płatniczym, m.in. na terenie współczesnej Polski – właśnie od nich pochodzą słowo „płacić" oraz zwrot „słono za coś płacić". W Europie popularne były również płatności fragmentami skórek wiewiórek czy kun (nie bez powodu np. waluta Chorwacji – kuna – kojarzy nam się z futerkowym zwierzęciem, bo właśnie skóry kuny służyły na tym obszarze za środek płatniczy). Niektóre płacidła były jednak trudne w przechowywaniu lub transporcie (np. stos ciężkich zwierzęcych skór). Wraz z rozwojem handlu za środek płatniczy coraz częściej służyły więc bryłki metali: złota, srebra, miedzi oraz brązu i żelaza. Aby ułatwić sobie pracę, część handlarzy zaczęła płacić za towary małymi kawałkami kruszcu.



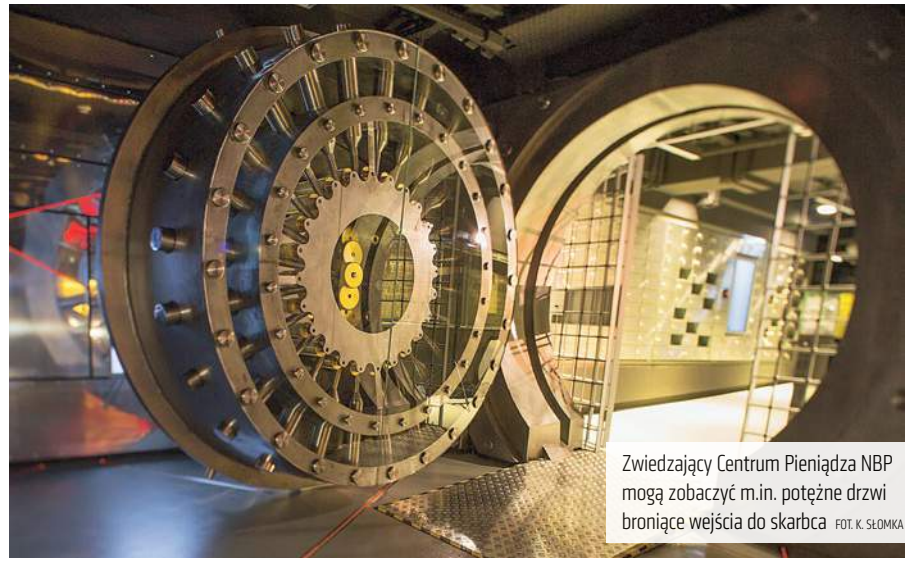
eprasa.pl 4eef091ca4

Kto jako pierwszy zaczął bić monety na większą skalę? Światowi historycy są w tej kwestii podzieleni. Jedna z teorii mówi, że byli to Fenicjanie, czyli będący mistrzami handlu mieszkańcy starożytnej krainy obejmującej tereny współczesnego Libanu, zachodniej Syrii oraz północnego Izraela. Wynalazek ten szybko przejęli zaś starożytni Grecy. Inna teoria zakłada, że pierwszym ludem posługującym się monetami byli mieszkańcy Lidii, czyli historycznej krainy położonej w zachodniej części Azji Mniejszej. Lidyjskie monety król Alyattes II bił od ok. 600 r. p.n.e. Nie miały one jednak jeszcze kształtu dzisiejszych monet – były to po prostu specjalnie ostemplowane wizerunkiem lwa obrobione bryłki złota i srebra.

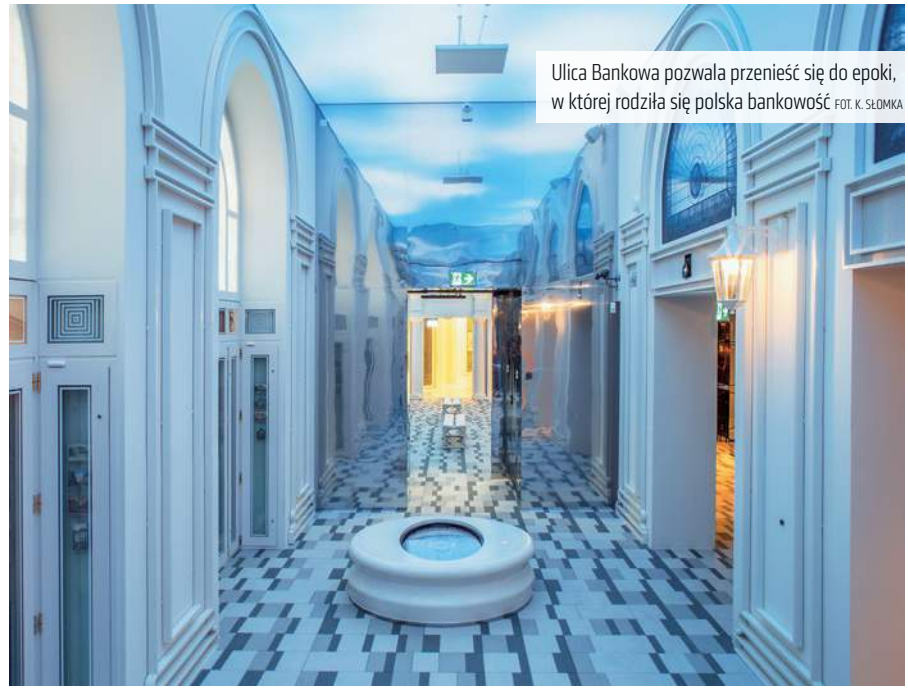
Samo słowo „moneta" wywodzi się z łaciny. Według mitologii rzymskiej Moneta to przydomek Junony – opiekunki transakcji handlowych. Nieopodal świątyni tej bogini mieściła się mennica, w której Rzymianie bili srebrne denary oraz miedziane asy.

Na terenach współczesnej Polski pierwsze monety pojawiły się ok. IX w. Historycy toczą spór co do dokładnej daty. Jak zauważa archeolog, historyk i jeden z czołowych polskich numizmatyków prof. Stanisław Suchodolski, Polacy datują swoje najstarsze monety na okres od schyłku panowania Mieszka I, czyli od ok. 990 r. Badacze czescy wiążą zaś je dopiero z Bolesławem Chrobrym.

Srebrne denary Mieszka I obecnie są przypisywane Mieszkowi II. Nie odgrywały jednak istotnej roli w handlu, gdyż ich wprowadzenie do obiegu trwało latami. Zarówno denar Bolesława Chrobrego, jak i denar Mieszka II można obejrzeć w Centrum Pieniądza. Większe znaczenie zyskały srebrne monety emitowane w XI w. przez Bolesława II Szczodrego. Z jednej grzywny srebra o wadze 183 g wybijano wówczas 240 denarów. Kolejni władcy szybko zaczęli obniżać wagę i zawartość kruszcu w monetach. Już Bolesław Krzywousty emitował tzw. brakteaty, czyli bardzo cienkie monety wybijane jednostronnie z niewielkiej ilości kruszcu. Takie praktyki znacząco obniżały faktyczną wartość polskich monet i doprowadziły do gwałtownego wzrostu popularności zagranicznych monet: srebrnego grosza praskiego, a także dukatów weneckich z czystego złota.



Zwiedzający Centrum Pieniądza NBP mogą zobaczyć m.in. potężne drzwi broniące wejścia do skarbca FOT. K. SŁOMKA



Ulica Bankowa pozwala przenieść się do epoki, w której rodziła się polska bankowość FOT. K. SŁOMKA



Zwiedzający mogą prześledzić historię pieniądza oraz zobaczyć monety o różnych formach i kształtach FOT. K. SŁOMKA


eprasa.pl 4eef091ca4

Władysław Łokietek przeprowadził istotną reformę monetarną. Wypuścił nowe denary o stałej zawartości srebra. Wprowadził też zasadę, że 12 denarów to 1 grosz, a także wyemitował pierwsze polskie złote monety: dukaty. Z kolei Kazimierz Wielki wprowadził do obiegu srebrne grosze krakowskie, wzorowane na groszu praskim, a także półgrosze – dwa półgrosze zawierały jednak mniej srebra niż jeden cały grosz (półgrosze można oglądać w Centrum Pieniądza NBP). Złoty polski przez długi czas był tylko jednostką obrachunkową o wartości 30 gr. Jako moneta pojawił się w 1663 r. pod postacią tynfa bitego za panowania Jana Kazimierza. Dopiero po reformie monetarnej króla Stanisława Augusta Poniatowskiego złoty stał się jednostką zasadniczą.

## LEPSZE NIŻ ZŁOTO?

Rozpowszechnienie się monet – nawet jeśli do określenia ich właściwej wartości potrzebna była dokładna waga – zrewolucjonizowało handel. Wraz z rozwojem międzynarodowej wymiany towarów potrzeba było jednak coraz więcej pieniędzy.

Monety z metali szlachetnych zaczęto zastępować kwitami już 119 lat p.n.e. Cesarz Han Wudi wyemitował wówczas pierwsze odpowiedniki dzisiejszych banknotów. Duże kwadratowe kawałki o wymiarach 30 x 30 cm nie były jednak jeszcze wówczas produkowane z papieru, lecz ze skóry rzadko występującego białego jelenia z cesarskich łowisk. Każdy taki kawałek – bogato zdobiony i oznaczony cesarską pieczęcią – miał wartość aż 400 tys. miedzianych monet. Swoją drogą to od chińskich monet keszowych – odlewanych zazwyczaj z brązu z kwadratowym otworem w środku – pochodzi anglojęzyczny termin „cash", czyli gotówka.

Pierwsi na świecie papierowe banknoty zaczęli emitować właśnie Chińczycy. Produkowany od końca IX w. z morwy banknot Wielkich Mingów (eksponat w Centrum Pieniądza NBP w Warszawie) miał początkowo tylko jeden nominał. Szybko stał się powszechnym środkiem płatniczym akceptowanym na terenie całego cesarstwa chińskiego. Był lubiany przez kupców, którzy wybierając się w daleką podróż, mogli zanieść do banku gotówkę, a po dotarciu na miejsce w innym banku zamienić drogocenny papier na wartościowe monety. W ten sposób znacząco obniżali ryzyko rabunku. Oczywiście natychmiast po rozpowszechnieniu się tego wynalazku pojawili się fałszerze – był to jednak wyjątkowo ryzykowny fach, złapanych na tym przestępstwie karano bowiem śmiercią.

**NAJWIĘKSZY BANKNOT ŚWIATA jest większy niż kartka A4. Wydany przez filipiński bank centralny banknot o nominale 100 tys. peso ma 35,6 cm szerokości i 21,6 cm wysokości. Wielkość emisji ograniczono do tysiąca sztuk. Centralny Bank Filipin w 1998 r. sprzedawał jeden taki banknot za 180 tys. pesos (równowartość ok. 13 tys. zł)**

Europejczycy bardzo szybko się dowiedzieli o chińskim wynalazku, m.in. dzięki relacjom Marca Polo. „Te papierowe pieniądze są produkowane z takim namaszczeniem, jakby ich surowcem było czyste złoto lub srebro. Na każdym banknocie podpisują się specjalnie wyznaczeni urzędnicy, a następnie każdy przybija na nim swoją pieczęć" – pisał słynny podróżnik, zachwycony faktem, że podczas gdy na całym świecie alchemicy próbują przerobić różne metale na złoto, chińscy cesarze zamienili w pieniądz zwykły papier.

Kupcy na Starym Kontynencie słuchali tych opowieści z zaciekawieniem, ale i niedowierzaniem. I jeszcze przez kilkaset lat od papieru woleli tradycyjne złote, srebrne lub miedziane monety. Zresztą ich obawy okazały się uzasadnione – kolejni cesarze wyemitowali zbyt dużo banknotów, doprowadzając do gigantycznej inflacji. W pierwszej połowie XV w. były one warte już tylko jedną siedemdziesiątą swojej pierwotnej wartości, co doprowadziło do zawieszenia na kilkaset lat obrotu papierowym pieniądzem w Państwie Smoka.

Pierwszym krajem w Europie, w którym wprowadzono do obiegu pieniądze w formie papieru – z pieczęcią Stockholms Banco i ośmioma odręcznymi podpisami – była Szwecja. Pierwsze szwedzkie banknoty zaczęto drukować w XVII w.

Użycie papierowych pieniędzy było o wiele wygodniejsze niż targanie ze sobą niezwykle ciężkich miedzianych monet (z powodu niskiej ceny miedzi na moneta dziesięciotalarowa ważyła wówczas aż 20 kg). Mniej ufnym kupcom w akceptowaniu tego typu środka płatniczego pomagała świadomość, że papierowe pokwitowania wydawane przez banki depozytariuszom lub kredytobiorcom można było wymienić na prawdziwy kruszec.

Aby zdobyć powszechne zaufanie ludzi do banknotów, do końca XIX w. kilkadziesiąt państw wprowadziło parytet złota. Niestety, dwie wojny światowe sprawiły, że mocarstwa wyprzedały swoje rezerwy. Ostatecznie nadzieje na powrót do powszechnego parytetu złota prysły w 1944 r., podczas międzynarodowej konferencji w Bretton Woods. Za podstawowy pieniądz uznano wówczas dolara amerykańskiego, który do lat 70. XX w. był jeszcze oparty na parytecie złota. Unia Europejska zaczęła zaś pracę nad stworzeniem własnej waluty: euro (weszła ona do obiegu w 2002 r.).

**NAJMNIEJSZY BANKNOT ŚWIATA. Wyemitowany przez bank centralny w Bukareszcie w 1917 r. banknot o nominale 10 banów miał wielkość znaczka pocztowego (27 x 28 mm)**

Pierwsze polskie banknoty, zwane wówczas biletami skarbowymi (eksponat w Centrum Pieniądza NBP), weszły do obiegu w 1794 r., podczas insurekcji kościuszkowskiej. Ich emisję kontrolowała Dyrekcja Biletów Skarbowych powołana przez Radę Najwyższą Narodową. Drukowane w Warszawie pierwsze polskie pieniądze papierowe miały początkowo wysokie nominały: od 5 do 1000 zł. Dopiero później wyemitowano nominały od 10 gr do 4 zł.



eprasa.pl 4eef091ca4

Banknoty zaprojektowane przez Jędrzeja Kapostasa były opatrzone symbolami polskiego orła oraz litewskiej Pogoni, a także napisem: „Wolność, całość, niepodległość". Za próby ich podrabiania przewidziano karę śmierci oraz konfiskatę majątku.

**BANKNOT O NAJWYŻSZYM NOMINALE. Wyemitowany w Zimbabwe ze względu na szalejącą w tym kraju hiperinflację miał nominał 100 bln (jedynka z 14 zerami) tamtejszych dolarów. Był w obiegu do 2009 r. W historii tylko raz, na Węgrzech w 1946 r., wprowadzono banknot o wyższym nominale, czyli 100 trylionów**

W czasach Księstwa Warszawskiego – w lipcu 1811 r. – pojawiły się bilety kasowe (Kassowe Bilety Xsięstwa Warszawskiego). Ozdobione godłem księstwa miały trzy nominały: 1, 2 i 5 talarów. W każdej chwili można było je wymienić na monety kruszcowe. W obiegu utrzymały się do października 1813 r., gdy zostały zastąpione przez banknoty emitowane przez zaborców. 15 lat później, w 1828 r., do obiegu trafiły banknoty Królestwa Polskiego, emitowane przez Bank Polski (protoplastę Narodowego Banku Polskiego). Po wybuchu powstania listopadowego sejm powstańczy wprowadził banknoty o niższych nominałach (m.in. jednozłotowych).

Na początku XX w. na ziemiach współczesnej Polski płacono banknotami państw zaborczych: koronami, markami i rublami. W 1916 r. Polska Krajowa Kasa Pożyczkowa zaczęła emitować polskie marki (eksponat w Centrum Pieniądza NBP). W 1918 r., po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, niezwykle pilną kwestią stało się wprowadzenie własnej waluty. Dopiero reforma przeprowadzona w 1924 r. przez premiera i ministra skarbu Władysława Grabskiego doprowadziła do zastąpienia polskich marek polskim złotym.

Po wojnie na polskie banknoty trafiły wizerunki przodowników pracy. W 1966 r. wszedł do obiegu banknot z wizerunkiem Mikołaja Kopernika autorstwa twórców Polskiej Szkoły Plakatu – Juliana Pałki i Henryka Tomaszewskiego. A w 1974 r. pierwszy banknot zaprojektowany przez Andrzeja Heidricha, z wizerunkiem Tadeusza Kościuszki. Zaczęto również emitować banknoty z wizerunkami Świerczewskiego czy Waryńskiego.

W 1990 r. szalejąca w Polsce inflacja zmusiła rządzących do wypuszczenia banknotów o nominale miliona złotych (z wizerunkiem Władysława Reymonta) oraz dwóch milionów złotych (z wizerunkiem Ignacego Paderewskiego).

Po przeprowadzonej w 1995 r. denominacji na polskie banknoty trafili zaś władcy Polski. Banknoty ze wszystkich okresów można obejrzeć w Centrum Pieniądza Narodowego Banku Polskiego.

Pierwszy raz informacja o tym, że banknot jest oficjalnym środkiem płatniczym i jako taki musi być akceptowany, pojawiła się na amerykańskich dolarach podczas wojny secesyjnej. Po zakończeniu tej wojny rząd USA musiał rozpocząć wielką batalię z fałszerzami: szacuje się, że ponad dwie trzecie banknotów znajdujących się wówczas w obiegu było fałszywe. W 1865 r. powołano więc specjalną jednostkę Departamentu Skarbu do walki z fałszerzami (obecnie zajmuje się tym słynne Secret Service). W Polsce jedynym emitentem banknotów i monet jest Narodowy Bank Polski.

## GOTÓWKA TAK SZYBKO NIE ZNIKNIE

Na przełomie wieków XIX i XX pieniądze papierowe zaczęły zastępować płatności bezgotówkowe: czeki, a następnie karty kredytowe, obciążeniowe oraz debetowe. Firma American Express swój pierwszy czek podróżny wypuściła w 1891 r. Pierwsze karty płatnicze pojawiły się w USA na początku XX w. Wydawały je duże sieci sklepów, a także takie przedsiębiorstwa jak Western Union oraz General Petroleum Corporation of California. Początkowo karty płatnicze wydawane były w formie metalowej blaszki. Na przełomie lat 50. i 60. powstały firmy Diners Club, VISA International oraz Mastercard, zajmujące się wydawaniem plastikowych kart płatniczych. W 1958 r. Bank of America wypuścił pierwszą kartę kredytową.

**Banknoty o najniższych nominałach szybko się ścierają. W strefie euro „piątki" i „dziesiątki" wycofuje się z obiegu średnio po pół roku. Banknoty jednodolarowe są wycofywane średnio co 21 miesięcy**

### Funkcje pieniądza

- ***miernik wartości*** – pozwala na wyrażenie wartości towarów i usług w pieniądzu. Sam też ma swoją wartość. Siła nabywcza pieniądza określana jest poprzez ilość dóbr, które można nabyć za daną jednostkę pieniądza;
- ***środek cyrkulacji (wymiany)*** – pozwala nabywać różne towary i usługi;
- ***środek tezauryzacji (przechowywania wartości)*** – umożliwia oszczędzanie i bogacenie się.

**Obecnie na świecie istnieje ponad sto różnych walut**

W Polsce jako pierwszy dystrybucję kart w systemie VISA rozpoczął w 1991 r. Bank Inicjatyw Gospodarczych. W latach 90. na świecie powstał pierwszy bank internetowy. Na początku XXI w. pierwsze banki umożliwiły dokonywanie płatności zbliżeniowych.

Według badania przeprowadzonego przez Europejski Bank Centralny pomimo szybkiego rozwoju płatności elektronicznych gotówka trzyma się wciąż bardzo mocno. Gotówką najczęściej płaci się na południu Europy, zwłaszcza w krajach takich jak Malta, Grecja, Cypr, Hiszpania czy Włochy.

Najczęściej z płatności bezgotówkowych korzystają mieszkańcy północnej Europy. Według danych Szwedzkiego Banku Narodowego za pomocą banknotów


eprasa.pl 4eef091ca4

i bilonu płaci się w tym kraju już tylko za transakcje o wartości ok. 2 proc. PKB, a do końca obecnej dekady liczba ta ma spaść do zaledwie 0,5 proc.). Z kolei według danych podawanych przez Bank Centralny Norwegii obecnie za pomocą monet i banknotów dokonywanych jest w tym kraju już tylko ok. 5 proc. transakcji.

Wzrost popularności transakcji bezgotówkowych ułatwiają nie tylko niezwykle popularne karty płatnicze i kredytowe, lecz także płatności dokonywane przez aplikacje na smartfony (niemal połowa Szwedów używa aplikacji Swish, dzięki której mogą płacić za zakupy w tradycyjnych sklepach, na pchlim targu, a nawet dać datek bezdomnemu). Również w Polsce można płacić już nie tylko kartami płatniczymi, lecz także – korzystając z technologii zbliżeniowej NFC – za pomocą zegarków czy breloków przykładanych do terminali, a także instalowanych w smartfonach mobilnych aplikacji bankowych czy całych wirtualnych portfeli.

Płatności bezgotówkowe poza wygodą użytkowników mają ważną z punktu widzenia rządów zaletę. To, że po każdej elektronicznej transakcji pozostaje ślad, ułatwia walkę z szarą strefą, oszustwami podatkowymi czy łapówkarstwem. Wiele krajów – np. Francja, Grecja, Hiszpania, Polska, Portugalia czy Włochy – wprowadziło więc limity ograniczające wysokość płatności, których można dokonywać w gotówce. Szacuje się, że wprowadzenie takich limitów w Hiszpanii doprowadziło do ograniczenia szarej strefy z 19,2 do 18,6 proc. PKB. Od stycznia 2017 r. w Polsce obowiązują nowelizacje ustaw o PIT, CIT oraz ustawy o swobodzie działalności gospodarczej, które obniżyły limit transakcji gotówkowych związanych z prowadzeniem działalności gospodarczej z równowartości 15 tys. euro do 15 tys. zł.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

***Projekt realizowany we współpracy z Narodowym Bankiem Polskim w ramach programu edukacji ekonomicznej.***

## Centrum Pieniądza Narodowego Banku Polskiego im. Sławomira Skrzypka

Skąd się wzięły pieniądze? Jak powstają monety? Czy sztabka złota jest ciężka?

Odpowiedzi na te pytania znaleźć można w nowoczesnej, interaktywnej placówce edukacyjno-wystawienniczej, która od 2016 r. działa przy NBP.

Na ponad 2 tys. mkw. powierzchni zgromadzono kilka tysięcy unikatowych obiektów. Cała ekspozycja jest podzielona na 16 modułów tematycznych, w których można poznać historię pieniądza, zrozumieć rolę banków centralnych oraz nauczyć się zasad inwestowania i lokowania pieniędzy. Zwiedzający mogą m.in. dotknąć sztabki złota, przyjrzeć się cennym polskim numizmatom oraz monetom z całego świata, sprawdzić autentyczność własnych banknotów, zajrzeć do bankowego skarbca, obejrzeć tematyczne filmy oraz animacje, a także wziąć udział w strategicznych grach ekonomicznych.



1.



2.



3.

Centrum Pieniądza znajduje się w siedzibie NBP w Warszawie, przy ul. Świętokrzyskiej 11/21. Jest otwarte we wtorki, w środy, piątki, soboty i niedziele od godz. 10 do 18, a w czwartki od 10 do 20. Wstęp jest bezpłatny. Centrum jest też dostępne dla osób niepełnosprawnych. Zwiedzanie indywidualne nie wymaga rezerwacji. Rezerwacja zwiedzania z animatorem dla grup powyżej 10 osób pod nr. tel. 22 185 25 25.

***Więcej informacji o Centrum Pieniądza można znaleźć na stronie: www.cpnbp.pl.***



4.

1. Chiński banknot z kory morwy z 1375 r.
2. Platmynt – szwedzka moneta płytowa z XVII w. (kopia)
3. Domniemany denar Mieszka I, przypisywany obecnie Mieszkowi II
4. Bilety skarbowe z 1794 r. – pierwsze polskie pieniądze papierowe FOT. NBP





eprasa.pl 4eef091ca4

REKLAMA

Sfinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach Programu Wieloletniego NIEPODLEGŁA na lata 2017-2021

niepodległa

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

150. rocznica urodzin Marszałka Józefa Piłsudskiego

organizatorzy pragną serdecznie podziękować wszystkim mecanasom za wsparcie przy organizacji

**Koncertu Galowego z okazji 150 rocznicy urodzin Marszałka Józefa Piłsudskiego Naczelnika II Rzeczypospolitej Polskiej pod Honorowym Patronatem Jarosława Kaczyńskiego**

Lukas Geniušas – fortepian
Marek Drewnowski – fortepian

Orkiestra Kameralna Filharmonii Narodowej
Anna Duczmal-Mróz – dyrygent

Prowadzenie: Tadeusz Deszkiewicz

MECENASI

PZU

FUNDACJA GRUPY PKP

PGZ

PWPW Polska Wytwórnia Papierów Wartościowych

Reduta PWPW Fundacja na rzecz Obrony Pamięci Historii Polski

PGNiG

PKO Bank Polski

PATRONI MEDIALNI

Polskie Radio

TVP

Gazeta Polska

Gazeta Polska codziennie

niezależna

Do Rzeczy

republika

PATRONI WSPIERAJĄCY

Marriott Warsaw

ISR Instytut Strategii i Rozwoju

# Mundial po rosyjsku



Łukasz Zboralski

**Piłkarskie mistrzostwa miały poprawić wizerunek Rosji. Jednak jak to zrobić, skoro kraj wypadł za doping z olimpiady i wiadomo, że FIFA przyznaje organizację mundiali za łapówki?**

U nas wsio bolsze – lubią mawiać Rosjanie. Zgodnie z tym w świat najpierw poszła wiadomość, że mistrzostwa świata w piłce nożnej, które odbędą się w przyszłym roku w tym kraju, będą najdroższe w historii. Z szacunków wynikało, że przygotowania do nich pochłoną blisko 20 mld dol. RPA na ten cel wydała trzy razy mniej.

Kiedy jednak zastanowić się, dlaczego padnie ten rekord (jeśli padnie), to okazuje się, że Rosja w porównaniu z dotychczasowymi organizatorami do nadrobienia ma po prostu największe cywilizacyjne zaległości. I nie chodzi tylko o to, że po wyborze na organizatora rozgrywek nie miała ani jednego stadionu spełniającego wymogi FIFA. Największym problemem nie było bowiem przygotowanie 12 stadionów w 11 miastach (Sankt Petersburgu, Kazaniu, Moskwie, Niżnym Nowogrodzie, Samarze, Rostowie nad Donem, Sarańsku, Kaliningradzie, Wołgogradzie, Jekaterynburgu i Soczi), lecz wielkie nakłady potrzebne na poprawę dróg, infrastruktury na lotniskach, zbudowanie bazy hotelowej. A do tego trzeba dołożyć jeszcze gigantyczne pieniądze na infrastrukturę teletechniczną. Musiała powstać sieć pozwalająca na korzystanie z Internetu oraz umożliwiająca płynną transmisję.

Tego wszystkiego widzowie – szacuje się, że mundial obejrzy prawie połowa mieszkańców globu – nie zobaczą. Zobaczyć mają, że kraj uznawany za dziki i agresywny jest miejscem nowoczesnym oraz przyjaznym. Prawie się udało.

## WON Z OLIMPIADY!

Tuż przed mistrzostwami w piłce nożnej światem wstrząsnęła kolejna odsłona afery dopingowej związanej z rosyjskimi sportowcami. To prawda, że niedozwolone wspieranie zawodników nie dotyczy wyłącznie tego kraju – jednak nikt nie ma już wątpliwości, że akurat w Rosji nie dotyczy to pojedynczych sportowców, lecz że olbrzymi system oszukiwania w sporcie zbudowano tam na poziomie państwa.

Światem sportu wstrząsnął raport przygotowany w ubiegłym roku. Jego stworzenie zleciła kanadyjskiemu prawnikowi prof. Richardowi McLarenowi Światowa Agencja Antydopingowa (WADA) po tym, jak o kulisach dopingu w Rosji zaczął opowiadać w mediach zbiegły z kraju szef antydopingowego laboratorium w Moskwie. Profesor McLaren opisał, jak Federacja Rosyjska wspierała tuszowanie dopingu u rosyjskich sportowców. Ujawnił m.in., że zaangażowane były w to służby specjalne. Agenci FSB podczas olimpiady w Soczi przez dziurę w ścianie wykradali próbki Rosjan i podmieniali na takie, w których nie było już śladu dopingu.

W całym raporcie pojawiły się informacje o ponad tysiącu olimpijczyków zamieszanych w nieczyste



FOT. MIKHAIL METZEL / TASS/FORUM



eprasa.pl 4eef091ca4

zagrania. W przypadku Rosji ujawniono zaś, że systemowo ukrywała doping swoich zawodników na igrzyskach w Londynie w 2012 r., na letniej uniwersjadzie rok później, podczas lekkoatletycznych mistrzostw świata w Moskwie w 2013 r. i na igrzyskach w Soczi w 2014 r.

Po tym wszystkim 11 olimpijczyków z Rosji straciło medale zdobyte w Soczi, a 25 zostało dożywotnio zdyskwalifikowanych.

Ta sprawa będzie wracała w pamięci za każdym razem, gdy na mundialu padnie nazwa tej miejscowości. A polscy kibice słyszeć będą ją często. Polska drużyna, która wystąpi na mundialu, na swoją bazę wybrać miała właśnie Soczi (ostateczna decyzja zapadła tuż po zamknięciu tego numeru „Do Rzeczy"). Wybór padł na hotel Hyatt, przedstawiany jako luksusowy. Obiekt położony blisko Morza Czarnego ma prywatną plażę, a przy budynku także basen z całorocznie podgrzewaną wodą. Restauracja oferuje dania kuchni europejskiej, rosyjskiej i kaukaskiej.

## CZŁOWIEK PUTINA

Po skandalu dopingowym i raporcie kanadyjskiego profesora Międzynarodowy Komitet Olimpijski najpierw zapowiadał wykluczenie Rosji z igrzysk w Rio de Janerio, a potem – o dziwo! – zostawił tę decyzję federacjom poszczególnych dyscyplin. O mały włos Rosji zabrakłoby na tej olimpiadzie, gdyby nie skacząca w dal (i zajmująca się modelingiem) Daria Kliszyna. Odwołała się od decyzji Międzynarodowego Stowarzyszenia Federacji Lekkoatletycznych i udowodniła, że przechodziła testy antydopingowe poza granicami Rosji, bo w ostatnich latach mieszkała w USA. I w ten sposób została jedyną Rosjanką na brazylijskiej olimpiadzie.

Jednak na zimowych igrzyskach w Pjongczang nie będzie ani jednego Rosjanina. Tym razem MKOl był nieprzejednany i wykluczył Rosję z przyszłorocznej olimpiady. Nie będzie oficjalnej reprezentacji tego kraju, a zawodnicy, którzy zdecydują się pojechać, mogą występować pod neutralną flagą. Tę flagę wicepremier Rosji Witalij Mutko nazwał szmatą. Na Twitterze napisał jeszcze, że nikt nie rzuci jego kraju na kolana, i dopisał: „MKOl i Thomas Bach – fak ju!". Mutko uznawany jest za człowieka, który jako minister sportu nadzorować miał cały system tuszowania dopingu (choć żadnych dowodów na jego wiedzę o procederze nie znaleziono). I to właśnie ten bliski człowiek Putina odpowiedzialny jest za organizację rosyjskiego mundialu.

Witalij Mutko karierę polityczną zaczął od powiatowego komsomołu, a dotarł potem – dzięki znajomościom z odpowiednimi ludźmi – do stanowiska wicemera Sankt Petersburga. W administracji tego miasta pracował również Władimir Putin. Po tym, jak wpływowy znajomy Mutki – Anatolij Sobczak – przegrał wybory, ten z administracji przerzucił się na sport. I został prezesem piłkarskiego klubu Zenit Sankt Petersburg. Wówczas do Zenitu zaczęły płynąć duże pieniądze od sponsorów, a drużyna święciła triumfy – choć pojawiały się poważne oskarżenia o ustawianie meczów. Z tej trampoliny Mutka odbił się na sportowy szczyt – został prezesem rosyjskiego związku piłkarskiego. Od polityki się nie oddalał, w 2000 r. był w sztabie wyborczym Putina.



## FIFA, ŁAPÓWKI I SKANDAL

Jeśli pokręcić kalejdoskopem, w którym ma się raport WADA mówiący m.in. o 30 piłkarzach zamieszanych w ukrywanie dopingu, o zbudowanym na poziomie państwa systemie wspierania i tuszowania dopingu za czasów ministra Witalija Mutki oraz dowiedzione już skandale korupcyjne FIFA związane z wyborem gospodarzy turniejów, to obraz mundialu jest może i barwny, ale jednak trochę przerażający.

Sama FIFA wydaje się robić wiele, by niewiele zrobić. Tak było z piłkarzami. Szef rosyjskiego laboratorium, który opowiedział światu o rosyjskim systemie sportowej fikcji, gotów był przekazać piłkarskiej organizacji dokładne informacje o rosyjskich piłkarzach, których doping ukrywano. W brytyjskich mediach opowiadał potem, trochę rozżalony, że nikt się w tej sprawie do niego nie odezwał.

FIFA mocno zamknęła też oczy na fakt, że główny organizator mundialu – Mutko – zamieszany jest w tę gigantyczną aferę. A jeszcze mocniej próbowała nie dostrzec tego, co działo się przy wyborach organizatorów piłkarskich mistrzostw. Organizacja postawiona już pod ścianą ostatecznie przyznała się, że RPA zapłaciła 10 mln dol. łapówek za to, by gościć u siebie piłkarskie święto w 2010 r. Jasne jest, że do kupowania głosów za łapówki dochodziło także przy wyborze na gospodarza mistrzostw świata Francji w 1998 r.

Kwestią otwartą pozostaje sprawa wyboru na gospodarzy rozgrywek Rosji i Kataru. Po ujawnieniu poprzednich spraw z łapówkami pojawiły się domysły, że i w tym przypadku nie wszystko mogło odbyć się w prawidłowy sposób. Jednak czy coś mogło się zmienić, jeśli w wywiadzie dla rosyjskiej agencji TASS odsunięty na bocznicę w FIFA Sepp Blatter – oprócz zrzucania winy na kolegę, Michela Platiniego – zapowiedział, że bez względu na ustalenia prokuratury mundial 2018 odbędzie się w Rosji?

W meczu otwarcia 14 czerwca 2018 r. w Moskwie Rosjanie zmierzą się z Arabią Saudyjską. To jedna z najsłabszych mundialowych drużyn, bo i w losowaniu rosyjscy organizatorzy mieli niebywałe szczęście – ich piłkarze grać będą jeszcze z Egiptem i Urugwajem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl 4eef091ca4



*Katarzyna Pinkosz*

**Wprowadzenie do kalendarza szczepionki przeciw pneumokokom to jeden z sukcesów ministra Radziwiłła. Sukces o mało nie zmienił się w wizerunkową klęskę, gdy większość mediów podniosła, że w wyniku przetargu mógł zostać wybrany nie ten preparat. Czy rzeczywiście?**



# Chronią, nie szkodzą

Szczepionka nie chroni dzieci", „Ministerstwo oszczędza na najmłodszych", „Kupiono szczepionki spoza UE" – krzyczały przed rokiem tytuły w mediach. Wybrany preparat przeciw pneumokokom stał się niemal tematem politycznym. Zamiast cieszyć się z tego, że szczepienie przeciw pneumokokom, stosowane w 24 państwach UE (na 28), będzie wreszcie dostępne bezpłatnie dla dzieci w Polsce, media szukały dziury w całym. A przy okazji niechcący podważały zaufanie – i tak już nadwątlone – rodziców do szczepień.

Pneumokoki to bakterie, z którymi ma do czynienia niemal każdy: wielu z nas jest ich nosicielami (bytują w gardle i nosie). Dla dzieci, szczególnie najmłodszych, a także osób starszych oraz z tzw. grup ryzyka (np. po usunięciu śledziony) pneumokoki mogą być śmiertelnie groźne. Przy spadku odporności dochodzi do zakażeń. Niektóre mają stosunkowo lekki przebieg (zapalenie zatok, ucha środkowego), bakterie jednak mogą przeniknąć do krwi oraz płynu mózgowo-rdzeniowego i doprowadzić do zapalenia płuc, zapalenia opon mózgowych o ciężkim przebiegu, a także do groźnej dla życia sepsy. Statystyki pokazywały, że co roku w Polsce umierało ok. 100 dzieci z powodu infekcji pneumokokowych.

Bezpłatne szczepienia dzieci przeciw tym bakteriom prowadziły już wcześniej niektóre samorządy. Sukcesem na skalę światową był program realizowany przez wiele lat w Kielcach. Dzięki powszechnym szczepieniom liczba zapaleń płuc u małych dzieci spadła tam z 83 w 2005 r. do zaledwie dwóch–trzech w ostatnich latach. Znacznie zmniejszyła się też liczba osób starszych chorujących na zapalenie płuc – dzieci nie zarażały dziadków.

Mimo to jednak, gdy obecnej ekipie Ministerstwa Zdrowia udało się rok temu znaleźć pieniądze na sfinansowanie bezpłatnych szczepień przeciwko pneumokokom, przez media przetoczyła się lawina artykułów sugerujących, że w wyniku przetargu wybrano szczepionkę tańszą, a więc – jak sugerowano – gorszą, która nie będzie chronić dzieci. Kilka dni temu zakończył się kolejny przetarg, wygrała ta sama szczepionka i znów pojawiły się sugestie, że ministerstwo wybrało gorszy preparat. Co na to fachowcy?

## TRZYNAŚCIE CZY DZIESIĘĆ

Laikowi sprawa wydaje się prosta: 13 to więcej niż 10, więc szczepionka, która zawiera polisacharydy otoczkowe 13 serotypów pneumokoków powinna chronić lepiej niż ta, w której jest ich 10. Biologia to jednak nie matematyka.

– Na podstawie samego składu nie można wyciągać wniosku, że preparaty znacznie różnią się skutecznością. Bakterie i wirusy mają podobne antygeny: dzięki tzw. odporności krzyżowej szczepionka może chronić przed dodatkowymi serotypami pneumokoków, mimo że ich nie zawiera. Dlatego szczepionka „dziesiątka" chroni przed 12 serotypami pneumokoków. Jest już jednoznaczna opinia Światowej Organizacji Zdrowia potwierdzająca, że obydwa preparaty są równoważne – mówi dr Paweł Grzesiowski, pediatra i ekspert ds. szczepień.

To, że „dziesiątka" chroni przed dodatkowymi serotypami pneumokoków, w tym przed inwazyjnym serotypem 19A, który często odpowiada za wywołanie inwazyjnej choroby pneumokokowej, zostało wpisane do ChPL (Charakterystyki Produktu Leczniczego) Synflorixu (tak nazywa się „dziesiątka") i potwierdzone przez Europejską Agencję Leków. Również Polskie Towarzystwo Wakcynologii potwierdziło, że różnice między preparatami przeciw pneumokokom „nie przesądzają o zdecydowanej wyższości któregokolwiek z nich w profilaktyce ciężkich zakażeń pneumokokowych u małych dzieci w Polsce". Rodzice jednak oficjalnych stanowisk ekspertów ani ChPL nie czytają, sugerują się za to alarmującymi artykułami w prasie. To dlatego wielu z nich, mimo że szczepienie Synflorixem jest bezpłatne, zdecydowało się na zakup Prevenaru (czyli „trzynastki").

ARTYKUŁ PROMOCYJNY



eprasa.pl 4eef091ca4



FOT. FOTOLIA

– Moim zdaniem nie ma to merytorycznego uzasadnienia. Oczywiście informuję rodziców, że mogą zaszczepić dziecko płatnym preparatem, jeśli chcą, mają pieniądze i dobre doświadczenia, bo np. szczepili nim starsze dziecko. Jednak oba preparaty chronią tak samo skutecznie – przekonuje dr Grzesiowski. Potwierdza to analiza dokonana niedawno w Finlandii, gdzie po wprowadzeniu „dziesiątki" do powszechnego kalendarza szczepień liczba przypadków inwazyjnej choroby pneumokokowej zmniejszyła się o 80 proc. Europa jest podzielona niemal po równo: „dziesiątkę" stosuje się m.in. w Islandii, Belgii, Holandii, Finlandii, Austrii; „trzynastkę" – we Francji, w Portugalii, Wielkiej Brytanii, Norwegii. W Hiszpanii, Niemczech, Czechach i na Słowacji są stosowane oba preparaty.

– Moim zdaniem mamy teraz najlepszą sytuację, gdyż dwie konkurencyjne firmy walczą o wejście na rynek. W tym roku wygrał jeden producent, w przyszłym może wygrać drugi. Ważne jest, że szczepionka została kupiona w dobrej cenie, jest bezpieczna i można ją stosować zarówno u dzieci zdrowych, jak u tych z grup ryzyka, co potwierdziły badania kliniczne – dodaje dr Grzesiowski.

## PRZEKONAĆ ANTYSZCZEPIONKOWCÓW

Temperatura wokół dwóch preparatów przeciw pneumokokom w pewnym momencie zrobiła się tak gorąca, że eksperci zaczęli się obawiać, czy nie spowoduje to spadku zaufania do szczepień w ogóle. Rok 2017 będzie rekordowy, jeśli chodzi o liczbę rodziców, którzy zdecydowali się odmówić szczepień. Kulminacyjnym punktem była sprawa „wcześniaka z Białogardu", którego rodzicom najpierw czasowo ograniczono prawa rodzicielskie, a potem uciekli oni razem z dzieckiem ze szpitala, ponieważ nie zgodzili się m.in. na szczepienia. W sprawie przyczyn tego, co stało się w Białogardzie, wciąż toczy się dochodzenie, jednak niezależnie od tego eksperci głowią się, jak przekonać rodziców, że to nie szczepień trzeba się obawiać, tylko chorób.

– Przede wszystkim trzeba rozmawiać z rodzicami i wysłuchać ich, bo każdy ma prawo do lęku. Główną przyczyną odmów jest strach – mówi dr Grzesiowski. Uważa, że podstawą jest właśnie rozmowa i niewywieranie na rodziców presji, iż muszą natychmiast zaszczepić dziecko. Podobne doświadczenia ma prof. Jan Mazela, neonatolog, szef Kliniki Zakażeń Noworodka Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu. Potwierdza, że rodzice nie tyle nie chcą szczepić dzieci, ile mają wątpliwości i pytania. – Staramy się tłumaczyć, dlaczego i po co szczepi się niemowlęta. Informujemy też, że jest pewna dowolność wyboru schematu: można stosować preparaty skojarzone albo pojedyncze, wtedy szczepienia można bardziej rozłożyć w czasie – mówi prof. Mazela. Lekarze w jego klinice rozmawiają z rodzicami. Zwykle daje to efekt.

Na taką rozmowę jednak trzeba znaleźć czas. – Jeśli lekarz nie ma czasu dla pacjenta, to czym się zajmuje? – oburza się dr Grzesiowski. – Tylko od nas zależy, ile czasu poświęcimy pacjentowi. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby w czasie wizyty jednego pacjenta wszedł drugi i zaczął krzyczeć, że za długo czeka. Może trzeba pacjentów w poczekalni o tym poinformować, wyjść przed gabinet i powiedzieć: „Przepraszam, wizyta się przedłuży, bo mamy poważny problem". Każdy to zrozumie – przekonuje.

Rodzice odmawiający szczepień to zwykle osoby dbające o dziecko, bardzo się o nie lękające; wykształcone, choć nie w sprawach immunologii. – Szukają informacji i znajdują je w Internecie, niestety często zmanipulowane. Nie można ich wyśmiać czy wyrzucić z gabinetu. Jeśli jednak spokojnie przedstawimy argumenty, to po pięciu minutach rodzic widzi, że to, co mówią przeciwnicy szczepień, jest wyssane z palca. Wtedy zaczyna się rzeczowa dyskusja: którą szczepionkę wybrać, kiedy ją podać, jak przygotować dziecko – opowiada dr Grzesiowski.

Niedawno przyszła na wizytę mama niemowlęcia, która nie chciała go szczepić przez pierwsze trzy miesiące ze względu na to, że jej matka choruje na schizofrenię, a ona ma mutację genową mogącą sprzyjać autyzmowi. Chciała zrobić dziecku badanie, czy nie ma podobnej mutacji. – Zrobiliśmy je, bo nie ma powodu, by nie zrobić dziecku badania, gdy rodzice o to proszą. Przecież lekarz ma służyć pomocą, a nie być urzędnikiem, który mówi, że trzeba zaszczepić 12 grudnia czy 5 stycznia. Zresztą teraz nawet w kalendarzu szczepień jest zapisane, że o liczbie szczepionek podczas wizyty i czasie ich podania decyduje lekarz w porozumieniu z rodzicami – mówi dr Grzesiowski.

Rodziców trzeba szanować, mieć do nich cierpliwość i tyle empatii, żeby zrozumieć ich lęk o dziecko – nawet jeśli wydaje się on lekarzowi nieracjonalny. – Tylko żeby taką rozmowę z rodzicami prowadzić, lekarz sam musi mieć wiedzę, swobodę poruszania się po tematach immunologicznych. Trzeba się szkolić przez cały czas, bo w immunologii i szczepieniach wiele się dzieje – zauważa ekspert.

Doktor Marian Patrzałek, pediatra, który przez wiele lat organizował samorządowe szczepienia przeciw pneumokokom w Kielcach, gdy jeszcze nie były one bezpłatne i obowiązkowe, mówi, że w ich mieście więcej dzieci było szczepionych, niż się rodziło! Jak to możliwe? Rodzice specjalnie zameldowali dzieci w Kielcach – tylko po to, by dostały szczepionkę!

Jak widać, rodzice są mądrzy: można ich przekonać, że szczepienia nie są zagrożeniem, tylko skuteczną ochroną. Trzeba jednak z nimi rozmawiać, mieć wiedzę i traktować ich jak partnerów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl 4eef091ca4



JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

# Tatarskie przygody

**Stanisław Zygmunt Druszkiewicz, stolnik parnawski,** dwa razy wywinął się śmierci od tatarskiego ostrza. Jego żywot był awanturniczy, żołnierski, typowy dla wielu towarzyszy jazdy z połowy XVII w. Urodzony w 1621 r. na Litwie uczył się u ojców jezuitów w Nieświeżu, jednak – jak sam pisze – „ale żem nie był bardzo sposobny do nauki, a po prostu nie chciałem się uczyć […] ojciec dał mnie do nieboszczyka Władysława Dorohostajskiego, cześnika Wielkiego Księstwa". Bohater służył potem u księcia Bogusława Radziwiłła, jednak karierę dworską



„Rzeź polskich jeńców pod Batohem", rycina z dzieła Hioba Ludolfa „Allgemeine Schau – Bühne oder Welt" (1713) ze zbiorów Biblioteki Narodowej

przerwał pojedynek. Gdy miał ok. 20 lat, zabił w pojedynku niejakiego Zgłobickiego, książęcego komornika. Ponieważ było to w Słucku, Druszkiewicz schronił się w kościele, aby nie pojmano go na gorącym uczynku i nie ścięto. Uratowała go ciotka, która przebrała bohatera w niewieście szaty, wykorzystując to, że jeszcze nie miał wąsów, i wywiozła go z miasta.

Druszkiewicz uciekł do Korony, zaciągnął się do wojska, gdzie przed wyrokiem chroniła go władza hetmana. Najpierw do chorągwi kozackiej gubernatora twierdzy Kudak, Krzysztofa Grodzickiego, gdzie po dwóch latach posiekł się z niejakim Truszewskim i porzucił służbę. Później trafił do chorągwi Jacka Szemberga, komisarza zaporoskiego. I kiedy w 1648 r. wybuchło na Ukrainie powstanie Bohdana Chmielnickiego, brał udział w bitwie nad Żółtymi Wodami, zakończonej pogromem wojsk polskich.

Postrzelony z łuku pod łopatką, ranny w łokieć szablą, postrzelony w szyję z samopału, dostał się do tatarskiej niewoli. Jego panem został Bajkuł Hołyk ze wsi na Krymie, który „ubogi był sobak Tatar, bardzo źle mnie traktował i sam jeść nie miał co, nie trzymał mnie stąd w domu ledwie trzy niedziele. Przedał mnie do Kaffy [gdzie] cnotliwy mnie Turczyn kupił, bardzo dobry człowiek, Kałak emir efendi za 30 talarów i cztery sztuki kindżału. Zaprawdę bardzom był niedrogi, bo też nakaleczony i szaleństwo udawałem". Tak pisze o tym Druszkiewicz w pamiętniku.

Nowy właściciel traktował naszego bohatera jak syna, dodatkowo zarabiał on, plotąc uzdy, kańczugi i handlując sianem. Wkrótce jednak kupił go Bośniak Michał Milicz za 90 talarów, który wykupił z niewoli także innych Polaków, zaprowadził do Rzeczypospolitej i uwolnił, kiedy oddali mu pieniądze. Druszkiewicz od razu zaciągnął się do wojska – po husarsku, do chorągwi Aleksandra Koniecpolskiego, z której odszedł po awanturze z porucznikiem; później do roty hetmana Marcina Kalinowskiego. Jego przygoda skończyła się w 1652 r. pod Batohem, gdzie po jednej z największych klęsk polskich dostał się znowu do niewoli. Wzięto go żywcem: „Obuchem z konia zbito, srogo w łeb razem przez misiurkę. Pół roku krew ciekła uszyma, a rok cały jak w dzwonek dzwoniło w głowie". Miał jednak niesamowite szczęście, bowiem schwytali go Tatarzy z tej samej wioski, w której przebywał wcześniej jako niewolnik na Krymie! A szczęściu temu wydatnie dopomogło to, że siedział na tureckim koniu, w bogatym pancerzu, miał też przy sobie 200 czerwonych złotych. Ordyńcy jednak uratowali mu życie, bowiem kiedy Chmielnicki wydał rozkaz wymordowania jeńców, przebrali go w tatarski strój, dali mu szablę oraz sajdak i wozili między sobą.

Druszkiewicz obiecał za siebie 2 tys. talarów okupu, ale w nocy uciekł. Niestety, skoro świt schwytali go inni Tatarzy, wzięto go też na arkan. Kolejnej nocy bohater znów spróbował szczęścia – rozluźnił więzy i uszedł, ale nad ranem znowu został złapany. Tym razem skończyły się żarty – ordyńcy, jak pisze: „okrutnie mnie zbili, tyrańsko związali, że we mgłości ledwie noc przetrwałem". Nie poszedł jednak na Krym, gdyż razem z innymi niedobitkami spod Batoha został wykupiony przez załogę Kamieńca. Po raz drugi zatem wywinął się śmierci i niewoli. Wrócił do swoich i oczywiście znów wstąpił do wojska. W 1654 r. był już rotmistrzem tatarskiej chorągwi, a w czasie potopu pozostał wierny królowi i to właśnie on, jako znający język, a nie Kmicic, prowadził w 1656 r. Tatarów krymskich na pomoc Janowi Kazimierzowi.

Odszedł z wojska w 1663 r., kiedy po kłótni z królem zwinięto jego chorągiew tatarską. Służył 22 lata, jak sam pisze „bez zapłaty […] ani jednego chłopka z łaski Jego Królewskiej Mości nie wysłużyłem". Na kilka lat wrócił jeszcze do armii w czasach Jana III Sobieskiego, „chcąc pokazać, że mi proch nie śmierdział i nie straciłem wigoru wojennego". W 1671 r. o mało po raz trzeci nie dostał się do tatarskiej niewoli pod Międzybożem, na hanczaryskim szlaku. Po traktacie w Żórawnie przebywał w domu, dożywając po tych wszystkich wojnach, ranach, niewolach i rzeziach sędziwego jak na tamte czasy wieku 76 lat. ©℗



eprasa.pl 4eef091ca4




butiki **SWISS**

swiss.com.pl

eprasa.pl 4eef091ca4

# KRZYSZTOF CUGOWSKI CZEKA NA SZARLOTKĘ

Nie jestem wymagający, jeśli chodzi o jedzenie. Jem, bo... nie mam innego wyjścia. W związku z tym, że od lat bardzo wiele podróżuję, bardzo dużo jeżdżę po kraju, przyzwyczaiłem się już do jedzenia praktycznie wszystkiego, w dowolnych miejscach, o dowolnych porach, w zależności od możliwości.

Nie jest tak, że nie lubię jeść, po prostu nie przywiązuję do tego aż tak dużej wagi jak niektórzy. Podobnie jest z potrawami świątecznymi. Gdyby mnie ktoś do tego próbował zmusić, bez większego żalu mógłbym z nich zrezygnować, ale gdybym musiał zrezygnować z szarlotki, to miałbym z tym bardzo poważne kłopoty.

Szarlotka to moje absolutnie ulubione jedzenie. Mógłbym ją jeść w każdej ilości, o każdej porze dnia i nocy.

Niestety, nie mogę jej jeść tak dużo i tak często, jakbym chciał, ale nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w świątecznym zestawie potraw i deserów w naszym domu z pewnością będzie szarlotka.

Sam nie gotuję i nie piekę, nie mam do kuchni talentu. Gdyby to było możliwe, to i wodę bym przypalił. Polecam jednak przepis na klasyczną szarlotkę bez żadnych dodatków w postaci np. bitej śmietany, za to z jak największą liczbą jabłek. Taka jest najwspanialsza.

## Składniki:

**Ciasto**
- 250 g mąki pszennej
- ok. 130 g masła
- 1 łyżeczka proszku do pieczenia
- 1 żółtko
- 1 łyżka śmietany
- 1/3 szklanki cukru pudru.

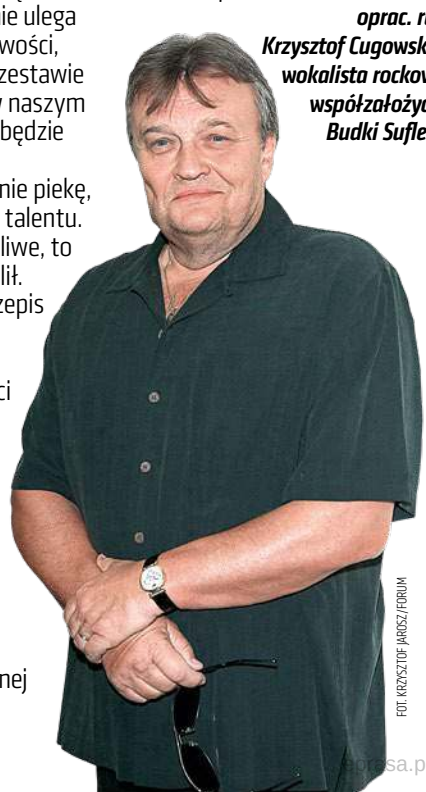
**Nadzienie**
- ok. 2 kg kwaśnych jabłek
- cukier
- cukier waniliowy
- cynamon

## Przygotowanie:

Składniki na ciasto dokładnie ze sobą wymieszać. Ciasto rozwałkować i większość (ok. 2/3) wyłożyć na dnie blachy na papierze do pieczenia. Jabłka umyć, obrać, oczyścić z pestek i pokroić na cienkie plastry. Układać warstwami na cieście, przesypując kolejne warstwy cukrem, odrobiną cukru waniliowego i cynamonu. Na wierzchu ułożyć pozostałe ciasto. Piec ok. 45 min, do zarumienienia się ciasta. Po ostudzeniu posypać cukrem pudrem. ©℗

***oprac. raw***

***Krzysztof Cugowski – wokalista rockowy, współzałożyciel Budki Suflera.***



FOT. KRZYSZTOF JAROSZ/FORUM



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

# Śledzik postny i niepostny

Ciemno na dworze, śniegu nie ma, mrok rozjaśniają tylko przedświąteczne prywatne i korporacyjne śledziki. „Kiedy grudzień w kalendarzu, śledź szaleje w refektarzu" – mawiali cystersi. A Wigilia bez śledzia nie byłaby przecież Wigilią. Ze śledziem jest inaczej niż z karpiem, o którego istnieniu przypominamy sobie tylko raz w roku, na Boże Narodzenie. Uroki śledzia doceniamy cały rok, mimo że wcale nie jest tak tani jak kiedyś. A przecież do początków XX w. dla nas, dla Skandynawów, dla Niemców, uchodził za jedzenie biednych.



FOT. FOTOLIA

Jednak my, Polacy, mamy do śledzia szczególną słabość. Nasz jest jedynie słuszny, w odróżnieniu od takiego np. szwedzkiego, słodkiego, którym pogardzamy. Przyznajmy od razu szczerze, że służy nam głównie jako zakąska. „Jest i w New Yorku ten specyjał, / I wódkę-m już pod niego pijał, / Lecz wódka nie ta i śledź nie ten, / I nie ta aura nad bufetem" – wzruszał się na emigracji Julian Tuwim w „Kwiatach polskich".

Renoma śledzia nie jest przesadzona. Jest źródłem białka, selenu, potasu, działa na obniżenie ciśnienia, poprawia nastrój, zwłaszcza w towarzystwie dobrze schłodzonej wódeczki.

Urozmaicał dietę drakońskich postów, którymi przez stulecia katowała się chrześcijańska Europa. Dzięki możliwości długiego przechowywania w soli („ściśnięte jak śledzie w beczce") stał się powszechnym składnikiem diety, i to nie tylko biednych. Jednak cucina povera, kuchnia biedaków, przeszła do kategorii gourmet. Pozostając symbolem postu, śledź podwyższył swój status. Jeszcze za PRL zawiniętego w gazetę kupowało się go z beczki. Dzisiaj – w eleganckich paczkach.

Ryby z rodziny śledziowatych, do których zaliczają się także sardela, sardynka i szprotka, wędrują zawsze w ogromnych ławicach w Atlantyku Północnym od Zatoki Biskajskiej w kierunku północnym, przez Morze Bałtyckie do Nowej Ziemi i Spitsbergenu. Żyją na głębokości do 350 m.

Najlepsze są holenderskie matiasy, młode śledzie atlantyckie – mniejsze bałtyckie w tym stadium rozwoju są za małe. Łowi się je od kwietnia do czerwca. Ryby soli się i czyści na pełnym morzu, wkłada na dwa miesiące do solanki i przechowuje w bardzo niskich temperaturach. W czerwcu wczesne matiasy są gotowe i w Europie Północnej można świętować koniec sezonu, próbując bardzo delikatnych w smaku ryb z nowego połowu. To takie śledziowe beaujolais nouveau. Je się je prosto z beczki, z kawałkiem ciemnego chleba i cebulą. Pycha. ©℗



Polska.pl 4eef091ca4



eprasa.pl 4eef091ca4

# NASZ TEST: VW GOLF GTE

Oszczędne, ekologiczne hybrydy rzadko sprawiają, że serce kierowcy zaczyna bić mocniej. Na szczęście z elektrycznym Golfem jest inaczej. Golf GTE to rasowo wyglądające auto, które może nie tylko przejechać przez miasto, nie emitując żadnych szkodliwych substancji, lecz także potrafi bardzo sprawnie przyspieszać. Na sportowe inspiracje wskazuje nie tylko znaczek „GTE", lecz także m.in. charakterystyczne diodowe światła do jazdy dziennej oraz podwójny chromowany wydech.

## W KABINIE

Wnętrze jest bardzo ergonomiczne i tak samo przestronne jak w innych golfach: na brak



miejsca nie powinni więc narzekać ani pasażerowie podróżujący z przodu, ani z tyłu samochodu. Niestety, Golf GTE ma sporo mniejszy bagażnik niż inne odmiany Golfa. Pojemność kufra wynosi więc tylko 272 l.

Centralnym elementem deski rozdzielczej jest nowocześnie wyglądający ekran dotykowy. Dynamiczny charakter auta podkreślają m.in. wykonane ze stali nierdzewnej nakładki na pedały oraz czarna podsufitka. Zamiast czerwonych przeszyć w hybrydzie o sportowych ambicjach e-Golfa przypomina niebieska nitka. Na pochwałę zasługuje też przyjemna, trójramienna, spłaszczona u dołu kierownica. Przednie fotele są bardzo wygodne i świetnie wyprofilowane. Szkoda, że w podstawowej wersji auto wyposażone jest w tapicerkę w szkocką kratę (nazywa się Clark). Wprawdzie jest ona w golfach od kilkudziesięciu



lat, ale w drugiej dekadzie XXI w. nie wygląda już tak efektownie i zamiast budować prestiż, przypomina raczej wzór toreb, z jakimi poruszali się po warszawskim Stadionie Dziesięciolecia handlarze ze Wschodu. W nowoczesnym aucie, kosztującym ponad 150 tys. zł, spodziewałbym się czegoś lepszego.

## JAZDA

Niemal całkowita cisza podczas jazdy. To jedna z największych zalet eko-Golfa, który wyłącznie na zasilaniu elektrycznym w praktyce potrafi przejechać ok. 30 km (producent deklaruje 50 km). Po wyczerpaniu baterii zasilających silnik elektryczny o mocy 102 KM – lub w przypadku gwałtownego przyspieszania – do pracy włącza się silnik benzynowy 1.4 TSI o mocy 150 KM.

Bądźmy szczerzy: GTE hot hatchem nie jest. Mimo to jest wystarczająco zrywny i zwinny, aby dawać sporo radości z jazdy. Prawdziwe emocje pojawiają się po wciśnięciu znajdującego się obok gałki zmiany biegów guzika GTE – wówczas Golf sprawnie przyspiesza (od 0 do 100 km/godz. w 7,6 s), z głośników wydobywa się przyjemne nagranie sportowego silnika. Dzięki usztywnieniu układu kierowniczego e-Golf świetnie się prowadzi. Prędkość maksymalna to 222 km/godz. Niezłe jest też zawieszenie, które dobrze tłumi nierówności, ale jest wystarczająco sztywne, aby pokonywanie serpentyn było dobrą zabawą.

Elektryczny Golf to ciekawe rozwiązanie dla osób, które szukają oszczędnego auta, ale zraziły się do silników Diesla. Średnie spalanie podczas testu w cyklu mieszanym wyniosło 6,7 l/100 km. To wynik dużo gorszy, niż deklaruje producent, ale i tak jest całkiem nieźle.

## BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP VW Golf zdobył komplet pięciu gwiazdek. Życie kierowcy ułatwia też aktywny tempomat, funkcja awaryjnego hamowania w mieście (system reaguje nie tylko na ryzyko kolizji z innym pojazdem, lecz także rozpoznaje pieszych) czy też opcjonalny asystent jazdy w korkach, który sprawia, że auto samodzielnie porusza się za znajdującym się przed nim samochodem, trzymając się pasa jazdy i utrzymując właściwy dystans. System Emergency Assist pozwala też na autonomiczne zatrzymanie się samochodu, np. w sytuacji, gdyby kierowca zasłabł lub zasnął za kółkiem.

## CENA

Za najtańszego Golfa GTE trzeba zapłacić 159,9 tys. zł. Po dołożeniu skórzanej tapicerki (za ponad 8 tys. zł), panoramicznego szklanego dachu i systemu nawigacji satelitarnej rachunek rośnie do ok. 180 tys. zł.

## KONKURENCI

Audi A3 e-Tron, Kia Optima PHEV, Toyota Prius Plug-in. ©℗ ***Jacek Przybylski***




FOT. MATERIAŁY PRASOWE



eprasa.pl 4eef091ca4



MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

# Na tratwie do San Escobar

**MARCIN MAKOWSKI: Nowy-stary rząd nowego premiera Mateusza Morawieckiego na setny odcinek „Złego Tyrmanda". Nieźle prezes wycelował.**

MATTHEW TYRMAND: Prawdziwe gratulacje należą się tobie, za wytrzymanie ze mną stu tygodni gadania o polityce. A dziś musimy sobie zadać fundamentalne pytanie: Co dalej? Po pierwsze, wydaje mi się, że to rozsądne ze strony Mateusza Morawieckiego i Nowogrodzkiej, że formuje swój gabinet, zaczynając od zaprzysiężenia wszystkich dotychczasowych ministrów. Dzięki temu unika oskarżenia, że przyszedł z polecenia prezesa wymieść tych, którzy stali się niewygodni. Morawiecki ma w tej chwili miesiąc, może dwa na to, aby przemyśleć następne kroki, przeprowadzić audyt ministerstw i ustalić priorytety.

**Jakie nazwiska podsunąłbyś premierowi na liście do zrekonstruowania?**

Zacząłbym od MSZ, które nie udźwignęło ciężaru kontrowania antypolskiej operacji odbywającej się w tej chwili w zagranicznych mediach. Chyba nikt w kraju, łącznie z premierem, nie sądzi, że Witold Waszczykowski sprawdza się na stanowisku. Nie jest charyzmatyczny, nie ma wizji i nie potrafi się komunikować. Jego w pierwszej kolejności odesłałbym na tratwie do San Escobar. Na to miejsce, a wiem, że są takie przymiarki, rekomendowałbym Krzysztofa Szczerskiego, którego w KPRP może zastąpić Witold Dzielski. To prawda, że miałem ze Szczerskim nieporozumienia, ale to przeszłość. Dzisiaj właśnie on byłby najlepszym kandydatem na ministra spraw zagranicznych. Często bywa w USA, zna się na światowej polityce i umie rozmawiać z dyplomatami. Ten ruch związałby również MSZ mocniej z kancelarią premiera i – co oczywiste – z Pałacem Prezydenckim. Koordynacja, której nie było do tej pory, pozwalałaby zarządzać dyplomacją na poziomie strategii, a nie tylko doraźnej taktyki. Oczywiście wraz z Waszczykowskim na tę tratwę powinien również wsiąść Marek Magierowski oraz Jan Parys, najwierniejszy giermek ministra i dawny zausznik Sikorskiego. Idealnym kandydatem na miejsce Parysa byłby prof. Przemysław Żurawski vel Grajewski, który nadaje się na funkcję szefa gabinetu politycznego przy MSZ.

**Nie masz litości. Kogoś byś tam jeszcze dokooptował?**

Na miejscu nowego premiera w drugiej kolejności przyjrzałbym się MON. Myślę, że Antoni Macierewicz powinien zostać na stanowisku, choć wydaje mi się, że jego szanse w tej chwili to pół na pół. Plotki głoszą, że stery resortu może przejąć Michał Dworczyk, co nie byłoby katastrofą, bo to ciężko pracujący patriota. Natomiast nie płakałbym po Bartoszu Kownackim, który narobił więcej szkód dla polskiej obronności niż Tomasz Siemoniak. Pod względem wojskowości na tratwę do San Escobar wysłałbym również Marka Ziółkowskiego, ambasadora przy NATO, z kolei na jego miejsce mianował Tomasza Szatkowskiego. Mało kto tak dobrze zna zagadnienia globalnego bezpieczeństwa jak obecny podsekretarz stanu w MON. Już na koniec, bo nie zostało wiele miejsca, ostatni bilet wręczyłbym ministrowi Konstantemu Radziwiłłowi, za przeforsowanie fatalnej ustawy „Apteka dla aptekarza". I chyba tyle na ten moment. Oczywiście nie wspomniałem o Księciu Ciemności w Ministerstwie Sprawiedliwości, ale to chyba oczywiste.

**A ktoś z otoczenia Morawieckiego zyska nagle na znaczeniu? Albo powinien zyskać?**

Hm, myślę, że sekretarz stanu w Ministerstwie Rozwoju Jerzy Kwieciński. Wiem, że na razie nowy premier nie zrzeka się swoich resortów, ale jeśli to zrobi, to Kwieciński powinien być jego następcą. To bardzo błyskotliwy przedsiębiorca i dobrze czuje gospodarkę. Takich ludzi w tej chwili Polska potrzebuje najbardziej. Dlatego cieszę się, że na czele rządu stoi jeden z nich. ©℗




RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

ROZMAWIAŁ MARCIN MAKOWSKI



eprasa.pl 4eef091ca4

OKIEM BLOGERKI

# Czekając na krew

KATARYNA

***KLEMENTYNA SUCHANOW:*** *Ktoś ma problem, że jaja? Trzeba mieć jaja, żeby zrozumieć, że jaja w tej sytuacji to jak pieszczoty. Śniły mi się dzisiaj w nocy młotowy, jaja to naprawdę daleko idący kompromis.*
***WŁADYSŁAW FRASYNIUK:*** *System popycha nas do tego, żeby za chwilę zamiast jajek poleciały kamienie.*
***WALDEMAR KUCZYŃSKI:*** *Jeśli ewolucja sytuacji w Polsce pójdzie do końca tym tropem, to w finale może ze sporym opóźnieniem będą nie tylko kamienie, ale może ogień i krew.*

**Po kilku latach bardzo trudno jest ugryźć się w język, gdy kusi odpowiedzieć już nie przeciwnikowi, a śmiertelnemu wrogowi**

***BEATA MAZUREK:*** *Każda akcja wywołuje określoną reakcję. Dopóki żyjemy, to mamy emocje. Te emocje dały upust. To sytuacja, która nie powinna mieć miejsca, ale też ich rozumiem.*

Po wylansowaniu alimenciarza i oszusta na „nowego Wałęsę" „Gazeta Wyborcza" wzięła się za pompowanie nowej idolki – Klementyny Suchanow. Która ostrzega? Obiecuje? Że jajka to dopiero początek, bo kwestią czasu jest, kiedy w stronę rządzących polecą kamienie. I pewnie tak się stanie, zbyt wiele osób – po obu stronach politycznej barykady – czeka na krew, więc kiedyś się ta krew pewnie poleje. I tak jak w przypadku samospalenia Piotra Szczęsnego, każda ze stron będzie mogła drugą o to obwiniać. I obie będą miały rację.

Można się oczywiście kłócić, kto zaczął i kto bardziej, ale w polityce zredukowanej do licytacji na obelgi obie strony odnajdują się tak dobrze, że nie chcę żadnej skrzywdzić sugestią, iż jest w tym mniej sprawna. Z perspektywy obywatela ogłuszonego ciągłym jazgotem i coraz bardziej przerażonego kierunkiem, w jakim nas nieuchronnie prowadzi wojenna retoryka, istotne jest już tylko, kto to skończy. A łatwo miał nie będzie, po kilku latach bardzo trudno jest ugryźć się w język, gdy kusi odpowiedzieć już nie przeciwnikowi, a śmiertelnemu wrogowi, i to nie tylko własnej partii, ale wręcz Polski.

Nie wiem, jak się w tym odnajdzie nowy premier i – podobno – następca samego Jarosława Kaczyńskiego. Przez dwa lata w rządzie nie dał po sobie poznać, że mu styl uprawiania polityki przez własną partię przeszkadza, a przecież formalnie był szefem często nieumiejących powściągnąć języka ministrów. Może jednak wzięcie osobistej i jednoosobowej odpowiedzialności za rząd, a w perspektywie także za rządzącą partię, wszystko zmienia i Mateusz Morawiecki naprawdę spróbuje zrealizować złożoną w exposé obietnicę wygaszania wojny polsko-polskiej, w której tak dobrze odnajdywała się jego poprzedniczka i w której tak świetnie czuje się jego partyjny szef. Jeśli to mu się uda, to ma szansę zapisać się w historii jako mąż stanu, bo właśnie odbudowania wspólnoty potrzebujemy dzisiaj najbardziej. Wielką optymistką nie jestem, zważywszy na to, jak bardzo będzie w tym osamotniony, ale samo podjęcie wyzwania świadczy o ambicjach, jakich nie miała Beata Szydło i nie miałby chyba żaden inny polityk z jego obozu.

Mam nadzieję, że zdąży, zanim naprawdę poleje się krew. ©℗

PODSŁUCHANE

## Będą nam zazdrościć

**Ładne miałeś, Mateusz, to exposé. Wiele razy od ciebie to już słyszałem, ale nawet się wzruszyłem w pewnym momencie. Tylko czyś ty trochę nie przesadził z tą koleją próżniową?**
Widzę, Jarku, że uważnie słuchałeś. Otóż nie! Taką mam wizję: cała Polska opleciona za 10 lat siecią próżniowych kolei, z Gdańska do Krakowa takim pociągiem jechałoby się godzinkę! Cały świat nam będzie zazdrościł!
**No, chyba trochę przesadzasz.**
Nie, to się może nawet do tysiąca na godzinę rozpędzić. Zaraz ci pokażę, specjalnie tu noszę w teczce taki model... O, tu mam, tylko złożyć trzeba. Dobrze, popatrz: tu jest rura, w rurze – tu możesz zajrzeć przez szybkę – wagonik, w środku rury próżnia i teraz jak tu wdmuchniemy powietrze, to ten wagonik... Tu jest ustnik, wytrę może, dmuchnij tutaj, tylko mocno.
**Uuu, szybko, faktycznie, ale nie mówiłeś, że to działa jak pistolet. Trzeba będzie teraz nową szybę na portrecie Marszałka zrobić.**
Przepraszam, zatyczka puściła...
**Może by to jeszcze trochę jednak dopracować? A, przypomnij mi, ten milion samochodów elektrycznych to do kiedy miał być?**
No, ten... Samochody elektryczne to już dzisiaj standard, my musimy wyprzedzić nasz czas, właśnie tym!
**No dobrze, dobrze. Jak będziesz wychodził, to powiedz pani Basi, żeby się tą szybką zajęła.** ©℗

***Łukasz Warzecha***

OD RZECZY

**„Z punktu widzenia ustrojowego to, co dzieje się w Polsce, jest w pewnym sensie bardziej drastyczne niż wprowadzenie stanu wojennego".**

***JACEK ROSTOWSKI,*** *minister finansów w rządzie PO-PSL, w Radiu Zet*



eprasa.pl 4eef091ca4

# Born to win!


mal. William Dyce, 1845

Nasz Pan się rodzi, zła moc truchleje, Monarcha Ziemi, Niebios i całego Wszechświata przybywa, aby zbawić grzeszną ludzkość. Rok w rok wzruszenie z tego powodu ogarnia nasze serca. Co za cudowny moment! Weselimy się, ściskamy, bratamy, i śpiewamy kolędy, te najpiękniejsze spośród cudzoziemskich ( jak choćby austriacka **„Cicha noc”**) i te najbliższe sercu swojskie, rodzime, ułożone przez naszych ludowych oraz profesjonalnych twórców. Z kolęd polskich moją ulubioną jest **„Mizerna cicha stajenka licha”** Jana Galla i Teofila Lenartowicza (druga połowa wieku XIX), której ostatnia zwrotka brzmi triumfalnie:

*„Radość na Ziemi,*
*Pan nad wszystkimi*
*Roztacza blask poranny.*
*Przepaść zawarta,*
*Upadek czarta,*
*Wstępuje Pan nad pany!”.*

Dlatego też dzwony biją nam w każde Boże Narodzenie radośniej niż kiedykolwiek — tak jak pisał Kazimierz Przerwa Tetmajer roku 1905:

*„Na Anioł Pański biją dzwony,*
*Niech będzie Marya pozdrowiona,*
*Niech będzie Chrystus pozdrowiony”.*

W politpoprawnym (salonizującym się, lewaczejącym) świecie Zachodu pozdrawia Go coraz mniej wiernych, wszakże nad Wisłą kult Zbawiciela ani drgnie, wciąż jest potężny, ogólnonarodowy, chóralny, nie mogą mu zaszkodzić głupawe wybryki takich *„urwanych z choinki”* jak prof. Środa, według której Jezus był pierwszym propagatorem doktryny *„gender”*, czy niejaki Kryspin Krystek (zwący siebie *„księdzem w cywilu”*), który na łamach goszystowskiej **„Angory”** porównał mitologię Chrystusa z mitologią Kim Ir Sena (sic!), sugerując analogiczną bezsensowność jednej i drugiej. Nadludzką wyjątkowość Chrystusa pięknie ujął James Allen Francis wierszem **„One Solitary Life”** (**„Jedno samotne życie”**, tłumaczenie Marka Króla):

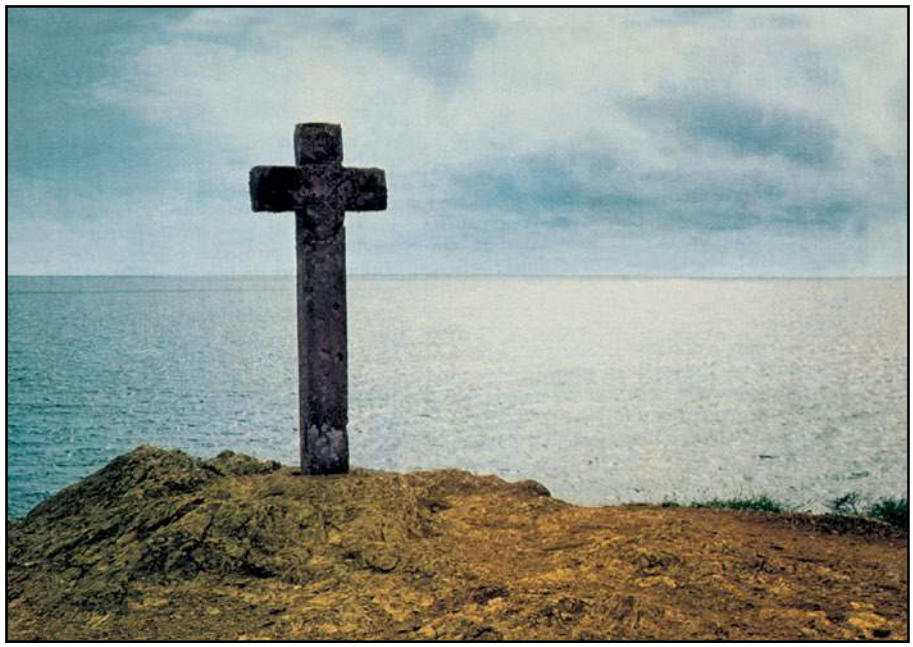
*„Urodził się w zapadłej wiosce*
*Jako dziecko chłopki.*
*Dorastał w innej zapadłej wiosce.*
*[...]*
*Nigdy nie napisał książki.*
*Nigdy nie sprawował urzędu.*
*Nigdy nie uczył się w college'u.*
*Nigdy nie był w dużym mieście.*
*Nigdy nie był dalej niż dwieście mil*
*Od miejsca, w którym się urodził.*
*Nie robił żadnej z tych rzeczy,*
*Które zwykle kojarzy się z wielkością.*
*Nie miał żadnych referencji*
*poza samym sobą.*
*[...]*
*Wszystkie armie,*
*jakie kiedykolwiek maszerowały,*
*Wszystkie floty,*
*jakie kiedykolwiek pływały,*
*Wszystkie parlamenty,*
*jakie kiedykolwiek obradowały,*
*Wszystkie dynastie,*
*jakie kiedykolwiek panowały,*
*Wszystko to razem wzięte nie wywarło*
*na ziemskie życie ludzi*
*Wpływu równie przemożnego*
*co tamto jedno samotne życie”.*

Ponadczasowym symbolem owego wpływu — religijnym godłem, świętym logo — stał się krzyż, stąd właśnie nad nim pastwią się dzisiaj wrogowie chrystianizmu, jak choćby pseudoartyści taplający go w moczu i w kale, czy pseudoaktorzy wtykający go sobie do krocza. Wrogość politpoprawnych Francuzów wobec krzyża (exemplum afera z pomnikiem Jana Pawła II w bretońskim Ploermel) narobiła u nas sporo szumu, a przecież coraz częściej zdarzają się tam dużo gorsze rzeczy. W hiszpańskim Bilbao wywieszono (2017) plakaty, na których ciało ukrzyżowanego Jezusa zostało poporcjowane oznaczeniami nomenklatury rzeźniczej stosowanymi do rozbioru mięsa zwierząt. Co mi przypomina zadawnioną azjatycką nienawiść wobec krucyfiksu: decyzją rządzących Japonią szogunów (z rodu Tokugawa) każdy Europejczyk przybijający do brzegów tego kraju musiał tuż po wylądowaniu zdeptać chrześcijański krzyż w obecności urzędników. A.D. 1942 salezjanin, ksiądz Józef Kowalski, został na terenie niemieckiego obozu zagłady Auschwitz utopiony wewnątrz beczki pełnej fekaliów, bo odmówił podeptania krzyża.

Urodzony w stajence i umęczony na Golgocie Bóg zwycięża Zło krzyżem wedle IHSV Konstantyna Wielkiego: In Hoc Signo Vinces (Pod tym znakiem zwyciężysz). Ku temu — ku wielkiemu zwycięstwu — zrodziła Go NMPanna. ©℗

Waldemar Łysiak

*Nicolás Gómez Dávila:*
***„Katolicyzm jest cywilizacją chrześcijaństwa”***





eprasa.pl 4eef091ca4


Docenisz różnicę
Bank Pekao S.A. to Twój partner w codzienności. Pomagamy Ci działać, bo wiemy, że zmiany są dobre, ale jeszcze ważniejsze jest wsparcie, które je ułatwi. Bank Pekao S.A. to polski bank, który sprawi, że docenisz różnicę!
Bank Pekao
www.pekao.com.pl | 801 365 365 (opłata wg cennika operatora)